

Victoria Holt

**POCALUNEK JUDASZA**

## Kamienny Dwór

Miałam siedemnaście lat, gdy dowiedziałam się, że moja siostra została zamordowana. Po raz ostatni widziałam ją przed pięciu laty, lecz nie było dnia, bym o niej nie myślała, nie tęskniła do jej obecności, nie opłakiwała jej odejścia z mego życia.

Zanim wyjechała, byłyśmy sobie tak bliskie, jak tylko mogą być sobie bliskie dwie istoty ludzkie. Młodsza o pięć lat, szukałam w siostrze oparcia, szczególnie w okresie, kiedy po śmierci rodziców naszym domem stał się Kamienny Dwór.

Gdy przyjechałyśmy tam sześć lat temu, nasza przeszłość wydawała mi się rajem. „Czas zaczarował wspomnienia”, próbowała mnie pocieszać Francine, chcąc równocześnie pokazać mi, że nie wszystko na Wyspie było idealne, a Kamienny Dwór nie jest aż tak ponury, jakim my, nowo przybyłe mieszkanki, go widzimy. Francine była delikatna jak dreźdeńska porcelana, ale nie znam nikogo mocniej osadzonego w twardej rzeczywistości niż ona. Praktyczna, zaradna, stanowcza, pogodna - doprawdy bez wad. Nigdy nie wątpiłam, że cokolwiek postanowi - zrobi to z powodzeniem. Dlatego poczułam się tak zdruzgotana, tak przygnębiona i zaskoczona, gdy w kufrze ciotki Grace na strychu Kamiennego Dworu znalazłam tę gazetę. Klęczałam, trzymając ją w dłoniach, a litery tańczyły mi przed oczyma.

W środę rano baron Rudolph von Gruton Fuchs został zamordowany w domku myśliwskim w swoich włościach. Wraz z nim znaleziono jego kochankę, młodą Angielkę, której tożsamości nie udało się dotychczas ustalić. Wiadomo jednak, że kobieta towarzyszyła baronowi przez kilka ostatnich tygodni przed tragedią.

Znalazłam również inny wycinek:

Ustalono tożsamość kobiety zamordowanej wraz z baronem Fuchsem. Jest to Francine Ewell, ostatnio bliska przyjaciółka barona.

Nieprawda! Baron był przecież jej mężem. Dokładnie pamiętam, jak powiedziała mi, że wychodzi za mąż, jak zmagalam się ze sobą, by odepchnąć przygnębienie wywołane jej utratą i spróbować cieszyć się jej radością.

Kłęczalam, póki nie ścierpły mi nogi i nie zaczęły boleć kolana. Zabrałam gazety i poszłam do swojej sypialni. Siedziałam oszołomiona, coraz dobitniej uświadamiając sobie, jak była dla mnie ważna.

\* \* \*

Beztraskie lata dzieciństwa spędziłyśmy na Wyspie z uwielbianymi przez nas i uwielbiającymi nas niezwykłymi, wspaniałymi rodzicami.

Te piękne lata skończyły się, gdy ja miałam lat jedenaście, a Francine szesnaście. Sądzę, że nie rozumiałam, co się wokół mnie działo. Nie zdawałam sobie sprawy z kłopotów finansowych, z lęku o przetrwanie w czasach, gdy nikt nie odwiedzał pracowni ojca. Nie dlatego, że nie okazywano niepokoju, ale dlatego, że Francine zarządzała domem zręcznie i z energią, co przyjmowaliśmy jako rzecz całkowicie naturalną.

Nasz ojciec rzeźbił w kamieniu - przepiękne figury Kupidyna i Psyche, Afrodyty wyłaniającej się z morskich fal, małe syrenki, tańczące dziewczynki, dzbany i kosze pełne kwiatów. Ludzie przychodzili i kupowali je. Matka i Francine były jego ulubionymi modelkami. Czasami pozowałam także ja, choć nie miałam - jak Francine czy mama - smukłości, która tak wspaniale dawała się odtworzyć w kamieniu. Obie były piękne. Ja przypominałam wyglądem ojca - włosy ciemnokasztanowe, grube, proste i wiecznie nie uczesane, zielonkawe oczy, zmieniające kolor w zależności od natężenia

światła i otaczających je barw, nos, który Francine określała jako „bezczelny”, oraz duże, „obfite” jak mawiała Francine, usta. Matka miała baśniową urodę, odziedziczyła ją po niej Francine: jasne, kręcone włosy, niebieskie oczy o ciemnych rzęsach, nos na tyle duży, by można go uznać za piękny, a do tego niezbyt wydatna górna warga, która odsłaniała wysunięte nieznacznie ku przodowi zęby - równe i białe jak perły. Ponadto matka miała w sobie tę niewieścią bezradność, której mężczyźni pragną służyć, którą pragną otaczać opieką i chronić przed troskami tego świata. Matka zdawała się czasem potrzebować takiej opieki, Francine - nigdy.

Mijały długie, ciepłe dni - wiosłowałyśmy ku niebieskiej lagunie i pływałyśmy w morzu. Miałyśmy nauczyciela w osobie Antonia Farfalli, któremu zapłacono za lekcje jedną z rzeźb ojca. „Pewnego dnia będzie warta fortunę”, zapewniała go Francine. „Musi pan tylko poczekać, aż ojciec stanie się sławny”. Mimo swojej kruchości Francine potrafiła budzić respekt i Antonio wierzył jej. Antonio ją uwielbiał. Zresztą zanim przyjechałyśmy do Kamiennego Dworu, wydawało się, że wszyscy uwielbiają Francine. Ona zaś z wdziękiem troszczyła się o Farfallę, i chociaż nie przestawała żartować z jego nazwiska, które po włosku oznacza motyla, a on był najbardziej niezdarnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałyśmy, zawsze okazywała mu wiele sympatii, gdy sam ubolewał nad swą ociężałością.

Wtedy jeszcze nie martwiłam się nieustanną chorobą mamy, która wciąż leżała w hamaku przed domem zabawiana rozmową. Z początku, jak opowiadał mi ojciec, niezbyt ciepło przyjmowano nas na Wyspie. Byliśmy obcy, wszyscy inni mieszkali tu od wieków, uprawiali winną latorośl, hodowali jedwabniki i pracowali w kamieniołomach, skąd pochodziły alabaster i serpentyn, używane przez ojca jako materiał rzeźbiarski. Kiedy jednak wyspiarze zorientowali się, że

jesteśmy tacy jak oni, gotowi żyć, jak oni, przyjęli nas do swojej społeczności. „To matka ich zawojowała”, mawiał ojciec. Mogłam to sobie bez trudu wyobrazić. Wyglądała tak ślicznie, wiotka i zwiewna, byle podmuch mógł ją unieść w powietrze, nie tylko chłodny i silny mistral, który wiał tu czasami. „Z czasem zaczęli nas odwiedzać. Zostawiali przed drzwiami drobne dary, a gdy urodziła się Francine, w domu zaroilo się od pomocników. Tak samo było z tobą, Pippa. Przyjęli cię równie serdecznie, jak swoją siostrę”.

Zawsze mi o tym przypominano. Aż zaczęłam się zastanawiać, dlaczego to robili.

Francine z upodobaniem szperała w dziejach naszej rodziny. Zawsze chciała wszystko wiedzieć. Interesował ją każdy szczegół, a niewiedza drażniła.

- Podobno gdy ktoś chce wszystko wiedzieć - ostrzegał Antonio - pewnego dnia dowie się czegoś, co okaże się dla niego niezbyt przyjemne.

- W Anglii istnieje powiedzenie „Zgubił kota nadmiar ciekawości” - dorzuciła Francine. - Nie jestem wprowadzie kotem, ale z nadmiaru ciekawości nie zrezygnuję... nawet jeśli miałyby mnie to zgubić.

Śmialiśmy się z tego, ale teraz często wracam myślą do tamtej rozmowy.

Błogo płynęły dni na naszej Wyspie - ciepły dotyk słońca, ostry zapach drzewa zachodnioindyjskiego i hibiskusa, cichy szum morza, długie, leniwe dni na śródziemnomorskim wybrzeżu, wylegiwanie się w łodzi po pływaniu, odpoczynek przy bujającym się lekko hamaku matki, przyglądanie się Francine zmierzającej do pracowni ojca, gdy zjawiali się klienci. Przyjeżdżali z Ameryki i z Anglii, najczęściej jednak z Francji i Niemiec. Z biegiem lat Francine i ja nie najgorzej rozumialiśmy ludzi mówiących po francusku i niemiecku. Francine wносиła szklaneczki z winem przybrane kwiatami

hibiskusa, co bardzo się gościom podobało i płacili za rzeźby wysokie ceny. Francine zapewniała ich, że rozsądnie inwestują pieniądze, bo ojciec jest znakomitym artystą. Mówiła, że przebywa na Wyspie tylko ze względu na zdrowie żony, inaczej wystawiałby swoje prace w galeriach Paryża czy Londynu.

Dostrzegając ślad urody Francine w kamiennych figurach przybysze kupowali je chętnie na pamiątkę czarujących chwil, kiedy to piękna dziewczyna częstowała ich przystrojoną kwiatami szklaneczką wina.

Tak żyliśmy w tamtych czasach - nie myśląc o przyszłości, budząc się rano z promieniami słońca i zasypiając nocą z uczuciem przyjemnego zmęczenia po radosnym dniu. Miło też było siedzieć w domu i wsłuchiwać się w bębnienie padającego deszczu. „Zaraz zaczną wychodzić ślimaki”, cieszyła się Francine i gdy deszcz ustawał, wychodziłyśmy z koszykami, by je zbierać. Francine znakomicie wynajdywała okazy najchętniej kupowane przez Madame Descartes, Francuzkę prowadzącą gospodę nad brzegiem morza. Francine tłumaczyła mi, że nie należy zbierać ślimaków o miękkiej skorupce, bo są za młode. „Biedne maleństwa, niech sobie jeszcze trochę pożyją”. Zanosiliśmy więc ślimaki do Madame Descartes i dostawałyśmy za nie parę groszy. A po kilku tygodniach, gdy osiągnęły odpowiednią wielkość i wyjęto je z klatki, gdzie były trzymane, szłyśmy do gospody i Madame Descartes dawała nam ich spróbować. Francine uważała, że ugotowane z czosnkiem i pietruszką smakują wybornie. Ja nigdy za nimi nie przepadałam. Te ślimakowe dożynki stanowiły jednak pewien rytuał, dlatego wraz z siostrą uczestniczyłyśmy w nim z namaszczeniem.

Później przychodził czas winobrania. Wdziewałyśmy specjalne drewniane buty podobne do sabotów i pomagałyśmy w wygniataniu winogron. Francine włączała się z ochotą - z

błyszczącymi oczami śpiewała i tańczyła jak szalona, potrząsając lokami. Wszyscy się do niej uśmiechali, a ojciec powiedział kiedyś: „Francine to nasza ambasadorka”.

Wydawało się, że te szczęśliwe dni powinny trwać wiecznie. Matka stawała się coraz słabsza, ale jakoś udawało jej się to przede mną ukrywać. Podobnie zresztą jak przed ojcem. Zastanawiałam się wielokrotnie, czy także przed Francine. Ale nawet jeśli Francine wiedziała, odrzucała tę myśl od siebie, tak jakby odrzucając myśl, mogła zmienić bieg wypadków.

Dobrze pamiętam ten dzień. Był wrzesień, czas winobrania - obwieszczany jak zwykle panującym wokół ożywieniem. Wybierałyśmy się z Francine, by z młodymi wyspiarzami deptać winogrona w rytm melodii z oper Verdiego, które stary Umberto potrafił wyrzepolić na swoich skrzypeczkach. Śpiewaliśmy z zapalem, a starcy o sękatych dłoniach splecionych na podółkach i tęsknym spojrzeniu wyblakłych oczu siedzieli i przyglądali się nam. Tańczyliśmy, póki nogi nie odmówiły posłuszeństwa, a głosy nie stały się coraz bardziej ochryple. Ale były też inne żniwa. Żniwa śmierci.

Francine, jak każdego ranka, poszła do jej pokoju ze szklanką mleka. Leżała spokojnie i moja siostra mówiła do niej przez dłuższą chwilę, nim zorientowała się, że mama nie słucha. „Podeszłam do łóżka, opowiadała Francine, spojrzałam i od razu wiedziałam”.

Ojciec omal nie oszalał. Miał duszę artysty. Gdy pracował, rzeźbiąc piękne kobiety przypominające wyglądem moją matkę lub siostrę, zdawał się przebywać daleko stąd. Kpiłyśmy wówczas z tej jego duchowej nieobecności.

Francine wzięła na siebie wszystkie obowiązki. Rozmawiała z klientami i przekonywała ich, że robią dobry interes. Nie wiem, jak dalibyśmy sobie bez niej radę tamtego

roku. Gdy odprowadziliśmy matkę na miejsce wiecznego spoczynku, na mały cmentarzyk przy gaju oliwnym, tylko dzięki Francine dom nasz nie pogrążył się w beznadziejnym smutku. Odtąd ona stała się głową rodziny, choć miała zaledwie piętnaście lat. Robiła zakupy i gotowała. Zaniechała lekcji z Motylem, lecz nalegała, bym ja dalej je pobierała. Ojciec wciąż rzeźbił w kamieniu, ale jego rzeźby utraciły wdzięk, jaki miały przedtem. Nie chciał, by Francine mu pozowała. Nie chciał wspomnień.

Mijały ponure miesiące, aż dostrzegłam w sobie pewną zmianę. Miałam wtedy zaledwie dziesięć lat, ale nie byłam już dzieckiem.

W owych czasach ojciec dużo z nami rozmawiał. Wieczorami siadywaliśmy na zielonym zboczku opadającym ku morzu i gdy zapadał zmierzch, patrzyliśmy na fosforyzujący blask płynących tuż pod powierzchnią wody ławic ryb. Widok ten, niesamowity i kojący zarazem, przypominał błędne ogniki.

Ojciec opowiadał o życiu, jakie prowadził, nim przyjechał na Wyspę. Francine od dawna się tym interesowała i zebrała trochę informacji, wyciągając je to od niego, to od mamy, gdy nie dość się pilnowali. Często zastanawiałyśmy się, dlaczego tak niechętnie mówią o przeszłości. Wkrótce zrozumialiśmy. Każdy, kto mieszkał w Kamiennym Dworze, marzył, by z niego uciec i o nim zapomnieć. Kamienny Dwór był jak więzienie. Tak też opisywał go ojciec.

- To wspaniały stary dom - opowiadał - właściwie dwór. Ewellowie mieszkają w nim od czterystu lat. Pierwszy z Ewellów zbudował go jeszcze przed panowaniem królowej Elżbiety. Pomyślcie tylko!

- Musi być niezwykle solidny, skoro stoi tyle czasu - zaczęłam, ale Francine uciszyła mnie spojrzeniem, w którym



wyczytałam, iż nie powinnam przypominać ojcu, że głośno myśli.

- W tamtych czasach wiedzieli, jak budować. Domy nie były może tak wygodne, lecz opierały się i niepogodzie, i atakom nieprzyjaciół.

- Nieprzyjaciół! - wykrzyknęłam podekscytowana, ale Francine znów zgromiła mnie wzrokiem.

I wtedy powiedział:

- Ten dom to więzienie. Dla mnie przynajmniej był więzieniem.

Zapadła głęboka cisza. Ojciec cofnął się w przeszłość, do lat młodości, do czasów, kiedy jeszcze nie znał matki, kiedy nie było na świecie Francine. Nie umiałam wyobrazić sobie świata bez Francine.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Wy, dzieci, tego nie potraficie zrozumieć. Otaczała was miłość. Byliśmy biedni, to prawda. Nie zawsze żyliśmy wygodnie, ale miłości mieliśmy pod dostatkiem.

Podbiegłam do niego, rzuciłam mu się na szyję. Tulił mnie mocno w ramionach.

- Moja mała Pippa - rzekł - byłaś szczęśliwa, prawda? Nie wolno ci zapomnieć twojej piosenki! Wiąże się z nią twoje imię, Pippa:

Ślą łaskę niebiosy

Jest dobrze na Ziemi!

- Tak, tak! - wołałam.

- Siadaj, Pippa. Przeszkadzasz, a ojciec chce nam coś opowiedzieć.

Ojciec milczał przez chwilę, aż wreszcie zaczął:

- Wasz dziadek jest z acnym człowiekiem. Pamiętajcie o tym. Ale czasami z z acnymi ludźmi nie sposób wytrzymać... grzesznikom zwłaszcza.

Znów zaległa cisza, przerwana tym razem przez Francine, która poprosiła prawie szeptem:

- Opowiedz nam o dziadku... i o Kamiennym Dworze.

- Był dumny ze swojego rodu. Służyliśmy ojczyźnie jak należy. Byliśmy żołnierzami, politykami, ziemianami, ale nie artystami. Choć był jeden artysta... dawno temu. Zabito go w gospodzie, niedaleko Whitehall. Jego imię zawsze wymawiano z pogardą. „Pisanie wierszy nie jest zajęciem dla mężczyzny”, twierdził dziadek. Możecie sobie wyobrazić, jak się zachował, gdy się dowiedział, że chce zostać rzeźbiarzem.

- Powiedz nam - wyszeptała Francine. Ojciec potrząsnął głową.

- Nie mógł się z tym pogodzić. Moja przyszłość została dawno zaplanowana. Powiniennem pójść w jego ślady. Jako jedyny syn dziedzica miałem nauczyć się zarządzać posiadłością i przez resztę życia zachowywać się dokładnie tak, jak mój ojciec.

- Nie mogłeś tego zrobić - powiedziała Francine. - Nie... Nienawidziłem takiego życia. Nienawidziłem

wszystkiego, co wiązało się z Kamiennym Dworem. Nienawidziłem domu i rządów ojca, jego stosunku do nas wszystkich - do matki, mojej siostry Grace i do mnie. Uważał się za naszego pana. Żądał posłuszeństwa bez granic. Był tyranem. Aż... poznałem waszą matkę.

- Opowiedz nam o tym - poprosiła Francine.

- Przychodziła szyć sukienki dla waszej ciotki Grace - tak delikatna, krucha, tak piękna. Kiedy ją poznałem, podjąłem decyzję.

- Uciekłeś z Kamiennego Dworu! - wykrzyknęliśmy.

- Tak. Wydostałem się z więzienia na wolność - wasza matka wyzwoliła się od mozolnej pracy szycia po domach, ja zerwałem z Kamiennym Dworem. Żadne z nas ani przez chwilę nie żałowało tego kroku.

- Jakie to romantyczne... - rozmarzyła się Francine.

- Z początku było nam ciężko. W Londynie... w Paryżu... próbowaliśmy ze zmiennym powodzeniem zarobić na życie. Aż poznaliśmy w kawiarni pewnego człowieka. Miał domek na Wyspie i zaproponował, byśmy go zajęli. Przyjechaliśmy. Tu urodziła się Francine... i ty, Pippa.

- I nigdy nie żądał, byście opuścili ten dom? - spytała Francine.

- Przyjechał tutaj. Mieszkał z nami przez pewien czas. Byłyście za małe, by to pamiętać. Potem wyjechał do Paryża i dorobił się majątku. Zmarł przed paroma laty i zostawił mi dom w spadku. Jakoś wystarczało nam na życie... skromne życie, ale życie ludzi wolnych.

- Byłyśmy szczęśliwe, tatusiu - zapewniła go Francine. Objęliśmy się, lubiliśmy okazywać nasze uczucia. Francine nagle spoważniała i oświadczyła, że czas już spać.

W kilka tygodni po tej rozmowie ojciec utonął. Wypłynął łodzią na błękitną lagunę, nagle zerwała się burza i wyrzuciła łódź do góry dnem. Zastanawiałam się później, czy dołożył starań, by się uratować. Po śmierci matki życie straciło dla niego sens. Miał dwie córki, ale chyba uważał, że Francine lepiej zatroszczy się o siebie i o mnie aniżeli on. Poza tym może zgadywał, jak potoczą się nasze losy i doszedł do wniosku, że tak będzie dla nas lepiej.

Miałam złe przeczucia. A w każdym razie wiedziałam na pewno, że nic już nie będzie tak, jak przed śmiercią matki. Próbowaliśmy przywrócić dawny wesoły nastrój, Francine znakomicie radziła sobie z domem, ale nawet ona nie potrafiła udawać.

Pochowałyśmy go obok matki, niedaleko oliwnego gaju.

- Chciał tam być od chwili, gdy złożono ją do grobu - powiedziała Francine.

- Co teraz zrobimy? - spytałam.

- Mamy siebie. Jesteśmy we dwie - odrzekła prawie beztrąsko.

Nasi przyjaciele prześcigali się w świadczeniu nam uprzejmości, karmiono nas, dogadzano nam i okazywano sympatię.

- To nie potrwa długo - przewidywała Francine. - Musimy zastanowić się nad naszą przyszłością. Mogłabym oczywiście poślubić Antonia.

- Nie mogłabyś. Nie zrobisz tego.

- Lubię Motyla, ale masz rację, nie zrobię tego. Zerknęłam na nią pytająco. Rzadko się zdarzało, by nie miała pomysłów, ale tym razem tak chyba było. Patrzyła zamyślona przed siebie.

- Mogłybyśmy wyjechać - zaproponowała w końcu.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek.

Powiedziała, że zawsze jej się wydawało, że kiedyś wyjedzie. Na Wyspie czuje się jak w potrzasku, co z trudnością wytrzymuje.

- Co innego, gdy żyli rodzice. Tu był nasz dom. Teraz jest inaczej. A poza tym co będziemy tutaj robiły?

Problem rozwiązał list zaadresowany do Francine. Na kopercie widniał napis „Panna Ewell”.

- Ja jestem panną Ewell - wyjaśniła Francine. - Ty jesteś panna Philippa Ewell.

Podeksytowana otworzyła list.

- To list od pełnomocnika sir Matthew Ewella, naszego dziadka. Sir Matthew życzy sobie, abyśmy niezwłocznie wróciły do Anglii. Naszym domem jest teraz Kamienny Dwór.

Wpatrywałam się w nią osłupiała, jej oczy błyszczały z emocji.

- Och, Pippa - westchnęła - idziemy do więzienia. - Byłyśmy podniecone przygotowaniem do wyjazdu, dzięki

czemu nie rozmyślałyśmy o stracie rodziców, jeszcze nie w pełni zdając sobie sprawę, jak wielka była to strata. Musiałyśmy się spakować, sprzedać dom i sprzęty, czym zajął się Antonio.

- To dla was najlepsze wyjście - pocieszał. - Będziecie żyły jak damy. Zawsze wiedziałem, że signor Ewell to wielki pan.

Przyjechał po nas pełnomocnik dziadka. Miał na sobie czarny surdut i błyszczący cylinder. Wyglądał całkiem „nie z tej ziemi” i potraktowano go na Wyspie z wielkim szacunkiem. Z początku czuł się przy nas nieco skrepowany, ale Francine wkrótce sobie z tym poradziła. Od śmierci ojca zachowywała się bardzo dystygownie - ona, panna Ewell, o wiele ważniejsza niż panna Philippa Ewell. Pan Counsell, pełnomocnik dziadka, nie ukrywał, że towarzyszenie w podróży dwóm angielskim panienkom zalicza do zajęć nietypowych.

Pożegnałyśmy ze smutkiem przyjaciół i obiecałyśmy, że wrócimy. Ja usiłowałam zaprosić ich wszystkich do Anglii, Francine w porę rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Wyobraź ich sobie w tym więzieniu - skarciła mnie.
- I tak by nie przyjechali - stwierdziłam.
- Nie wiadomo - odparła.

Podróż była długa. Parokrotnie udawałyśmy się z rodzicami na kontynent, ale pociągiem jechałam po raz pierwszy i uznałam to doświadczenie za pasjonujące. Myślę, że moja siostra uważała podobnie. Ludzie przypatrywali się Francine - nic nowego. Oczarowała nawet pana Counsella, który traktował ją raczej jak piękną młodą damę, niż jak dziecko.

Przebyliśmy kanał La Manche. Ku przerażeniu pana Counsella spóźniliśmy się na pociąg, który miał nas zawieźć do Preston Carstairs, najbliższej stacji od Kamiennego Dworu,

i musieliśmy czekać kilka godzin na następny. Nasz opiekun zabrał nas do gospody, gdzie zjadłyśmy po rostbefie z ziemniakami w mundurkach. Był to dla nas posiłek niecodzienny, a smakował wybornie. Gdy jedliśmy, podeszła żona właściciela gospody i zabawiła nas rozmową. Usłyszawszy, że musimy czekać, zaproponowała:

- Zamiast tu siedzieć i czekać, lepiej by państwo rozejrzeli się po okolicy. Namawiałabym na przejażdżkę dwukółką. Nasz Jim znalazłby wolną godzinkę...

Pan Counsell uznał, że to niezły pomysł i w ten sposób obejrzałyśmy kościół w Birley. Gdy przejeżdżaliśmy obok niego, Francine aż krzyknęła z zachwytu. Było w tej budowli coś intrygującego - stary normański kościół z szarego kamienia, fascynujący, jak powiedziała Francine, choćby tylko z tego powodu, że stoi tu od wieków. Pan Counsell uznał, że nie widzi przeszkód, żebyśmy zwiedzili wnętrze kościoła. Znał się dobrze na architekturze. Chętnie i nie bez dumy objaśniał nam rozmaite szczegóły. My z Francine patrzyłyśmy zachwycone. Nie bardzo nas wprawdzie interesowały kolumny i półkoliste łuki podtrzymujące wysokie mury z rzędem okien w nawie głównej, przerastające wysokością nawę boczną, nasza uwaga skupiała się raczej na osobliwym zapachu wilgoci i pasty do czyszczenia mebli oraz na przepięknych kolorach witraży, rzucających wokół niebieskie i czerwone cienie. Studiowałyśmy listę pastorów, którzy sprawowali tu swój urząd od dwunastego wieku.

- Gdy będę wychodzić za mąż, wezmę ślub w tym kościele - oświadczyła niespodziewanie Francine.

Siadałyśmy w ławkach, klękałyśmy na klęcznikach, stałyśmy pełne skupienia przed ołtarzem.

- Przepiękny - zachwycała się Francine.

Pan Counsell przypomniał nam, że czas płynie, wróciliśmy więc do gospody i udaliśmy się na stację, skąd

pociąg zabrał nas do Preston Carstairs. Na miejscu czekał powóz. Widniał na nim wspaniały herb. Francine trąciła mnie łokciem.

- Herb Ewellów - szepnęła. - Nasz.

Uczucie ulgi odmalowało się na niezbyt urodziwym obliczu pana Counsella. Bezpiecznie dowiózł owieczki na miejsce.

Francine wyglądała na zachwyconą, mnie natomiast zaczął ogarniać strach. Można żartować z więzienia, gdy się jest z dala od niego, inaczej się sprawy mają na godzinę przed zamknięciem.

Woźnica miał surową twarz.

- Czy to te młode damy, panie Counsell? - spytał.

- Tak - odparł pan Counsell.

Przyglądał się nam uważnie, oczywiście, szczególnie uważnie Francine. Miała na sobie prosty szary płaszczyk po matce, a na głowie słomkowy kapelusz z margerytką pośrodku i wstążką związaną pod szyją. Ubrana skromnie, wyglądała jak zawsze czarująco. Rzucił okiem na mnie, po czym jego spojrzenie znów powędrowało ku mojej siostrze.

- Proszę wsiadać, moje panie - zachęcił.

Tętent końskich kopyt niósł się po gościńcu, gdy pędziliśmy wzdłuż zielonych żywopłotów, wśród szpalerów z liści aż do bramy z kutego żelaza. Brama otworzyła się natychmiast, odźwierny zasalutował i powóz potoczył się aleją, a następnie zatrzymał przed trawnikiem, gdzie wysiedliśmy.

Stałyśmy z siostrą tuż obok siebie, czułam, że nawet Francine się boi. Stałyśmy przed domem, który ojciec z tak wielkim żalem nazywał więzieniem. Był to ogromny dwór z szarego kamienia z wieżyczkami strzelniczymi po bokach. Patrzyłam na zwieńczone blankami mury i przestronne sklepione przejścia, za którymi widać było dziedziniec.

Francine ścisnęła moją dłoń i trzymała mnie mocno, jakby z dotyku chciała czerpać odwagę. Poszliśmy po trawie ku wielkim drzwiom, które rozwarły się przed nami na oścież. Stała w nich kobieta w wykrochmalonym czepku. Powóz wjechał na dziedziniec, a kobieta stojąca w drzwiach nie spuszczała z nas wzroku.

- Pan chce natychmiast zobaczyć panienki, panie Counsell - obwieściła.

- Chodźcie - uśmiechnął się pan Counsell, dodając nam otuchy.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy weszłam do dworu. Drżałam z podniecenia, na które składały się lęk i ciekawość. Rodzinny dom! - pomyślałam. I zaraz przypomniało mi się: „więzienie”.

Grube kamienne mury, chłód i przytłaczające rozmiary holu o sklepionym suficie, kamienna podłoga, wisząca na ścianach broń, którą prawdopodobnie posługiwali się zmarli przed wiekami Ewellowie. Nasze kroki odbijały się głośnym echem, starałam się więc stąpać jak najciszej.

- Pan prosi od razu do siebie - powtórzyła kobieta.

Była to osoba zażywna o siwawych włosach, gładko zaczesanych i schowanych pod białym czepkiem. Miała małe oczka i zaciśnięte usta. Pasowała do tego domu.

- Proszę tędy - wskazała drogę.

Wspięliśmy się po ogromnych schodach. Francine wciąż trzymała mnie za rękę. Minęliśmy galerię, a potem zatrzymaliśmy się pod drzwiami. Kobieta zapukała, dał się słyszeć głos:

- Wejść.

Weszliśmy. Ta scena zapisała się w mojej pamięci na zawsze. Nie docierało do mnie, że znajduję się w ciemnym pokoju z ciężkimi draperiami i wielkimi ciemnymi meblami - najważniejszy w tym pomieszczeniu był mój dziadek. Siedział



w wielkim fotelu jak na tronie. Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami wyglądał na biblijnego proroka. Był potężnym mężczyzną. Najbardziej jednak rzucała się w oczy jego długa, bujna broda, zakrywająca dolną część twarzy. Obok przycupnęła bezbarwna kobieta w średnim wieku. Domyśliłam się, że to ciotka Grace. Mała, skromna i nieudolna. Ale może to tylko wrażenie, kontrast z dominującą postacią dziadka.

- Przywiózł więc pan moje wnuczki, panie Counsell - zwrócił się do naszego opiekuna dziadek. - Podejdźcie bliżej. Francine ruszyła do przodu, pociągając mnie za sobą.

- Hm - mruknął dziadek, lustrując nas wzrokiem. Odniosłam wrażenie, że stara się wynaleźć w nas jakieś niedociągnięcia. Zauważyłam też od razu, że był nieczuły na wdzięk Francine.

Myślałam, że nas ucałuje, albo przynajmniej poda nam rękę, on jednak przyglądał się nam tylko z niechęcią.

- Jestem waszym dziadkiem - odezwał się w końcu - a to jest wasz dom. Mam nadzieję, że okażecie się warte tego domostwa. Niewątpliwie będziecie musiały nauczyć się wielu rzeczy. Należycie teraz do cywilizowanej społeczności. Radzę wam o tym pamiętać.

- Zawsze należałyśmy do cywilizowanej społeczności - przerwała mu Francine.

Zapadła cisza. Kobieta siedząca obok dziadka aż się wzdrygnęła.

- Nie zgodziłbym się z tym - zaproponował dziadek.

- To błąd - ciągnęła nie zrażona Francine.

Choć zdenerwowana, wyczuła w jego uwagach lekceważący stosunek do naszego ojca i nie zamierzała tego tolerować. Naruszyła wszakże pierwszą i najważniejszą zasadę panującą w tym domu, tę mianowicie, że dziadek ma zawsze rację. Jego samego tak to zaskoczyło, że zaniemówił.

- W istocie musisz się nauczyć wielu rzeczy. Spodziewałem się, że możemy mieć do czynienia z brakiem dobrych manier. Przygotowaliśmy się na to. Teraz podziękujmy Stwórcy za szczęśliwą podróż i miejmy nadzieję, że ci z nas, którym brakuje pokory i wdzięczności, zostaną obdarzeni tymi cnotami, by mogli podążać ścieżką prawości, która jest jedyną możliwą w tym domu drogą.

Trwałyśmy w oszołomieniu. Francine wciąż jeszcze czuła oburzenie, ja coraz bardziej się bałam.

Uklękłyśmy na zimnej posadzce ciemnego pokoju - zmęczone, głodne, zdezorientowane i zaleknione - dziękowałyśmy Bogu, że przywiódł nas do więzienia i błagałyśmy go o pokorę i wdzięczność za ten niegościnnie dach nad głową, których to uczuć oczekiwał od nas dziadek. Ciotka Grace zaprowadziła nas do naszego pokoju. Nieszczęsna ciotka Grace! Ilekroć o niej mówiłyśmy albo myślałyśmy, zawsze nasuwało się owo określenie: nieszczęsna. Wydawało się, że życie dawno już z niej uszło, tak okropnie była chuda, a brązowy strój podkreślał jeszcze ziemisty odcień cery. Włosy, może nawet piękne, nosiła zaczesane do tyłu i związane w ciężki węzeł u nasady szyi. W oczach miała jednak coś miłego. Brązowe, ocienione gęstymi ciemnymi rzęsami, przypominały trochę oczy Francine, choć miały inny kolor; tyle że oczy mojej siostry lśniły radością, zaś oczy ciotki Grace były matowe, pozbawione nadziei. „Pozbawiona nadziei”, te dwa słowa najlepiej opisywały ją całą.

Podążałyśmy za ciotką kolejnymi schodami, szła nie odzywając się ani słowem. Otworzyła drzwi, przestąpiła próg i stanęła z boku, by dać nam drogę. Weszłyśmy do środka. Pokój okazał się nawet przyjemny, ale ciemne zasłony zasunięte do połowy okna czyniły go ponurym.

- Zamieszkacie tu we dwie - poinformowała nas ciotka Grace. - Wasz dziadek uznał, że nie ma powodu, byście zajmowały dwa osobne pokoje.

Poczułam gwałtowny przypływ radości. Nie uśmiechałoby mi się sypiać samotnie w tym niesamowitym domostwie. W pokoju stały dwa łóżka.

- Możecie wybrać, gdzie która chce spać - dodała ciotka, jakby pozwalała nam decydować o losach świata.

- Dziękujemy, ciociu Grace - odezwała się Francine.

- Teraz pewnie chcecie się umyć i przebrać po podróży. Kolację podadzą za godzinę. Dziadek nie toleruje żadnych spóźnień.

- Tak myślałam - wyrwało się Francine nieco histerycznym tonem. - Ciemno. Nic nie widzę - podeszła do okien i odsunęła zasłony. - Teraz lepiej. Jaki piękny widok!

Ja też podeszłam do okna. Ciotka Grace stanęła przy nas.

- To Rantown Forest - oznajmiła.

- Wygląda kusząco. Jak wszystkie lasy. A jak daleko stąd jest do morza, ciociu Grace?

- Około dziesięciu mil.

Francine odwróciła się do niej i powiedziała:

- Kocham morze. Tam gdzie mieszkaliśmy, morze otaczało nas ze wszystkich stron. Tak łatwo je pokochać.

- Wyobrażam sobie. Poproszę, by przyniesiono wam ciepłą wodę.

- Ciociu Grace, jesteś siostrą naszego ojca, a dotąd o nim nie wspomniałaś. Nie chciałabyś dowiedzieć się czegoś o swoim bracie?

Zmarszczyła twarz, jakby zamierzała się rozplakać.

- Nie wolno nam go wspominać - odrzekła.

- Własnego brata...

- Zrobił coś... niewybaczalnego. Wasz dziadek...

- On tu, zdaje się, ustanawia prawo - wtrąciła Francine.

- Ja... Nie rozumiem, o czym mówisz - ciotka Grace próbowała być surowa. - Jesteś młoda i wiele musisz się uczyć. Dam ci dobrą radę. Nigdy... nigdy nie zwracaj się do dziadka tak jak dziś. Nie wolno ci mówić, że się myli. On...

- ...ma zawsze rację - dokończyła za nią Francine. - Wszechpotężny i wszechwiedzący... jak Bóg.

Ciotka Grace gwałtownie dotknęła ramienia Francine.

- Musisz być ostrożna - wyszeptała prawie błagalnie.

- Ciociu Grace - wtrąciłam się, bo wydawało mi się, że dostrzegłam coś, co mogło ujść uwagi pełnej oburzenia Francine. - A czy ty jesteś zadowolona z naszego przyjazdu?

Jej twarz znowu się ściągnęła, oczy zasnuła mroczna chmura. Kiwnęła potakująco głową i powtórzyła:

- Zaraz przyślę wodę.

Wyszła. Francine i ja stałyśmy spoglądając po sobie.

- Nienawidzę go - wybuchnęła Francine. - A ciotka? Czym ona jest? Drewnianą kukielką?

- Dobrze, że jesteśmy razem - pocieszałam ją. - I dobrze, że odsłoniłaś okna.

- Przysięgnijmy, że nigdy nie zaciągniemy tych okropnych zasłon. Myślę, że to on kazał zasłonić okna, żeby słońce nie mogło zaglądać do wnętrza. On pewnie nie znosi słońca. Wiesz co, Pippa, wszyscy oni są jacyś tacy... jak umarli. I ta kobieta, która nam otworzyła drzwi, i woźnica... Może my też jesteśmy nieżywe. Może miałyśmy wypadek w pociągu i znajdujemy się już na tamtym świecie. Może musimy tu poczekać, zanim postanowią, czy pójdziemy do nieba czy do piekła?

Roześmiałam się. Dobrze jest się śmiać, wkrótce roześmiała się także Francine.

- Kukielki - chichotałam. - Oni naprawdę wyglądają jak kukielki. Ale wiesz, kukielkami trzeba kierować.

- Kto kieruje kukielkami? No, pomyśl tylko!

- My nie będziemy jego kukielkami, Francine.

- O, nie! Nigdy! Nigdy!

\* \* \*

Długo leżałyśmy w łóżkach w milczeniu. Dochodziłam do równowagi po tym dziwnym wieczorze, Francine pewnie też. Umyłyśmy się i ubrałyśmy w kolorowe bawełniane sukienki, które zwykle nosiłyśmy na Wyspie. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że są niestosowne, póki nie znalazłyśmy się w obecności dziadka i ciotki. Pełne grozy spojrzenie ciotki Grace stanowiło dla mnie dostateczne ostrzeżenie. Widziałam utkwione w nas lodowate spojrzenie dziadka i modliłam się, by nie sprowokował Francine. Obawiałam się, że mogą nas stąd wyrzucić i choć nie pałam miłością ani do Kamiennego Dworu, ani do moich krewnych, wiedziałam, że czekałby nas wtedy jeszcze gorszy los niż tutaj.

Zaprowadzono nas do dużej jadalni, która mogłaby być jasna i kolorowa, ale wystarczyła obecność dziadka, by nabrała ponurego wyglądu. Jedna jedyna świeca oświetlała długi, rzeźbiony stół. Siedzieliśmy daleko od siebie - dziadek u jednego końca stołu, ciotka u drugiego, my naprzeciw siebie.

Już na początku popełniłyśmy błąd, zajmując miejsca przy stole, podczas gdy w Kamiennym Dworze panował zwyczaj odmawiania na stojąco modlitw przed jedzeniem.

- Nie zamierzacie podziękować Stwórcy za pożywienie? - spytał dziadek karcąco.

Francine zauważyła, że jeszcze nie mamy za co dziękować.

- Na równe nogi, dzikuski! - huknął.

Francine spojrzała na mnie i już myślałam, że się sprzeciwi, ale nie zrobiła tego. Modlitwy trwały w nieskończoność. Dziadek przeproszał Boga za naszą niewdzięczność i obiecywał, że to się nigdy nie powtórzy.

Dziękował w naszym imieniu monotonnym głosem, podczas gdy ja umierałam z głodu, bo nie jadłyśmy od wielu godzin.

Skończył wreszcie i usiedliśmy przy stole. Przez cały czas opowiadał o wydarzeniach kościelnych, o mieszkańcach posiadłości i o zmianach, które trzeba będzie wprowadzić w domu w związku z naszym przyjazdem, dając nam do zrozumienia, jaką jesteśmy zawadą. Ciotka Grace bąkała w stosownych momentach „tak” albo „nie” i przez cały czas trwania monologu dziadka na jej twarzy malował się wyraz natchnionej uwagi.

- Widać, że nie otrzymałyście żadnego wykształcenia.

Trzeba bez zwłoki znaleźć guwernantkę. Grace, tobie powierzam tę sprawę.

- Tak, ojcze.

- Nie mogę dopuścić, by mówiono o moich wnuczkach, że są nieukami.

- Na Wyspie miałyśmy nauczyciela - powiedziała Francine. - Bardzo dobrego. Obie znamy biegle włoski, trochę francuski i całkiem nieźle niemiecki.

- Tutaj mówi się po angielsku - przerwał jej dziadek. - Z pewnością trzeba was też nauczyć dobrych manier i zachowania.

- Nasi rodzice uczyli nas tego.

Ciotka Grace wyglądała na tak przerażoną, że rzuciłam Francine błagalne spojrzenie, które zrozumiała i jakby się zawahała.

- Grace - zwrócił się do niej dziadek - zajmiesz się bratanicami, póki nie najmiemy guwernantki. Wytłumacz im, że wśród dobrze ułożonych ludzi, do jakich się zaliczamy, dzieci zabierają głos tylko wtedy, gdy się je o to poprosi. Francine sprawiała wrażenie uległej, ale później zwierzyła mi się, że była nazbyt głodna, by spierać się z tym obrzydliwym staruchem, że nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o

jedzeniu. Poza tym przyszła jej do głowy myśl, że on może posłać krnąbrne dzieci do łóżek bez kolacji, wołała więc być ostrożna.

Owej pierwszej nocy najpierw leżałyśmy w ciszy, a potem przypominałyśmy sobie wydarzenia dnia i wszystkie szczegóły spotkania z dziadkiem.

- On jest najohydniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam - oświadczyła Francine. - Znienawidziłam go, ledwie go zobaczyłam. Rozumiem teraz, dlaczego tata nazywał ten dom więzieniem i z niego uciekł. My też musimy uciec stąd w porę, Pippa.

Później mówiła o domu:

- Ile ciekawych rzeczy można tu odkryć! Pomyśl tylko, setki lat mieszkali tu nasi przodkowie. To powód do dumy, Pippa. Musimy znaleźć jakiś sposób, by pokazać temu starcowi, że nie jest Bogiem, a gdyby nim był, to ja stałabym się ateistką. Nie obchodzimy go ani trochę. On po prostu wypełnia swój obowiązek. Jeśli czegoś nienawidzę bardziej niż dziadka, to tego, że jestem dla kogoś ciężarem.

- A więc dwie rzeczy, których najbardziej nienawidzisz, znalazły się pod jednym dachem.

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Zasnęłam wierząc, że nie jest tak źle, póki jesteśmy razem.

Następnego dnia zaczęłyśmy dokonywać rozmaitych odkryć. Obie jeszcze spałyśmy po długich nocnych rozmowach, gdy weszła pokojówka z ciepłą wodą. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłyśmy Daisy.

Stała między łózkami i śmiała się. Usiadłam przestraszona dokładnie w tym samym momencie co Francine. Powoli spłynęła na nas świadomość miejsca, w którym się znajdujemy, ale większe wrażenie zrobił fakt, że ktoś obcy stoi i po prostu się śmieje.

- Dwa śpiące łebki! - zaśmiewała się.

- Kim jesteś? - spytała Francine.
  - Jestem Daisy. Pokojówka. Przyniosłam ciepłą wodę.
  - Dziękujemy - powiedziała Francine i dodała z nutą zdziwienia w głosie - zdaje się, że całkiem ci wesoło.
  - A pewnie, proszę panienki. Dlaczego miałyby być inaczej... Nawet w tym domu, gdzie śmiech uważany jest za pierwszy stopień do piekła.
  - Daisy - Francine odgarnęła jasne loki z oczu - jak długo tu pracujesz?
  - Sześć miesięcy, a zdaje się, że dwadzieścia. Odejdę, jak tylko mi się co innego nadarzy. Ależ panienka śliczna.
  - Dziękuję - uśmiechnęła się Francine.
  - Tutaj to się nie spodoba... nie w tym domu. O mnie się mówi, że tylko patrzeć jak wylecę.
  - Naprawdę? - zdziwiła się Francine.
- Daisy wymownie zmrużyła oko, roześmiałyśmy się.
- Coś wam powiem. Jest ktoś, kto się cieszy, że panienki przyjechały. Trochę ożyje to stare domisko. I jeszcze wam powiem, lepiej wpaść na starym cmentarzu niż w tym domu. - Zaśmiała się, jakby powiedziała coś bardzo dowcipnego. - Słowo daję, że tam weselej... jeśli się nie idzie na pogrzeb ukochanego. Rozmowa przybrała nieco dziwny charakter i Daisy sama to zauważyła, bo zakończyła ją gwałtownie stwierdzeniem:
  - No, zwawo! Pan nie lubi spóźnialskich, a śniadanie o ósmej.
- Wychodząc odwróciła się w drzwiach i puściła do nas oko.
- Podoba mi się - orzekła Francine. - Daisy! Aż dziw, że ktokolwiek w tym domu może nam się podobać.
  - To dobry znak - stwierdziłam.
- Francine roześmiała się i zaczęła mnie poganiać:



- Dalej, ubieraj się. Musimy iść na śniadanie. Pamiętaj, że nasz świątobliwy dziadek nie lubi czekać. Co więcej, nie toleruje spóźnialskich! Ciekawe, co przyniesie dzisiejszy dzień.

Francine znów stała się sobą, z czego bardzo się ucieszyłam.

Śniadanie przebiegło dokładnie tak, jak wczorajszy posiłek - inne były tylko potrawy. Dziadek widać lubił jeść, bo jedzenia nie brakowało. Skinął nam na powitanie głową i ponieważ obyło się bez żadnych zastrzeżeń, zrozumiałam, że nie spóźniłyśmy się ani o ułamek sekundy. Odmówiliśmy przydługawą modlitwę i pozwolono nam wreszcie nałożyć sobie jedzenia przygotowanego na stojącym z boku pomocniku. Oczywiście, najpierw podeszli do niego dziadek i ciotka. Skwierczący boczek, przysmażane cynadry, jajka przyrządzone na różny sposób. Jakże inaczej wyglądało to niż na Wyspie, gdzie jadaliśmy owoce i biszkopty, czasem każde z osobna, czasem wszyscy razem, częstując się, kiedy mieliśmy ochotę. Tutaj życie toczyło się wedle ustalonych reguł. Dziadek zajadał z wielkim apetytem, wyrzucając z siebie jednocześnie kolejne rozkazy. Ciotka Grace miała natychmiast skontaktować się z Jenny Brakes i wezwać ją do Kamiennego Dworu, żeby uszyła stosowne stroje dla jego wnuczek, które na swojej barbarzyńskiej wyspie chodziły ubrane jak tubylcy i nie można ich pokazać sąsiadom, póki nie zostaną przyzwoicie odziane.

Dziadek skończył jedzenie, ceremonialnie wytarł ręce w serwetkę, po czym cisnął ją na stół i podniósł się niezgrabnie. Był to znak, że my także mamy wstać od stołu. Nikt nie miał prawa z tym zwlekać, skoro on zdecydował, że posiłek skończony.

- Ale najpierw - dorzucił już stojąc - powinny zostać przedstawione babce.

Wymieniłyśmy spojrzenia, zaskoczone. Zapomniałyśmy, że mamy babkę. Nic o niej nie wspomiano, więc przypuszczałam, że nie żyje.

- Chodźcie ze mną - poleciła ciotka Grace. Wychodząc usłyszałyśmy, jak dziadek strofował lokaja, że bekon nie był dość chrupiący dzisiejszego ranka.

Nie sztuka zabłądzić w Kamiennym Dworze! Schody pojawiały się w najmniej oczekiwanych miejscach, było tu też mnóstwo długich korytarzy i odchodzących od nich krótszych korytarzyków. Ciotka Grace poruszała się po domu z łatwością właściwą osobie znającej wszystkie zakamarki i tajemne przejścia, aż w końcu zatrzymała się przed jakimiś drzwiami. Zapukała, drzwi otworzyła kobieta w białym czepku i czarnej bombazynowej sukni.

- Pani Warden, przyprowadziłam moje bratanice do babci.

- Już na nie czeka.

Kobieta skłoniła głowę. Miała pogodną twarz. Zwróciłam na to uwagę, bo w naszym nowym domu bardzo brakowało pogody.

Ciotka Grace wprowadziła nas do środka. Na fotelu, przy łożu z baldachimem siedziała mała staruszka w czepku z falbankami, w sukni zdobionej wstążkami. Sprawiała wrażenie niezwykle kruchej. Ciotka Grace podeszła do niej i pocałowała ją, a ja od razu poczułam, że w tym pokoju panuje zupełnie inna atmosfera.

- Są tutaj? - spytała starsza pani.

- Tak, mamó. Francine jest starsza. Ma szesnaście lat. Philippa jest o pięć lat młodsza.

- Podprowadź je do mnie.

Najpierw popchnięta została do przodu Francine. Babka uniosła dłonie i dotknęła jej twarzy.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedziała. - Cieszę się, że tu jesteście.

- A to Philippa.

Jej palce dotknęły mojej twarzy. A więc jest niewidoma.

- Podejdźcie, moje drogie - zachęcała. - Usiądźcie obok mnie, jedna z jednej, druga z drugiej strony. Agnes, masz stołeczki dla dziewczynek?

Pani Warden przyniosła dwa stołki. Siadłyśmy. Palce babki spoczęły na naszych włosach.

- A więc jesteście córkami Edwarda. Opowiedzcie mi o nim. Smutny to był dzień, gdy nas opuścił, ale rozumiałam go. Mam nadzieję, że o tym wiedział.

Francine otrząsnęła się z wielkiego zdziwienia i zaczęła opowiadać o ojcu i o tym, jak szczęśliwie żyliśmy na Wyspie. Ja też dodawałam coś od czasu do czasu. Chwile spędzone z babką tak bardzo różniły się od wszystkiego, co zastałyśmy w tym domu.

Ciotka Grace zostawiła nas same z babką - miała przecież tyle spraw do załatwienia - chociażby krawcową i guwernantkę.

Babka nie kryła zadowolenia, że ma nas blisko siebie. Chciała, byśmy opowiadały o ojcu. Gdy minęło zaskoczenie spowodowane jej ślepotą, poczułyśmy się przy niej, jak w domu.

- Czy często możemy odwiedzać cię, babciu? - spytałam.

- Tak często, jak to tylko możliwe - odrzekła. - Mam nadzieję, że będziecie chciały do mnie przychodzić.

- Bardzo będziemy chciały, babciu - zapewniła ją Francine. - Jesteś pierwszą osobą w tym domu, która ucieszyła się z naszego przyjazdu.

- Och, wszyscy się ucieszyli. Wasz dziadek ani przez chwilę nie wątpił, że wasz dom jest tutaj.

- I miał rację, bo nasz dziadek zawsze ma rację - odparła Francine z kpina w głosie. - Ale my nie chcemy być tutaj

dlatego, że on ma rację, tylko dlatego, że on chce, żebyśmy tu były, i dlatego, że to jest nasz dom.

- Chcemy was tu mieć, moje dziecko, i to jest wasz dom. Mój dom jest waszym domem.

Francine ujęła szczupłą białą dłoń i ucałowała ją.

- Sprawiaś, babciu, że wszystko teraz wydaje nam się inne - powiedziała.

Pani Warden delikatnie dała nam do zrozumienia, że lady Ewell jest już zmęczona.

- Bardzo łatwo się męczy, a to było dla niej silne przeżycie. Ale przyjdziecie znowu, musicie często ją odwiedzać.

- Tak, tak - wykrzyknęła Francine.

Pocałowałyśmy miękkie policzki babci i zostałyśmy odprowadzone do drzwi przez Agnes Warden.

Stałyśmy na korytarzu, nie orientując się, w którą iść stronę. Oczy Francine lśniły.

- Teraz możemy pomyszkować - zawołała wesoło. - Nie wiemy, którądy iść, prawda?

Schwyciłyśmy się za ręce i pobiegłyśmy korytarzem.

- Jesteśmy bardzo wysoko - rzekła Francine. - Na samej górze.

Na końcu korytarza znajdowało się okno.

- Jak pięknie - zachwycała się Francine. - Zupełnie inaczej niż na Wyspie... te wszystkie drzewa, las, ta zieleń. Gdyby nasz dziadek był taki jak babcia, mogłabym nawet polubić ten dom.

Stałam obok siostry i cieszyłam się, że jest przy mnie. Póki byłyśmy razem, nic złego nie mogło się nam przytrafić.

- Patrz, tam jest dom. Wygląda interesująco. - Bardzo stary, jak mi się zdaje.

- Z epoki Tudorów - stwierdziła Francine ze znawstwem.  
- Te czerwone cegły... i łączone ołowiem szybki. Podoba mi się. Musimy tam pójść i obejrzeć go z bliska.

- Ciekawa jestem, jaka okaże się ta guwernantka.

- Niech ją najpierw wyszukają. Chodźmy. Zeszliśmy wąskimi kręconymi schodkami i znalazłyśmy się w długiej sali, na końcu której stał kołowrotek.

- Oto początek wyprawy odkrywczej - rzekła Francine. - Przeszukamy wszystkie zakątki i kryjówki, odsłonimy mroczne tajemnice naszego rodzinnego domu.

- Skąd wiesz, że kryją się tu jakieś mroczne tajemnice?

- Zawsze są jakieś tajemnice. Poza tym wyczuwam je tutaj. Jesteśmy zapewne w solarium. Skoro okna są ze wszystkich stron, pomieszczenie musi być nasłonecznione przez cały dzień... Pięknie tu. To miejsce na przyjęcia, bale, spotkania. W każdym razie takim się stanie, gdy ja odziedziczę dwór.

- Ty odziedziczysz? A możesz?

- Z pewnością mam do tego prawo. Ojciec był jedynym synem. Ciotka Grace prawdopodobnie nie będzie już miała potomstwa. Być może ona jest pierwsza w kolejce... prawowita spadkobierczyni. Ja mogę być „ewentualną” dziedziczką. Zależy, jak to tam ustalili.

Roześmiałam się głośno, Francine także.

Poszliśmy następnym korytarzem, a potem do góry schodami podobnymi do tych, jakimi niedawno schodziłyśmy. Trafiliśmy do pasażu, gdzie znajdowały się sypialnie, a w nich łoża z baldachimami, ciężkie kotary i ciemne meble. Zeszliśmy znowu w dół. Znajdowałyśmy się w galerii.

- Portrety rodzinne - rozmarzyła się Francine. - A tu... portret króla Jakuba I. Wszyscy pozostali panowie wyglądają podobnie jak on. Założę się, że nasz ród był lojalny wobec

monarchów. Ciekawe, czy tata tu jest... my też powinniśmy tu się znaleźć, ty i ja.

Usłyszałyśmy kroki - wpadła roztrzęsiona ciotka Grace.

- Tu jesteście! Poszłam do babki, ale was tam nie zastałam. Spóźnicie się na nabożeństwo.

- Na nabożeństwo?

- Mamy trzy minuty, jeśli nie zdamy, dziadek będzie bardzo niezadowolony.

Biedna Grace. Wszystko spadnie na nią. Ruszyłyśmy biegiem za ciotką.

Do kaplicy prowadziły schody z głównego holu. Była niewielka, jak zwykle kaplice mające pomieścić jedynie członków rodziny i służbę. Wszyscy już się zebrali, gdy zziąbane wpadłyśmy do środka. Zwróciły się ku nam zaciekawione spojrzenia służących, a mnie zaskoczyło, że służba jest tu tak liczna. Na samym końcu siedziała Daisy, pokojówka, która przyniosła nam rano wodę. Spojrzałyśmy na siebie i Daisy znów puściła do nas oko. Reszta zachowywała się bardzo skromnie i poważnie. Siedzieli ze spuszczoneym wzrokiem, gdy popychano nas w stronę pierwszego rzędu.

Dziadek już tam był, ciotka wsunęła się do ławki i zajęła miejsce obok niego, następnie weszła Francine, a za nią ja. Nabożeństwo odprawiał młody, najwyżej dwudziestopięcioletni mężczyzna. Wysoki i bardzo szczupły, o niespokojnych oczach i włosach, które zdawały się prawie czarne wobec bladości jego cery.

Śpiewaliśmy hymny pochwalne, większość modlitw odmawialiśmy klęcząc, a czas dłużył się niemiłosiernie. Później młody mężczyzna wygłosił kazanie. Przypomniwał obecnym o trosce Wszechmogącego, który sprowadzając nas do Kamienego Dworu zapewnił nam pożywienie i dach nad głową oraz wszystko to, co jest potrzebne nie tylko do fizycznej, ale także duchowej wygody.

Dziadek słuchał, siedząc z założonymi rękami i od czasu do czasu potakiwał głową. Później znów śpiewaliśmy i modliliśmy się. Nabożeństwo trwało zaledwie pół godziny, a mnie zdawało się, że straszliwie długo. Służący wyszli, my zostałyśmy z dziadkiem, ciotką i owym młodym człowiekiem - pastorem, jak przypuszczałam.

Dziadek może nie tyle się uśmiechał, ile z zadowoleniem popatrywał na młodzieńca.

- Arturze - rzekł - chcę ci przedstawić twoje kuzynki.

- Kuzynki! - w głosie Francine zabrzmiało ogromne zdziwienie, a i moje nie było mniejsze.

- Oto wielebny Artur Ewell - oznajmił dziadek. - Wasz kuzyn jest osobą duchowną. Nie poznałyście go wczorajszego wieczoru, ponieważ pojechał z duchową pociechą do chorej sąsiadki. Cieszę się, Arturze, że zdążyłeś na nabożeństwo.

Wielebny Artur pochylił głowę z pokorą i oznajmił, że modlitwy wielce pomogły pani Glencorn.

- Arturze to twoja kuzynka, Francine.

Artur skłonił głowę.

- Miło mi kuzyna poznać - uśmiechnęła się Francine.

- A to - ciągnął dziadek - młodsza, Philippa.

Ciemne oczy kuzyna Artura prześliznęły się po mnie pobieżnie, przyzwyczaiałam się, że ludzie więcej uwagi poświęcali osobie Francine.

- Wasze życie duchowe powierzyłem w dobre ręce - ciągnął dziadek. - I proszę, żebyście pamiętały, że spotykamy się w kaplicy codziennie o jedenastej. Wszyscy domownicy biorą udział w nabożeństwie.

Francine nie mogła powstrzymać się od komentarza:

- Widzę, że naszemu życiu duchowemu poświęcać się tu będzie wiele uwagi.

- Z całą pewnością. Arturze, życzysz sobie pewnie zamienić kilka słów na osobności ze swoimi kuzynkami.

Chciałbyś, sądzę, dowiedzieć się, jakie wykształcenie religijne otrzymały. Obawiam się, że możesz doznać szoku.

Artur uznał pomysł za znakomity.

Dziadek i ciotka wyszli z kaplicy, zostawiając nas na łasce kuzyna.

Poprosił, żebyśmy usiadły, i zaczął nam zadawać pytania.

Zaskoczyło go, że na Wyspie nie chodziłyśmy do kościoła; sądził, że to z racji, iż tubylcy, choć byli katolikami, ale jak to tubylcy czcili idole.

- Bardzo wiele ludzi wyznaje kult idoli - stwierdziła Francine. - Niekoniecznie są to posągi z kamienia, mam raczej na myśli zbiory zasad i konwenansów, które przecież często są przeciwstawne miłości i uprzejmości.

Artur przyglądał się Francine i choć na jego twarzy malował się wyraz dezaprobaty, w jego oczach dostrzegłam błysk, który wcześniej często widywałam u ludzi rozmawiających z moją siostrą.

Gdy wreszcie uwolniłyśmy się od niego, nastąpiła pora południowego posiłku. Potem, na polecenie ciotki Grace, miałyśmy zażyć trochę ruchu podczas spaceru w ogrodzie. Wyraziła nadzieję, że się nie zagubimy i wrócimy na czwartą na herbatę, którą podaje się w czerwonym salonie.

- Nareszcie wolność! - wykrzyknęła Francine, gdy zostałyśmy same. - Mamy siedzieć w ogrodzie! Przenigdy! Musimy rozejrzeć się po okolicy, a przede wszystkim obejrzeć z bliska ten interesujący dom, który zauważyłyśmy z okna.

- Francine, zdaje się, że zaczyna ci się tutaj podobać. Rzeczywiście, była zafascynowana Kamiennym Dworem, wciąż odkrywałyśmy coś nowego i porywającego. Ruszyłyśmy przed siebie żadne przygód. Miałyśmy dla siebie całe dwie godziny.

- Musimy wrócić o czasie na herbatę - przypomniała Francine. - Nie mogą się dowiedzieć, gdzie byłyśmy. Powinni



myśleć, że krążyłyśmy po ogrodowych alejkach, zachwycając się wszechobecnym porządkiem i wspaniałością naszego dziadka, który jest taki święty, że aż się dziwię, czy nie za święty jak na ten ziemski padół.

Starałyśmy się zachować ostrożność, póki nie znalazłyśmy się w alei i nie prześliznęłyśmy się nie zauważone obok stróżówki przy bramie.

Drogą otoczoną z obu stron wysokim żywopłotem doszłyśmy do bramy i Francine zaproponowała, żebyśmy poszły dalej polem, w przeświadczeniu, że idąc w tym kierunku trafimy do dostrzeżonego przez okno domu.

Tak też zrobiłyśmy. Na skraju pola stały rzędem cztery chaty, a przed jedną z nich zobaczyłyśmy kobietę przypominającą swymi kształtami bochenek chleba. Włosy wymykały się jej z koka, podmuchy wiatru targały pojedynczymi kosmykami.

Przyglądała się nam bacznie - widocznie nie widywała tu zbyt wielu ludzi, bo sprawiała wrażenie bardzo zaciekawionej.

- Szczęść Boże! - zawołała, a jej żywe, ciemne oczy i puciołowata twarz wyrażały wielką ciekawość i zadowolenie.

- Dzień dobry! - odpowiedziałyśmy.

Przypinała mokrą bieliznę do sznura rozpiętego między słupem a ścianą chaty. Wyjmując z ust przypinkę stwierdziła raczej, niż zapytała: „Panienki są te nowe z Kamiennego Dworu”.

Francine przytaknęła i spytała, skąd wie.

- Mało czego nie wiem, co się dzieje we dworze. Moja córka tam pracuje - przyglądała się Francine szeroko otwartymi oczami. - Ale bo też panienka ładna. Czego innego się panny spodziewały, prawda?

- Nie wiedziałyśmy, czego się spodziewać - odrzekła Francine.

- Zналиśmy pana Edwarda. Dobry był człowiek, nie taki jak... O nie, on był inny... I ta śliczna dziewczyna, która z nim uciekła. Śliczna jak obrazek. Panienska wypisz wymaluj jak ona. Od razu rozpoznałam.

- To pani znała tatę i mamę...

- Umarli... biedacy. Ano takie jest życie. Najlepsze odchodzi, najgorsze zostaje - pokiwała ze smutkiem głową, ale zaraz się uśmiechnęła. - Na pewno panienska poznają moją Daisy.

- Daisy? - wykrzyknęłyśmy jednocześnie. - Ach, mała Daisy...

- Ano dostała pracę jako pokojówka. Ale nie wiem, czy to długo potrwa. Nasza Daisy jest trochę nieostrożna - puściła oko zupełnie jak Daisy.

„Cóż za mrugająca rodzina”, zażartowałam później do Francine.

- Trochę szalona - ciągnęła kobieta. - Nie wiadomo, co z taką robić. „Uważaj tylko, mówiłam, bo wpadniesz w tarapaty”. To się tylko śmiała. Zawsze lubiła chłopców i chłopcy ją lubili. Od kołyski... Szóstkę ich mam. Daisy jest najstarsza. Powiedziałam do Emmsa... do ich ojca, znaczy: „Wystarczy!” Ale nie dacie wiary, następne w drodze. Co można zrobić z takim chłopem jak Emms? Grunt, że Daisy trafiła do dobrego domu. Pomyślałam sobie, że jak tam nie spowaźnieje, to już nic jej nie pomoże.

- Poznałyśmy Daisy - powiedziała Francine. - Przyniosła nam ciepłą wodę. Polubiłyśmy ją.

- To dobra dziewczyna... serce ma złote. Tylko te chłopaki. Nie umie się trzymać od nich z daleka. Ale i ja taka kiedyś byłam. Zresztą dzięki temu świat się kręci.

- Co to za dom, ten z czerwonej cegły? - spytała Francine.

- Folwark Granterów - roześmiała się. - Ileż o niego było awantur!

- Wygląda interesująco, chciałobyśmy go obejrzeć z bliska.

- Jacyś obcy go kupili. Z rok albo ze dwa lata temu. Pan Matthew chciał go dla siebie, ale mu się nie udało. A złościł się! Uważa, że jest właścicielem tych stron, i jest nim w pewien sposób. Ale Folwark Granterów... cudzoziemcy go ubiegli.

- Kim są ci cudzoziemcy?

- Ooo, to ci pytanie! Jacyś wysoko postawieni. Wielcy książęta, ale z dzikiego kraju. Nie bardzo ich tu poważają.

- Wielcy książęta... - wyszeptała Francine.

- Ale nie ma ich teraz. Często ich nie ma. Przyjeżdżają, wyjeżdżają. Wszystko pozamykane i opuszczone. I naraz służba robi wielkie porządki, jak na wiosnę, i państwo przyjeżdżają. Wszystko bardzo elegancko... po królewsku. Dziadek panienek to tego nie lubi... oj, nie lubi.

- A czy to jego sprawa? - spytała Francine.

Pytanie rozbawiło szczerze panią Emms, znów puściła do nas oko.

- On myśli, że tak. On jest tutaj panem. Emms mówi, że sama królowa nie panuje miłociwiej nad całą Anglią, niż pan Matthew Ewell tu nad nami... z przeproszeniem, bo to dziadek panienek.

- Nie trzeba przepraszać. Myślimy podobnie - uspokoiła ją Francine - chociaż niewiele jeszcze wiemy. Czy któryś z książąt jest teraz w swojej rezydencji?

- Nie, chwała Bogu, już całe dwa tygodnie ich tu nie ma. Ale przyjadą... przyjadą. Tylko nie wiadomo kiedy. Zawsze sporo przy tym zamieszania. Wyglądam przez okno, patrzę, a oni są. Zaraz z tyłu ich mamy, więc dobrze wszystko widzę.

- Chodźmy obejrzeć Folwark - przerwała potok wymowy pani Emms Francine. - Szkoda czasu. O czwartej musimy być

z powrotem we dworze. A więc to zaraz na zapleczu paninego domu?

- Tak... o, tam. Tuż za domem jest przejście, będzie bliżej.

- Dziękujemy, pani Emms. Mam nadzieję, że będziemy widywały się często.

Zbliżyłyśmy się do domu - dookoła panowała głęboka cisza. Ogarnęło mnie dziwne podniecenie i miałam wrażenie, że Francine także jest poruszona. Kiedy myślę o tamtej chwili, wydaje mi się, że było to przeczucie, bo dom ten odegrał tak ważną rolę w naszym życiu.

Nad sklepionym wejściem wspartym na marmurowych kolumnach widniała data: 1525. Otworzyłyśmy bramę i weszłyśmy. Sięgnęłam po rękę Francine, chwyciła mnie mocno. Prawie na palcach stapałyśmy po trawniku dawno nie strzyżonym i porośniętym stokrotkami. Podeszłyśmy do budynku, wyciągnęłam rękę, by dotknąć czerwonych, nagranych słońcem cegieł. Francine zajrzała do środka przez okno. Krzyknęła i zrobiła się biała jak płótno.

- Co się stało? - wykrztusiłam zalekniona.

- Tam ktoś jest... stoi... duch... cały biały.

Trzęsąc się ze strachu, przykleiłam twarz do szyby. Roześmiałam się.

- To mebel - uspokoiłam ją - przykryty prześcieradłem, żeby się nie kurzył. Ale rzeczywiście wygląda jak ludzka postać.

Francine zajrzała znowu - pękałyśmy ze śmiechu, który miał w sobie coś z histerii. Ten dom dziwnie na nas działał.

Obeszłyśmy go dookoła, zaglądałyśmy przez okna. Wszystkie meble okryto prześcieradłami.

- Musi tu być wspaniale, gdy przyjeżdża wielki książę - stwierdziłam.

Francine próbowała otworzyć drzwi, ale oczywiście, były zamknięte na klucz. Kołatka miała kształt głowy chimery - potwór śmiał się nam w oczy.

- Wyobraź sobie, że przychodzimy tu w nocy - zastanawiała się Francine.

Zadrżałam, bo pomyślałam, że gotowa to zaproponować.

- Chodźmy obejrzyć ogród - zmieniłam szybko temat. Trawniki wymagały pielęgnacji. Pełno tu było posągów, arkad, alejek i wąskich ścieżek między krzewami.

- Musimy wracać - zdecydowałam. - Nie możemy się spóźnić, bo się zorientują, że wyszliśmy poza ogrody, a nie znamy dobrze drogi.

- Wracajmy drogą koło chat.

Spieszyliśmy się bardzo, było pół do czwartej. Nie spotkałyśmy matki Daisy - sznur pełen trzepoczącej bielizny świadczył o tym, że skończyła pracę.

Puściłyśmy się biegiem i punktualnie o czwartej stanęłyśmy przy stole nakrytym do podwieczorku. Podczas modlitwy rozmyślałyśmy o popołudniowej przygodzie.

\* \* \*

Następnego ranka, gdy Daisy przyniosła nam ciepłą wodę, opowiedziałyśmy jej, że poznałyśmy jej matkę. Daisy roześmiała się wesoło. - Kochane matczysko, myśli, że pierworodna się ustatkowała.

- A ustatkowała się? - spytała Francine.

- Eee... prawie wcale. Dzisiaj przychodzi do panienek krawcowa. Szkoda. Podobały mi się te wasze sukienusie. Takie ładniutki.

- Nie widać cię w ciągu dnia, Daisy - zainteresowała się Francine.

- Bo pracuję w kuchni.

- Miło było poznać twoją mamę. Opowiedziała nam o Folwarku Granterów.

- O, tam tobym chciała służyć.  
- Tam nikogo nie ma.  
- Ale jak są, to jest na co popatrzeć. Bale, przyjęcia. Przyjeżdża mnóstwo zagranicznych gości. Ten dom należy do jakiegoś króla.

- Twoja mama powiedziała, że do księcia.  
- To do księcia. Ona tam już wie. Pewnie rozmawia z tamtejszą służbą. Wszystko to wprawdzie cudzoziemcy, ale mamie można ufać.

Puściła oko i wyszła, a my ubrałyśmy się pośpiesznie, żeby w porę zejść na śniadanie. Wszystko odbyło się jak poprzedniego dnia. Zaczęłam podejrzewać, że każdy dzień przebiega wedle utartego schematu. Poszłyśmy odwiedzić babkę, później ciotka Grace zabrała nas na nabożeństwo do kaplicy. Resztę przedpołudnia miałyśmy spędzić z Jenny Brakes. Niebawem uszyje nam stosowne suknie, guwernantka zjedzie najdalej w ciągu tygodnia, a kuzyn Artur pokieruje naszą edukacją religijną. Dziadek stwierdził, że musimy nauczyć się jazdy konnej, bo jest to jedna z umiejętności właściwych damom. Wyglądało na to, że nasze dni wypełnią liczne zajęcia.

Przetrwałyśmy jakoś nabożeństwo, Francine zwierzyła mi się, że serdecznie nie cierpi kuzyna Artura, głównie dlatego, że jest taki cnotliwy, a dziadek ma o nim wysokie mniemanie.

Biedna Jenny Brakes była taka blada i tak starała się nam dogodzić, że zrobiło mi się jej żal i stałam jak najspokojniej, gdy klęczała obok mnie z mnóstwem szpilek w ustach i upinała ciemnoniebieski materiał - serżę, która okropnie mi się nie podobała.

Francine też nie robiła wrażenia zachwyconej.

- Będziemy wyglądały ponuro, jak cały Kamienny Dwór. Myliła się. Nigdy nie wyglądała ponuro. Granat serży naszych codziennych strojów i brąz odświętnej popeliny podkreślały

urodę Francine i, na zasadzie kontrastu, jej wdzięk. Ja nie znosiłam tych kolorów, wyglądałam w nich brzydko, nie pasowały do mojej ciemnej karnacji, ale cieszyłam się, że przynajmniej nie psują urody Francine.

Nasza obecność zmieniła cały dom - odczuwali to chyba wszyscy, z wyjątkiem dziadka. Zajęty sobą i modłami, nie zwracał uwagi na nic i na nikogo.

Nie minął tydzień, gdy przyjechała guwernantka. Panna Elton miała około trzydziestu pięciu lat, ciemne włosy z przedziałką pośrodku głowy, związane w mały kok. W dni powszednie nosiła proste szare sukienki, w niedziele wciąż tę samą, ciemnoniebieską. Świąciła dzień pański wkładając koronkowy kołnierzyk. Sprawdziwszy nasze wiadomości uznała, że poza niezłą znajomością języków jesteśmy całkowitymi ignorantkami. Ona sama dość dobrze mówiła po francusku, niemiecki natomiast znała znakomicie. Powiedziała nam po pewnym czasie, że miała matkę Niemkę, więc od dzieciństwa posługiwała się dwoma językami. Nasz niemiecki zadowalał ją, toteż twierdziła, że doskonalenie go powinniśmy postawić sobie za jeden z głównych celów. Niemiecki należał więc do przedmiotów, których uczyłyśmy się z entuzjazmem. Panna Elton zachowywała się uniesienie wobec dziadka i grzecznie wobec ciotki Grace.

- Służalcza... - skomentowała Francine lekceważąco.

- Nie rozumiesz? Zależy jej na posadzie. Boi się, że może ją stracić. Dlatego bądź dla niej miła. Spójrz na to z jej punktu widzenia.

Francine zerknęła na mnie i zauważyła:

- Wiesz, siostrzyczko, masz w sobie szczególną mądrość, potrafisz zrozumieć, co czują inni. To rzadka cecha.

- Dziękuję - odpowiedziałam uradowana.

Od tamtej pory coraz bardziej liczyła się z moimi opiniami - Ja, jako spokojniejsza, lepiej potrafiłam obserwować. Może

dlatego, że w przeciwieństwie do Francine stałam nie w centrum, lecz z boku wydarzeń i czułam się bardziej widzem niż aktorem grającym główną rolę.

Tak więc przyjęła mój pogląd w sprawie naszej nauczycielki i zamiast jej dokuczać, stała się grzeczną uczennicą. Po kilku pierwszych dniach wzajemnego poznawania się nasze stosunki z panną Elton ułożyły się bardzo poprawnie, a zajęcia z nią okazały się całkiem przyjemne.

Pobierałyśmy lekcje jazdy konnej, co obie lubiłyśmy. Nauka odbywała się pod okiem woźnicy, który przyjechał po nas na stację. Towarzyszył nam też zwykle jego osiemnastoletni syn, Tom, który pracował jako chłopiec stajenny. Przygotowywał nasze konie i odprowadzał je po jeździe do stajni. Całymi godzinami krążyłyśmy po padoku, najpierw na łązy, potem bez niej. Zarumieniłam się z dumy, gdy Tom powiedział:

- Z panny Philippy to urodzona amazonka. Będzie panienka dobrze jeździć.

- A ja? - spytała Francine.

- Myślę, że i panienka da sobie radę - odparł.

Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu po raz pierwszy okazałam się lepsza od Francine, ale zaraz zrobiło mi się przykro i zawstydziłam się swoich uczuć. Niepotrzebnie. Francine cieszyła się razem ze mną.

Któregoś dnia, gdy cwałowałyśmy po padoku, spadła. Przeraziłam się, widząc jak leży na ziemi, i uświadomiłam sobie, ile dla mnie znaczy. Zeskoczyłam z konia i podbiegłam do niej, ale Tom już przy niej stał.

Francine, skrzywiona, podniosła się ostrożnie. Wzruszyło ją moje przerażenie, którego nie potrafiłam ukryć, i udawała, że się z tego śmieje.

- Amazonkom takie rzeczy się przytrafiają - zażartowała.



- Francine, nic ci nie jest?  
- Mam nadzieję.  
- Wszystko w porządku, proszę panienki - uspokajał Tom.  
- Dopiero jutro panienka trochę to odczuje. Trzeba posmarować stłuczone miejsca. Myślę, że skończy się na kilku siniakach. Ale nie ma się co przejmować, nie będzie ich widać. Daisy przyniesie panience maść. To mocny środek, należy go użyć tylko raz, nie więcej. Żeby panience skóra nie zlazła.

- Czy mam teraz wsiąść na tego brutala, który mnie zrzucił, i pokazać mu, kto tu rządzi?

Tom uśmiechnął się szeroko.

- On wie, kto rządzi. Nie panienka, jeszcze nie. Ja na miejscu panienki poszedłbym sobie poleżeć. Tak będzie najlepiej. Pojeździ panienka znowu jutro.

- Tak - poparłam go - pójdę z tobą na górę i zaraz wyślemy Daisy po lekarstwo.

Zaprowadziłam Francine do pokoju, wciąż bardzo zaniepokojona.

- Nie martw się, Pippa - pocieszała Francine. - Nie dam się zabić jakiemuś marnemu podjezdkowi.

Posłałam po Daisy i poleciłam jej, żeby przyniosła smarowidło.

- Tom wie, o co chodzi - dodałam. - Jest w stajni.

- Toż wiem, gdzie szukać Toma - rzuciła, wychodząc. Niebawem wróciła z lekarstwem, którym zaraz posmarowałyśmy widoczne już siniaki.

Nalegałam, by Francine trochę poleżała, choć ona twierdziła, że czuje się dobrze. Daisy spytała, czy ma odnieść lekarstwo z powrotem, powiedziałam, że tak, bo wszystko, co trzeba było, już posmarowane.

Francine leżała, a ja stałam przy oknie. Widziałam Daisy biegnącą w stronę stajni. Tom wyszedł jej na spotkanie. Stali

przez chwilę bardzo blisko siebie. Ona trzymała lekarstwo w ręce, on wziął je przytrzymując jej dłoń. Ciągnął ją do stajni, a ona udawała, że nie chce iść, ale widziałam, że się śmieje. Przypomniałam sobie, jak jej matka mówiła, że Daisy lubi chłopców.

- Co tam widzisz? - spytała Francine.

- Daisy i Toma - odpowiedziałam - przekomarzają się w pewien szczególny sposób.

Francine roześmiała się wesoło i w tym momencie weszła ciotka Grace. Była przejęta i pełna troski. „Wypadki się zdarzają”, stwierdziła i wyraziła nadzieję, że nie stało się nic złego.

- Nie czuję się dość dobrze, by zejść na kolację - odezwała się Francine nieśmiało. - Czy mogę prosić, by przysłano mi coś na górę?

- Oczywiście - zgodziła się ciotka.

- A Philippa mogłaby zostać ze mną? W razie gdyby...

- Dobrze - przyzwoliła ciotka Grace. - A teraz leż i odpoczywaj. A ty, Philippo, bądź razem z siostrą.

- Och tak, ciociu, nie zostawię Francine.

Ledwo ciotka wyszła, Francine parsknęła śmiechem.

- No, widzisz, unikniemy jednego z tych okropnych posiłków. I to obie! Nie ma tego złego...

Po jakiejś godzinie zobaczyłam Daisy wyłaniającą się ze stajni. Rozzochrana, biegła żwawo ku domowi, zapinając po drodze bluzkę.

Podczas upadku Francine ucierpiała bardziej niż początkowo sądziliśmy. Następnego ranka potłuczenia były mocno widoczne. Daisy aż krzyknęła i zaofiarowała się, że zaraz polecą do Toma, może on coś poradzi.

Po kilku dniach sińce zaczęły jednak zniknąć i Francine znów mogła jeździć. Kuzyn Artur wyraził swe zaniepokojenie i radził Francine, by odmawiała modlitwę przed lekcjami

konnej jazdy, a wtedy Bóg zatroszczy się o jej bezpieczeństwo.

- Och, myślę, że jest zbyt zajęty, by zwracać uwagę na takie sprawy - odparła swobodnie.

Uwielbiała pastwić się nad kuzynem Arturem. Nie znosiła go, tak samo jak nie znosiła dziadka. Dziadek wyczuwał we Francine, jak w naszym ojcu, buntowniczą naturę i miał ją na oku. Mnie uważał za podobną do ciotki Grace choć wcale nie zamierzałam w niczym jej naśladować.

Wyczekiwałam wizyt u babci. Gdy wchodziłyśmy, jej twarz rozjaśniała się, staruszka wyciągała ręce i dotykała palcami naszych twarzy. Chociaż stara, choć należała do innego świata niż my, można było szczerze z nią rozmawiać. Wciąż pytała o Wyspę i myślę, że po tygodniu stworzyła sobie w wyobraźni dokładny jej obraz. Francine, która zawsze mówiła o wszystkim otwarcie i zwykle bez zastanowienia, spytała ją, jak mogła poślubić takiego człowieka jak nasz dziadek.

- Tak postanowiono - odrzekła. - Wśród ludzi naszej sfery planuje się małżeństwa.

- Ale nasz tata nie postąpił tak, jak chciał dziadek - zauważyła Francine.

- Zawsze znajdzie się jakiś buntownik, moje dziecko, nawet w tamtych czasach to się zdarzało. Twój ojciec okazał się jednym z nich. Dziwne... taki spokojny chłopiec. Przypominasz mi go, Philipppo. Umiał dążyć do obranego celu i zdaje się, że i ty także będziesz to umiała... gdy zajdzie potrzeba. Miałam szesnaście lat, kiedy wychodziłam za waszego dziadka, tyle, ile ty teraz, Francine. Ja jednak sprawiałam wrażenie młodszej od ciebie - nic nie wiedziałam o życiu.

Na twarzy Francine malowało się przerażenie. Wydana za naszego dziadka w jej wieku. Trudno sobie wyobrazić gorszy

los. Francine milczała, ale babka zadziwiająco wyczuwała nastroje.

- Och, w tamtych czasach był zupełnie innym człowiekiem - dorzuciła pośpiesznie.

- Biedna babcia - Francine pocałowała ją w rękę. - Rządził domem despotycznie... od samego początku.

Ale cieszył się z małżeństwa, bo nasze ziemie zostały połączone, a on zawsze bardzo zabiegał o rodzinną posiadłość. To zrozumiałe, Ewellowie siedzą na tych ziemiach od tak dawna. Nas, Granterów, uważano za parweniuszy, mieliśmy Folwark dopiero od stu lat.

- Ale to dom z epoki Tudorów!

- Cóż z tego... Przysporzył wielu kłopotów. Mój brat nie chciał sprzedać domu waszemu dziadkowi, który bardzo pragnął go mieć. Nie może znieść myśli, że istnieje w sąsiedztwie coś, co do niego nie należy. Zawładnął posiadłościami Granterów - z wyjątkiem Folwarku. Część tych ziem wniosłam w posagu, reszta stanowiła własność mojego brata. On jednak nie dorównywał sprytem waszemu dziadkowi. Stracił swoje włości. Twierdził, że wasz dziadek go oszukał. Nie była to, naturalnie, prawda, ale kłócili się między sobą i ponieważ dziadkowi udało się zdobyć większość naszych posiadłości, mój brat postanowił, że nie pozwoli mu zagarnąć także Folwarku. Sprzedał go cudzoziemcom... komuś z odległego kraju, z Bruxensteinu zdaje się...

- Ten dom zrobił na mnie ogromne wrażenie - wykrzyknęła Francine.

- Wiele dla mnie znaczy - ciągnęła babka. - To mój rodzinny dom. Teraz na ogół ziele pustkami. Agnes mówi, że właściciele rzadko przyjeżdżają, dom ożywa na krótko, a potem znów stoi opustoszały, zaniedbany. Słyszałam, że kupili go dla jakiegoś dostojnika, skazanego na zesłanie, ale

ledwie pomieszkał tu miesiąc czy dwa, w jego kraju miał miejsce zamach stanu, mógł więc powrócić.

- Czemu więc nie odsprzedadzą domu dziadkowi? - spytała Francine.

- Chcą go zatrzymać. Może dla następnego zesłańca. Niemieckie państewka ciągle mają jakieś kłopoty. Czasami dowiadujemy się, że zmieniają władców... Wielcy książęta... margrabiowie....

- Jakie to romantyczne - rozmarzyła się Francine, a babka delikatnie gładziła ją po włosach.

Kiedy indziej babka opowiedziała nam o ojcu i ciotce Grace. Ożywiała się podczas tych rozmów i radość ze spotkań z nami wyraźnie ją odmładzała. Wyobrażałam ją sobie jako pannę młodą wstępującą w progi Kamiennego Dworu, nieświadomą, co znaczy małżeństwo. My przynajmniej wiedziałyśmy cośkolwiek o tych sprawach. Mieszkańcy Wyspy mieli ogniste temperamenty i często widywałyśmy na plażach kochanków splecionych w uścisku. Dla naszej babki małżeństwo musiało być prawdziwym szokiem, tym bardziej że nie mogłam sobie wyobrazić dziadka jako czułego kochanka.

- Był bardzo namiętny w tamtych czasach - opowiadała babka. - Pragnął mieć dzieci i cieszył się niezmiernie, kiedy urodził się wasz ojciec. Snuł wielkie plany. Ale nie udawało mi się z następnymi dziećmi i dopiero po pięciu latach przyszła na świat Grace. Była dziewczynką, nie troszczył się więc o nią tak, jak o Edwarda. Uważał, że Edward stanie się jego wierną kopią. Nigdy jednak się to nie spełniło. Potem pojawił się Charles Daventry.

- Opowiedz nam o nim - nalegała Francine. Babki nie trzeba było namawiać.

- Edward pojechał do Oxfordu i odtąd wszystko zaczęło układać się jak najgorzej. Dziadek był zawsze surowy i

stanowczy, ale przed wyjazdem Edwarda nigdy nie dochodziło między nimi do żadnych starć. W Oxfordzie Edward poznał Charlesa, rzeźbiarza. Zaprzyjaźnili się, mieli ze sobą wiele wspólnego. Edward zaprosił Charlesa do nas na wakacje, a dziadek od razu poczuł do niego niechęć. W ogóle nie lubił artystów. Mawiał, że to marzyciele, czyli nic dobrego.

- Nasz ojciec był wielkim artystą - zapewniała Francine żarliwie. - Któregoś dnia świat się na nim pozna... Takie piękne rzeźby wyszły spod jego dłuta. Kupowali je ludzie z różnych krajów. Któregoś dnia...

Ale ja wiedziałam, że to Francine robiła wrażenie na klientach w pracowni ojca. Babka poklepała ją po ręce.

- Kochałaś go - rzekła. - Dawał się kochać. Dziadek twierdził, że nie ma pieniędzy z dłubania w kamieniu, ale jeśli to ma być tylko hobby, nie będzie się sprzeciwiać.

Grace, wstydliva i małomówna, była w tamtych czasach ładną panią. Pamiętam, że chodzili we troje na cmentarz. Interesowały ich kamienne rzeźby na grobach. Charles Daventry był siostrzeńcem tutejszego pastora. Aż dziwne, że im obu tak spodobało się rzeźbienie. Przypuszczam, że to stało się przyczyną ich wielkiej przyjaźni.

- Uważam, że każdy ma prawo robić w życiu to, na co ma ochotę - stwierdziła Francine z przekonaniem.

- O tak! - zgodziła się z nią babka. - I ludzie o silnej woli tak robią. Wasz ojciec podjął wreszcie decyzję. Nigdy nie widziałam dziadka bardziej zaskoczonego niż wtedy, gdy dowiedział się, że Edward wyjechał. Po prostu nie mógł w to uwierzyć. Wiecie, że wasza matka pracowała u nas jako krawcowa.

- Tak, wiemy o tym - odparła Francine.

- Była wyjątkowo ładna - jak wróżka z bajki, wasz ojciec zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

- I kochał ją aż do śmierci - dodałam.

Poczułam na włosach palce babki, ona wyczuła, że jestem bliska łez.

- Odeszli razem. Ojciec nie uprzedził dziadka o wyjeździe. Mnie powiedział: „Ty, mamó, zrozumiesz, że nie mogłem rozmawiać z ojcem. To jego tragedia. Nikt nie potrafi z nim rozmawiać. Gdyby choć czasem próbował słuchać... Oszczędziłby sobie wielu rozczarowań”. Cierpiał, gdy Edward odszedł, mimo iż nie chciał się do tego przyznać. Gniewał się, złościł, wydziedziczył go, wierzył jednak, że Edward będzie miał syna, który tu do nas wróci.

- A on miał tylko dwie córki! - wykrzyknęła Francine.

- Teraz, kiedy was poznałam, nie chciałabym, by było inaczej. Gdy ojciec wyjechał, dziadek zajął się bardziej Grace. Jej tymczasem coraz bardziej podobał się Charles Daventry, którego dziadek w ogóle nie brał w rachubę.

- Dlaczego? - spytała Francine.

- Dziadek twierdził, że nie jest to partia dla Grace. Miał tylko kawałeczek ziemi przy plebanii, niewielkie obejście, gdzie rzeźbił swoje figury. Ludzie kupowali je na nagrobki i nasz cmentarz znany jest z rzeźb i podobizn zmarłych, które Charles wykonywał. Mówi się o nim, że jest bardzo zdolny, ale klepie biedę. Skądinąd uroczy człowiek... trochę marzyciel. On i Grace... to naprawdę beznadziejne. Nie jest odpowiednim partnerem dla Grace i dziadek nie chce nawet o tym słyszeć.

- Biedna Grace - westchnęłam.

- Biedna Grace, tak... - powtórzyła babka. - Jest bardzo dobra. Nigdy się nie skarży, ale wiem, jak jest jej źle.

- To potworne! - wybuchnęła Francine. - Jak można wtrącać się do cudzego życia.

- Trzeba siły, by przeciwstawić się waszemu dziadkowi, a Grace zawsze starała się unikać spieć i kłopotów. Kiedy była

mała, chowała się i siedziała w ukryciu, dopóki burza nie minęła. W końcu dziadek dał Grace spokój. Zainteresował się synem młodszego brata, waszym kuzynem, Arturem.

Francine skrzywiła się z niesmakiem.

- Opiekuje się chłopcem od chwili, gdy jego ojciec zginął w Afryce - Artur miał wtedy szesnaście lat. Dziadek uważa, że chłopiec jest na tyle młody, że da się ukształtować. Ojciec Artura zostawił niewiele pieniędzy, więc dziadek wziął na siebie jego wykształcenie. Kiedy dowiedział się, że bratanek chce służyć Kościołowi, nie powstrzymywał go. Nie ma powodu, dla którego Artur nie miałby zostać duchownym, mimo iż to on odziedziczy w przyszłości posiadłość. Przemawia za tym jego nazwisko. On jest Ewellem, a w opinii waszego dziadka bardzo ważne jest przedłużenie rodu. Francine, jak ci się podoba kuzyn Artur?

- Jak mi się podoba? - wykrzyknęła Francine. - Nie może być mowy o żadnym podobaniu się. Odpowiedź brzmi: Wcale a wcale mi się nie podoba.

Babka milczała. Sięgnęła po dłoń Francine.

- Muszę cię ostrzec - rzekła. - Dziadek ma pewien plan. Artur jest wprawdzie twoim kuzynem, ale ten rodzaj pokrewieństwa pozwala na zawarcie związku małżeńskiego.

- Małżeństwo! Z kuzynem Arturem!

- Widzisz, moja droga, a twój dziadek lubi proste rozwiązania. Jesteś jego wnuczką z pierwszej linii. Chce, by ta gałąź rodu nadal się rozwijała; jeśli poślubisz Artura, wasze dzieci staną się po dwakroć Ewellami, nazwisko zostanie zachowane. Myślę, że to nie nastąpi przed upływem roku, ale Francine, kochanie, nie chciałabym, żeby cię to zaskoczyło.

\* \* \*

Rozmawiałyśmy o tym bez końca. Zastanawiałyśmy się, co powinnyśmy zrobić, jeśli rzeczywiście padnie taka propozycja. Francine uważała, że powinnyśmy uciec. Ale



dokąd? Może należało wrócić na Wyspę? I co tam robić? Z czego żyć? Może trzeba by zacząć gdzieś pracować. Francine sądziła, że mogłaby pracować jako guwernantka. A ja?

- Ty powinnaś zostać tutaj i czekać, aż dorośniesz i będziesz mogła uciec.

Ale wtedy musiałybyśmy się rozdzielić, do czego w żadnym razie nie chciałyśmy dopuścić.

Przez kilka dni wisiał nad nami cień planu dziadka, a niechęć Francine do kuzyna Artura pogłębiała się. Francine nie potrafiła jednak przejmować się niczym zbyt długo. Po kilku ponurych dniach wrócił jej dobry nastrój. Uznała, że zacznie się martwić, gdy propozycja zostanie złożona, a na razie postara się przekonać kuzyna Artura, że nie żywi do niego żadnych uczuć, co sprawi, że duma nie pozwoli mu prosić jej o rękę.

Tymczasem ciekawość zaprowadziła nas na plebanię, gdzie poznałyśmy Charlesa Daventry. Polubiłyśmy go od pierwszej chwili, bo przypominał nam ojca, on zaś ciekaw był córek przyjaciela.

Przygotował herbatę na starej maszynie spirytusowej w swojej pracowni. Siedziałyśmy na stołkach, piłyśmy herbatę i opowiadałyśmy mu o Wyspie i tamtejszym życiu. Pokazał nam kilka swoich prac. Wszystkie postaci kobiece przypominały ciotkę Grace.

- Smutny, nieszczęśliwy człowiek - określiła go Francine.  
- Pozwala, by życie płynęło obok, by miotano nim jak żaglem. On sam nie czyni żadnego wysiłku, by przeciwstawić się temu. My nie staniemy się takie, Pippa. Nasz ojciec też taki nie był. Nie pozwolimy nikomu kierować naszym życiem.

\* \* \*

Przyszło lato, przepiękne i zupełnie inne niż na Wyspie. Tu każdego dnia wszystko wyglądało inaczej, cudownie było patrzeć, jak na drzewach rozwijają się pąki, podziwiać, jak

nabrzmiwiają i pękają, zamieniając się w kwiaty. Cudownie było patrzeć na kwitnące drzewa owocowe, na dzikie róże i poziomki przy żywopłotach, na jętki tańczące nad wodami stawów, słuchać ptasich głosów i starać się je rozpoznać, wynajdywać pod drzewami dzwonki i naparstnice, szukać wzrokiem wiciokrzewu wypełniającego powietrze słodkimi zapachami, przeżywać długie chwile zmierzchu, dzięki którym miało się wrażenie, że dzień ociąga się z odejściem.

Lubiłam leżeć samotnie w wysokiej trawie, słuchając świerszczy i brzęczenia pszczoł uwijających się przy purpurowej budlei i słodko pachnącej lawendzie. Chciałam zatrzymać czas i trwać... trwać. Może dlatego, że przeczuwałam zbliżające się niebezpieczeństwo. Stawałyśmy się coraz starsze. Niebawem dziadek postawi swoje żądanie, Francine się nie zgodzi. I co stanie się wówczas? Czy nas stąd wyrzucą?

Przypomniałam sobie, co mówił mi ojciec, gdy siadywaliśmy przed domem, a on patrzył na morze z tęsknotą, której doświadczają czasem wszyscy wygnańcy. Często śpiewał mi, jak to nazywał, moją piosenkę. „Piosenkę Pippy, napisaną przez wielkiego poetę, który wiedział, czym jest tęsknota za ojczyzną”.

Rok wita już wiosnę,  
Dzień wstaje z obsłonek.  
Na wzgórzach lśnią rosy  
Blaskami złotymi!  
Zanucił radosne  
Piosenki skowronek;  
Ślą łaskę niebiosy,  
Jest dobrze na Ziemi!

Czułam to leżąc w trawie. Jest dobrze na Ziemi! I wtedy zapominałam o gromadzących się chmurach.

Chmury znikają - mawiał ojciec. Czasami zmokniesz do suchej nitki, ale zawsze potem świeci słońce i znów: Jest dobrze na Ziemi!

Pewnego dnia poszliśmy odwiedzić Charlesa Daventry. Lubiliśmy przyglądać się, jak pracuje. Miło nas przyjmował i opowiadał różne historyjki z czasów, gdy studiował z naszym ojcem w Oxfordzie; mówił, że snuli plany o wspólnej pracowni w Paryżu lub Londynie, o otwarciu salonu, w którym zbieraliby się artyści i literaci.

- Widzicie, jakie figle potrafi płać życie - dodał. - Wasz ojciec znalazł się na jakiejś wyspie, a ja jestem zwykłym kamieniarzem.

- Jest pan tym, kim chce pan być - stwierdziła Francine. - I trzeba godzić się ze skutkami.

- Och, jaki z ciebie filozof! - zażartował Charles.

- Uważam, że należy być w życiu odważnym - nie dawała za wygraną Francine.

Charles irytował ją. On borykał się z samotnością tutaj, a ciotka Grace w Kamiennym Dworze, i żadne z nich nie miało dość odwagi, by sprzeciwić się woli dziadka. Francine poderwała się nagle, mówiąc, że musimy już iść. W tym momencie potknęła się o kamienny blok i upadła. Próbowwała podnieść się i stanąć, ale nie mogła. Upadłaby, gdyby jej nie podtrzymała.

- Nie mogę stanąć - jęknęła.

- To pewnie zwichnięcie - stwierdził Charles. Ukląkł i obmacywał kostkę Francine.

- Jak wrócimy do domu?

- Jest tylko jeden sposób.

Charles wziął ją na ręce. Gdy dotarliśmy do dworu, wprawiliśmy wszystkich w osłupienie. Daisy wyskoczyła nam naprzeciw i z szeroko otwartymi ustami przyglądała się niesionej na rękach Francine, a gdy dotarło do niej wreszcie,

kim jest niosący, rozemocjonowała się jeszcze bardziej. Pobieгла po ciotkę Grace, która najpierw się zaczerwieniła, a potem okropnie zbladła. Dowiedziałam się później, że Charlesowi zabroniono wstępu do Kamiennego Dworu, a Grace jakichkolwiek z nim kontaktów. Dziadek chciał usunąć Charlesa z sąsiedztwa, czemu sprzeciwił się pastor, który nie zamierzał wyrzucać siostrzeńca dla widzimisię dziadka. Stało się to przyczyną nie najlepszych między nimi stosunków.

- Charles! - wykrztusiła ciotka Grace.

- Twoja bratanica miała mały wypadek - poinformował Charles.

Zdaje się, że Francine, mimo bólu, nieźle bawiło całe to przedstawienie. Charles zaproponował, że zanieś Francine do łóżka, a sam pójdzie po doktora.

Błada jak płótno ciotka Grace, szczęśliwa i okropnie przerażona, wyjąkała:

- Och, tak... Charles. Tak, proszę... i dziękuję. Francine jest ci na pewno bardzo wdzięczna.

Charles położył Francine na łóżku, ciotka drżała z niepokoju pragnąc się go pozbyć i jednocześnie pragnąc go zatrzymać, choćby jedną chwilę.

Przyszedł doktor. Zwichnięcie okazało się dość poważne i Francine musiała przez parę dni - może nawet cały tydzień - pozostać w łóżku; trzeba było robić zimne i ciepłe okłady. Podjęłam się roli pielęgniarki. Był to najpiękniejszy tydzień od czasu przybycia do Kamiennego Dworu. Przebywałyśmy w naszej oazie - jak to określała Francine - a Daisy zabawiała nas plotkami i pokazywała, jak należy sznurować suknie, by uwypuklić zalety figury.

- Dla panny Pip to jeszcze za wcześnie - nazywała mnie panną Pip, co nas okropnie bawiło; w ogóle miała zwyczaj skracania imion. - A panna France ma figurę, jaka się zdarza jedna na tysiąc, wszystkie okrągłości na swoim miejscu.

Wyrzeźbiona panienska jak klepsydra do mierzenia czasu, żadnego zbędnego tłuszczu. Grzech panienskę ubierać w tę niebieską serżę. Widziałam kiedyś wielkie damy w Folwarku. Suknie miały błyszczące. Był tam bal, czy coś w tym rodzaju... ale wszyscy wyszli na zewnątrz. Słychać było muzykę. Przyjaźniłam się z ich lokajem. Hans mu było czy Chaps... jakoś tak... Śmieszne imię jak dla chłopaka, ale nie powiem, w porządku był... Łapał, gdzie nie powinien... oj, nie będę przy paniencie Pip...

- Moja siostra dobrze wie, o co chodzi - zapewniła ją Francine i roześmiałyśmy się wszystkie trzy.

- No więc zaprzyjaźniłam się z tym Chapsem. Zapraszał mnie do kuchni i wszystko tam pokazywał. Dawał różności do domu. Jeszcze wtedy nie pracowałam w Kamiennym Dworze... Czy mogę uczesać paniencie włosy? Takie włosy to są dopiero śliczne!

Francine zaśmiewała się i pozwoliła Daisy się uczesać. Zaskoczyła nas - tak ładnie to zrobiła.

- Mam prawdziwy talent. Któregoś dnia zostanę pokojówką wielkiej damy. Może jak panienska wyjdzie za mąż. Co, panno France?

Na samo wspomnienie o małżeństwie Francine wpadła w ponury nastrój.

- Ach, o pana Artura chodzi? - domyśliła się Daisy. - Wygląda jak oślizła ryba, choć z mężczyznami to nigdy nie wiadomo. Ale do panienski to on nie pasuje... ja bym go też nie chciała.

Weszła ciotka Grace. Zmieniła się. Wizyta Charlesa Daventry nie minęła bez echa. W jej spojrzeniu tliła się iskierka czegoś nowego. Może ślad nadziei? Przychodziła codziennie po południu, dokładnie o tej samej porze, i zawsze przynosiła jakieś wieści od kuzyna Artura. Daisy zauważyła,

że kuzyn Artur uważa za niestosowne wchodzenie do pokoju kobiety, która nie jest jego żoną.

- Dziadek bardzo się cieszy, że wracasz do zdrowia. Wciąż się dopytuje, jak się czujesz.

- Jestem wdzięczna - odparła Francine z ironią. - To miło z jego strony.

Ciotka Grace zawahała się.

- Ma ci coś do powiedzenia i zrobi to, jak tylko będziesz mogła zejść na dół.

Wpatrywała się z uwagą we Francine, a we mnie zamarło serce. Wiedziałam, co dziadek ma do powiedzenia mojej siostrze. Zbliżały się jej siedemnaste urodziny. Wchodziła w dojrzały wiek... wystarczająco dojrzały, by wydać ją za mąż.

- Nie zrobię tego - rzekła Francine stanowczo, gdy ciotka Grace wyszła. - Nikt mnie do tego nie zmusi. Trzeba zacząć myśleć, jak stąd uciec.

Czułyśmy się przytłoczone ciężarem naszego kłopotu, gdy następnego dnia wpadła Daisy niezmiernie podniecona.

- Stałyśmy z Jenny Brakes przy płocie, patrzymy - przyjechali...

Jenny Brakes zajmowała domek obok Emmsów, w pozostałych domkach mieszkali zatrudnieni we dworze ogrodnicy.

- Zamieniłam się w słuch i wypatrywałam oczy. Przyjechali ze stacji... tak samiuśko jak przedtem. Zawołałam mamę i obie stałyśmy i patrzyłyśmy. Wszyscy weszli do domu. Na razie służba... reszta przyjedzie potem.

Zapomniałyśmy o dziadku i jego planach. Rozemocjonowane wypytywałyśmy Daisy, a ona opowiedziała nam, co się wydarzyło poprzednim razem, gdy egzotyczni mieszkańcy zjechali do Folwarku Granterów.

## Cudzoziemcy

Francine nie mogła dłużej ukrywać się w naszej oazie, musiała zacząć schodzić na posiłki. Dziadek przywitał ją z ledwie dostrzegalnym, lecz bardzo ciepłym blaskiem w oczach, a kuzyn Artur, choć powściągliwy, wyraźnie dawał odczuć, iż cieszy się, że znów ją widzi. Wyraz twarzy ciotki Grace pozostał wciąż taki sam jak wtedy, gdy Charles Daventry wniósł Francine do holu - poza tym zaczęła nosić ładny, koronkowy kołnierzyk.

Napięcie rosło. Najbardziej zmieniło się zachowanie dziadka, który stał się nieomal dobrotliwy i wielce łaskaw dla Francine. Któregoś razu podszedł do niej w ogrodzie i powiedział, że chciałby z nią pospacerować, po czym przez cały czas opowiadał jej o posiadłości: jak jest ogromna, jak wielkie przynosi zyski i przez ile wieków należała do Ewellów. Kiedy indziej zażyczył sobie, by pojechała z nim odwiedzić paru dzierżawców, oczywiście miał im towarzyszyć kuzyn Artur.

- Źle to wszystko wróży - denerwowała się Francine. - Co mam robić, Pippa?

Nie wiedziałam, co jej radzić, rozmawiałyśmy o tym wszystkim bez końca. Francine coraz bardziej skłonna była uznać, że jedynym rozwiązaniem jest ucieczka. Łatwo powiedzieć, lecz dokąd uciekać?

Babka znakomicie wyczuwała sytuację.

- Jakoś z tego wybrniesz, moja droga - przekonywała. - Musisz być tylko szczerą wobec samej siebie.

Któregoś dnia wpadła Daisy - nie zachowywała się już wobec nas jak służąca. Byłyśmy przecież w znowie. Poza tym Daisy nie miała zwyczaju obnosić się z nadmiernym szacunkiem do kogokolwiek; była wybuchowa, ale też uczuciowa, życzliwa i zawsze dobrej myśli. Nieustannie

skłócona z gospodynią, panią Greaves, wciąż zagrożona zwolnieniem, nigdy się nie załamywała.

- Hans przyjechał - rzuciła od progu.

- Twój niesforny Chaps? - dopytywała się Francine.

- Zrobił się jeszcze gorszy niż był, jeśli chcecie wiedzieć.

A ucieszył się, gdy mnie zobaczył!

- Za to Tom nie będzie się cieszył - stwierdziłam.

- Och, Tom nie ma powodów do narzekania, słowo daję!

- Jemu daj słowo, nie nam - żartowała Francine.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Rade byłyśmy zapomnieć choć na chwilę o gradowej chmurze, która nad nami zawisała.

- Hans powiedział, że pokaże nam dom. Mówiłam mu, że panienki chciałyby obejrzeć, więc zanim państwo przyjadą... a przyjadą niedługo, lada dzień.

Pewnego ranka przybiegła i oznajmiła, że musimy iść natychmiast, jeszcze tego popołudnia, bo następnego dnia przyjeżdża baron. Nie mogłyśmy się doczekać. Nie wiem, jakim cudem, ale panna Elton nie zauważyła podczas lekcji, że coś się święci. Wymknęłyśmy się po cichutku i tak jak się wcześniej umówiłyśmy, poszłyśmy najpierw do chaty Daisy.

- Musimy iść dookoła, od stajni - powiedziała. - Hans zapewniał, że większość służących drzemie o tej porze - Daisy cmoknęła. - Jak to cudzoziemcy!

- Tutaj też niektórzy śpią - ironizowała Francine.

- Ale oni robią to zawsze. Hans mówi, że bezpieczniej będzie obejrzeć dom, kiedy śpią. Chociaż jak się ktoś będzie kręcił, to też nie szkodzi. Wiedzą, kim panienki są, i ucieszą się, jak panienki przyjdą. Hans mówi, że panna Francine to jest szon... czy jakoś tam. Jak powiedziałam, że panienka chce obejrzeć dom, pocałował rękę i dmuchnął na nią, no, wie panienka, że to niby dla panienki ten całus. Numer z niego, z tego Hansa. Gotowe?



Gdy dotarliśmy do stajni, Hans już na nas czekał. Stuknął obcasami i uklonił się w pas. Ze sposobu, w jaki patrzył na Francine, wywnioskowałam, że mu się podoba. A gdy zwróciła się do niego po niemiecku, wpadł w zachwyty. Miał bardzo jasną karnację, prawie białe włosy, oczy jakby przestraszone, bo brwi i rzęsy ledwo się odznaczały, zdrową cerę i mocne zęby. Uśmiechał się wesoło.

- Przyjeżdża baron - rzekł. - Bardzo ważna osoba. Francine spytała, jak długo baron zatrzyma się w Folwarku.

Hans wzruszył ramionami.

- A kto to wie? - odparł. - Wszystko zależy. Znowu mieli...

- Przewrót - stwierdziła z dumą Daisy. - Powiedzmy... Chodźcie!

Poszliśmy za nim ciemnym przejściem do wielkiej kuchni. Podłoga była wyłożona terrakotą, wzdłuż dwóch ścian stały ławy, a pod nimi kosze pełne warzyw i wszelakiego jedzenia, zupełnie nam nie znanego. Na krześle spał bardzo tłusty mężczyzna.

Hans przyłożył palec do ust i na palcach wyszliśmy z kuchni. Znaleźliśmy się w przestronnym, pięknie wyłożonym boazerią holu. Po obu stronach ogromnego kominka znajdowały się miejsca do siedzenia, nad kominkiem widniał piękny ornament. Pośrodku stał masywny dębowy stół, a na nim kandelabr. Pod ścianą ustawiono drewniane krzesła. Nad nimi wisiała broń, którą musieli posługiwać się nasi przodkowie, bo przecież był to dom naszej babki i zapewne został sprzedany cudzoziemcom z pełnym wyposażeniem.

- Jesteśmy w dużym holu - objaśnił Hans.

- Śliczny stary dom - zachwyciła się Francine. - Zupełnie inny niż Kamienny Dwór. Czujesz, Pippa? Tu w ogóle nie ma tej ponurej atmosfery.

- To przez te nasze ciemne meble - stwierdziłam.

- Raczej przez dziadka - uściśliła Francine.

- Tutaj są schody - mówił Hans. - Na dole jest kaplica, ale nie używamy jej. Chodźmy więc na górę. Do jadalni.

Jadalnia była pięknym pomieszczeniem o trzech ogromnych oknach z szybkami łączonymi ołowiem. Na wielkim stole stał świecznik podobny do tego w holu. Dekoracyjne tkaniny na ścianach miały niebiesko - kremowy deseń i pięknie pasowały do obić mebli.

- Jak tu ślicznie - wzdychała Francine.

- Rozumiem, dlaczego dziadek tak chciał kupić ten dom - wyszeptałam.

- Całe szczęście, że mu się to nie udało - wybuchnęła Francine gwałtownie. - Uczyniłby go równie ponurym, jak Kamienny Dwór.

Weszliśmy po paru schodkach jeszcze wyżej.

- Tu odpoczywają po kolacji damy - rozmarzyła się Francine - podczas gdy mężczyźni zostają przy stole, popijając portwajn.

Kolejnymi schodami i sklepionym przejściem wydostaliśmy się na korytarz i minęliśmy kilka zamkniętych pokoi. Hans położył palec na ustach, ostrzegając nas, byśmy były cicho. Fakt, że chodziliśmy tam, gdzie nie powinniśmy, dodawał wyprawie dreszczu emocji. Poszliśmy jeszcze wyżej, do solarium. Niewiele różniło się od solarium we Dworze. W jednej ze ścian znajdował się otwór, tak ukryty, że nie zauważyłabym go, gdyby Hans nam go nie pokazał.

- Widać przez tę dziurę duży hol - wyjaśnił. - Po drugiej stronie jest druga dziura, przez którą widać kaplicę. Świetny pomysł. Można obserwować, kto przychodzi...

- Niesamowite! - wykrzyknęła Francine. - Pamiętasz, jak babcia opowiadała, że czasami nie schodzili do kaplicy, tylko uczestniczyli w nabożeństwie, będąc w solarium.

Nagle Hans zastygł w bezruchu, a jego twarz stała się biała, jakby uszła z niej cała krew.

- Co się stało? - spytała Daisy.

- Słyszę powóz. O, nie... Na pewno...

Podbiegł do okna, złapał się za głowę.

- Co my teraz zrobimy?! Przyjechali! Tak wcześnie! Mieli przyjechać jutro. Gdzie ja was podzieję?

- Nie martw się o nas - uspokajała go Daisy.

- Ale ja muszę lecieć. Muszę być na dole. Cała służba zaraz tam zejdzie. Ja też muszę...

- Co więc mamy robić? - denerwowała się Francine.

- Zostańcie tutaj... ukryjcie się - rozejrzał się wokoło - jakby ktoś wszedł, schowajcie się za zasłonami. Przyjdę po was, jak tylko będę mógł, i was wyprowadzę. A teraz muszę lecieć...

- Idź, idź - wyprawiała go Daisy beztrosko. - Poradzimy sobie.

Hans kiwnął głową i czmychnął.

- Ale heca! - Daisy trzęsła się ze śmiechu.

- Co oni sobie o nas pomyślą? - zastanawiała się Francine.

- Nie mamy prawa tutaj przebywać.

- Po co płakać nad rozlanym mlekiem, panno France. Hans nas stąd wydobędzie. Sprytny z niego chłopak.

Spokojny i cichy dotychczas dom ożył niespokojną krzątaniną. Daisy podeszła na palcach do otworu w murze i przywołała nas ręką. Hol był pełen służby.

Drzwi się otworzyły, wszedł wykwintnie ubrany mężczyzna i coś wykrzyknął. W ślad za nim pojawiły się oczekiwane osobistości: mężczyzna i kobieta. Ustawieni w dwóch szeregach służący złożyli tak głęboki ukłon, że tylko czekałam, kiedy stukną się głowami. Adresaci owych hołdów mieli na sobie stroje podróżne, towarzyszył im dość młody mężczyzna o bardzo jasnych włosach. Za nimi wchodzili

kolejni goście, w sumie około dwudziestu osób, wśród nich zauważyłam dziewczynkę i chłopca.

Służba rozpiezchła się w różne strony, a przybysze skierowali swe kroki ku schodom.

- Schowajmy się lepiej za zasłony - zaproponowała Daisy.

- Nie przyjdą tu teraz - powiedziałam. - Pójdą do pokoi umyć się po podróży.

- Nie wiadomo, mogą przyjść. Lepiej się schowajmy - poparła Daisy Francine.

Ze schodów dobiegały odgłosy kroków i ożywionych rozmów. Skryłyśmy się w ostatnim momencie, gdy drzwi solarium otworzyły się. Serce biło mi jak szalone, kiedy wyobraziłam sobie, co się stanie, gdy nas tu znajdą, i odeślą do dworu, do dziadka. Dopiero byłybyśmy w niezłym kłopotcie!

Do pokoju weszła dziewczynka - mniej więcej w moim wieku. Stała i rozglądała się wokoło, a my wstrzymałyśmy oddech, zadając sobie w duchu pytanie, czy aby nas nie widać. Dziewczynka stąpając na palcach weszła w głąb pokoju, zatrzymała się i nasłuchiwała, aż wreszcie odezwała się po niemiecku:

- Jest tu kto?

Zrobiło mi się niedobrze ze wstydu i strachu, a ona odezwała się znowu, tym razem po angielsku:

- Wiem, że tu jesteście. Widzę nogi za zasłoną. Francine wyszła pierwsza.

- Kim jesteś? - spytała dziewczynka.

- Jestem Francine Ewell z Kamiennego Dworu - powiedziała Francine.

- Przyszłaś z wizytą?

- Tak - odpowiedziała Francine.

- A reszta?

- Daisy i ja wyszłyśmy także. Oczywiście dziewczynki spoczęły na mnie. Pewnie dlatego, że byłyśmy rówieśnicami.

- Przyszłyście z wizytą? - powtórzyła, patrząc na mnie. Uznałam, że najlepiej powiedzieć prawdę:

- Oglądałyśmy dom. Ciekawi nas ten dom, bo kiedyś należał do naszej babki.

- Znacie moją mamę... mojego tatę?

- Nie - odparłam.

- Nie wątpię, że poznałybyśmy ich, gdybyśmy dłużej tu zostały - wtrąciła Francine. - Jesteśmy z Kamiennego Dworu. Myślę, że czas na nas.

- Zaraz - przerwała dziewczynka i podbiegła do drzwi. - Mutti! - zawołała.

Do solarium weszła dostojna kobieta. Stała i przyglądała się nam ze zdziwieniem. Wpadłyśmy na dobre.

Francine wystąpiła i przemówiła z godnością czystą niemczyzną:

- Proszę nam wybaczyć. Zachowałyśmy się nierozważnie. Pragnęłyśmy zobaczyć ten dom, bo należał kiedyś do naszej babki i ona często go wspomina. Nie przypuszczałyśmy, że przyjadą państwo dzisiaj, i pomyślałyśmy, że to dobry moment, by go obejrzeć...

Kobieta przyglądała się nam ze zdziwieniem.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Francine Ewell. Mieszkam u dziadka w Kamiennym Dworze. A to moja siostra Philippa i nasza pokojówka Daisy.

Kobieta skinęła głową. A następnie uśmiechnęła się miło. Wpatrywała się we Francine, która, trzeba przyznać, wyglądała szczególnie ładnie z zarumienionymi policzkami i oczami błyszczącymi z emocji.

- Właśnie przyjechaliśmy... Miło, że nas odwiedziłyście. Zapraszam na szklaneczkę wina.

W tym momencie pojawił się Hans. Bardzo się zmieszał, gdy zobaczył, kto jest w pokoju, nie wiedział, czy odwrócić się i uciekać, czy zacząć wyjaśniać coś bez składu i ładu.

- Mamy gości, Hans - powiedziała kobieta. - Zaprowadź Daisy do kuchni i poczęstuj ją szklaneczką wina, przyślij też wino do weinzimmeru.

Hans stał zaskoczony. Daisy podeszła do niego i założyła się, że puściła oko. Wyszli razem, a my podążyłyśmy za panią tego domu schodami w dół, do mniejszego pokoju, przez który przechodziliśmy wcześniej.

- Siadajcie, proszę - zaprosiła kobieta. - A więc jesteście z Kamiennego Dworu. To dom tutejszych dziedziców. Większy niż nasz. Nasz to jedynie „folwark”. Miło mi, że nas odwiedziliście.

Francine wybąkała, że to nie tyle wizyta, co raczej zuchwałość.

- Zuchwałość? A cóż to takiego? Jeszcze jeden angielski zwyczaj?

Francine roześmiała się tak zaraźliwie, że gospodyni udzieliła się jej wesołość.

- Wie pani, byłyśmy okropnie ciekawe tego domu - usprawiedliwiała się Francine.

Wraz z winem pojawiła się dziewczynka, która znalazła nas w solarium.

- Czego sobie życzysz, Tatiano? - spytała kobieta. Dziewczynka powiedziała po niemiecku, że chciała zobaczyć gości.

- To niegrzecznie używać innego języka niż język gości - złąjała ją kobieta, którą uznaliśmy za jej matkę. - Uczysz się angielskiego. Dalejże... mów po angielsku.

- Znamy niemiecki z czasów, gdy mieszkaliśmy z rodzicami. A teraz mamy nauczycielkę, która jest na pół Niemką i rozmawiamy z nią po niemiecku.

- Doskonale. Język mógłby okazać się dla nas przeszkodą. A więc... dowiedziałam się, że ten pokój nazywano Pokojem Ponczowym. Zastanawiałam się, co to jest poncz. Kiedy się okazało, że to alkohol... pewien rodzaj wina, pomyślałam sobie, że nazwę to miejsce weinzimmerem... czyli pokojem, do którego zapraszam gości na szklaneczkę wina.

Tatiana usiadła i przyglądała nam się uważnie. Podczas rozmowy nasza gospodyni wyjaśniła, że jej matka była Rosjanką i to właśnie jej imię dała swojej córce. Hrabia von Bindorf, jej mąż, i ona, a także cała ich rodzina, zamierzali zamieszkać w Folwarku przez pewien czas.

Było to niezwykle pół godziny. Podejmowane przez hrabinę von Bindorf, sącyłyśmy wino jako honorowi goście, a nie intruzi. Hrabina pytała o wiele rzeczy, a my opowiadałyśmy o sobie.

W końcu Francine stwierdziła, że musimy już iść, a pani domu zaprosiła nas, byśmy odwiedziły ją ponownie.

Odprowadzono nas do bramy, gdzie już czekała Daisy. Rozemocjonowane i zachwycone, gadałyśmy jedna przez drugą całą drogę do domu. Daisy opowiadała, jak bardzo Hans się zdziwił, że sprawy przybrały taki obrót, i jak bardzo był nam wdzięczny, że ominęła go bura.

\* \* \*

Nie spałyśmy tej nocy. Leżałyśmy i rozmawiały o naszej przygodzie. Francine doszła do wniosku, że powinnyśmy przynajmniej tydzień poczekać i wybrać się z wizytą do państwa von Bindorf.

Daisy była pełna entuzjazmu. Ona i Hans żyli w wielkiej przyjaźni. Tom zieleniał z zazdrości, a Daisy rozpierała duma, że jest obiektem pożądania obydwu.

Zbliżały się siedemnaste urodziny Francine. Podczas którejś kolacji dziadek wspomniał, że jest to okazja, którą należy uczcić. Ciotka Grace nerwowo mięła koronkowy

kołnierzyk, starając się sprawiać wrażenie niezwykle przejętej. Doskonale wiedziała, jaki jest powód obchodzenia tej uroczystości, a ponieważ sama stała się ofiarą despotyzmu dziadka, bała się o los Francine.

- Wiesz, co on zrobi podczas przyjęcia urodzinowego? - powiedziała później Francine. - ogłosi zaręczyny.

Przytaknęłam ponuro.

- Zamierzam odwiedzić hrabinę von Bindorf - zdecydowała Francine. - Pójdziemy dziś po południu.

- Świetnie - zgodziłam się - ale czy to nam w czymś pomoże?

- Nie wiem - odpowiedziała. W jej oczach dostrzegłam jednak jakiś zamiar, jakby coś sobie zaplanowała.

Śmiało przeszliśmy przez bramę. Pociągnęliśmy za dzwonek i usłyszałyśmy, jak jego dźwięk niesie się po domu. Drzwi otworzył lokaj w kolorowej liberii. Weszliśmy do holu.

- Przyszliśmy odwiedzić hrabinę von Bindorf na jej zaproszenie - oznajmiła Francine po niemiecku z poważną miną.

- Pani hrabina jest nieobecna - odparł mężczyzna.

- Ach, tak...

- A panna Tatiana? - natchnęło mnie nagle. Interesowała się nami, więc może choć ona nas przyjmie.

Lokaj pokręcił głową. Wyglądało na to, że Tatiany także nie ma w domu. Nie wypadało nam zrobić nic innego, jak odejść. Ledwie jednak drzwi zamknęły się za nami, gdy spostrzegłyśmy zbliżającego się do Folwarku jeźdźca. Zeskoczył z konia, przyjrzał się nam i uklonił. Zawołał chłopca stajennego, który natychmiast przybiegł, by odprowadzić konia.

- Panienki... zabłądziły? - spytał, wpatrując się we Francine. - Mógłbym w czymś pomóc?



Mówił dobrze po angielsku, z ledwie słyszalnym obcym akcentem. Francine rozpromieniła się. Mężczyzna był niezwykle przystojny - wysoki blondyn o szarych oczach i radosnym uśmiechu; mógł mieć, jak przypuszczałam, niewiele ponad dwadzieścia lat.

- Przyszliśmy do hrabiny - wyjaśniła Francine - zaprosiła nas... Ale dowiadujemy się właśnie, że nie ma jej w domu.

- Wróci nieco później. Czy nie miałyby panie nic przeciwko temu, gdybym ją tymczasem zastąpił? Proszę na herbatę. Czyż nie herbatę pija się w tym kraju o tej porze?

Policzki Francine lekko się zaróżowiły, a jej niebieskie oczy błyszczały z emocji.

- Byłoby nam bardzo miło - powiedziała.

- Proszę, więc - pociągnął za dzwonek i lokaj otworzył drzwi. - Mamy gości - rzekł.

Służący nie okazał zdziwienia, że widzi nas ponownie, a młody mężczyzna wydał po niemiecku polecenie, by podano herbatę. Wprowadził nas do pokoju, w którym poprzednio piłyśmy wino, i poprosił, byśmy usiadły.

- Jest pan zapewne kuzynem hrabiny von Bindorf ? - indagowała Francine.

- Nie... nie. Nie jesteśmy spokrewnieni. Ale proszę opowiedzieć o sobie.

Francine wyjaśniła, że mieszkamy w Kamiennym Dworze, i opowiedziała, jak poznałyśmy panią Folwarku.

- Prosiła, byśmy odwiedziły ją ponownie - powtarzała.

- Będzie jej przykro, gdy się dowie, że panienki były i jej nie zastały... Na nieszczęście dla niej. Za to na szczęście dla mnie.

- Jest pan bardzo uprzejmy - uśmiechnęła się Francine z odrobiną kokieterii.

- Czy można być innym wobec takiej urody? Francine, jak zwykle, rozkwitała, gdy ją podziwiano, i już po chwili

paplała wesoło o naszym życiu na Wyspie i w Kamiennym Dworze, czego młodzieniec słuchał z wielką uwagą.

- Jestem taki szczęśliwy, że zjawiłem się akurat w tym momencie - zapewniał. - Dzięki temu miałem przyjemność poznać panią i tę małomówną osobkę.

- Och, Pippa wcale nie jest małomówna. Zwykle ma bardzo dużo do powiedzenia.

Podano herbatę i najapetyczniejsze ciasteczka, jakie widziałam w życiu - różnokolorowe, przybrane spiralkami kremu. - Młody mężczyzna przyglądał się Francine.

- Będzie pani musiała pełnić... jak wy to nazywacie?... honory pani domu.

Francine ochoczo zajęła miejsce przy imbryczku. Jasne włosy wymknęły się spod wstążki, która je przytrzymywała, a której wymagano w Kamiennym Dworze, i rozsypały się na ramionach. Doprawdy rzadko prezentowała się aż tak pięknie.

Dowiedziałyśmy się, że młody człowiek nazywa się Rudolph von Gruton Fuchs i pochodzi z Bruxensteinu.

- Brzmi to dostojnie i odlegle - stwierdziła Francine. - Odlegle... tak, być może. A czy dostojnie? Któregoś dnia przyjedzie pani do mojego kraju i sama się przekona.

- Bardzo chętnie.

- Byłbym szczęśliwy mogąc gościć panią w moim kraju.

Teraz jednak - zawahał się i posmutniał. - Teraz mamy trochę kłopotów. Zresztą często je miewamy.

- Zdaje się, że to nad wyraz kłopotliwa część świata - zauważyła Francine.

- Można to i tak określić, ale na razie jesteśmy z dala od niej i spędzamy urocze popołudnie.

Zerknął ku mnie, ale zauważyłam, że niechętnie odrywa wzrok od Francine.

- Pańskie życie jest zatem pełne przygód - rzekła Francine.

- Żadnej z moich przygód nie uważam za równie fascynującą, jak dzisiejsza.

Francine mówiła i mówiła. Wydawało się, że sympatyczne spotkanie działa na nią jak odtrutka. Postanowiła cieszyć się w dwójnasób, nim nadejdzie przerażające urodzinowe przyjęcie. Przysięgała, że nigdy nie zgodzi się na małżeństwo z kuzynem Arturem, ale zbyt trzeźwo patrzyła na świat, by nie zastanawiać się, co z nami będzie, jeśli swą odmową rozsierdzi dziadka... albo co gorsza dziadek nie weźmie jej zdania w ogóle pod uwagę. Chciała więc nacieszyć się tym popołudniem. Rudolph podobał jej się. A ona podobała się jemu. Widziałam, że Francine stara się przedłużyć spotkanie, w końcu jednak, ociągając się, wstała i powiedziała, że musimy już iść.

- Tak szybko? - zdziwił się.

Wcale nie tak szybko. Rozmawiali ponad półtorej godziny.

- W naszym domu obowiązują surowe zasady - odparła. Powiedział, że odprowadzi nas do dworu, ale Francine wpadła w taką panikę, że zaniechał tego pomysłu. Szedł z nami jednak aż do bramy, po czym skłonił się i pocałował każdą z nas w rękę. Zauważyłam, że rękę Francine zatrzymał w swojej dłużej niż moją. Puściliśmy się pędem przez pole w stronę dworu.

Zaproszenie dotarło do nas za pośrednictwem Hansa. Hans przekazał je Daisy, a Daisy Francine. Hrabina oczekiwała Francine o trzeciej po południu. O mnie nie wspomiano, wobec tego Francine poszła sama. Pełna napięcia siedziałam na polu przy chatach. Wróciła po godzinie - zarumieniona i rozgorączkowana.

- Widziałas się z nim?... No... z Rudolphem? Potrząsnęła głową, wyglądała na oszołomioną. „Czyżby kolejny adorator?”, myślałam.

- Niebywałe - mówiła - widziałam się z panią von Bindorf. Zaprosiła mnie na bal.

- Na bal? Jak to na bal?

- Wydają bal i zostałam zaproszona, po prostu.

- Wcale mi się to nie wydaje proste. Wyobrażasz sobie, że dziadek się zgodzi? Skąd weźmiesz suknię?

- Wiem. Myślałam o tym wszystkim, ale powiedziałam, że przyjdę.

- W sukni z granatowej serży czy w najlepszej popelinowej?

- Nie bądź taką pesymistką. Jakoś zdobędę suknię.

- To ci się tylko tak wydaje...

- Co się z tobą dzieje, Pippa? Jesteś zazdrosna?

- Ani trochę - wykrzyknęłam. - Bardzo chcę, żebyś poszła na bal z Rudolphem, ale nie wyobrażam sobie, że potrafisz to zorganizować.

- Pippa - zaczęła i nikt nigdy nie wydał mi się bardziej zdeterminowany niż Francine w tamtej chwili - ja pójdę na ten bal.

Całą drogę powrotną i pół nocy rozmawiałyśmy o balu. Pełna euforii i niezachwianej wiary we własne zdolności czynienia rzeczy niemożliwych możliwymi Francine odsunęła beztrąsko na bok praktyczną stronę zagadnienia z nadzieją, że jakoś to będzie.

- Matka chrzestna - wróżka? - pytałam. - Może są takie w Bruxensteinie, ale nie w Kamiennym Dworze. Ciekawe, skąd weźmiemy dynię na karetę... parę szczurów w okolicy by się pewnie znalazło, z końmi nie będzie więc kłopotu.

- Pippa, nie kpiluj sobie z poważnych spraw.

Następnego dnia poszłyśmy jak zwykle z wizytą do babki, która od razu się zorientowała, że coś się wydarzyło. Niewiele potrzebowała, by wyciągnąć z nas sekret. Słuchała jak urzeczona.

- A więc Ponczowy Pokój nazywa się teraz weinzimmer. Podoba mi się hrabina i czarujący Rudolph.

Babka była romantyczna. Jakimś cudem życie obok naszego dziadka nie uczyniło z niej osoby zgorzkniałej, a jedynie bardziej wrażliwą i wyrozumiałą.

- Francine musi pójść na ten bal - zdecydowała. Słuchałam zdziwiona. Babka potrafiła znaleźć sposób na wszystko. Suknia? Zdaje się, że jest kawałek materiału w jednym z kufrów. Kiedyś chciała świętować urodziny drugiego dziecka... nie, nie Grace... dziecko urodziło się martwe. Kupiła wtedy błękitny jedwabny szyfon haftowany w srebrne gwiazdki.

- To był najpiękniejszy materiał, jaki kiedykolwiek widziałam - wspominała. - Gdy straciłam dziecko, zwinęłam go i schowałam. Poprosimy Agnes, by odszukała materiał.

Agnes cieszyła się, widząc swoją panią w tak dobrym nastroju. Zwierzyła mi się kiedyś, że babka bardzo się zmieniła od naszego przyjazdu.

Materiał się znalazł i Francine aż krzyknęła z zachwytu na jego widok. Gwiazdki błyszcząły równie jasno jak w dniu, gdy go kupiono.

- Weź go - rzekła babka - idź do Jenny i powiedz, żeby zabrała się jak najszybciej do roboty. Da sobie radę, szyła czasem balowe suknie dla wchodzących w życie panienek.

Rozgorączkowane pobiegłyśmy do Jenny. Daisy razem z nami. Daisy słyszała od Hansa, że hrabina zaprosiła Francine na polecenie barona, który był w Folwarku najważniejszą osobą. Hans wiedział, dlaczego, ale nie powiedział Daisy.

Jenny Brakes zdziwiła się, widząc materiał na suknię balową.

- Czy to na panienki urodziny? - spytała. - Panna Grace mówiła już, żebym przyszła, i że ma kawałek ładnej tafty na urodzinową sukienkę. To będzie szczególne przyjęcie.

- Nie - odrzekła Francine - ta sukienka musi być wyjątkowo piękna.

- I szyta w tajemnicy - dodała Daisy. Jenny zrobiła przestraszoną minę.

- Nie obawiaj się, nikt się nie dowie.

- Ale... nie rozumiem...

- To całkiem proste - wyjaśniła Francine. - Muszę mieć szybko balową suknię, a ty nie możesz powiedzieć, że szyjesz ją dla mnie.

- Ale dla panienki jest tafta...

- Będę miała dwie suknie.

Biedna Jenny Brakes! Wiedziałam, co czuła. Była przerażona, że sprzeciwia się dziadkowi. Mieszkała w jednej z jego chat i gdyby dowiedział się, że szyje balową suknię dla jego wnuczki, z pewnością bardzo by się rozgniewał, a w gniewie nie znał miłosierdzia.

W końcu jednak zgodziła się i zaraz zaczęła szkicować wykrój. Miałyśmy sporo zabawy z wymyślaniem fasonu. Obmyśliłyśmy też szczegółowy plan. W balową noc Francine wymknie się ze dworu i pójdzie do chaty Emmsów. Matka Daisy, która ochoczo z nami spiskowała, przechowa suknię u siebie i pomoże Francine się przebrać. Stamtąd Francine pobiegnie przez trawnik do Folwarku. Podobnie jak jej córka, pani Emms lubiła przygody. Gotowa nawet była ponieść konsekwencje gniewu dziadka, gdyby coś się wydało.

- I tak nas stąd nie wyrzuci - stwierdziła. - Emmsów nie wyrzuci. Za długo tutaj jesteśmy, a Jim jest mu zbyt potrzebny.

Wszystko zostało załatwione.

Daisy przynosiła różne wieści o tym, jak wspaniale zapowiada się bal. Wydaje się go na cześć kogoś bardzo ważnego - prawdopodobnie adoratora Francine.

- Co za przygotowania... jedzenie... kwiaty. Królewski bal.

W końcu nadszedł wielki dzień. Wymknęłyśmy się z Francine do chaty Emmsów i tam przy pomocy Daisy Francine ubrała się w suknię. Kilkoro małych Emmsów przyglądało się jej z zachwytem, wyglądała rzeczywiście jak królewna z bajki. Powiedziałam jej, że wygląda olśniewająco.

Umówiłyśmy się, że będę czuwała przy oknie i gdy zobaczę, że wraca, zejdem po cichu na dół i jej otworzę. Najpierw oczywiście wstąpi do Emmsów i przebierze się w codzienny strój, a suknię przyniesie następnego dnia Daisy.

Wszystko zostało dokładnie przygotowane i uznałam, że tylko jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności mógłby nam pokrzyżować plany. Zobaczywszy - z bezpiecznej odległości - że Francine wraz z innymi gośćmi weszła do Folwarku, wróciłam do domu. Siadłam przy oknie i wyglądałam. W dali widniały wieże jaśniejące światłami, dobiegały mnie też dźwięki muzyki. Widziałam kościół i szare płyty nagrobków, myślałam o nieszczęsnej ciotce Grace i Charlesie Daventry, którzy nie mieli dość odwagi, by żyć tak, jak pragnęli. Wiedziałam, że Francine nigdy takiej odwagi nie zabraknie.

Ślą łaskę niebiosy, przypomniałam sobie, spoglądając w górę ku czarnemu atlasowi nieba, ku świecącym gwiazdom i okrągłemu księżycowi. Co za piękny widok! Modliłam się o szczęście dla Francine, o cud, który wybawiłby ją od małżeństwa z kuzynem Arturem. Przyszło mi na myśl stare hiszpańskie przysłowie, które usłyszałam kiedyś od ojca. Brzmiało jakoś tak: „Bierz, co chcesz - powiada Bóg - ale zapłata cię nie minie”.

Bierz i płac. I nie żałuj. Mój ojciec wybrał drogę, która pozbawiła go ojcowizny, rodzinnego domu. Dziadek obrał inną drogę - wszyscy musieli tańczyć, jak im zagrał, ale nikt

go nie kochał. Za nic na świecie nie wybrałabym drogi dziadka.

Wybiła chyba jedenasta, gdy usłyszałam zamieszanie na dole. Serce waliło mi jak młotem. Umówiliśmy się z Francine, że ma przejść pod oknem, gdzie ja będę czekać - i czekałam. Nie zauważyłam jej jednak, poza tym jedenasta to za wcześnie, by wychodzić z balu.

Podeszłam do drzwi i nasłuchiwałam. Słyszałam głos dziadka. „Niecna dziewczko... rozpustnico... Idź do pokoju. Dostaniesz za swoje. Porozmawiamy jutro. Coś odrażającego. Nie wierzyłem własnym oczom... Pod moim dachem... przyłapać taką... na gorącym uczynku”.

Ktoś wchodził po schodach. Zamarłam w oczekiwaniu. Spodziewałam się, że lada chwila pojawi się Francine.

Ale nie weszła. Gdzie się podziewa. Przecież powiedział: „Idź do pokoju”. A ona nie przychodziła, nie mogłam zrozumieć dlaczego.

Wróciłam do okna. Na dole panowała cisza. Znów podeszłam do drzwi. Usłyszałam kroki dziadka udającego się do swojej sypialni. Umierałam ze strachu.

Minęło pół godziny, gdy usłyszałam cichutkie pukanie. Podbiegłam i otworzyłam drzwi, Daisy omal nie upadła na progu. Włosy miała zmierzwiłone, oczy szeroko otwarte.

- Wszystko przez Toma - mamrotała. - On. On nas wydał.

- To na ciebie dziadek tak krzyczał? Przytaknęła.

- Och, Daisy! Co się stało?

- Przyłapał nas... Hansa i mnie... Na starym cmentarzu. Zawsze tam lubiłam. Na miękkiej trawie, tak się tam czuje życie... życie wśród śmierci.

- Szalona. A ja myślałam, że to Francine. Chodź, siądziemy przy oknie. Muszę jej wyglądać. Jeszcze jest na balu. Przypuszczam, że jeszcze długo tam zabawi. Ale ty opowiadaj, co się wydarzyło.



- Hans powiedział, że wyrwie się wpół do jedenastej, a ja miałam czekać koło Richarda Jonesa. Miał trzy żony i wszystkie leżą razem z nim. Ładny sobie zrobił nagrobek. Takiego ślicznego anioła stróża, można się o niego oprzeć, i człowiek czuje się bezpieczny i szczęśliwy. Tom też tam lubił.

- I co robiliście?

- To co zwykle - uśmiechnęła się na samo wspomnienie. - Ten Hans to ma coś w sobie. Tom się wścieka, to jasne. Hans napisał do mnie liścik, że będzie czekał koło Richarda Jonesa, a ja gdzieś ten liścik zgubiłam. Musiał wpaść w łapy Toma. Ale nigdy bym nie pomyślała, że powie... chociaż wie panienka jak to z zazdrością. Iii, co tam panienka może wiedzieć, czasami zapominam, że panienka taka jeszcze młodziutka. Siostrzyczka i ja... szybko się panienka przy nas wychowa. Umówiliśmy się więc na cmentarzu. Dziadek panienki musiał widzieć, jak się spotkaliśmy. Pewnie gdzieś tam się schował. Założę się, że za Thomasem Ardley'em. Nigdy nie znosiłam tego grobu. Dostaję gęsiej skóry na jego widok. I wtenczas wyskoczył i nas złapał... w samym środku... można powiedzieć. Zaczął krzyczeć, a ja tu z rozpiętym stanikiem i zadartą spódnicą. A Hans... Dziadek ciągle powtarzał: „I to w takim miejscu...” Złapał mnie za ramię i pociągnął do dworu. Pewnie panienka słyszała, jak wykrzykiwał w holu: „Idź do pokoju! Porozmawiamy rano”. Wyrzuci mnie jak nic. I co mama powie? Zawzięła się, żebym dostała to miejsce i wreszcie się ustatkowała.

- Nigdy się nie ustatkujesz, Daisy.

- Pewnie nie - przyznała ponuro. - Ale jutro mnie wyrzucą. Każą mi brać, co moje, i wracać do matki. Ale może dostanę miejsce w Folwarku, jak Hans poprosi.

Siedziałyśmy przy oknie. Na starym kościelnym zegarze wybiła północ. Nie czułam się senna. Zastanawiałam się, co

bez niej poczniemy, jeśli zostanie zwolniona - tak wiele dla nas przecież znaczyła.

Francine wróciła o drugiej nad ranem. Pomknęłam na dół i odsunęłam ciężką zasuwę. Oczy jej lśniły jak gwiazdy, gdy na palcach wspinałyśmy się na górę. Daisy wciąż siedziała w naszym pokoju i pośpiesznie opowiedziała Francine, co się stało.

- Daisy, ty wariatko! - wykrzyknęła Francine.

- Wiem - przyznała Daisy. - Trudno. Muszę się zobaczyć z Hansem.

- Jak bal? - spytałam.

Klasnęła w dłonie, pełen zachwytu wyraz twarzy świadczył o wszystkim. Było wspaniale. Cały wieczór tańczyła z baronem. Oczarowała wszystkich.

- Bal został chyba wydany na moją cześć - oznajmiła. - Tak się przynajmniej wydawało. A baron... chodząca doskonałość. Mężczyzna moich marzeń.

- Nie to, co kuzyn Artur - wtrąciłam i zaraz pożałowałam, że przywołując to imię, burzę cudowny nastrój.

Ale Francine prawie tego nie zauważyła.

Powiedziałam Daisy, że powinna iść do siebie i trochę się przespać. Musi pamiętać, że rano czeka ją ciężka próba. Wyszła, ociągając się nieco, a Francine zaczęła się rozbierać.

- To coś, czego nigdy nie zapomnę - mówiła. - Chciał mnie odprowadzić do dworu, więc musiałam wszystko wyjaśnić. Odprowadził mnie do Emmsów i czekał przed chatą. Gdy wyszłam w starej sukience z serży, wciąż tam stał. Towarzyszył mi aż do trawnika. Powiedziałam mu o dziadku i o kuzynie Arturze. Wykazał wielkie zrozumienie...

- Ale już po wszystkim, Francine - powiedziałam.

- Nie - odparła. - To dopiero początek.

\* \* \*

Następnego ranka zgromadziliśmy się wszyscy w kaplicy. Francine i ja usiadłyśmy razem z ciotką Grace w pierwszym rzędzie. Dziadek wszedł w towarzystwie kuzyna Artura i zdawało mi się, że skrywa uczucie podniecenia, jakby to, co miał zrobić, nie było mu całkiem nie w smak.

Stanął za pulpitem, a kuzyn Artur siadł obok Francine, która przysunęła się jak najbliżej do mnie, co chyba nie uszło uwagi kuzyna.

Dziadek uniósł ręce w górę i rzekł:

- To dla mnie smutna chwila. Znalazłem się w niesmacznej i upokarzającej sytuacji. Ktoś spośród służby, ktoś, kogo przyjąłem pod swój dach, zachował się w sposób przynoszący wstyd naszemu domowi. Trudno mi opisać odrazę towarzyszącą memu odkryciu.

„Ale teraz rozkoszujesz się tą odrazą, dziadku”, pomyślałam.

- Przyzwoitość wzbrania mi opisać zachowanie owej rozwiązłej istoty. Została przyłapana na gorącym uczynku. Uznałem za swój obowiązek osobiście się przekonać, czy dopuszcza się aktu zepsucia moralnego. Nie mogłem uwierzyć, by moja służąca zdolna była do takiego postępuku. Chciałem zobaczyć to na własne oczy. Stanie teraz przed nami ze swoją winą. Będę jednak prosił Boga, by okazał łaskę, dał jej możliwość okazania skruchy.

- Jaki wielkoduszny - szepnęła Francine.

- Niech wejdzie - zawołał.

Pani Greaves wprowadziła Daisy. Na ciemne ubranie, które nie było strojem służby Kamiennego Dworu miała narzucony płaszcz.

- Podejź tutaj, dziewczko - nakazał dziadek. - Niech wszyscy ci się przyjrzą, niech czerpią naukę z twojego szaleństwa.

Daisy podeszła parę kroków. Twarz jej okrywała bladość i zachowywała się mniej pewnie niż kiedykolwiek przedtem, nic nie pozostało z dawnej buntowniczką, żwawej Daisy.

- Ta oto istota - ciągnął dziadek - jest tak zdeprawowana, że nie tylko grzeszy, ale robi to w świętym miejscu. A może okazać się i tak, że będą owoce wczorajszego postępu. Zło, które jest naszym dziełem, obecne jest w życiu czasem i dwóch, i trzech pokoleń. Proszę, byście wszyscy uklękli i modlili się za duszę tej grzeszniczki. Jest jeszcze czas, by zawróciła ze złej drogi. Będę o to prosił Boga.

Oczy dziadka niezdrowo lśniły, gdy patrzył na Daisy, co wzbudziło moje podejrzenie, że wyobraża ją sobie w sytuacji, w jakiej ją wczoraj zastał, i rozkoszuje się tym w jakiś sposób. Zastanawiałam się, czy sprawia mu przyjemność świadomość, że inni grzeszą, bo wtedy on wydaje się jeszcze bardziej cnotliwy. A ten rodzaj grzechu działał na niego w szczególny sposób. Zachowywał się jak purytanie, o których kiedyś czytałam. Zastanawiałam się, czy rozkaże naszyć Daisy czerwoną łąkę na staniku.

Kuzyn Artur wygłosił krótkie kazanie o karze za grzechy, po czym znów się modliliśmy. Daisy stała przez cały czas bez ruchu. Chciałam do niej podejść, objąć ją i powiedzieć, że cokolwiek zrobiła na cmentarzu, nie było to nawet w połowie tak złe, jak to, co dziadek robił w tej chwili.

W końcu nabożeństwo się skończyło.

- Weź swoje rzeczy, dziewczko, i wynoś się. Nie chcemy cię tu więcej widzieć.

Francine i ja poszłyśmy na lekcje. Panna Elton czekała na nas blada i cicha.

- Nienawidzę go - wybuchnęła Francine. - Wstrętny staruch. Chcę uciec z tego domu. Była bliska płaczu.

Panna Elton nie zgañała nas. Ona też była wstrząśnięta.

\* \* \*

Jeszcze tego samego dnia poszliśmy odwiedzić Daisy. Zastałyśmy panią Emms, kilkoro dzieci biegało tam i z powrotem, ale Daisy nie zastałyśmy.

- Poszła do Folwarku - powiedziała pani Emms. - Zobaczyć się z Hansem. Pani Emms pokiwała ze smutkiem głową.

- Wyrzucili ją. Z początku myślałam, że to przez tę suknię i przez bal...

- Dziadek nie wie nic o balu - zapewniła Francine.

- I niech Bóg ma nas w opiece, jeśli się kiedykolwiek dowie.

- Szczerze mówiąc... Nie dbam o niego. Nienawidzę i jego, i tego zadowolonego z siebie Artura. Nienawidzę Kamiennego Dworu. Nie chcę tam mieszkać.

- Moja biedna Daisy. A wszystko o te trochę uciechy. Nie ona pierwsza przecież.

- Martwimy się o nią. Co będzie robiła?

- Kto to wie?

- Proszę jej powtórzyć, że przyszliśmy ją odwiedzić - poprosiła Francine. - Proszę jej powiedzieć, że jesteśmy oburzone, że uważamy to, co zrobił dziadek, za odrażające.

Już miałyśmy wychodzić, gdy nadeszła Daisy. W niczym nie przypominała wczorajszej przygnębionej grzesznicy. Rzuciłyśmy się ku niej i uściskałyśmy ją.

- Daisy - zaczęła Francine - tak się o ciebie martwimy!

- Niepotrzebnie - wypaliła Daisy triumfalnie. - Jakoś sobie poradziłam.

- Nie!?! - wykrzyknęłyśmy zdziwione.

- Tak. W połowie miałam to przyrzeczone już wcześniej. Dlaczego nie miałabym pracować w Folwarku? Hans obiecał spytać... No i przyjęli mnie. Rozmawiałam z samym szefem. Bardzo ważnym panem... podkreśnione wąsy, tłuste policzki.

Pacnął mnie po ramieniu i powiedział: „Od jutra zaczynasz!”  
Jako podkuchenna. Ale za to w jakiej kuchni!

- Cudownie! - ucieszyłam się.

Pani Emms usiadła z rozstawionymi nogami, ręce oparła na tłustych kolanach. Kiwała głową zamyślona.

- A co będzie, jak wyjadą? - spytała. - Nigdy nie zostają tu dłużej niż parę miesięcy.

- Hans mówi, że mogę jechać z nimi.

Prysnęła radość. Wszystkie myślałyśmy o tym samym. Pani Emms nie chciała stracić Daisy. My także. Ale dla Francine myśl o wyjeździe mieszkańców Folwarku była szczególnie trudna do zniesienia.

\* \* \*

Dalsze wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Ustalono termin uroczystości urodzinowych Francine na pierwszy tydzień września. Goście mieli przyjechać w poniedziałek, Francine kończyła siedemnaście lat we wtorek, a na czwartek zaplanowano ich wyjazd.

Jenny Brakes przychodziła, by uszyć dla niej suknię z ciemnoczerwonej tafty. Dla mnie przeznaczono materiał ciemnoniebieski - zdaniem ciotki Grace był to kolor ładny i praktyczny. Nieszczęsna Jenny czuła się zakłopotana, jej ciężkie przewinienie związane z niebieskim szyfonem wisiało nad nią niczym chmura gradowa, a wobec przykrości, których doświadczyła Daisy, czuła się nad wyraz nieswojo. Szycie sukni w tajemnicy nie było wprawdzie tak wielkim grzechem, jak rozwiązłość na cmentarzu, lecz nasz dziadek - - tyran budził grozę.

Francine ogarnął znakomity nastrój przed zbliżającym się coraz szybciej sądnym dniem. Chodziła codziennie do Folwarku Granterów, wiedziałam, że spotyka się ze swoim romantycznym baronem.

Rozesłano zaproszenia do gości. Rozpoczęto wielkie przygotowania. Dwa tygodnie przed urodzinami dziadek posłał po Francine. Udała się do biblioteki z wysoko podniesioną głową, a ja czekałam w naszym pokoju przerażona, nie ulegało bowiem wątpliwości, że nadchodzi przełomowa chwila. Po półgodzinie wróciła z rozpalonymi policzkami i płonącymi oczami.

- Powiedział mi, że mam poślubić kuzyna Artura, że jego świątobliwy bratanek poprosił go o moja rękę, na co on łaskawie wyraził zgodę. Nie miał wątpliwości, że wiedząc, iż taka jest jego wola, przyjmę tę propozycję z radością.

- I co odpowiedziałaś?

- Byłam bardzo ostrożna, Pippo. Pozwoliłam mu wierzyć, że stanie się, jak on chce.

- To znaczy... zmieniłaś zdanie? Potrząsnęła głową.

- Przysięgam, że o wszystkim ci powiem. Zanim cokolwiek zrobię, dowiesz się o tym.

Po raz pierwszy nie powiedziała mi wszystkiego, poczułam niepokój. Poszłam odwiedzić babkę. Opowiedziałyśmy jej już o balu, słuchała uśmiechając się i trzymając nas za ręce, tak jak lubiła. Martwiła się o Francine, uważała, że jeśli Francine wyjdzie za kuzyna Artura, jej życie stanie się nie do zniesienia. „Umrę szczęśliwa, powtarzała, wiedząc, że wy obie jesteście zadowolone. Musicie odważnie domagać się życia wedle własnego wyboru. I nie bać się konsekwencji”. Opowiedziałam jej o Daisy.

- Nazywa siebie sprawiedliwym. Ustanowił zbiór zasad, które niewiele mają wspólnego z moralnością. Daisy jest dziewczyną, wokół której zawsze będą się kręcić mężczyźni. Może wynikną z tego także kłopoty, ale sama znajdzie sposób na ich rozwiązanie. A jego nieżyczliwość, jego szorstkość, bawienie się w tak zwaną sprawiedliwość, która rani innych, jest większym grzechem niż ten, który popełniła Daisy. Moje

dziecko, może to dziwne, że mówię takie rzeczy. Jeszcze przed kilku laty bym tego nie powiedziała... ani nawet tak nie pomyślała. Dopiero gdy ośleplam i uzmysłowiłam sobie, że moje życie w zasadzie już się skończyło, zajrzałam w przeszłość i zobaczyłam rzeczy, których nie widziałam mając znakomity wzrok.

- Jak myślisz, babciu, co Francine zamierza w związku z Folwarkiem?

- Możemy się tylko domyślać. Może szuka sposobu ucieczki. Nie powinna wychodzić za mąż za człowieka, którego nie kocha. Nie może stać się kolejną ofiarą dziadka.

Ledwie wyszłam od babki, Francine wróciła z Folwarku. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak rozgorączkowanej.

- Wyjeżdżam z Kamiennego Dworu - oświadczyła. Rzuciła mi się w ramiona, objęłyśmy się mocno.

- Wyjeżdżasz... - wyjąkałam. - A ja mam zostać...

- Przyślę po ciebie. Przyrzekam.

- Kiedy wyjeżdżasz? Jak?

- Zamierzamy pobrać się z Rudolphem. Wyjeżdżamy natychmiast. To wszystko jest nad wyraz skomplikowane.

- Opuście Anglię?

- Tak. Pojedziemy do jego kraju. Pippa, jestem taka szczęśliwa... To bardzo zagmatwane... Dopiero dowiem się różnych rzeczy. Ale jestem taka szczęśliwa... poza tym, że muszę cię opuścić.

Wiedziałam, że to nieuniknione. Nigdy by nie poślubiła kuzyna Artura. Z jednej strony nadarzyła się jej możliwość ucieczki, z drugiej - była zakochana. Starłam się cieszyć jej szczęściem, ale udawało mi się jedynie myśleć o czekającej mnie samotności.

- Głowa do góry, Pippa. To nie potrwa długo. Rudolph mówi, że będziesz mogła do nas przyjechać, ale jeszcze nie teraz. Musi szybko opuścić Anglię. Jest ważną osobistością w



swoim kraju, gdzie knują jakieś intrygi... Nie możemy bez siebie żyć, wiemy o tym oboje. Dlatego pojedę z nim. Wyjeżdżamy dziś w nocy. Pomóż mi spakować rzeczy. Niewiele. Wszystko będę miała nowe, zabiorę tylko moją balową sukienkę. Och, Pippa, nie bądź taka przestraszona. Przyślę po ciebie, na pewno.

Pomogłam jej spakować rzeczy. Była tak rozemocjonowana, że nie potrafiła składnie wyrazić myśli.

- Musisz zobaczyć się z babką przed wyjazdem. Musisz jej powiedzieć...

- Ona z pewnością zrozumie - zapewniała Francine.

To był dziwny wieczór. Zjedliśmy kolację jak zwykle. Dziadek był w dobrotliwym nastroju, sądząc, że wszystko idzie po jego myśli. Kuzyn Artur wyglądał na zadowolonego z siebie, podejrzewałam więc, iż dowiedział się już, że Francine przyjęła jego oświadczenia. Ciotka Grace odzywała się z rzadka, jak to ona, lecz miałam wrażenie, że jest smutna. Może miała nadzieję, że Francine się nie podporządkuje. Może sama zamierzała wreszcie zaprotestować i oczekiwała czyjegoś wsparcia.

Francine natomiast nienaturalnie promieniała, co pozostawało nie zauważone. Gdy tylko posiłek się skończył, udałyśmy się do naszego pokoju. Francine miała wyjechać o dziesiątej. Kwadrans przed dziesiątą wymknęła się przy mojej pomocy ze dworu. Stałyśmy patrząc na siebie przez kilka chwil. Noc była cicha, najmniejszy powiew nie poruszał liśćmi. Francine trzymała mnie mocno w ramionach.

- Och, moja mała Pippa. Jaka szkoda, że nie jedziesz ze mną. Gdybym mogła cię zabrać, byłabym całkowicie szczęśliwa. Ale wkrótce... przyrzekam ci, wkrótce...

- Do widzenia, Francine. Pisz do mnie. Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

- Przyrzekam. Do widzenia. Odeszła.

Stałam przez parę chwil, nasłuchując w ciszy, po czym wśliznęłam się z powrotem do uśpionego dworu. Ogarnęło mnie uczucie takiego osamotnienia, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie zaznałam.

## Wyprawa do Birley

Minął rok od tamtej nocy, gdy Francine uciekła. Nie widziałam jej więcej. Napisała pod adres Emmsów, przekonana, że jeśli napisze do Kamiennego Dworu, list może do mnie nie dotrzeć.

Nie chciałam raz jeszcze przeżyć chwil, które przeżyłam po jej wyjeździe. Byłam tak bardzo zagubiona i osamotniona, że nawet furia dziadka nie dotknęła mnie w najmniejszym stopniu. Wiedziałam jedno - moja ukochana siostra odeszła. Straciłam też Daisy. W kilka tygodni po wyjeździe Francine, hrabia i hrabina wraz z całą świtą opuścili Folwark Granterów zabierając ze sobą Daisy jako służącą.

Rano, gdy Francine nie pojawiła się na śniadaniu, zapytano rzecz jasna mnie, co się stało. Gdy odparłam, że nie wiem, podejrzewano, że wyszła na poranny spacer i spóźni się nieco. Nie mówiłam nic o nietkniętym łóżku, bo nie wiedziałam, jak daleko zdołali odjechać - oczyma wyobraźni widziałam dziadka ruszającego w pościg. Obowiązujący od niedawna pełen wyrozumiałości stosunek do mojej siostry, dyktowany nadzieją urzeczywistnienia własnych planów, sprawił, że nieobecność Francine podczas śniadania minęła bez echa. A chociaż i panna Elton, i ciotka wiedziały, że Francine nie pojawiła się także na lekcji, dziadek dowiedział się o wszystkim dopiero w połowie dnia.

Rozpętała się burza. Dziadek przesłuchiwał mnie i obarczał winą, że nie doniosłam mu o nocnym wyjeździe. Nie zamierzałam być potulna, zbyt cierpiałam, aby lękać się kary.

- Wyjechała, by wziąć ślub z baronem - obwieściłam. Krzyczał na mnie i potrząsał mną. Nazywał niegodziwą i obiecywał surową karę. Wiedziałam, zarzucał mi, co się święci, i nie zrobiłam nic, by temu zapobiec. Jego wnuczka została poniżona i zhańbiona.

Uciekłam do babki i przesiedziałam u niej cały dzień. Dziadek poszedł za mną na górę i zaczął krzyczeć. Uniósł rękę, otworzyła szerzej niewidzące oczy i powstrzymała go:

- Nie tu, nie w tym pokoju, Matthew. To mój azyl. Nie wolno ci obwiniać tego dziecka. Proszę, zostaw ją u mnie.

Ku mojemu zdziwieniu usłuchał. Pocieszała mnie, głaskała po głowie.

- Twoja siostra ułoży sobie życie tak, jak chce - pocieszała mnie. Musiała wyjechać. Nie mogła zostać i poddać się władzy dziadka. Wybrała słuszną drogę. Ty, moja mała Pippo, jesteś rozżalona, bo straciłaś najdroższą przyjaciółkę, ale przyjdzie czas i na ciebie. Zobaczysz.

Byłam niepocieszona. Może już wtedy, w niewytłumaczalny sposób przeczuwałam, że straciłam Francine na zawsze. A tymczasem musiałam zostać w Kamiennym Dworze, skazana na łaskę i niełaskę dziadka. Nie wymawiał imienia mojej siostry i oświadczył, że nie ma ona prawa przekroczyć progu naszego domostwa, dał jednocześnie do zrozumienia, że w dalszym ciągu będzie wywiązywał się z obowiązków wobec mojej osoby. Nadzorowano mnie skrupulatniej niż kiedyś. Panna Elton musiała wszędzie ze mną chodzić, nigdy nie mogłam być sama. Podjęto też decyzję o wzbogaceniu mojej edukacji religijnej.

Panna Elton była bardzo sympatyczna, co pomagało mi przetrwać trudny okres. Lubiła Francine i życzyła jej jak najlepiej. Pozwalała mi odwiedzać Emmsów i spotykać się z Daisy.

- Przynależę siostrze mieć na panienkę oko - powiedziała Daisy. - Biedna, mała Pip. Używa we dworze jak pies w studni z tym starym żarłokiem, jak mawiała panna France.

Gdy Folwark opustoszał, a Daisy wyjechała, zupełnie się załamalam.

Kuzyna Artura nie znosiłam równie serdecznie, jak moja siostra, nienawidziłam też lekcji, których mi udzielał. Zwykł trzymać mnie na klęczkach nieskończenie długo, modlił się i modlił, nakłaniając Najwyższego, by uczynił ze mnie dobrą kobietę, to znaczy posłuszną i niewypowiedzianie wdzięczną swemu opiekunowi.

Nieszczęsna ciotka Grace, też miła, starała się okazywać mi swoją życzliwość, ale zbyt bała się dziadka, by to bardziej uzewnętrznić. Jedyną pociechę dawała mi babka. Agnes Warden zachęcała mnie do częstych odwiedzin. Myślę, że bardzo kochała moją babkę.

Czas leczy wszystkie rany, a jeśli nie leczy, to z pewnością uśmierza ból.

Minął rok. Najsmutniejszy rok w moim życiu. Jedyną nadzieją było oczekiwanie na list od Francine.

Któregoś dnia w ogrodzie spostrzegłam, że jedno z małych Emmsów bacznie mi się przygląda.

- Panno Pippo! - zawołało wreszcie, rozglądając się pilnie, czy ktoś nas nie widzi. - Mama ma coś dla panienki. Mówi, żeby panienka przyszła i odebrała.

- Dziękuję. Powiedz mamie, że przyjdę, gdy tylko będę mogła.

Musiałam zachować ostrożność. Zabroniono mi chodzić dokądkolwiek samej, kiedy więc wyszłam z panną Elton, poprosiłam, że chcę zajrzeć do Emmsów, i panna Elton czekała na mnie na polu koło chat. Pani Emms wyjęła z szuflady list.

- List od siostry - oznajmiła. - Przyszedł tu do nas. I od Daisy przyszedł. Jenny Brakes mi przeczytała. Dobrze się Daisy powodzi. U wielkiego państwa jest. Może panienka przeczytać sama. Hans jej pomógł napisać. Nasza Daisy to tam do pióra nie bardzo. Ale pewnie panienka woli czytać, co siostra pisze.

- Przeczytam w domu, a jutro wstąpię, by przeczytać list od Daisy.

Panna Elton o nic nie pytała, ale sędzę, że się domyśliła. Kiedy wróciłyśmy do Kamiennego Dworu, poszłam od razu do swojego pokoju. Palce mi się trzęsły, gdy otwierałam list, napisany na cienkim, białym papierze podobnym do pergaminu, na którym widniał złoty herb.

Najdroższa Pippo,

korzystam z pierwszej sposobności, by do ciebie napisać. Tyle rzeczy się dzieje, jestem taka szczęśliwa! Rudolph jest mężczyzną, jakiego zawsze pragnęłam na męża. Pobraliśmy się w kościele w Birley. Pamiętasz, jak ten kościół nam się podobał? Rudolph załatwił wszystkie formalności jeszcze przed naszym wyjazdem. Jest bardzo ważną osobistością w swoim kraju. Nie potrafię nawet opisać, jak ważną.

Otaczają nas intryganci, mamy wrogów, którzy próbują pozbawić Rudolpha jego dziedzictwa. Trudno to wszystko zrozumieć, gdy żyło się tak jak my, najpierw na Wyspie, a potem w Kamiennym Dworze. Nie miałyśmy pojęcia o świecie, prawda? A już z pewnością o takim świecie, jakim jest Bruxenstein, który składa się z kilku księstw, a każdy margrabia, każdy baron chce być zwierzchnikiem ich wszystkich. Ale odchodzę od tematu. Nie ma sensu, żebym wyjaśniała ci zawiłości tutejszej polityki, gdyż sama ich nie rozumiem. Oznacza to jednak, że żyjemy w ciągłym niebezpieczeństwie. Ale, jak sędzę, chcesz dowiedzieć się o moich przygodach.

A więc Rudolph zdecydował, że musimy się pobrać, zanim dotrzemy do Bruxensteinu. Musi to być fakt dokonany, w przeciwnym razie znajdą się tacy, którzy zechcą naszemu małżeństwu przeszkodzić. Pobraliśmy się, jestem teraz baronową von Gruton Fuchs.

Przeplłynęliśmy Kanał i przez Francję dotarliśmy do Niemiec, a potem do Bruxensteinu. Wkrótce sama zobaczysz ten kraj, przyślę po ciebie, jak tylko się urządzimy. Rudolph twierdzi, że na razie nie powinnam cię sprowadzać, bo mogłoby to przysporzyć nam kłopotów. Rudolph jest kandydatem do korony... tyle, że Bruxenstein nie jest królestwem. Niektórzy chcieliby go ożenić z kimś innym, z kimś, kogo dla niego wybrali. Ci ludzie wtrącają się w cudze życie jak nasz dziadek. A więc na razie jest trochę niezręcznie. Wiem, że mnie rozumiesz. Rudolph musi działać bardzo ostrożnie.

Mam przepiękne stroje. Zatrzymaliśmy się na parę dni w Paryżu, gdzie je dla mnie uszyto. Ale zachowałam niebieską suknię w srebrne gwiazdki. Rudolph twierdzi, że ta sukienka zawsze będzie mu się podobała, bo miałam ją na sobie tamtej nocy...

Gdybyś mogła być ze mną! Rudolph obiecuje, że wkrótce to się urzeczywistni.

A teraz zdradzę ci sekret. Wiele może się zmienić, jeśli okaże się, że to chłopiec. Tak, Pippa, jestem w ciąży. Czyż to nie cudowne? Pomyśl tylko, zostaniesz ciocią! Powiem Rudolphowi, że bez ciebie nie poradzę sobie. Na pewno mi ulegnie. Jestem taka szczęśliwa. Chciałabym, żeby przestali głupio się kłócić. Muszę trzymać się z dala od zamku... szczególnie teraz, kiedy spodziewam się dziecka. Rudolph boi się o mnie. Jeśli urodzę syna... Ale znowu opowiadam ci o tych głupstwach.

Kochana Pippo, bądź przygotowana. Pewnego dnia spostrzeżesz wielkie zamieszanie w Folwarku, zjedzie służba, a potem ja. I wtedy, moja najdroższa siostrzyczko, zabiorę cię ze sobą.

Kocham cię bardzo mocno Francine

Czytałam list po wielekroć. Trzymałam go za stanikiem, by czuć dotyk papieru na skórze. Ten list rozjaśniał moje dni, sięgałam po niego, gdy czułam się nieszczęśliwa i samotna. Nadzieja, że któregoś dnia, przechodząc obok Folwarku zauważę wielkie przygotowania, trzymała mnie przy życiu.

Dni płynęły teraz szybciej niż podczas pierwszych paru miesięcy. Wszystkie jednostajne: śniadanie z dziadkiem, ciotką Grace i kuzynem Arturem, modlitwy, lekcje i jazda konna z panną Elton, wizyta u babci i religia z kuzynem Arturem. Zajęcia te stały się nie do zniesienia i szczerze ich nienawidziłam, poza spotkaniami z babką, kiedy to rozmawiałyśmy o Francine.

Minął cały rok, nim przyszła od niej następna wiadomość.

Najdroższa Pippo,

nie myśl, że o tobie zapomniałam. Tak wiele się zmieniło od czasu, gdy do ciebie pisałam. Snułam plany, jak cię tu sprowadzić. Wszystkie one jednak upadły. Musimy wciąż się przeprowadzać i w tej chwili znajdujemy się w pewnym sensie na wygnaniu. Nawet jeśli do mnie napiszesz, nie dostanę twojego listu, możliwe, że i mój list nie dotrze do ciebie. Biedna Pippa! Jak tylko wszystko się ułoży, przyjedziesz. Powiedziałam Rudolphowi, że muszę mieć przy sobie moją małą siostrzyczkę. Zgodził się. On też chce, żebyś przyjechała. Naprawdę chce.

A teraz opowiem ci o Wielkim Wydarzeniu. Tak, jestem matką. Mam syna. Pomyśl tylko! To najśłodsze stworzenie, jakie można sobie wyobrazić. Ma jasne włosy i niebieskie oczy. Uważam, że jest podobny do Rudolpha, a Rudolf twierdzi, że wypisz wymaluj, cała ja. Nazywa się niezwykle dostojnie: Rudolph, po ojcu, Otto Friedrich von Gruton Fuchs. Ale ja nazywam go Kubusiem. Nie muszę cię oczywiście przekonywać, że jest najcudowniejszym dzieckiem świata. Ledwie się urodził, zaczął wykazywać zadziwiającą



ciekawość świata. Ale czy można by się spodziewać czegoś innego po moim dziecku? Musisz go zobaczyć. Wymyślmy coś.

Żałuję, że zadawnione spory rodzinne nie mogą się skończyć. Musimy wykazywać taką ostrożność. Każda z gałęzi rodziny uważa się za najważniejszą. To takie męczące i wyniszczające. Rudolph jest we wszystko uwikłany. W domku myśliwskim, gdzie teraz mieszkamy, nieustannie odbywają się potajemne spotkania. Nie myśl sobie, że to byle jakie miejsce. Nic podobnego! Wszyscy ci margrabiowie, hrabiowie, baronowie umieją dbać o swoje wygody. Żyjemy wykwintnie, lecz musimy bardzo uważać. Rudolpha to drażni. Powiada, że jak tylko wrócimy do zamku, wyślemy po ciebie. Opowiadam o tobie Kubusiowi. On tylko na mnie patrzy, ale gotowa jestem przysiąc, że wszystko rozumie, bo to bardzo mądry chłopczyk.

Ściskam cię najgoręcej. Wiele o tobie myślę. Nie lękaj się. Wyrwę cię z Kamiennego Dworu.

Baronowa Francine

Po otrzymaniu tego listu przez kilka tygodni żyłam w euforii. Ciągle udawałam się w stronę Folwarku, by zobaczyć, czy nic się nie dzieje. Często odwiedzałam też panią Emms.

- Nie było listu? - dopytywałam się, a ona kręciła żałośnie głową.

- Tylko od Daisy. Wyszła za Hansa. I nie jest już z panienki siostrą, musi być tylko z nim. Wciąż się boją jakichś zamachów.

Zaczęłam się denerwować. Ogarnęło mnie straszliwe przygnębienie. Te ciągłe rozmowy o zamachach, życie w świecie tak odległym od naszej spokojnej wiktoriańskiej Anglii wydawało mi się nie do pojęcia. Modliłam się o Francine każdego wieczoru. Lękałam się o jej bezpieczeństwo. Przyszedł kolejny list. Tym razem wyłącznie o dziecku.

Minęły już trzy lata od wyjazdu Francine i jej Kubuś miał pewnie z osiemnaście miesięcy. Zaczynał mówić, a ona opowiadała mu o nie znanej cioci Pippie.

Podoba mu się słowo Pippa i wciąż je powtarza. Ma śmieszna małą zabawkę. Stworzonko, które nazywają tutaj trole. Kubuś zabiera trola do łóżeczka i ssie jego ucho. Nie może bez niego zasnąć. Mówi na niego Pippa. Tak, siostrzyczko, mamy trola nazwanego twoim imieniem. Pokochasz mojego synka, zobaczysz. Jest wspaniały.

Twoja siostra Francine To był ostatni list. Odtąd nie miałam od niej żadnej wiadomości i bardzo się tym niepokoiłam. Nie było także wiadomości od Daisy.

Stawałam się coraz starsza i czułam, jak nad moją głową zaczynają gromadzić się ciemne chmury.

Gdy Francine wyjeżdżała, miałam dwanaście lat, teraz zbliżały się moje szesnaste urodziny. Dziadek okazywał mi nowy rodzaj zainteresowania. Zapraszał mnie na przejażdżki konne po posiadłości. Towarzyszył nam kuzyn Artur. Przypominałam sobie, jak to było z Francine, i powoli zaczynałam rozumieć znaczenie tych zabiegów. Dziadek położył krzyżyk na Francine, ale miał przecież drugą wnuczkę, która szybko dorastała. Moje szesnaste urodziny świętowaliśmy podczas przyjęcia, na które zaproszono kilka rodzin z sąsiedztwa. Jenny Brakes uszyła mi sukienkę z tafty, a panna Elton wyjawiała, że dziadek wyraził życzenie - czy raczej rozkazał - bym na tę okazję zaciesała włosy do góry.

Tak też się stało. Wyglądałam bardzo dorośle. Domyślałam się, co mnie czeka podczas siedemnastych urodzin.

Rozmawiałam o tym z babką.

- Tak - przyznała mi rację - dziadek zamierza nalegać, żebyś poślubiła kuzyna Artura.

- Nie poślubię go - oświadczyłam stanowczo, zupełnie tak samo, jak niegdyś Francine.

- Myślę, że będzie się upierał. Nie wiem, co zrobi, ale podejrzewam, że wymówi ci dom, jeśli się nie zgodzisz.

- Co mam więc począć?

- Musimy się zastanowić - powiedziała.

Rozmawiałam też z panną Elton. Odczuwała wielki niepokój, przewidując utratę posady. Babka doszła do wniosku, iż jedynym wyjściem z sytuacji jest znalezienie dla mnie jakiejś pracy, i że już powinnam zacząć się za nią rozglądać, bo to niełatwa sprawa, a dziadek w każdej chwili może zmusić mnie do zaręczyn. Ślub prawdopodobnie miałby się odbyć w moje siedemnaste urodziny.

Od czasu wyjazdu Francine nie czułam się tak przygnębiona. Panna Elton powiedziała mi, że w gazetach ukazują się ogłoszenia o pracy, postara się je przynosić i będziemy przeglądać je razem.

- Jesteś za młoda - mówiła panna Elton. - Któż chciałby szesnastoletnią dziewczynkę na guwernantkę albo na pannę do towarzystwa? Musisz udawać, że jesteś nieco starsza.

- W przyszłym roku skończę siedemnaście lat.

- To ciągle za mało. Mogłabyś wyglądać na osiemnaście, gdybyś zaczesła włosy do tyłu. I gdybyś nałożyła okulary... zaczekaj chwilę... - podeszła do szuflady i wyjęła okulary. - Spróbuj. - Włożyłam je, a ona wybuchnęła śmiechem. - Tak, teraz możesz próbować, z włosami zaczesanymi do tyłu i w okularach wyglądasz całkiem poważnie... na dwadzieścia albo i na dwadzieścia jeden lat.

- Ale nic przez nie nie widzę.

- Można zamówić zwykłe szkła.

Panna Elton powiedziała, że je dla mnie załatwi. Wkrótce miałam okulary i gdy je włożyłam, pomyślałam, jak kpiłaby ze mnie Francine.

Panna Elton wciąż przeglądała ogłoszenia i znalazła kilka propozycji, jej zdaniem interesujących. Ale im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej beznadziejna wydawała mi się moja sytuacja.

Czułam, że nic z tego nie wyjdzie.

- Może jakoś się wszystko ułoży - starała się mnie pocieszyć panna Elton.

Tymczasem w Kamiennym Dworze wydarzyło się coś bardzo ważnego. Ciotka Grace uciekła z Charlesem Daventry. Może gdybym nie była tak bardzo zajęta swoimi sprawami, zauważyłabym, co się święci. Ciotka wyraźnie zmieniła się od wyjazdu Francine i pewnego dnia po prostu wyszła z domu, zostawiając wiadomość dla dziadka, że postanowiła żyć własnym życiem i wkrótce zostanie szczęśliwą panią Daventry.

Babka, rzecz jasna, była we wszystko wtajemniczona.

Dziadek wpadł w szal. Znów odbyło się spotkanie w kaplicy, gdzie potępił Grace i nazwał ją niewdzięczną córką, której postępek napawa wstrętem Najwyższego. Bo czyż nie jest powiedziane: „Czcij ojca swego i matkę swoją?” Odtrąciła rękę, która ją karmiła, i Wszechmogący nie będzie patrzył przez palce na takie lekceważenie powinności.

- Dziadek uważa Boga za sojusznika - powiedziałam później do kuzyna Artura. - Dlaczego sądzi, że Bóg jest zawsze po jego stronie? Kto wie? Może tym razem stanął po stronie ciotki Grace.

- Nie wolno ci bluźnić, Philippo - odparł kuzyn poważnie.

- Dlaczego nie mogę mówić tego, co czuję? Po co Bóg dał mi język?

- Byś modliła się i czciła lepszych od siebie.

- To znaczy dziadka i niewątpliwie... kuzyna?

- Powinnaś odnosić się do dziadka z szacunkiem. Przyjął cię do swego domu. Daje ci dach nad głową. Nie wolno ci o tym zapominać.

- Och, wystarczy, że dziadek o tym nie zapomina.

- Philippo, nie powtórzę dziadkowi tej rozmowy, ale jeśli będziesz nadal odzywała się w ten sposób, zmusisz mnie, bym to zrobił.

- Ach, biedny kuzyn Artur tak szczerze oddany dziadkowi - szydziłam. - Święta Trójca - kuzyn, dziadek i Bóg.

- Philippo!

Patrzyłam na niego z pogardą. Teraz rzeczywiście masz o czym donieść dziadkowi, myślałam.

Niczego nie doniósł. Zrobił się nawet delikatniejszy wobec mnie, choć moja niechęć do niego rosła.

Poszłam odwiedzić ciotkę Grace. Promieniała szczęściem i nie wyglądała tak szaro, jak wówczas, gdy mieszkała w Kamiennym Dworze.

Objęłam ją. Spojrzała na mnie przepraszająco:

- Chciałam ci o wszystkim powiedzieć, ale... obawiałam się rozmawiać z kimkolwiek... poza mamą. Ach, moja droga, gdyby nie ty i twoja siostra, nigdy nie zdobyłabym się na ten krok. Kiedy Francine wyjechała, pomyślałam nagle „dosyć”, i to, co kiedyś wydawało mi się niemożliwe, stało się całkiem proste. Wystarczyło tylko to zrobić. Charles pocałował mnie i rzekł:

- Jestem wdzięczny tobie i twojej siostrze. Jak znajdujesz Grace?

- Zupełnie odmienioną - odparłam.

Ciotka Grace paplała z ożywieniem, a ja cieszyłam się jej szczęściem.

- Nie będę mogła widywać się z matką, bo zabroniono mi wstępu do domu, a ona nie wychodzi, ale ty będziesz naszą łączniczką i opowiesz jej, jaka jestem szczęśliwa.

Przyrzekłam, że to zrobię. Miło spędziliśmy popołudnie, siedząc między kamiennymi figurami w warsztacie Charlesa. Radując się szczęściem Grace zapomniałam o własnych kłopotach, gdy jednak myśl o nich wróciła, uświadomiłam sobie z przyjemnością, że mogę teraz otwarcie rozmawiać z ciotką.

- Tak - potwierdziła - dziadek zamierza wydać cię za kuzyna Artura.

- Nigdy za niego nie wyjdę - oświadczyłam. - Francine nie miała na to najmniejszej ochoty i ja także.

Na wspomnienie Francine twarz ciotki spochmurniała.

- Martwię się o nią - ciągnęłam. - Już tak długo nie miałam żadnej wiadomości. Nie rozumiem, dlaczego nie pisze.

Ciotka Grace milczała.

- To bardzo dziwne - ciągnęłam - choć wiem, że to nie takie łatwe, gdy się przebywa tak daleko.

- Od jak dawna nie masz wiadomości?

- Już ponad rok.

Ciotka Grace milczała przez chwilę, po czym poprosiła:

- Filippo, czy mogłabyś przynieść mi z domu parę rzeczy? Musisz wymknąć się z nimi niepostrzeżenie, bo na pewno nie pozwolą ci mnie odwiedzać.

- Nie mam zamiaru stosować się do tych zakazów.

- Bądź ostrożna. Dziadek potrafi być bardzo surowy. A ty nie jesteś niezależna.

- Właśnie mam zamiar stać się niezależna, ciociu Grace. Próbuję znaleźć posadę, by zarabiać na utrzymanie. Pomaga mi w tym panna Elton.

- Och... to sprawy zaszły aż tak daleko?

- Wszystko... przez kuzyna Artura.

- To chyba najlepsze rozwiązanie. Musisz zacząć nowe życie. Ja też myślałam kiedyś o jakiejś posiadzie, ale nigdy nie

miałam dość odwagi, by podjąć jakieś starania. Może tobie się uda. Zapomnij o przeszłości, Philippo, zapomnij...

- Nie zapomnę Francine i czasów, gdy byliśmy razem.

- Odnajdziesz na pewno własną drogę. Philippo, przynieś mi, proszę, ze dworu mój notatnik. Leży w brązowym kufrze na poddaszu, gdzieś między wycinkami z gazet... taka czerwona książka, na pierwszej stronie jest wypisane moje nazwisko. Na pewno znajdziesz go bez trudu.

Ledwie wróciłam do domu, poszłam na strych. Otworzyłam kufer i zobaczyłam książkę, o której mówiła ciotka. Na pierwszej stronie widniało jej nazwisko, ale moją uwagę zwróciły wycinki z gazet. Słowa układały się w zdania, zdania w przerażający obraz.

W środę rano baron Rudolph von Gruton Fuchs został znaleziony martwy w łóżku swojego myśliwskiego dworku na terenie posiadłości w Bruxensteinie. Wraz z nim zamordowano jego kochankę, młodą Angielkę, której tożsamości dotąd nie ustalono, wiadomo jedynie, że towarzyszyła baronowi przez ostatnich kilka tygodni.

Spojrzałam na datę. Gazeta miała już ponad rok. Znalazłam też inny wycinek.

Ustalono tożsamość kobiety zamordowanej wraz z baronem von Gruton Fuchs. Była to Francine Ewell, od pewnego czasu bliska przyjaciółka barona.

Gazeta wyśliznęła mi się z rąk. Upadłam na kolana, w myślach pojawił mi się obraz sypialni w dworku myśliwskim... bardzo eleganckim, jak opisywała Francine. Musiało być tam wielu służących... Wyobrażałam sobie, jak leży na łóżku obok pięknego kochanka... cała we krwi... moja najdroższa siostra.

To dlatego nie miałam żadnych wiadomości. Nie powiedzieli mi, nie wspomnieli o niej ani słóweczkiem.

Martwa! Zamordowana! Francine, towarzyszka najszcześniejszych dni. Do tej pory żyłam nadzieją. Teraz nie pobiegnę do chaty Emmsów, by znów zakosztować gorzkiego rozczarowania... List nie przyjdzie... Nigdy...

Napisali, że była jego kochanką. A przecież pobrali się w kościele w Birley, zanim opuścili Anglię. Pisała mi o tym. Mieli syna. Kubusia. Gdzie jest Kubuś? W ogóle o nim nie wspomniano.

„Och, Francine, myślałam, nigdy cię nie zobaczę. Dlaczego wyjechałaś? Lepiej już było pozostać tutaj... wyjść za kuzyna Artura...”

Usiłowałam w to nie wierzyć. To musiał być ktoś inny. Ale jego nazwisko... jej nazwisko. Czy kłamała o ślubie? Czy sądziła, że zależy mi, by wszystko było legalnie, zgodnie z prawem boskim i ludzkim? Oczywiście, że wolałabym, by tak było, ale nie musiała kłamać. Mogła po prostu nic nie pisać o ślubie. A dziecko? Co się stało z dzieckiem? Dlaczego w gazecie w ogóle o nim nie wspomniano? Notatka była bardzo krótka, jak to w angielskiej gazecie. Ot, kolejne burzliwe wydarzenie w niemieckich krainach, tak odległych od spokojnej Anglii. Wspomniano o nim wyłącznie ze względu na wmieszaną w to Angielkę.

Czy to już wszystko, co powinnam wiedzieć? Gdzie mogę dowiedzieć się czegoś więcej?

Ściskając notatnik pobiegłam na plebanię. Ciotka Grace czekała na mnie między rzeźbami. Wiedziała, że przyjdę. Podałam jej notatnik, patrząc bez słowa.

- Nie powiedziałaś ci - zaczęła - bo obawiałam się, że będzie to dla ciebie zbyt wielki cios. Ale teraz... jesteś starsza... powinnaś poznać prawdę.

- A ja przez cały ten czas czekałam na list od niej...

Usta ciotki Grace drżały.



- To straszne - stłumiła szloch. - Nie powinna była wyjeżdżać.

- Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem, ciociu Grace? Czy były jeszcze jakieś inne doniesienia?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Tylko to. Przeczytałam i wycięłam. Nie pokazałam nikomu. Bałam się, że ktoś to zobaczy... na przykład dziadek. Na szczęście ludzie nie zwracają uwagi na wiadomości z zagranicy.

- Wyszła za niego za mąż - oświadczyłam.

Ciotka spoglądała na mnie ze smutkiem.

- Naprawdę, pisała mi o tym. Francine nigdy by mi nie skłamała.

- Więc musiał to być ślub na niby. Ludzie tacy jak on robią czasem takie rzeczy.

- Ale mieli dziecko - zawołałam. - Co z dzieckiem? Nie ma tu o nim ani słowa.

- Może nie należało ci tego pokazywać - mamrotała ciotka. - Ale sądziłam, że czas już, byś się dowiedziała.

- Oczywiście, że czas. Chcę wiedzieć o niej wszystko. A tak długo trwałam w nieświadomości...

\* \* \*

Nie mogłam przestać myśleć o Francine. Nie mogłam przestać wyobrażać sobie, jak leży martwa na łóżku. Ona... tak pełna życia. Wolałabym tkwić w przeświadczeniu, że po prostu o mnie już całkiem zapomniała. Że wiodąc życie niezwykle bogate, nie pamięta o nic nie znaczącej młodszej siostrze.

Nie mogłam rozmawiać o tym z nikim poza babką. O śmierci biednej Francine powiedziała jej wcześniej ciotka Grace.

- Powinnyście były od razu powiedzieć mi o wszystkim - wyrzucałam jej.

- Tak. Powinnaś była dowiedzieć się od razu. Ale znałyśmy wasze przywiązanie do siebie i uznałyśmy, że jesteś za młoda. Chciałyśmy zaczekać, aż twoja siostra stanie się dla ciebie odległym wspomnieniem, żebyś łagodniej przeżyła szok.

- Ona nigdy nie stanie się dla mnie odległym wspomnieniem.

- Lepiej, moje dziecko, że przez jakiś czas sądziłaś, iż Francine pochłonięta nowym życiem zapomniała o tobie, niżbyś dowiedziała się od razu, że nie żyje...

- To się stało przed rokiem.

- Tak, ale lepiej było zaczekać. Grace działając pod wpływem chwili dopuściła, że się o tym dowiedziałaś. Jest teraz zupełnie inna. Przez całe życie wyłącznie się wahała...

- Piszą, że Francine nie była jego żoną, a ja przecież wiem, babciu, że była.

- Nie trać więc tej wiary, kochanie. Ale pamiętaj, że on był osobistością bardzo ważną w swoim kraju. Takim ludziom wybiera się żony... Jeśli ożenił się z Francine wbrew prawu...

- Oni piszą, że była jego kochanką. Ale ona była jego żoną. Powiadomiła mnie o ślubie.

- Mogła tak to ująć. Naturalnie, czuła się jego żoną.

- Napisała, że wzięli ślub w kościele. Widziałam ten kościół. Oglądałyśmy go w dniu przyjazdu do Anglii. Francine powiedziała wtedy, że nadaje się bardzo na ślub i właśnie tam się pobrali.

Babka milczała, a ja ciągnęłam dalej:

- A co z dzieckiem?

- Z pewnością ktoś troskliwie się nim zajmuje.

- Kto? Gdzie? Była z niego taka dumna. Tak bardzo je kochała.

Babka kiwała głową.

- Chcę wiedzieć, co się z nim stało! - powtarzałam.

- Musisz o tym zapomnieć, kochanie.  
- Zapomnieć o Francine! Nigdy! Chcę tam pojechać i wszystkiego się dowiedzieć.

- Moja droga, masz tyle własnych kłopotów.

Milczałam przez chwilę. Niespodziewane odkrycie sprawiło, że zapomniałam o sobie. Mój problem jednak nadal istniał. Nawet gdy myślałam o Francine leżącej w zakrwawionym łożu, czułam nieomal dotyk sflaczałych dłoni kuzyna Artura, widziałam orszak weselny w Kamiennym Dworze, ponury pokój z ciężkimi szarymi zasłonami i łoże z baldachimem. Wyobrażałam sobie, jak leżę, a kuzyn Artur zbliża się do mnie, klęka i... prosi Boga, by pobłogosławił naszemu związkowi, zanim on spełni swoją małżeńską powinność. Nie zniosłabym tego, nigdy... przenigdy!

\* \* \*

Poszłam do Folwarku i przyglądałam się domowi. Zatopiona w smutku, minęłam chatę Emmsów. Pani Emms wieszała, jak zwykle, wypraną bieliznę. Przystanąłam i zaczęłyśmy rozmawiać.

- Nie ma ostatnio żadnych wieści od Daisy - powiedziała.  
- Ciekawe, co też się z nią dzieje i z tym jej Hansem. Od siostry też nie ma listu?

Potrząsnęłam głową. Nie chciałam rozmawiać o tragedii Francine z panią Emms. Muszę, myślałam, muszę coś zrobić.

Panna Elton otrzymała wiadomość od swojej kuzynki, która pracowała u kogoś w środkowej części Anglii jako piastunka do dzieci, że wkrótce będą potrzebowali tam guwernantki i panna Elton mogłaby dostać tę pracę, jeśli tylko zechciałaby poczekać trzy miesiące.

Panna Elton przeprowadziła rozmowę z dziadkiem, przekonując go, że wkrótce nie będzie potrzebowała nauczycielki, a ona ma propozycję posady, którą mogłaby objąć za trzy miesiące. Dziadek łaskawie pochwalił ją, że

troszczy się o przyszłość, i obiecał, że chętnie przedłuży jej posadę o kolejne trzy miesiące, to znaczy do czasu, gdy nauczycielka nie będzie mi już potrzebna.

Dziadek sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Tkwił w przeświadczeniu, że ze mną nie będzie miał takich kłopotów jak z moją siostrą.

Aż tu niespodziewanie, ku mojej wielkiej uciechu, Folwark ożył. Młody Tom Emms powiedział mi o tym, gdy przyszedł pomóc ojcu w ogrodzie.

Wybiegłam z domu zaraz po obiedzie. Panią Emms zastałam przed domem.

- Na razie przyjechała tylko służba - poinformowała mnie.  
- Poszłam zaraz zobaczyć, ale ani Daisy nie ma, ani Hansa. Potraktowali mnie tam bardzo oziębło. Nie ma, i już.

Serce biło mi jak szalone, gdy znalazłam się w alejce. Uniosłam kołatkę z głową Gorgony i usłyszałam, jak jej dźwięk niesie się echem po domu.

Drzwi otworzył mężczyzna. Staliśmy przez chwilę przyglądając się sobie. Uniósł pytająco brwi, więc wyjaśniłam:

- Przyszłam z wizytą. Jestem z Kamiennego Dworu.  
- Nikogo nie ma w domu - rzekł.

Gotów był zamknąć mi drzwi przed nosem, ale zrobiłam krok do przodu, udaremniając ten zamiar.

- Kiedy przyjedzie hrabina? - spytałam. Wzruszył ramionami.

- Proszę mi powiedzieć. Poznałam ją przed paru laty. Nazywam się Philippa Ewell. Przyglądał mi się dziwnie.

- Nie wiem, kiedy przyjadą. Może w ogóle nie przyjadą. Jesteśmy tu tylko dlatego, że dom stał opuszczony zbyt długo. Do widzenia.

Wypadało mi się wycofać.

Nie mogłam jednak opanować ciekawości. Przybycie służby obudziło we mnie nadzieję, że ktoś w tym domu zamieszka, że może dowiem się czegoś o Francine.

Wkrótce po wizycie w Folwarku zaczęłam spotykać w różnych okolicznościach krępego mężczyznę o krótkiej szyi, który wyglądał na cudzoziemca pochodzenia germańskiego. Odgadywałam, że to turysta zamieszkujący gospodę Pod Trzema Beczkami, położoną nad rzeką. Zatrzymywali się tam czasami amatorzy łowienia pstrągów na wędkę. Zdziwiałam się, że widywałam go tak często. Nigdy się do mnie nie odezwał i jakby mnie nie zauważał.

Panna Elton mając poczucie bezpiecznej przyszłości stała się dla mnie jeszcze sympatyczniejsza i prawdziwie niepokoiła się o moje losy, wiedziała, że mierzi mnie sama myśl o poślubieniu kuzyna Artura.

- Powinnaś obrać plan postępowania - przekonywała.  
- To znaczy? - dopytywałam się.  
- Zachowujesz się zbyt biernie. Przejmujesz się jedynie tym, co spotkało twoją siostrę. Ale ona nie żyje, ty natomiast żyjesz i musisz zadbać o swoją przyszłość.

- Żałuję, że nie mogę pojechać do Bruxensteinu. Jestem pewna, że za tym wszystkim kryje się jakaś zagadka, którą ktoś powinien rozwiązać.

- Ależ nie ma w tym żadnej zagadki. Była nim oczarowana i wyjechała. Przyrzekł jej małżeństwo...

- On ją poślubił. W kościele, w którym kiedyś obie byłyśmy.

Nagle wpadła mi do głowy pewna myśl.

- Czyż w kościołach nie zapisują takich wydarzeń jak śluby? - spytałam. - Powinien istnieć jakiś dokument.

Panna Elton spojrzała na mnie uważnie.

- Masz rację - przyznała.

- Och, panno Elton. Muszę się wybrać do tego kościoła i sama to sprawdzić. Jeśli znajdę zapis o ich ślubie, dowiodę, że część doniesienia w gazecie miała się z prawdą.

Panna Elton kiwała głową.

- Muszę się tam jakoś dostać. Pojedzie pani ze mną?  
Milczała chwilę.

- Dziadek panienki zechce zapewne wiedzieć...

- Czy mam pozostać jego niewolnicą przez całe życie?

- Tak, jeśli nie podejmiesz już teraz jakichś kroków...

- Pierwszy z nich poprowadzi mnie do kościoła w Birley, żeby odnaleźć zapis o ślubie mojej siostry.

- A jeśli go znajdziesz?

- Zrobię wszystko, aby dowiedzieć się, dlaczego moja siostra została zamordowana. I jeszcze coś. Chcę odnaleźć jej syna. Ma teraz jakieś trzy latka. Gdzie jest? Kto się nim opiekuje?

- Nie bardzo wiem, co mogłabyś zrobić, jeśli nawet dowiedziesz, że się pobrali. W czym to pomoże?

- Nie wiem. Ulży mi to w jakiś sposób. Przynajmniej upewnię się, że mówiła prawdę.

- Jeśli chcesz tam pojechać... to okolice Dover, czy tak? Spróbujemy dotrzeć tam i wrócić tego samego dnia. To żaden problem.

- Pojedzie pani ze mną, panno Elton?

- Naturalnie. Nie możesz jednak przyznać się dziadkowi, po co tam jedziemy. To ja powiem, że poruszyliśmy podczas lekcji temat starych kościołów w Anglii i zależałoby mi, żebyś zobaczyła pewien normañski kościół niedaleko Dover.

- Och, panno Elton, jest pani dla mnie taka dobra.

- Twój dziadek ostatnio bywa bardziej pobłażliwy. Może dlatego, że wkrótce mam opuścić dwór, a w tobie spodziewa się znaleźć wnuczkę powolną jego życzeniom.

- Nie obchodzi mnie, co on myśli. Chcę pojechać do kościoła w Birley i zajrzeć do rejestru ślubów.

Miała rację, jeśli chodzi o dziadka. Zgodził się łaskawie na naszą wycieczkę. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem ze stacji Preston Carstairs. O trzeciej miałyśmy pociąg powrotny. Dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy wchodziłyśmy na stację, również i tajemniczy nieznajomy spod Trzech Beczek z wielkim pośpiechem zmierzał do pociągu. W ogóle nie zwracał na nas uwagi, ale wydało mi się niezwykle, że znów go spotykam, i że będzie podróżował akurat tym samym pociągiem, co my. Wkrótce jednak przestało mnie to niepokoić.

Podróż trwała dość długo. Niecierpliwiałam się, miałam wrażenie, że posuwamy się do przodu w niezmiernie wolnym tempie. Patrzyłam na zielone łąki, na dojrzewający chmiel i jego suszarnie, na pełne owoców drzewa. Było zielono i pięknie, ale ja myślałam tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w kościele.

Gdy dotarliśmy do Dover, zobaczyłam zamek na szczycie wzgórza i wspaniałe nadmorskie skały.

Wysiadłyśmy z pociągu.

- Kościół jest niedaleko stąd - powiedziałam. - Pojechaliśmy tam wtedy dwukółką wynajętą w gospodzie.

- Potrafiłabyś odnaleźć tę gospodę?

- Z pewnością.

- Chodźmy wobec tego. Zjemy coś i spytamy, czy mogliby nas zawieźć powozem do Birley.

- W życiu nie czułam się mniej głodna niż teraz.

- Musimy coś przekąsić. Poza tym da nam to okazję do porozmawiania z właścicielem gospody.

Z łatwością odnalazłyśmy gospodę. Zaproponowano nam chleb prosto z pieca, z serem, słodkimi piklami i jabłecznikiem do picia.

- Byłam tu już kiedyś - zwróciłam się do żony właściciela.

- Mamy tylu gości - odpowiedziała, usprawiedliwiając się, że mnie nie poznaje.

- Pojechaliśmy wtedy do kościoła w Birley.

- Chciałybyśmy go obejrzyć i tym razem. Jak to daleko? - spytała panna Elton.

- Około trzech mil od granic miasta.

- Tamtym razem pojechaliśmy dwukółką - wyjaśniłam - należąca do gospody. Czy byłoby możliwe, by ktoś nas tam zawiózł?

Wzruszyła ramionami, wyglądała na niezdecydowaną.

- Zapytam - zgodziła się wreszcie.

- Och, proszę. Tak bardzo mi na tym zależy.

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Będziemy musiały jej zapłacić - powiedziałam, gdy odeszła.

- Dziadek dał mi trochę pieniędzy na naszą naukową wyprawę - pocieszyła mnie panna Elton.

Kobieta wróciła i oznajmiła, że dwukółka będzie gotowa za pół godziny. Siedziałam licząc upływające minuty i niecierpliwiąc się okropnie, gdy naraz zobaczyłam za oknem przemykającą szybko sylwetkę tajemniczego mężczyzny. A więc i on trafił do tej samej gospody!

Gdy dwukółka była gotowa, zauważyłam ponownie owego mężczyznę - oglądał konie i targował się o cenę.

Zapomniałam o nim, ledwie wyjechaliśmy. Przez cały czas miałam w pamięci obraz naszej pierwszej wyprawy do Birley.

Zatrzymaliśmy się przed małym, starym, szarym kościółkiem. Przeszliśmy przez cmentarz i weszliśmy do kruchty. Stałam przed ołtarzem, światło przenikające przez



szkło witraży lśniło na mosiężnych pulpitych i złotych frędzlach tkaniny okrywającej ołtarz. Wokół panowała cisza.

- Powinnyśmy chyba udać się do pastora - stwierdziła panna Elton.

Odwróciłyśmy się, by wyjść, gdy nagle drzwi skrzyknęły i do kościoła wszedł jakiś mężczyzna. Przyglądał się nam ze zdziwieniem, po czym spytał, w czym może pomóc.

- Jestem tu kościelnym - przedstawił się. - Chcą panie obejrzeć kościół? To normańska budowla, jedyna w swoim rodzaju. Właśnie został odnowiony, wieża wymagała remontu. Niewielu ludzi przyjeżdża, by go obejrzeć, pewnie dlatego, że leży trochę na uboczu.

- Interesuje nas nie tylko architektura. Czy byłoby możliwe obejrzenie rejestru udzielanych tu sakramentów? Chcemy się upewnić, czy odbył się w tym kościele pewien ślub.

- Jeśli znają panie datę i nazwiska narzeczonych. Pastor wyjechał i wróci pod koniec tygodnia. Dlatego ja się teraz wszystkim zajmuję.

- Czy może nam pan pokazać rejestr?

- Tak. Jest w zakrystii. Wezmę tylko klucze. Dawno odbył się ten ślub...?

- Przed czterema laty.

- O, to nie będzie żadnego kłopotu. Ludzie szukają zwykle zapisów sprzed stuleci, śledząc losy swoich przodków. Skoczę tylko na plebanię. Zaraz wrócę.

Gdy wyszedł, popatrzyłyśmy po sobie triumfalnie.

- Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz - powiedziała panna Elton.

Kościelny wkrótce wrócił z kluczami, drżąc z emocji podążyłam za nim do zakrystii.

- Tak... Kiedy to miało być? Proszę, tu... Spojrzałam. Ich nazwiska widniały wyraźnie. Aż krzyknęłam z radości.

- Nie ma wątpliwości. Oto zapis. Dowiodłam prawdy.

Wiedziałam już, że dowiodłszy małżeństwa Francine z baronem nie zaprzestanę dalszych poszukiwań. Muszę sprawdzić, co się dalej wydarzyło. Poza tym prześladowała mnie myśl o chłopcu, o synku Francine, któremu tak podobało się moje imię, że nazwał nim swego trola.

Kiedy wyszliśmy z kościoła, zobaczyłam postać tajemniczego mężczyzny ukrytą między grobami. Pochylony, udawał, że czyta napis na nagrobku.

Nie zwróciłam na niego większej uwagi. Przez całą drogę powrotną myślałam tylko o zapisie w kościelnym rejestrze.

Nie mogłam się doczekać spotkania z babką. Usiadłam na stołeczku u jej stóp i opowiedziałam o zapisie.

- Cieszę się, że Francine napisała prawdę - powiedziała.

- Dlaczego więc oni nazwali ją jego kochanką?

- Pewnie dlatego, że był kimś bardzo ważnym. A może był już żonaty?

- Nie wierzę. Francine sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej.

- Philippo, kochanie, musisz przestać o tym myśleć. Cokolwiek się stało, to już przeszłość. Musisz myśleć o własnym życiu. Wkrótce skończysz siedemnaście lat. Co zamierzasz robić?

- Szkoda, że nie mogę pojechać do Bruxensteinu. Sprawdzić, o co w tym wszystkim chodziło.

- Niestety, nie możesz... Gdybym ja była młodsza... Gdybym widziała...

- Pojechałabyś ze mną, prawda, babciu?

- Kusiłoby mnie, żeby pojechać. Ale to niemożliwe, tak dla mnie, jak i dla ciebie. Posłuchaj, dziecinko, doszłam do wniosku, że jeśli dziadek będzie nalegał, byś poślubiła kuzyna Artura, możesz przenieść się do Grace.

- To niemożliwe. Mają przecież tylko jeden pokój u pastora.

- To trudne, wiem. Ale próbuję znaleźć jakieś rozwiązanie. Tonący brzytwy się chwyta, moje dziecko. Zatracasz się w zagadce, której i tak nie rozwiążesz - a gdyby nawet - siostry ci to nie wróci, podczas gdy sama jesteś w niebezpieczeństwie.

Naturalnie miała rację.

Następnego dnia zaproszono na kolację gości. Glencornów z córką Sophią.

- Ot, skromne przyjęcie w niewielkim gronie - obwieścił dziadek, przypatrując mi się z zadowoleniem. - Szóstka to szczęśliwa cyfra.

Ubrałam się, przygnębiona, w suknię z brązowej tafty. Nie było mi w niej do twarzy. Ale właściwie nie interesowały mnie stroje i to, jak w nich wyglądam. Myśli moje krążyły gdzie indziej.

Kolacja ta, jak wszystkie inne posiłki, była dla mnie ciężkim doświadczeniem. Z trudem koncentrowałam uwagę na rozmowie. Cierpłam na widok kuzyna Artura, zdawałam sobie sprawę, że zbliża się chwila, kiedy będę musiała wyjść za niego albo skazać się na sytuację nie do pozazdroszczenia.

Sophia, spokojna panienska, przyglądała mi się z taką uwagą, jakby chciała odgadnąć moje najskrytsze myśli.

Sir Edward Glencorn komplementował mój wygląd - jak sądzę - z czystej uprzejmości, bo brązowa suknia nie pasowała do mojej karnacji i nie potrafiłam ukryć, że czułam się w niej nieswojo. Na dodatek, mówił coś do mnie od jakiegoś czasu, a ja nie pamiętałam swoich odpowiedzi, toteż musiałam sprawiać wrażenie niezbyt bystrej rozgarniętej.

- To już nie mała panienska, co? Tylko młoda dama. Dziadek patrzył na mnie prawie życzliwie.

- Zdziwiałem, jak szybko Philippa wydorosła - stwierdził.

Złowieszcze słowa. Widziałam swoją przyszłość w jego oczach: ślub... narodziny... dziedzic... mały Ewell, którego należy kształtować na obraz i podobieństwo dziadka.

- I bardzo interesuje się posiadłością - dodał kuzyn Artur.

Ja? Cóż za nonsens. Posiadłość w ogóle mnie nie obchodziła. Myślałam wyłącznie o swoich sprawach i o mojej siostrze.

- Philippa interesuje się także architekturą - ciągnął kuzyn Artur.

Jak bardzo pragnęłam, by wreszcie przestali o mnie mówić.

- Panna Elton przygotowała ją niezłe w tym przedmiocie - wtrącił dziadek. - Co to za kościół, który jeździłyście oglądać?

Wyjaśniłam, że w Birley... niedaleko Dover.

- Kawalek drogi jak na oglądanie starych kamieni - skomentowała lady Glencorn.

Dziadek posłał jej pobłaźliwy, acz nie wolny od pogardy uśmiech.

- Normański, tak? - spytał. - Najciekawsza moim zdaniem cecha budowli z tego okresu to sposób, w jaki stawiano dachy... okładano drewnem więźbę dachową tak, by sklepienie miało kształt połowy walca. Dobrze mówię, Philippo?

Ledwo słuchałam, co mówił o panie Elton, a w Birley nie interesowała mnie architektura.

- Tak właśnie - wybąkałam. - Panna Elton smuci się, że niedługo nas opuści.

Dziadek nie ukrywał zadowolenia.

- Philippa jest już zbyt dorosła, by mieć guwernantkę. Czas zająć się innymi sprawami.

Odetchnęłam z ulgą, gdy po kolacji przenieśliśmy się do solarium. Podczas wizyt gości tam właśnie po posiłku

podawano wina i likiery. Poproszono Sopię, by zagrała na pianinie. Zaśpiewała kilka starych pieśni, miała ładny, silny głos. Kuzyn Artur stał obok niej i przewracał kartki nut. Zauważyłam, że od czasu do czasu ręka kuzyna Artura dotyka ramienia Sopi i pozostaje tam przez chwilę.

Wieczór skończył się wreszcie, Glencornowie wsiedli do swego powozu i odjechali. Dziadek westchnął z ukontentowaniem.

- Nie zdziwiłbym się - rzekł - gdyby stary Glencorn stał u progu bankructwa.

\* \* \*

Choć dni wlokły się w nieskończoność, już minął tydzień, a nawet połowa następnego. Panna Elton miała pozostać z nami jeszcze tylko przez miesiąc. Wiedziałam, że zbliżam się ku krawędzi przepaści. Dziadek w każdej chwili mógł zmusić mnie do podjęcia decyzji, a ja wciąż śniłam sen o odległym kraju, który był dla mnie jedynie nazwą, małą różową plamką w moim atlasie.

Zrozpaczona, postanowiłam raz jeszcze pójść do Folwarku. Ledwie stanęłam na trawniku przed wejściem, ujrzałam idącego w moją stronę mężczyznę.

Zamarłam, bo wydawało mi się, że to ukochany Francine. Musiałam zrobić się bardzo blada, bo zapytał:

- Czy coś się stało?

- Nie... ja właśnie... ja przyszłam...

- Przyszła pani... - powtórzył, chcąc mi dodać otuchy.

- Poznałam hrabinę przed paru laty. Hrabina była tak uprzejma, że zaprosiła mnie... żeby ją odwiedziła.

- Nie ma hrabiny - mówił pięknie po angielsku z ledwie wyczuwalnym cudzoziemskim akcentem. - Czy ja mógłbym w czymś pomóc?

- Pan jest...

- Och, ja tu przybyłem tylko po to, by sprawdzić, czy w domu wszystko jest jak należy. Tak długo nikt tu nie mieszkał. A panienka...

- Jestem Philippa Ewell.

Zauważyłam, jak zmienił się na twarzy, ale powiedział tylko:

- Miło mi. Zechce pani wejść do środka.

- Powiada pan, że właściciele nie ma w domu. Roześmiał się.

- Hrabina z pewnością miałaby mi za złe, gdybym okazał się niegościnnie. Pozwolę sobie zaprosić panią w jej imieniu.

- Jest pan... jak wy to nazywacie... majordomusem?

- Tak też można mnie nazwać.

A więc był służącym, ale wysokim rangą. Przyjechał, aby dopilnować domu. Wszystko to brzmiało bardzo sensownie.

- Rozumiem, że przygotowuje pan Folwark na przyjęcie gospodarzy.

- Można to i tak określić. Proszę do środka. To pora podwieczorku, prawda?

- W istocie.

- Sądzę zatem, że możemy się napić herbaty.

- Czy nie będzie to niewłaściwe? - spytałam z powątpiewaniem.

- Nie widzę powodu, by miało to być niewłaściwe. Otworzył drzwi. Weszliśmy do środka. Pamiętałam wszystko bardzo dokładnie: jadalnia, schody, mały pokój, w którym podejmowała nas hrabina.

Pokojówka, która przyniosła herbatę, nie wyglądała na zaskoczoną. Mężczyzna uśmiechnął się do mnie.

- Czy zechce panienka... czynić honory pani domu?

Przytaknęłam, nalałam herbaty i powiedziałam:

- Ciekawi mnie, czy spotkał pan kiedyś moją siostrę. Uniósł brwi.

- Ostatnio bardzo rzadko bywam w Anglii. W młodości spędziłem tu parę lat... kształciłem się tutaj.

- To było cztery - pięć lat temu. Poznała go w tym domu. Wyszła za niego... i umarła.

- Wiem, o czym pani mówi - rzekł powoli. - To był wielki skandal. Tak... pamiętam nazwisko przyjaciółki barona.

- Moja siostra była jego żoną. Wzruszył lekko ramionami i powiedział:

- Wiem, że przyjaźnili się... romansowali. Czułam, że robi mi się gorąco z oburzenia.

- To nieprawda! - zaprzeczyłam ostro. - Wiem, że w gazecie nazwano ją „kochanką”, ale mogę pana zapewnić, że była jego prawowitą żoną.

- Proszę się nie unosić - rzekł. - Wiem, co pani czuje. Ale baron nie mógł ożenić się z pani siostrą. Jego małżeństwo było sprawą wagi państwowej, ponieważ baron dziedziczył koronę.

- Czy chce pan powiedzieć, że moja siostra nie była dla niego dostatecznie dobrą partią?

- Niezupełnie o to chodzi. Miał poślubić kobietę tej samej narodowości... kogoś, kogo mu przeznaczono. Nie mógł ożenić się z nikim innym.

- Zapewniam pana, że moja siostra byłaby stosowną żoną dla... każdego.

- Niewątpliwie, ale to nie jest kwestia stosowności. To kwestia polityki, rozumie pani?

- Wiem, że moja siostra została mu poślubiona. Potrząsnął głową.

- Była jego kochanką - rzekł. - Ani pierwszą, ani ostatnią... gdyby żył.

- Te komentarze są obraźliwe.

- Nie powinna pani obrażać się z powodu prawdy. Należy brać rzeczy realnie.

Wstałam.

- Nie zostanę ani chwili w domu, gdzie uwłacza się godności mojej siostry.

Poczułam łzy w oczach i wściekłość, że okazałam swoje uczucia.

- Ależ, proszę - przemawiał łagodnie - proszę się uspokoić. Musi pani spojrzeć na tę sprawę rozsądnie. Poznali się, jak przypuszczam, w romantycznych okolicznościach i zakochali się w sobie. To cudowne... Ale dla mężczyzny z jego pozycją małżeństwo z kimś, kto... na pewno był czarujący i piękny, i wartościowy w każdym znaczeniu tego słowa... jest po prostu niemożliwe. Człowiek z jego pozycją musi brać pod uwagę swoje zobowiązania... i on zawsze tak postępował.

- Zapewniam pana, że wzięli ślub.

Uśmiechnął się, a jego spokój rozzłościł mnie jeszcze bardziej. Fakt, że mówił o tej tragedii jak o powszednim wydarzeniu, ranił mnie głęboko. Czułam, że stracę panowanie nad sobą, jeśli zostanę w tym domu jeszcze trochę, patrząc na jego niewzruszone, zadowolone oblicze.

- Wybacz pan... Wstał i złożył ukłon.

- ...ale muszę już iść. Opowiada pan brednie i robi pan to celowo. Do widzenia.

Odwróciłam się i wyszłam w sama porę, by nie dostrzegł łez spływających mi po policzkach. Ostatnią rzeczą, której pragnęłam, było okazanie mu, że płaczę.

Wpadłam do domu i pobiegłam do pokoju, który kiedyś dzieliłam z Francine. Rzuciłam się na łóżko i po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczyłam wycinki z gazet, łkałam bez opamiętania. Nie zamierzałam więcej odwiedzać Folwarku. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego ten człowiek tak mnie zirytował. Może dlatego, że przypominał mi barona. „Służący, powtarzałam w myśli, który chce dać wszystkim do zrozumienia, że zajmuje wysokie stanowisko. Rudolph nie



obnosił się ze swoim urodzeniem. Wszyscy wiedzieli, że jest baronem, nie musiał o tym nikomu przypominać". Ale może nie miałam racji, zachowując się w ten sposób wobec człowieka, który po prostu tkwił w przeświadczeniu, że Francine nie była poślubioną żoną.

Tak czy owak nie chciałam go więcej widzieć. Może to niemądre, myślałam, bo on mógł przecież coś jeszcze wiedzieć. Na przykład, co stało się z dzieckiem.

Zaczynałam żałować, że opuściłam go w takim pośpiechu. Spotkałam go następnego dnia. Sądzę, że czekał na tę okazję. Szłam szybkim krokiem w stronę lasu, a on udał się za mną.

Usiadłam pod drzewem i czekałam, aż się zbliży.

- Dzień dobry - powitał mnie. - Znów więc się spotykamy. Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że czekał, aż wyjdę, i widziałam, jak za mną szedł, zabrzmiało to dość fałszywie.

- Witam pana - pozdrowiłam go chłodno.

- Czy pozwoli pani? - usiadł obok mnie, uśmiechając się przyjaźnie. Cieszę się, że już się pani na mnie nie gniewa.

- Obawiam się, że byłam nierozsądna.

- Ależ nie, nie - pochylił się ku mnie i położył na chwilę swoją rękę na mojej. - To naturalne, że się pani rozgniewała. To, co spotkało pani siostrę, jest po prostu straszne.

- Niegodziwe... Szkoda, że nie wiem... Żałuję, że nie wiem, kim są jej mordercy.

- Nie znaleziono ich. Naturalnie wszczęto poszukiwania, ale niczego nie ustalono, mord pozostał tajemnicą.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć wszystko, co pan wie? Mieli dziecko. Co się stało z chłopcem?

- Dziecko? Nie było żadnego dziecka!

- Moja siostra miała syna. Napisała mi to.

- Niemożliwe.

- Niemożliwe, że dwoje ludzi ma ze sobą dziecko?

- Ale pozycja Rudolpha...
  - Pozycja Rudolpha nie ma tu nic do rzeczy. Ożenił się z moją siostrą, czego naturalnym następstwem było potomstwo.
  - Widzę, że nie może pani tego zrozumieć.
  - Cieszyłabym się, gdyby przestał mnie pan traktować jak dziecko i to dość nierozgarnięte.
  - Ależ nie uważam pani za dziecko. Myślę, że jest pani bystrą młodą osobką... na domiar bardzo porywczą.
  - Moja siostra nie żyje, nie dopuszczę, by uwłaczano jej pamięci.
  - Używa pani ostrych sformułowań, moja młoda damo. Pochylił się nade mną i próbował ująć mnie za rękę, ale cofnęłam ją i powiedziałam:
    - Nie jestem pańską damą.
- Przekrzywił głowę i przyglądał mi się badawczo.
- Młoda... dama...
  - Z rodziny niegodnej połączenia się węzłem małżeńskim z cudzoziemcem, który zaszczyca nasz kraj swoją obecnością wyłącznie od czasu do czasu.
- Roześmiał się głośno. Dostrzegłam ostro zarysowaną linię szczęk i błysk mocnych białych zębów. Pomyślałam, że żywo przypomina mi Artura... na zasadzie kontrastu.
- Godnej... godnej - rzekł. - Ale z uwagi na pewne polityczne zobowiązania takie małżeństwa nie mogą mieć miejsca.
  - Sądzi pan, że dziewczyna taka jak moja siostra zniżyłaby się do roli kochanki tego wielmoży?
- Popatrzył na mnie poważnie i potakująco kiwnął głową.
- Bzdura - zaprzeczyłam.
  - Myliłem się - ciągnął, patrząc na mnie w osobliwy sposób - nazywając panią moją damą. Pani nie jest moja.
  - Idiotyczna rozmowa, wybaczy pan. Mówiliśmy o poważnych sprawach, a tu nagle jakieś frywolności.

- Dobrze jest czasami, rozmawiając o poważnych sprawach, wprowadzić nieco lżejszy nastrój. To łagodzi wzrastające napięcie.

- We mnie akurat niczego nie łagodzi.

- Bo jest pani bardzo zapalczywą osobką.

- Proszę posłuchać - zirytowałam się - jeśli nie potrafi pan rozmawiać poważnie, to nie widzę sensu tej rozmowy.

- A więc tak mnie pani ocenia. Przepraszam. Sądziłem, że każda rozmowa ma jakiś sens. Bardzo chciałbym lepiej panią poznać i ośmielałem się wyrazić nadzieję, że pani również jest mnie ciekawa.

- Muszę mieć jasność, co stało się z moją siostrą, i chcę się upewnić, że dziecko znajduje się pod dobrą opieką.

- Wiele chce pani wiedzieć. Policja nie potrafiła ustalić, co wydarzyło się tamtej nocy w dworku myśliwskim. Jeśli zaś chodzi o nie istniejące dziecko...

- Nie zamierzam słuchać tego dłużej.

Zamilkł, ale siedział dalej na swoim miejscu i popatrywał na mnie z ukosa. W pierwszym odruchu chciałam wstać i odejść, i powinnam była to zrobić, lecz bardziej niż cegokolwiek pragnęłam poznać prawdę.

Uniosłam się, ale schwycił mnie za rękę i popatrzył znacząco. Czułam, jak się czerwienię. Było w nim coś pociągającego. Nie znosiłam jego arogancji i pewności, z jaką twierdził, że baron nigdy nie ożeniłby się z Francine; jego supozycje, że moja siostra i ja idealizowałyśmy całą sytuację, doprowadzały mnie do wściekłości, było jednak coś - nie potrafię wyjaśnić co, zbyt mało wiedziałam wówczas o życiu - było w nim coś, co sprawiało, że czułam się oszołomiona w sposób, jakiego nie doświadczyłam nigdy przedtem.

Nie wiem, jak długo to trwało - on trzymał mnie za rękę, ja, choć bez przekonania, usiłowałam mu ją wyrwać. On spoglądał na mnie, uśmiechając się figlarnie, jakby czytał w

moich myślach albo wręcz domyślał się, gdzie jest mój słaby punkt.

- Proszę nie odchodzić - zatrzymywał mnie. - Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Usiadłam.

- Pan wie, kim jestem. Mieszkałyśmy w Kamiennym Dworze, nim moją siostrę zaproszono na ten niefortunny bal.

- Podczas którego poznała swego ukochanego.

- Poznała go wcześniej, nim hrabina wysłała zaproszenie. Niech pan nie sądzi, że takie zaproszenie to dla Kamiennego Dworu jakiś wielki zaszczyt. Moja siostra musiała uciec się do rozmaitych wybiegów, by wymknąć się na bal.

- Oszukiwała? - spytał.

- Czyni pan wszystko, by mnie obrazić.

- Ależ skąd! Ale będę się upierał, że jeśli mamy coś ustalić, musimy przyjmować fakty takimi, jakimi są. Siostra pani wymknęła się ze dworu w balowej sukni i poszła do Folwarku. Rodzina - z wyjątkiem wtajemniczonej uprzednio małej siostrzyczki - o niczym nie wiedziała. Czy tak?

- Tak... mniej więcej.

- Ona i baron zakochali się w sobie. Uciekli. Podróżowała jako jego żona... by nie burzyć ogólnie przyjętych zasad.

- Była jego żoną.

- A więc wracamy do początków. To małżeństwo nie mogło mieć miejsca.

- Ale miało. Wiem to na pewno.

- Niech pani da sobie wytłumaczyć. Kraj Rudolpha jest małym krajem. Zawsze walczył o zachowanie niezależności. Dlatego nie może być mowy o postępowaniu wbrew utartym zwyczajom. Sąsiednie państewka patrzą nań łakomym okiem, tylko szukając sposobności, by powiększyć swój teren. Pewnego dnia wszystkie one połączą się w jedno państwo, co bez wątpienia stanie się najlepszym rozwiązaniem, ale na razie

istnieją maleńkie hrabstwa, księstwa i ksiąstewka. Wśród nich - Bruxenstein. Ojciec Rudolpha jest starym człowiekiem, a Rudolph - jedynakiem. Miał się ożenić z córką władcy sąsiedniego państewka. Nigdy nie popełniłby mezaliansu. Stawka w tej grze była zbyt wysoka.

- A jednak go popełnił.

- Czy pani naprawdę w to wierzy?

- Tak. Zakochał się.

- To cudowne, lecz miłość to coś zupełnie innego niż polityka i obowiązek.

- Musiał więc bardzo ją kochać. Potrafię to zrozumieć. Francine to najbardziej pociągająca osoba, jaką kiedykolwiek znałam. Ale pan mi nie wierzy. Pan jest cyniczny.

- Z pewnością taka właśnie była. Poznałem jej siostrę, co pozwala mi wyobrazić sobie...

- Pan kpi. Wiem, że jestem bardzo zwyczajna, całkiem niepodobna do Francine.

Ujął moją dłoń i pocałował ją.

- Nie wolno pani tak myśleć - rzekł. - Jestem pewien, że ma pani równie dużo wdzięku, co siostra, może tylko inaczej on się objawia.

Stanowczym ruchem cofnęłam rękę.

- Nie ma pan prawa mi dokuczać. Rozumiem, że nie chce pan dalej rozmawiać o tym, prawda?

- Nie ma właściwie o czym rozmawiać. Pani siostra i Rudolph zostali zamordowani w dworku myśliwskim. Moim zdaniem to mord polityczny. Ktoś chciał się pozbyć prawowitego dziedzica.

- Któż wobec tego ma dziedziczyć to hrabstwo czy księstwo, czy cokolwiek to jest. Może to ten ktoś jest okrutnym mordercą?

- Zbyt proste. Pierwszego w kolejności nie było wówczas w kraju.

- Ale mógł nasłać swoich ludzi.
- Przeprowadzono gruntowne dochodzenie.
- Śmiem wątpić w skuteczność tego rodzaju dochodzeń w pańskim małym kraiku.

Roześmiał się.

- Niesłusznie. Szczegółowe dochodzenia niczego nie ujawniły.

- Podejrzewam, że moja siostra została zamordowana tylko dlatego, że akurat tam się znajdowała.

- Możliwe. Bardzo mi przykro. Wielka szkoda, że opuściła Kamienny Dwór.

- Gdyby nie wyjechała, wydano by ją za kuzyna Artura, a na to ona z kolei nigdy by się nie zgodziła.

- Był więc inny konkurent.

- Dziadek chciał tego małżeństwa. Całkiem jak w Bruxensteinie... On nie ma wprawdzie księstwa ani hrabstwa, ale ma wspaniały stary dom, należący do rodziny od pokoleń, a poza tym jest bardzo bogaty.

- Problemy zatem są wszędzie takie same.

- Problemy stwarzane przez ludzką próżność. Nikt nie ma prawa wybierać męża czy żonę innemu człowiekowi. Jeśli ludzie się kochają, powinni móc się pobrać.

- Dobrze powiedziane - przytaknął. - Wreszcie w czymś się zgadzamy.

- Muszę już iść - oznajmiłam. - Panna Elton będzie mnie szukać.

- Panna Elton? Któż to taki?

- Moja guwernantka. Wkrótce nas opuszcza. Nie będzie mi już potrzebna.

- A więc już... dorosła?

Położył ręce na moich ramionach. Wolałabym, żeby mnie nie dotykał, ale gdy mnie dotknął, spłynęło na mnie jakieś

niepojęte pragnienie pozostania blisko niego. Przyciągnął mnie do siebie i pocałował delikatnie w czoło.

- Dlaczego pan to zrobił? - zachnęłam się i zaczerwieniłam po uszy.

- Bo miałem na to ochotę.

- Nie całuje się nieznajomych.

- Znamy się. Spotkaliśmy się już przecież. Piliśmy razem herbatę. Sądziłem, że wedle angielskiego obyczaju, gdy się z kimś wypije herbatę, traktuje się go jak przyjaciela.

- Najwyraźniej nie ma pan pojęcia o angielskich obyczajach. Można pić herbatę z najgorszym wrogiem.

- Źle zatem oceniłem sytuację, proszę mi wybaczyć.

- Nie wybaczam jednak pańskiej postawy wobec mojej siostry. Wiem, że się pobrali. Mam na to dowód, ale nie ma sensu pana przekonywać, skoro pan nie wierzy.

- Dowód? - spytał ostro. - Jaki dowód?

- Listy. Jej listy, chociażby.

- Listy do pani? Obstaje, że wyszła za niego za mąż?

- Nie obstaje. Nie musiała obstawać. Wystarczy, że to powiedziała.

- Czy mógłbym zobaczyć... te listy? Zawahałam się.

- Powinna mnie pani przekonać. - Dobrze...

- Gdzie się spotkamy? Tutaj... czy woli pani przyjść do Folwarku?

- Tutaj - odpowiedziałam.

Puściłam się pędem. Na skraju lasu odwróciłam się - stał między drzewami z dziwnym uśmiechem na ustach.

Przez resztę dnia chodziłam jak błędna. Zastanawiałam się, czy powiedzieć o tym mężczyźnie babce, ale czułam jakiś wewnętrzny opór. Długo w nocy czytałam listy Francine. Wszystko było tak oczywiste. A poza tym czyż nie widziałam zapisu o ślubie?

Następnego dnia przyszedłam na umówione spotkanie nieco wcześniej, lecz on już na mnie czekał.

Serce zabiło mi mocniej na jego widok. Podszedł do mnie, skłonił się nieco przesadnie, stuknął obcasami i pocałował mnie w rękę.

- Nie trzeba tak ceremonialnie...

- Ceremonialnie? To zwykły sposób witania się w moim kraju. Starsze panie i dzieci zamiast w rękę całuje się w policzek.

- Przyniosłam listy - pokazałam. - Kiedy je pan przeczyta, pogodzi się pan z prawdą.

- Usiądziemy? Trochę twarda ta ziemia. Niezbyt tu wygodnie. Należało spotkać się w domu.

- To byłoby niestosowne, skoro nie ma pańskich pracodawców.

- Może...

Wziął listy i zaczął je czytać.

Patrzyłam na niego. Był bardzo męski. Jego bliskość przyprawiała mnie o dreszcz emocji.

Nagle doznałam uczucia, jakby ktoś nas podglądał. Odwróciłam się gwałtownie. Czyż nie ruszało się coś między drzewami? A może mi się tylko zdawało. Uświadomiłam sobie, jak byłam podekscytowana. Chrząst suchych gałązek paproci... spłoszony ptak zerwał się do lotu... znów ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie...

- Ktoś tu jest... obserwuje nas - powiedziałam.

- Obserwuje? Dlaczego?

- Ludzie czasami... Zerwał się, upuścił listy.

- Gdzie?

Usłyszałam odgłos pośpiesznych kroków.

- Tam - zawołałam.

Rzucił się we wskazanym kierunku. Po paru minutach wrócił.



- Nie ma nikogo.

- Jestem pewna, że ktoś tam był.

Uśmiechnął się i usiadł, biorąc listy. Skończył czytanie i wręczył mi je z pełnym namaszczenia gestem.

- Siostra sądziła, że uspokoi panią, jeśli napisze, że wyszła za męża.

Teraz, pomyślałam, teraz nadszedł stosowny moment.

- Jest coś, o czym pan nie wie - wyrzuciłam z siebie triumfalnie. - Mam niezbity dowód. Widziałam zapis o ślubie w kościele.

- Co?!

Warto było zaczekać na ten moment. Zbiło go to kompletnie z tropu.

- Tak. Czarno na białym. A więc, widzi pan, jak bardzo się pan mylił.

- Gdzie? - spytał krótko.

- W Birley. Pojechałyśmy tam z panną Elton, by to sprawdzić, i znalazłyśmy zapis.

- Nigdy bym nie posądził Rudolpha o taką...

- Nie pana rzecz posądzać go lub nie posądzać. Ślub się odbył. Mogę tego dowieść.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani tego wcześniej?

- Bo był pan tak pewny swego.

- Ach tak - zastanowił się. - Gdzie jest ten kościół?

- W Birley... niedaleko Dover. Powinien pan tam pojechać. Zobaczyć na własne oczy. Wtedy może pan uwierzy.

- Słusznie - zgodził się. - Pojadę.

- Może pan pojechać do Dover pociągiem. A potem wynająć dwukółkę. To jakieś trzy mile od Dover.

- Z pewnością pojadę.

- A gdy się pan przekona, przyjdzie pan mnie przeprosić. Sięgnął po listy i niby w roztargnieniu zaczął wkładać je do swojej kieszeni.

- One są moje, za pozwoleniem.
- Naturalnie - zmieszał się i oddał mi je z powrotem.
- Nie wiem nawet, jak pan się nazywa.
- Konrad.
- Konrad... i co dalej?
- Nieważne, co dalej... i tak pani tego nie wymówi.
- Może mi się uda.
- Wolę być dla pani po prostu Konradem.
- Wobec tego kiedy wyruszasz do Birley, Konradzie?
- Myślę, że jutro.
- Spotkajmy się więc tutaj pojutrze.
- Z największą przyjemnością. Wsunęłam listy za dekolci.
- Zdaje się, iż podejrzewasz, że ci je ukradnę.
- Skąd to przypuszczenie?
- Bo jesteś podejrzliwa z natury, a wobec mnie szczególnie.

Wychylił się do przodu i sięgnął ku mojemu dekolciowi. Krzyknęłam przerażona, cofnął rękę.

- To zuchwałość!
- Obawiam się, że masz rację - przyznał. - Pamiętaj, że pochodzę z tego odległego miejsca, o którym nigdy nawet nie słyszałaś, póki twoja siostra tam nie wyjechała.

Spochmurniałam, przypomniałam sobie noc, kiedy Francine odeszła. Zauważył mój smutek, położył ręce na moich ramionach.

- Wybacz - prosił. - Jestem równie nietaktowny, co zuchwały. Wiem, co czujesz. Podziwiam cię. Do zobaczenia pojutrze. Muszę się przygotować na przeprosiny... jeśli okaże się, że nie miałem racji.

- Radzę ci już dziś rozpocząć przygotowania.

- Jeśli dowiedziesz swego, zrobię, co zechcesz. Śmiejesz się... zadowolona... pewna siebie. Wiesz, że masz rację, prawda?

- Tak. Żegnam

- Do zobaczenia. Nie „żegnam”. To takie ostateczne. Nie chciałbym żegnać się z tobą na zawsze.

Odwróciłam się i odeszłam. Ogarnął mnie smutek, że musi upłynąć cały dzień, nim go znowu zobaczę. Ale pojutrze czeka mnie satysfakcja, zobaczę go zmieszanego, warto więc poczekać.

Postanowiłam od razu pójść odwiedzić babkę. Ocknęła się już pewnie z popołudniowej drzemki i pije herbatę. „Muszę jej opowiedzieć o Konradzie, myślałam, nie zdradzę się jednak z uczuciami, które we mnie wzbudza”. Było to niemądre z mojej strony, ale znaczyło po prostu, że Konrad był pierwszym mężczyzną, z którym nawiązałam tego rodzaju kontakty. Nikt dotąd nie zwracał na mnie uwagi, z wyjątkiem kuzyna Artura, który działał zgodnie z poleceniami dziadka. I oto nagle pojawia się atrakcyjny mężczyzna, zachowujący się wobec mnie bardzo uwodzicielsko. Zapukałam do babki, otworzyła Agnes Warden.

- O, panna Philippa! Babcia śpi.

- Jeszcze śpi? Myślałam, że zastanę ją przy herbacie.

- Miała dziś po południu lekki atak. Odsypia go teraz.

- Atak?

- Ma słabe serce i bywa, że od czasu do czasu czuje się gorzej. Bardzo ją to męczy, a jedyny sposób to dobrze odpocząć.

Wyszłam rozczarowana.

Idąc do swojego pokoju, natknęłam się na pannę Elton.

- Chciałabym wyjechać jutro, jeśli to możliwe, zamiast czekać do końca tygodnia - zakomunikowała. - Mogłabym spędzić z kuzynką parę dni, zanim udamy się do naszych

pracodawców. Mieszkałybyśmy u jej przyjaciół. Myśli pani, że dziadek zgodzi się, żebym wyjechała jutro?

- Z pewnością tak. Musi pani sama go o to zapytać.

- Tak też zrobię.

Po dziesięciu minutach weszła do mojego pokoju zaróżowiona i szczęśliwa.

- Zgodził się. Och, Philippo, jestem taka podekscytowana. Kuzynka mówi, że dom jest miły, a dzieci urocze.

Poczułam, jak ogarnia mnie smutek. Panna Elton objęła mnie ramieniem.

- Będę do pani tęskniła.

- Philippo, co postanowiłaś? Przecież to już tak niedługo...

- Wiem, wiem... teraz nie mogę o niczym myśleć. Ale na pewno coś wymyślę.

- Masz tak niewiele czasu.

- Proszę się o mnie nie martwić, panno Elton. Śni mi się czasami, że jadę tam i dowiaduję się wszystkiego.

- Powinnaś o tym zapomnieć. Powinnaś uciec stąd... zanim będziesz musiała spełnić życzenia dziadka.

- Nigdy... nigdy - powiedziałam stanowczo. Gdzieś w podświadomości wierzyłam, że Konrad pomoże mi znaleźć rozwiązanie.

- Cóż - mówiła panna Elton - jutro będziemy musiały się pożegnać. Zawsze trudno zostawiać uczniów, ale tym razem szczególnie mocno odczuję ból rozstania.

Kiedy wyszła, spojrzałam na łóżko Francine i ogarnęło mnie uczucie wielkiego osamotnienia. Babka jest chora, panna Elton wyjeżdża - zostanę zupełnie sama.

\* \* \*

Następnego ranka panna Elton wyjechała. Przywarłam do niej w pożegnalnym uścisku. Była bardzo wzruszona.

- Oby wszystko ułożyło ci się jak najlepiej - mówiła żarliwie.

- Wzajemnie - odpowiedziałam.

Wyjechała. Poszłam do babci.

- Niech panienka nie siedzi za długo - poprosiła Agnes. - Jest bardzo wycieńczona.

Usiadłam przy łóżku babci, uśmiechała się do mnie z trudem. Chciałam opowiedzieć jej o Konradzie i o uczuciach, które we mnie budzi. Zdałam sobie jednak sprawę, że babcia nie w pełni ma świadomość, kto przy niej siedzi, że myli mnie z Grace. Gdy opuściłam jej pokój, uczucie osamotnienia spotęgowało się.

Nie mogłam doczekać się powrotu Konrada. Pobiegłam do lasu przed umówioną godziną. Pojawił się punktualnie, a moje serce waliło z emocji, gdy zbliżał się wielkimi krokami.

Ujął mnie za ręce i skłoniwszy się głęboko pocałował najpierw jedną, a potem drugą dłoń.

- No i? - spytałam.

- Pojechałem, jak postanowiliśmy. Całkiem przyjemna podróż.

- Widziałeś? Przyglądał mi się bacznie.

- Znalazłem kościół. Pastor jest bardzo uprzejmy.

- Kiedy my pojechaliśmy tam z panną Elton, nie było pastora. Rozmawialiśmy z kościelnym.

Wciąż się we mnie wpatrywał.

- Nie przejmuj się - powiedział w końcu. - Wiem, że wydawało ci się, że widziałaś ten zapis...

- Wydawało mi się? Ja go widziałam. O czym ty mówisz? Potrząsnął głową.

- Pastor pokazał rejestr. Ale zapisu w nim nie znalazłem.

- Głupstwa mówisz! Widziałam go. Zapewniam cię, że go widziałam.

- Nie - obstawał przy swoim. - Nie ma zapisu. Nie pomyliłem daty, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie znalazłem tego zapisu.

- Drażnisz się ze mną.

- Chciałbym, żeby tak było. Przykro mi.

- Przykro ci! Jesteś zadowolony. Poza tym kłamiesz. Widziałam zapis na własne oczy.

- Powiem ci, co o tym myślę. Chciałaś go zobaczyć. Wyobraziłaś sobie, że go widzisz.

- Innymi słowy prześladują mnie omamy i jestem stuknięta. Tak uważasz?

Patrzył na mnie ze smutkiem.

- Moja najdroższa Philippo. Naprawdę bardzo mi przykro. Uwierz! Chciałem, żebyś miała rację.

- Pojadę tam jeszcze raz. Znajdę go. Musiałeś szukać na niewłaściwych stronach.

- Nie... szukałem pod właściwą datą... datą, którą ty mi podałaś. Gdyby wzięli ślub, musiałyby to być zanotowane. Ale nie jest. Nie jest, Philippo!

- Pojadę tam. Nie zwlekając.

- Kiedy?

- Jutro.

- Pojadę z tobą. Dowiodę ci, że się myliłaś.

- A ja tobie, że się nie myliłam - twierdziłam żarliwie. Wziął mnie za ramię, zachnęłam się.

- Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca - prosił. - Co się stało, to się nie odstanie. Wzięli ślub czy nie - jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie ma znaczenie... dla dziecka też.

- Nie ma żadnego dziecka. Żadnego ślubu... i żadnego dziecka.

- Jak śmiesz twierdzić, że moja siostra kłamała, a ja jestem szalona! Zostaw mnie... Wracaj do swojego kraju.

- Obawiam się, że będę zmuszony wrócić... i to wkrótce. Ale najpierw pojedziemy razem do Birley... jutro.

- Tak. Jutro.

\* \* \*

Nie zastanawiałam się nawet, jak usprawiedliwię swoją nieobecność. Powiedziałam pani Greaves, że jadę obejrzeć stary kościół i nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

- Dziadek nie życzy sobie, żeby panienka podróżowała sama.

- Nie będę sama.

- A z kim? Z panną Sophią Glencorn?

Przytaknęłam. Musiałam tak postąpić.

Konrad czekał na stacji, tak jak się umówiliśmy.

Kiedy usiadłam naprzeciw niego, pomyślałam, jak byłoby cudownie, gdybyśmy po prostu jechali razem na jakąś wycieczkę. Przyglądałam się jego twarzy - o wyraźnych rysach i głęboko osadzonych niebieskawoszarych oczach. Jasne włosy zaczesywał do tyłu.

- Jak wypadła ocena?

- Po prostu patrzę.

- Mam nadzieję, że z przyjemnością.

- A ma to jakiegokolwiek znaczenie?

- Ogromne.

- Znowu kpisz ze mnie. Wiesz, po co jedziemy, i próbujesz obrócić wszystko w żart. Ale to bardzo kiepski żart.

Pochylił się do przodu i oparł dłoń o moje kolana.

- Nie żartowałbym ze spraw, które są tak bliskie twojemu sercu - powiedział. - Nie chcę, żebyś zbyt przeżywała, jeśli...

- Nie rozmawiajmy o tym.

- Jak sobie życzysz. Moim największym pragnieniem jest dogadzać ci teraz i... zawsze.

Zamknęłam oczy. Jego słowa poruszyły mnie do głębi. Teraz i zawsze. Brzmiało to tak, jakby nasza znajomość miała trwać dłużej.

Podróżowaliśmy w milczeniu, a on cały czas na mnie patrzył. Wyglądałam przez okno, ale niewiele widziałam. Potem poczuliśmy zapach morza, zbliżaliśmy się do Dover... do białych nadmorskich skał i zamku, który średniowieczni rycerze nazywali Wrotami Anglii.

Wstąpiliśmy do gospody, bo Konrad upierał się, że musimy coś zjeść.

Posililiśmy się chlebem i serem.

- Kiedy wyruszymy? - dopytywałam się.

- Cierpliwości! Wiesz, w innych okolicznościach bardzo by mnie cieszyła ta wycieczka. A może moglibyśmy pozwiedzać razem okolicę, jak sądzisz?

- Dziadek nigdy by na to nie pozwolił.

- A dziś pozwolił?

- Och... użyłam pewnego podstępu.

- Jesteś zdolna do podstępów?

- Musiałam tu przyjechać - powiedziałam. - Nie oddalałabym się z domu dla byle powodu.

- Jesteś porywcza. Podoba mi się to. W gruncie rzeczy, Philippo, podoba mi się w tobie mnóstwo rzeczy. Wiem tak niewiele, a bardzo chciałbym dowiedzieć się więcej. Ach, wyruszyć w podróż fascynujących odkryć o tobie!

- Obawiam się, że szybko uznałbyś tę podróż za nużącą. Na twoim miejscu zaniechałabym wnikania w tajniki mojej osobowości.

- A ja jestem jej bardzo ciekaw.

- Czy skończyliśmy już posiłek?

- Cóż za niecierpliwa istota - przekomarzał się ze mną.

Wsiedliśmy do dwukółki i ruszyliśmy w stronę Birley.



- Znajdźmy najpierw tego miłego pastora - poprosił Konrad. - Okazał mi wielką uprzejmość. Będę musiał dać jakiś datek na konserwację kościoła.

Dom pastora robił wrażenie równie starego, jak kościół. Weszliśmy do skromnego, lecz przytulnego saloniku. Pastor powitał Konrada wylewnie.

- Miło pana znów zobaczyć - rzekł.

- Mam prośbę - zwrócił się do niego Konrad. - Chcielibyśmy jeszcze raz zajrzeć do rejestru.

- Bardzo proszę. Czy szukał pan pod złą datą?

Serce waliło mi jak młotem. Wiedziałam, że gdzieś popełniono błąd, i wierzyłam, że jesteśmy o krok od wyjaśnienia sprawy.

- Nie jestem pewien - wyjaśnił Konrad. - A oto panna Ewell, która interesuje się tym zapisem. Niedawno tu zaglądała.

- Wasza wielbność był wówczas nieobecny. Rozmawiałam jedynie z kościelnym.

- Ach, tak, z Thomasem Bortonem. Wyjechałem wtedy na krótko. Chodźmy do kościoła, sprawdźcie państwo, co ich interesuje.

Poszliśmy do zakrystii, niecierpliwie przewracałam kartki rejestru. Zapisu ani śladu. W tym dniu nie udzielono żadnego ślubu.

- To jakieś nieporozumienie... - wyjąkałam.

Konrad stał obok mnie. Wsunął rękę pod moje ramię, ale odtrąciłam go zniecierpliwiona. Spoglądałam to na niego, to na pastora.

- Przecież widziałam ten zapis... - upierałam się. - Był tutaj... W tej księdze...

- Nie - pokręcił przecząco głową pastor. - To niemożliwe. Może pomyliła pani lata?

- Absolutnie nie. Wiem przecież, kiedy odbył się ten ślub. Panna młoda była moją siostrą.

Pastor stał poruszony.

- Wasza wielbność musi to pamiętać. Brali ślub w pośpiechu.

- Nie było mnie tu wtedy. Objąłem tę parafię dopiero przed dwoma laty.

- Zapis znajdował się w tej księdze - powtarzałam. - Widziałam go... jak najwyraźniej... każdy mógł go zobaczyć.

- Wobec tego coś tu jest nie tak. Z pewnością podano pani niedobłą datę.

- Chyba tak - zgodził się z tym przypuszczeniem stojący blisko mnie Konrad. - Jest tu jakiś błąd. Żałuję. Ale sama chciałaś to zobaczyć.

- Rejestr pokazywał nam kościelny. On będzie pamiętał. Widział, że znalazłam zapis. Muszę się z nim zobaczyć. Gdzie mamy go szukać?

- Mieszka we wsi. Przy Ulicy - tylko jedna ulica we wsi warta jest nazwy - pod numerem sześć.

- Chodźmy tam natychmiast - niecierpliwiłam się.

- Wasza wielbność wykazał wielką uprzejmość - podziękował Konrad pastrowi.

- Przykro mi, że coś się nie zgadza. - Z pewnością zastaną państwo Thomasa Bortona przy domu. Zapalony z niego ogrodnik.

Znaleźliśmy kościelnego bez trudu. Wyszedł do nas, okazując zdziwienie.

- Pastor dał nam adres pana - wyjaśnił Konrad. - Panna Ewell chciała się z panem zobaczyć.

Zwrócił się do mnie, zdawał się mnie nie poznawać.

- Pamięta pan, wstąpiłam niedawno do kościoła... towarzyszyła mi pewna pani.

Zmrużył oczy, przegonił muchę z rękawa płaszcza.

- Na pewno pan pamięta. Zaglądałyśmy do rejestru w zakrystii. Pokazał nam pan księgę i znalazłam to, czego szukałam.

- Tyle ludzi przychodzi zaglądać do rejestru...

- A więc przypomina pan sobie. Pastora wtedy nie było...

Potrząsnął głową.

- Nie, raczej nie przypominam.

- Musi pan sobie przypomnieć.

- Obawiam się jednak, że nie pamiętam.

- Ja od razu pana poznałam. Uśmiechnął się.

- Ja... nigdy pani nie widziałem, panno... Ewell, czy tak?

- Wobec tego przepraszamy, że niepokoiliśmy - wtrącił Konrad.

- Nic nie szkodzi, proszę pana. Żałuję, że nie mogłem pomóc. Młoda dama bierze mnie za kogoś innego. Ja nie widziałem panienki nigdy w życiu.

Czułam się kompletnie otumaniona. Zdawało mi się, że to jakiś koszmarny sen.

- Chodź, musimy zdążyć na pociąg - ponaglał Konrad. Dotarliśmy na stację parę minut przed czasem. Usiedliśmy. Konrad ujął mnie mocno pod ramię.

- Nie powinno cię to aż tak wyprowadzać z równowagi - przekonywał.

- Nic na to nie poradzę. Widziałam zapis, ten mężczyzna kłamie. Dlaczego? Przecież musi mnie pamiętać...

- Posłuchaj, Philipppo. Każdemu może przytrafić się coś dziwnego. Tobie zdarzyło się mieć halucynacje.

- Jak możesz mi to wmawiać?

- A jak inaczej można to wyjaśnić?

- Nie wiem. Ale z pewnością znajdę sposób. Wsiedliśmy do pociągu. Czułam się podenerwowana i przestraszona. Zaczęło mi się zdawać, że naprawdę wszystko to sobie wymyśliłam. Panna Elton wyjechała, nie mogłam więc

powołać jej na świadka. Nie pamiętałam zresztą, czy ona również widziała zapis; czy stała obok mnie i zaglądała do księgi.

Konrad objął mnie ramieniem. Stwierdziłam ze zdziwieniem, że sprawia mi to przyjemność.

- Posłuchaj, Philippo - rzekł. - Zapisu nie ma. A nawet gdybyś go znalazła, nie przywróciłoby to życia twojej siostrze. Cała ta sprawa jest bardzo przykra, ale należy do przeszłości. Twoje życie natomiast dopiero się przed tobą otwiera.

Nie słuchałam, co mówi. Czułam tylko, że jest mi dobrze blisko niego.

Dojechaliśmy na miejsce, Konrad odprowadził mnie aż do lasku. Weszłam do dworu i zobaczyłam panią Greaves stojącą u szczytu schodów.

- Czy to panna Philippa? Jak to dobrze, że panienka wróciła. Babka miała dziś ciężki atak.

Pani Greaves patrzyła na mnie znacząco.

- Nie żyje...? Przytaknęła.

## Podejrzana o morderstwo

Chodziłam jak błędna. Przygotowane usprawiedliwienia okazały się niepotrzebne. Śmierć babki sprawiła, że nikt nie spostrzegł mojej nieobecności.

- Odeszła po cichu, we śnie - powiedziała pani Greaves. Miałam pewność, że akurat wtedy, kiedy zaglądałam w pusty rejestr.

- Nie pytała o mnie?

- Cały dzień była nieprzytomna, panienko.

Poszłam do swojego pokoju. Stałam na środku, pogrążona w smutku i samotności. Nie miałam już nikogo. Straciłam Francine, Daisy, pannę Elton i teraz babkę. Jakby okrutny los chciał odebrać mi wszystko, co najdroższe.

Rozmyślałam o Konradzie. Był dla mnie taki miły. Naprawdę żałował, że nie znalazłam zapisu.

Spotkaliśmy się przy kolacji - dziadek, kuzyn Artur i ja.

Dziadek omawiał z kuzynem szczegóły dotyczące pogrzebu. Należało otworzyć rodzinny grobowiec. Kuzyn Artur miał udać się do pastora.

- Jestem szczęśliwy, że mogę w czymkolwiek wujowi pomóc - zapewniał kuzyn Artur.

- Zawsze jesteś mi pomocny, Arturze - stwierdził dziadek. Artur pochylił głowę, nie ukrywał satysfakcji, że to słyszy.

- To wielki wstrząs dla nas wszystkich - mówił dziadek - ale życie musi się toczyć dalej. Nieboszczka z pewnością nie życzyłaby sobie, by z jej powodu uległo zakłóceniu życie tych, którzy pozostali. Powinniśmy o tym pamiętać.

Przyniesiono wspaniałą mahoniową trumnę ozdobioną brązem. Przy trumnie cały dzień i całą noc płonęły świece - trzy w głowach i trzy w nogach.

Poszłam do niej. Zapach drewna, nastrój tego miejsca, nastrój wiecznego spokoju zapamiętałam na zawsze. Nie było w nim nic niesamowitego. Widziałam tylko jej twarz;

nakrochmalony czepek zakrywał włosy. Wyglądała ładnie i młodo. Tak musiała wyglądać, gdy przyjechała do Kamiennego Dworu... Nie bałam się, choć pokój wypełniały cienie rzucane przez migotliwy blask świec. Taka była dobra i łagodna za życia, któż więc bałby się jej po śmierci?

W dwa dni później poszłam do lasu. Była to pora mojej codziennej przechadzki. Siadłam pod drzewem w nadziei, że przyjdzie. Jakże się ucieszyłam, widząc go zmierzającego w moim kierunku.

Usiadł przy mnie na trawie, pocałował mnie w rękę i spytał:

- Jak się miewasz?
- Po powrocie do domu dowiedziałam się, że umarła moja babcia.
- Tak nagle?
- Nie, była stara i schorowana, nie czuła się dobrze od paru dni, ale dla mnie to wielki wstrząs, tym bardziej że...
- Powiedz - nalegał łagodnie.
- Straciłam wszystkich. Najpierw siostrę i pokojówkę Daisy, potem pannę Elton, teraz babkę. Nie mam już nikogo.
- Moje biedactwo... Ile masz lat?
- Niedługo skończę siedemnaście.
- Taka mała dziewczynka... i tyle ma kłopotów.
- Gdyby żyli rodzice, wszystko wyglądałoby inaczej. Mieszkalibyśmy na Wyspie, szczęśliwi. Francine by żyła, a ja nie czułabym się taka samotna.
- A dziadek? Zaśmiałam się gorzko.
- Będzie próbował mnie zmusić, żebym poślubiła kuzyna Artura.
- Zmusić? Nie wyglądasz na osobę, którą można do czegokolwiek zmusić.
- Toteż nie dam się zmusić. Muszę znaleźć sobie jakąś posadę, ale kto zatrudni osobę w moim wieku?

- Jesteś rzeczywiście trochę za młoda - przyznał. - Kuzyn Artur, jak rozumiem, niezbyt ci się podoba.

- Nie cierpię go.

- Dlaczego?

- Zrozumiałbyś, jakbyś go zobaczył. Francine też go nie cierpiała. Ją jako starszą najpierw chciano za niego wydać... ale wyszła za Rudolpha. Pobrali się, wiem to na pewno.

- Zastanówmy się lepiej nad twoją sytuacją. To znacznie ważniejsze.

- Dziadek chce, żebym poślubiła kuzyna Artura, jak skończę siedemnaście lat, co wkrótce nastąpi. Powie mi po prostu: „Masz wyjść za kuzyna Artura albo się wynoś”. Marzę o tym, żeby się wynieść, ale dokąd pójdę? Musiałabym przedtem znaleźć posadę. Gdybym była choć o dwa lata starsza... Rozumiesz?

- Tak.

- Babka była dobra, miła, wyrozumiała. Mogłam z nią porozmawiać. Teraz nie mam nikogo.

- Masz mnie.

- Ciebie?!

- Tak, moje biedactwo. Nie chcę, żebyś czuła się nieszczęśliwa. Możesz się na mnie złościć... w żadnym razie jednak nie chcę widzieć twojej rozpacz.

- Jestem zrozpaczona. Chciałam porozmawiać z babcią. Chciałam jej powiedzieć o zapisie. Nie mam już z kim rozmawiać. Jestem zupełnie sama.

Ogarnął mnie ramionami i trzymał mocno, obrócił delikatnie i pocałował w czoło, czubek nosa, w usta. Czułam się prawie szczęśliwa.

Odsunęłam się nieco w strachu przed własnymi uczuciami. Wydało mi się niezwykle, że podoba mi się człowiek, który w sprawie Francine zajmuje odmienne stanowisko.

Nie wiedziałam, co zrobić.

- Nie jesteś sama - powiedział miękko. - Masz mnie. A ja jestem twoim przyjacielem.

- Przyjacielem! - wykrzyknęłam. - Ty, który usiłowałeś mi wmówić, że jestem szalona!

- Nie masz racji. Usiłowałem jedynie uzmysłwić ci prawdę. Trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy... Nawet jeśli nie jest przyjemna.

- To nie jest prawda. To jakieś nieporozumienie.

- Coś ci powiem, Philippo. Tak bardzo zajmuje cię przeszłość, że pozwolisz, by zniszczyły cię niebezpieczeństwa teraźniejszości. Jak zamierzasz postąpić w sprawie kuzyna Artura?

- Nigdy za niego nie wyjdę.

- A jeśli dziadek cię wyrzuci... co wtedy?

- Właśnie sobie uświadomiłam, że śmierć babki przesunie nieco całą sprawę w czasie. Wesele nie może się odbyć wkrótce po pogrzebie. Dziadek należy do osób, które przywiązują dużą wagę do konwenansów.

- A więc sądny dzień trochę się odwlecze.

- To da mi czas na wyszukanie rozwiązania. Ciotka Grace na pewno mi pomoże. Opuściła Kamienny Dwór i jest teraz bardzo szczęśliwa. Może pozwoli mi zamieszkać u siebie.

- Promyk nadziei? A możesz powiedzieć, jak sobie wyobrażasz rolę służącej w czyimś domostwie, po tym jak żyłaś tutaj?

- Nie czuję się szczęśliwa w Kamiennym Dworze. Zawsze wydaje mi się, że jestem w niewoli. Francine też tak to czuła. A więc nie ma wspaniałej przeszłości, do której mogłabym tęsknić. Poza tym mogę pracować jako guwernantka... nie jako zwykła służąca.

- Ach, biedna Philippa - litował się nade mną. - Smutna przyszłość przed tobą.



Zadrzałam, przytulił mnie mocniej.

- Chcę ci powiedzieć, że jutro wyjeżdżam z Anglii.

Zaniemówiłam. Patrzyłam przerażona przed siebie. A więc on też. Będę skazana na łaskę dziadka i kuzyna Artura.

- Czyżby było ci trochę przykro, że wyjeżdżam?

- Lubiłam z tobą rozmawiać.

- I wybaczasz mi, że roznieciłem całą tę historię z zapisem?

- Nie mogę tylko ciebie za to winić.

- Czasami wydaje mi się, że mnie nienawidzisz.

- Nie jestem aż taka zawzięta.

- Przyrzekasz, że przestaniesz myśleć o przeszłości?

- Nie mogę, chcę się wszystkiego dowiedzieć. To przecież moja siostra.

- Rozumiem doskonale. Nie poddawaj się jednak rozpacz. Jestem pewien, że sprawy jakoś się ułożą. Przykro mi, że muszę wyjechać. Ale to kwestia wyższej konieczności.

- Rozumiem, pracodawcy cię wzywają.

- Można to i tak określić. Mamy jeszcze jeden dzień. Spotkajmy się jutro, spróbuję znaleźć dla ciebie jakieś rozwiązanie.

- A cóż ty możesz zrobić?

- Czyżbyś nie zauważyła, że jestem czarnoksiężnikiem?

Próbowałam się uśmiechnąć, ale wiadomość o jego wyjeździe przygnębiła mnie, a nie chciałam, by zorientował się, jak bardzo mnie to poruszyło.

- Wyrwę cię z ramion kuzyna Artura... jeśli pozwolisz.

- Nie sądzę, by starczyło ci czarnoksiężskiej mocy.

- Zobaczymy. Zaufasz mi? - podniósł się z ziemi. - Muszę to wiedzieć.

Wyciągnął rękę i pomógł mi wstać. Staliśmy blisko siebie. Objął mnie. Pocałunki, zupełnie inne teraz, oszałamiały, przerażały, ale pragnęłam, by mnie całował.

Puścił mnie, rozpromieniony, i rzekł:

- Jesteś chyba troszkę przyjaźniej do mnie usposobiona.
- Trudno mi określić, co czuję...
- Niewiele czasu nam zostało. Czy jesteś gotowa mi zaufać?
- Co za dziwne pytanie. A czy powinnam?
- Nie - odparł. - Nie ufaj nikomu. Szczególnie ludziom, o których nic nie wiesz.
- Ostrzegasz mnie? Przytaknął.
- Przygotowuję cię raczej.
- To rzeczywiście tajemniczo brzmi. To chcesz mi pomóc, to ostrzegasz mnie przed sobą.
- Życie jest pełne sprzeczności. Spotkajmy się jutro. Może znajdę jakieś rozwiązanie. Oczywiście, wszystko będzie zależało od ciebie.
- A więc do jutra.

Ujął w dłonie moją twarz i rzekł: Nil desperandum. Pocałował mnie delikatnie i odprowadził na skraj lasu, gdzie się rozstaliśmy.

Nie miałam wątpliwości. Konrad bardzo mnie pociągał, chciałam być blisko niego. Zapominałam wtedy o bożym świecie.

Z trudnością wytrzymywałam w domu żałoby, poczucie osamotnienia wzmagало się. Konrad ma znaleźć dla mnie jakieś rozwiązanie. Nie wierzyłam, że to możliwe, jednak myśl o tym podnosiła mnie na duchu. Wyszłam do ogrodu. Gdy spacerowałam, podbiegł do mnie jeden z małych Emmsów i powiedział:

- Mam to pani dać, jak nikt nie będzie widział.
- Od kogo?...
- Z Folwarku, proszę panienki.
- Dziękuję.

Rozdarłam kopertę i wyjęłam arkusik białego papieru ze złotym herbem u góry. Zaczęłam czytać:

Philippo, muszę wyjechać jutro wczesnym rankiem. Chcę się z tobą zobaczyć. Przyjdź, proszę, jeśli możesz, wieczorem o dziesiątej. Będę czekał obok krzewów koło Folwarku.

K.

Ręce mi się trzęsły. A więc jutro wyjeżdża. Powiedział, że znajdzie dla mnie rozwiązanie. Ale czy to możliwe?

Muszę wymknąć się z domu i zostawić otwarte drzwi. Nie. Ktoś mógłby to zobaczyć. Od strony dziedzińca znajdowało się niskie okienko. Jeśli zostawię je uchylone, wracając wśliznę się przez nie do środka.

Muszę się z nim zobaczyć.

Nie wiem, jak przetrwałam resztę dnia. Usprawiedliwiając się bólem głowy, nie poszłam na kolację z dziadkiem i kuzynem.

Sprawdziłam okienko. Zwykle nikt tamtędy nie przechodził, było więc dość bezpieczne.

Wymknęłam się za kwadrans dziesiąta. Czekał w pobliżu krzewów. Chwycił mnie w ramiona i mocno przytulił.

- Chodźmy do domu - zaproponował.

- Czy wypada? - spytałam.

- Czemu nie?

- To nie jest twój dom.

- Ale jest pod moim nadzorem. Chodźmy.

Poszliśmy do Folwarku i gdy przechodziliśmy przez hol, spojrzałam z lękiem na otwory w ścianie, wiedząc, że można przez nie obserwować hol z solarium.

- Nikt nas nie zobaczy - szeptał. - Wszyscy śpią. Zmęczyci się przygotowaniem do wyjazdu.

- Wszyscy jutro wyjeżdżają?

- Nie. Wyjadą za dzień lub dwa. Poszliśmy schodami na górę.

- Dokąd idziemy? - spytałam. - Do weinzimmeru?

- Zobaczysz.

Pchnął jedne z drzwi i weszliśmy do pokoju, w którym płonął ogień na kominku. Był to duży pokój z ciężkimi aksamitnymi zasłonami. Zauważyłam alkowę z wielkim łóżem pod baldachimem.

- Czyj to pokój? - spytałam wylękniona.

- Mój. Jesteśmy tu bezpieczni.

- Nie rozumiem.

- Wkrótce zrozumiesz. Siadaj. Mam wyborne wino. Chciałbym, żebyś spróbowała odrobinę.

- Nie znam się na winach.

- Z pewnością pijacie je w Kamiennym Dworze.

- Mój dziadek decyduje o tym, co wszyscy pijemy.

- Cóż za despota z tego twojego dziadka.

- Co masz mi do powiedzenia?

- Wyjeżdżam. Pomyślałem, że muszę się z tobą zobaczyć.

- To już wiem.

Wziął mnie za rękę. Siedział na wielkim, przypominającym tron krześle. Pociągnął mnie ku sobie i posadził na kolanach.

- Nie obawiaj się - dodawał mi odwagi. - Odtąd twoje dobro stanie się dla mnie jedyną troską.

- Co za dziwne rzeczy mówisz. Sądziłam, że przychodzę tu, by się z tobą pożegnać.

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiała.

- Czy coś się zmieniło?

- Nie ma trudności nie do pokonania.

Jego dłonie pieściły moją szyję. Czułam, że chcę pozostać w tym pokoju na zawsze.

- Co o mnie myślisz?

Próbowałam wywinąć się z jego uścisku.

- Ledwie się znamy - wyjąkałam. - Nie jesteś Anglikiem.

- Czy to wielka przeszkoda?
- Oczywiście, że nie, ale to znaczy, że...
- Że co?

- Że prawdopodobnie różnimy się we wszystkim. Ja na przykład wolałabym siedzieć na krześle i usłyszeć wreszcie, co masz mi do powiedzenia.

- A ja wolałabym mieć cię blisko... Philippo, czuję, że zaczynam cię kochać.

Zakręciło mi się w głowie od nagłego szczęścia. Zapadałam się w ocean rozkoszy, choć słyszałam wyraźnie płynące z głębi mnie ostrzegawcze głosy. Toń oceanu mogła okazać się pełna niebezpieczeństw.

- Philippa - powtarzał - to brzmi bardzo dostojnie. Philippa.

- Moja rodzina nazywała mnie Pippą.

- Pippa. Zdrobnienie od Philippy. Podoba mi się. Przypomina piosenkę Pippy... „Pippa przechodzi”, pamiętasz? Jak widzisz, choć nie jestem Anglikiem, wykształcenie mam angielskie. Znam wiersze Roberta Browninga. Ślą łaskę niebiosy, Jest dobrze na Ziemi! Tak śpiewała Pippa. Powiedz, czy dla ciebie to także prawda?

- Doskonale wiesz, że daleko do takiej prawdy.

- Może więc ja mógłbym coś zmienić? Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł. Jest dobrze na ziemi, marzę, żebyś mogła tak powiedzieć.

- Akurat, wyjeżdżasz i więcej cię już nigdy nie zobaczę.

- O tym też chcę z tobą porozmawiać. Bo to, czy będziesz mnie nadal widywać, zależy wyłącznie od ciebie.

- Nie rozumiem.

- To proste. Mógłbym cię wziąć ze sobą.

- Jak to możliwe?

- Zwyczajnie. Spotkamy się jutro na stacji. Nie po to, żeby pojechać do Dover, jak poprzednio. Pojedziemy do

Londynu, a potem do Harwich. Tam wsiądziemy na statek, a potem znowu do pociągu, aż wreszcie dotrzemy do mojego domu. Co ty na to?

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Przysięgam, że nie żartuję. Chcę być z tobą. Nie rozumiesz, że zakochałem się w tobie?

- Ale... jak mogłabym z tobą pojechać?

- A czemu nie?

- Dziadek się nie zgodzi.

- Sądziłem, że nie dbamy o dziadka i kuzyna Artura. Nie potrzebujemy zgody żadnego z nich. Pippa... pozwól sobie pokazać, jak cię kocham.

- Ja... nie...

- Pozwól mi cię uczyć.

Rozpiął mi bluzkę. Zastłaniałam się dłońmi, żeby mu przeszkodzić, ale ujął moje ręce i zaczął je całować. Byłam przełknięta, a zarazem podniecona jak nigdy przedtem. Nic nie miało znaczenia... przeszłość... przyszłość... Liczyła się tylko ta chwila. Całował mnie, zdejmując mi bluzkę.

- Co ty robisz? - wyjąkałam. - Muszę iść...

Ale nie próbowałam „iść”. Nieodparcie pragnęłam zostać.

Powtarzał, że mnie kocha, że nie mam się czego obawiać. Mielśmy być ze sobą na zawsze... mam zapomnieć o dziadku i kuzynie Arturze. To przeszłość. Nic poza naszą miłością nie ma znaczenia. Odzywały się we mnie resztki rozsądku, ale nie chciałam słuchać.

- Muszę już iść... - zaczęłam.

Zaśmiał się cicho, znalazłam się na łóżu pod baldachimem, obok niego. Szeptał czułe słowa, byłam przerażona, oszołomiona, zatopiona w rozkoszy... A potem po prostu leżał trzymając mnie w objęciach. Drżałam, szczęśliwa i zbuntowana w szczególny sposób, i powtarzałam w myśli, że

nie chciałabym, żeby było inaczej, nawet gdybym nie miała dokąd wracać.

Głaskał moje włosy, mówił, że jestem piękna, cudowna i że nigdy nie przestanie mnie kochać.

- Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam - wyznałam.

- Wiem - odrzekł. - Ale czyż nie wspaniale być ze sobą w ten sposób? Powiedz, Pippo?

Przyznałam, że wspaniale. - I nie żałujesz?

- Nie - potwierdziłam stanowczo. - Nie.

Pocałował mnie i znów się kochaliśmy. Tym razem było inaczej. Przerazenie minęło, rozkosz miała inny smak. Poczułam, że mam wilgotne policzki, musiałam płakać. Scałowywał moje łzy i powtarzał, że nigdy nie czuł się tak szczęśliwy.

Wstał, nałożył jedwabny szlafrok, błękitny ze złotym wzorem. Błękit podkreślał kolor jego oczu, wyglądał jak skandynawski bóg.

- Jesteś śmiertelnikiem? - spytałam. - A możesz ty Thor albo Odyn, albo któryś z norweskich bogów czy herosów?

- Widzę, że znasz trochę naszą mitologię.

- Czytałyśmy ją z Francine podczas lekcji z panną Elton.

- Kim więc mam być, Sigurdem? Zawsze uważałem go za głupca, ponieważ wypił napój i ożenił się z Gudrun, chociaż naprawdę kochał Brunhildę.

- Tak - przyznałam mu rację. - Postąpił beznadziejnie.

- Och, Pippa. Będziemy tacy szczęśliwi. Podeszedł do stołu i nalał troszkę wina.

- Dla wzmocnienia - powiedział - musimy odnowić siły.

Roześmiałam się. Coś dziwnego działo się ze mną. Wypiłam, czułam lekki zawrót głowy. Konrad wydawał mi się wyższy niż zwykle.

- To wino - tłumaczyłam się.

Ogarnął mnie ramionami i znów oddaliśmy się miłości.

Była to dla mnie noc przebudzenia - z dziecka stałam się kobietą. Zasnęłam, a gdy się obudziłam, wino straciło nade mną swą moc.

Usiadłam na łóżku i patrzyłam na Konrada. Poruszył się, sięgnął po mnie... Jak ostrzeżenie, że czarowna noc już się skończyła, zegar na kościele wydzwonił czwartą. Zmieszana dotknęłam swego nagiego ciała. Moje ubranie leżało na podłodze.

- Muszę już iść - oświadczyłam.

Konrad rozbudził się całkowicie, otoczył mnie ramieniem.

- Nie bój się. Jedziesz przecież ze mną.

- Gdzie weźmiemy ślub? W kościele, jak Francine? Patrzył na mnie w milczeniu. Potem uśmiechnął się i przyciągnął mnie do siebie.

- Pippa - rzekł - nie będzie żadnego ślubu, tak jak nie było ślubu w przypadku Francine.

- Ale my...

Spojrzałam na zmiętą pościel i nagiego mężczyznę obok mnie. Na butelkę po winie i popiół w kominku.

Nadal przyglądał mi się z czułością.

- Kocham cię. Zabiorę cię ze sobą, otoczę opieką. Może urodzą się nam dzieci. Twoje życie będzie wspaniałe, Pippo. Niczego ci nie zabraknie.

- Ale musimy się pobrać. Myślałam, że to miałeś na myśli zapewniając, że mnie kochasz.

Uśmiechał się wciąż czule, choć może odrobinę cynicznie.

- Miłość i małżeństwo nie zawsze idą w parze.

- Ale ja nie mogę być z tobą, jeśli nie zostanę twoją żoną.

- Możesz i właśnie to udowodniłaś.

- Ale... to niemożliwe.

- W Kamiennym Dworze może nie. Zapomnijmy więc o nim, bo wszystko potoczy się teraz inaczej. Ożeniłbym się z tobą, gdybym mógł. Ale ja jestem już prawie żonaty.



- Masz żonę? Przytaknął.

- Tak jakbym miał. Tak to się odbywa w moim kraju. Wybiera się dla nas żony, gdy tylko się urodzimy, a następnie odbywa się uroczystość zaślubin.

- Nie powinieneś być wobec tego ludzi mnie nadzieją, że się pobierzemy.

- Nie łudziłem cię nadzieją, nie przyrzekałem ci małżeństwa.

- Ale ja sądziłam, że się pobierzemy. Sądziłam, że to, co robiliśmy... Powiedziałeś, że zabierzesz mnie ze sobą.

- Dopełnię wszystkiego, co obiecałem. Jedyłą rzeczą, której nie mogę zrobić, to zostać twoim mężem.

- Co zatem proponujesz? Mam być twoją kochanką?

- Można by rzec, że już nią jesteś.

Zakryłam twarz dłońmi. Wskoczyłam z łóżka i podniosłam swoje ubrania.

- Pippa, bądź rozsądna. Kocham cię. Chcę cię mieć przy sobie. Najdroższa, musisz mnie zrozumieć.

- Rozumiem. Robisz to, co ci sprawia przyjemność. Nie kochasz mnie. Jestem po prostu kurtyzana - tak to się chyba nazywa.

- Och, cóż za staroświeckie określenie.

- Nie żartuj. Byłam naiwna. A ty dobrze się bawiłeś. Najpierw zapis. To nie był prawdziwy rejestr, prawda? Załatwiłeś to jakoś.

- Zapewniam cię, że nie maczałem w tym palców. - Wszystko zaplanowałeś. Upiłeś mnie winem... zniszczyłeś mnie.

- Moja droga, przemawiasz jak bohaterka taniego melodramatu.

- Może i jestem tania... łatwo uległam pokusie... ku twojemu zadowoleniu, a teraz mi mówisz, że masz żonę. Nie wierzę ci.

- Raz jeszcze zapewniam cię, że to prawda. Pippa, musisz uwierzyć, że gdybym mógł, poprosiłbym cię o rękę. Jestem pewien, że ty także czujesz, iż to, co zrodziło się między nami, należy kontynuować... że to najwspanialszy rodzaj miłości, jaki istnieje.

Czułam się zdruzgotana. Surowe metody wychowawcze, jakim poddawano nas w Kamiennym Dworze, nie pozwalały mi widzieć siebie inaczej niż jako kobietę upadłą.

- Posłuchaj - przekonywał dalej. - Jedź ze mną. Pokażę ci inny świat. Stosunki między dwojgiem ludzi to coś więcej niż wpisanie nazwisk do rejestru. Kocham cię. Możemy mieć cudowne życie.

- A twoja żona?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Jesteś okrutny i cyniczny.

- Trzeźwo patrzę na życie. Zostałem uwikłany w ten związek z powodów ode mnie nie zależnych. Małżeństwo z rozsądku. Ale to nie znaczy, że nie wolno mi kochać... kogoś, kto będzie najdroższą mi istotą pod słońcem. Nie dowierzasz mi, prawda?

- Nie - odparłam. - Słyszałam o mężczyznach takich jak ty. Ale... dałam się ponieść uczuciom.

Objął mnie.

- Jesteś cudowna - szeptał. - Kochasz mnie. Pragnęłaś mnie. Nie pytałaś: „Kiedy się pobierzemy?” Nie przychodziło ci to na myśl.

- Teraz dopiero widzę, jak niewiele wiem o życiu.

- Jedź więc ze mną, a wszystkiego cię nauczę. Obyczaje są dla ludzi, a nie ludzie dla obyczajów.

- Nie potrafię żyć wedle twoich zasad. Zaczęłam się ubierać.

- Co chcesz zrobić? - spytał. - Czy przyjdiesz na stację?

- Nie mogę. Byłby to błąd.

- Odjadę więc sam?
- Czy mamy jakiś wybór?
- Och, mała Pippo, wciąż jesteś dzieckiem... choć uczyniłem cię kobietą. Jeśli nie wyjedziesz ze mną, będziesz żałować przez całe życie.
- Jeśli wyjadę, mogę również żałować.
- Powinno się korzystać z szans, które daje nam życie. Wykorzystaj tę szansę, Pippo. Zrób to, czego pragniesz.
- Wiem, że byłaby to niewłaściwa decyzja.
- Odrzuć konwenanse, w których zostałam wychowana. Odrzuć je, naucz się żyć.
- Muszę wracać - oświadczyłam.
- Odprowadzę cię. - Nie...
- Tak. Poczekaj chwilę.

Stałam i patrzyłam na niego, moje serce przepełniały wątpliwości. Oczyma wyobraźni widziałam, jak przychodzę na stację. On na mnie czeka. Wsiadamy do pociągu i ruszamy... ku miłości i przygodzie. Jakbym powtarzała historię Francine.

- Chodź.

Wsunął rękę pod moje ramię i pocałował mnie czule.

- Najdroższa - przekonywał - przyrzekam, że nigdy nie będziesz żałowała.

Wyszliśmy na rześkie powietrze poranka.

- Idź. Nikt nie powinien cię ze mną zobaczyć - odpychałam go.

- Miejmy nadzieję, że nikt nie zobaczy, że wracasz o takiej porze.

Trzymał mocno moją rękę.

- Dzisiaj o dziesiątej na stacji. Zachowaj ostrożność. Wsiądziemy do pociągu osobno. Będę miał dla ciebie bilet.

Wyrwałam się i pobiegłam. Serce biło mi jak szalone, gdy wpadłam na dziedziniec. Na szczęście zastałam okienko tak,

jak je zostawiłam. Przecisnęłam się przez nie i zamknęłam starannie, szybko przeszłam przez hol ku schodom.

Nagle zeszytniałam ze strachu. Na szczycie schodów ujrzałam panią Greaves wpatrującą się we mnie z pogardą. Była w szlafroku i rannych pantoflach, na włosach miała papiloty.

- Panna Philippa! - wycedziła. - Tak się przeraziłam! Słyszałam, że coś się rusza. Gdzie też panienka była?

- Nie mogłam zasnąć. Wyszłam na spacer do ogrodu. Patrzyła z niedowierzaniem na moje zmierzwione włosy.

Musiałam wyglądać dość dziwacznie.

Przemknęłam obok niej i znalazłszy się w swoim pokoju wśliznęłam się do łóżka. Wykończona, oszołomiona próbowałam nie myśleć, co przyniesie przyszłość. Obudziłam się o dziewiątej. Tęskniłam do jego obecności. Chciałam odrzucić skrupuły i wyjechać z nim. Co z tego, że nie moglibyśmy się pobrać? Ale ja tak bardzo, tak bardzo chciałam jechać!

Wpół do dziesiątej. Już za późno.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła pokojówka.

- Niedobrze się panienka czuje?

- Okropnie boli mnie głowa.

- Tak sobie pomyślałam. Powiedziałam panu, że panienka źle się czuje. Bardzo się zmartwił.

- Dziękuję, Amy.

- Czy mam panience coś przynieść?

- Nie, dziękuję. Jeszcze trochę poleżę.

Za dwadzieścia dziesiąta. Za późno, już nie zdążę. Wyobrażałam sobie, jak czeka na stacji, pełen nadziei, może nawet tęsknoty. Podobałam mu się. Byłam tego pewna.

Zegar wybił dziesiątą głośno, triumfalnie. Za późno. Cnota zwyciężyła.

Przez cały dzień nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Przy kolacji dziadek okazywał mi wiele troski, jeszcze nigdy nie był dla mnie tak łaskawy. Dopytywał się o moje samopoczucie i wyraził zadowolenie, że ból głowy już minął. Po kolacji pragnął zamienić ze mną parę słów w swoim gabinecie.

Zadziwiające - moje myśli tak zaprzętał Konrad, że nie od razu do mnie dotarło, że oto nadchodzi moment, którego lękałam się od wielu miesięcy, i nawet wtedy, kiedy z wielką uprzejmością dziadek witał mnie w gabinecie, nie przyszło mi to do głowy. Uśmiechał się do mnie z sympatią, nie przypuszczając ani przez chwilę, że napotka jakikolwiek opór wobec swoich planów.

- Nasz dom został dotkliwie osierocony - zaczął. - Twoja biedna babka leży w trumnie. Pograżyła nasze serca w wielkim smutku. Jednakże była ona ostatnią osobą, która życzyłaby sobie, by życie stanęło w miejscu tylko dlatego, że ona z niego odeszła. Z pewnością pragnęłaby, byśmy posuwali się naprzód w naszej codzienności, a nawet, w tym tak przykrym dla nas okresie, rozjaśnili ją światłem radości.

Nie bardzo słuchałam, co mówi. Myślałam o Konradzie.

- Zaplanowałem wielką uroczystość na twoje siedemnaste urodziny, kiedy staniesz się dojrzałą kobietą.

Chciałam krzyknąć: ja już jestem kobietą, dziadku. Spędziłam cudowną noc w Folwarku z najwspanialszym kochankiem, który właśnie odjechał.

- Nie przystoi to jednak w sytuacji - ciągnął dziadek - gdy umarła twoja babka... Tak, śmierć babki stanowi tu pewną przeszkodę... Myślę jednak, że możemy z tej okazji urządzić uroczystą kolację w gronie przyjaciół, podczas której ogłosimy zaręczyny.

- Zaręczyny!

- Wiesz, jaka jest moja wola, jeśli chodzi o ciebie i kuzyna Artura. Taka też jest jego i, jak mniemam, twoja wola. Nie sądzę, by należało wszystko odkładać tylko z powodu śmierci w rodzinie. Oczywiście uroczystości będą skromniejsze niż początkowo zamierzałem... ale nie ma sensu ich odkładać. Ogłosimy wasze zaręczyny w twoje siedemnaste urodziny, a trzy miesiące później weźmiecie ślub. Zbyt długi okres narzeczeństwa nie jest wskazany. Trzy miesiące wystarczą na niezbędne przygotowania.

Słyszałam swój głos wydobywający się jak nie z mojej krtani:

- Mylisz się, dziadku, sądząc, że wyjdę za kuzyna Artura.

- Co?! - wrzasnął.

- Powiedziałam, że nie zamierzam wyjść za kuzyna Artura.

- Straciłaś rozum!

- Nie. Nigdy nie pragnęłam zostać jego żoną, podobnie jak moja siostra.

- Nie rozmawiajmy o twojej siostrze. To ładacznica i dobrze, że się jej pozbyliśmy. Nie życzyłbym sobie, by ktoś taki został matką moich spadkobierców.

- Nie była ładacznicą - wykrzyknęłam z pasją. - Nie chciała jedynie, by zmuszano ją do małżeństwa... podobnie jak ja.

- Słuchaj no - ogarnęła go taka wściekłość, że przez cały czas krzyczał - albo zrobisz, co każę, albo nie masz prawa przebywać pod tym dachem.

- Skoro tak, opuszczę dwór.

- Ach, więc taką zmiję na własnej piersi hodowałem! Nie mogłam powstrzymać histerycznego śmiechu. Obraz

dziadka hodującego cokolwiek na własnej piersi wydał mi się nieprawdopodobnie zabawny.

- Ty bezwstydnico! - wrzeszczał. - Jak śmiesz! Chyba postradałaś zmysły! Pożałujesz, żebyś wiedziała! Wszystko obmyśliłem. Miałem dobrze cię zabezpieczyć, gdybyś wyszła za Artura. Miałem jutro posłać po prawników. Niczego nie dostaniesz, złamanego grosza. Wszystko straciłaś, rozumiesz? Dom... dobrego męża...

- Nie wszystko, dziadku. Pozostała mi wolność.

- Wolność? A po co ci ona? Żeby głodować? Iść do kogoś na służbę? Bo takiego wyboru dokonałaś, moja panno. Nie zostaniesz pod moim dachem... nie będziesz tu żyć w luksusie. Sprowadziłem cię tu z kraju dzikusów... kształciłem cię... karmiłem...

- Jestem twoją wnuczką, dziadku, czyżbyś o tym zapomniał.

- Chciałbym o tym zapomnieć.

Mówił podniesionym głosem; zastanawiałam się, kto jeszcze nas słyszy. Byłam przekonana, że cała służba.

Nagle zmienił front. Zrobił się łagodny jak baranek.

- Może nie zastanawiałaś się nad swoją przyszłością? Może zbyt pochopną podjęłaś decyzję?...

- Nie - odparłam stanowczo. - Od dawna wiem o twoich zamiarach i długo się nad tym zastanawiałam. Nigdy, przenigdy nie poślubię kuzyna Artura.

- Wynoś się! - wrzasnął. - Wynoś... zanim zrobię ci krzywdę. Jutro opuścisz ten dom. Spotkam się z moim prawnikiem, aby zarządzić, żebyś nigdy ode mnie niczego nie dostała... nigdy. Zostawię cię bez grosza, bez grosza, rozumiesz?

Odwróciłam się i wyszłam z podniesioną głową. Kiedy znalazłam się na korytarzu, usłyszałam szelesty i szuranie nogami; domyśliłam się, że podsłuchiowano nas.

Poszłam schodami na górę. Otworzyłam drzwi pokoju, w którym leżała babka. Płonęły w nim nowo zapalone świece.

Stałam w progu i patrzyłam w spokojną twarz nieboszczki. „Babciu, kochana, szeptałam, dlaczego nie możesz poradzić mi, co mam robić. Dlaczego mnie zostawiłaś? Pomóż mi. Proszę, pomóż”. Wydało mi się, że zimne wargi uśmiechają się do mnie pocieszająco.

\* \* \*

Otworzyłam oczy. Wokół panowała ciemność, zdziwiło mnie, że się przebudziłam. Usiadłam na łóżku. Poczułam swąd, dobiegały mnie jakieś odgłosy, które nie od razu rozpoznałam.

Nasłuchując uważnie, wyskoczyłam z łóżka.

To ogień!

Włożyłam pantofle i wybiegłam z pokoju. Pokój dziadka znajdował się na końcu korytarza, obok pokoju, gdzie stała trumna. Przez szpary drzwi wydostawały się języki ognia.

- Pożar! - krzyknęłam. - Pożar!

W tejże chwili pojawił się kuzyn Artur.

- Co się dzieje? Och, niech Bóg ma nas w swojej opiece!

- Pali się u dziadka! - zawołałam.

Tymczasem nadbiegło kilkoro służących. Kuzyn Artur otworzył drzwi pokoju dziadka i płomienie buchnęły na zewnątrz.

- Alarm! - wołał kuzyn Artur. - Trzymajcie się z dala od pokoju! Wszystko płonie! Pokój obok też.

Jeden z lokai przedarł się przez dym i płomienie. Po chwili pojawił się, wlokąc dziadka po podłodze.

Kuzyn Artur wciąż krzyczał:

- Wody! Szybko! Polewajcie! Bo wszystko spłonie... drewno jest suche jak pieprz.

Kuzyn pochylił się nad dziadkiem.

- Poślij kogoś po doktora... szybko - polecił mi.

Pobiegłam. Na dole natknęłam się na jednego ze stajennych. Bez słowa wybiegł, a ja wróciłam na górę.



Wszędzie pełno było wody, dym gryzł, ale widać było, że udaje się zdusić płomienie.

Wydawało się, że pożar wybuchł w pokoju, gdzie leżała babka.

- Zawsze uważałem, że palące się przez całą noc świece to wielkie niebezpieczeństwo - rzekł kuzyn Artur.

Dziadek leżący na korytarzu, przykryty kocem i z poduszką pod głową wyglądał okropnie. Nie był to ten sam człowiek, który jeszcze przed paroma godzinami krzyczał na mnie w swoim gabinecie. Bezradny i słaby, z opaloną brodą i poparzeniami na szyi i twarzy musiał cierpieć okropny ból, ale nie skarżył się.

Stałam tak i patrzyłam, do momentu gdy nadszedł doktor. Pożar tymczasem ugaszono całkowicie. Niebezpieczeństwo minęło.

Doktor rzucił okiem na dziadka i stwierdził:

- Sir Matthew nie żyje.

\* \* \*

Nawet teraz, gdy próbuję złożyć w całość wydarzenia tamtej nocy, nie bardzo mi się to udaje.

Pamiętam kuzyna Artura w brązowym długim szlafroku, proponującego mi coś do wypicia. Wydawał się uprzejmiejszy niż kiedykolwiek, nie tak obłudny, bardziej ludzki. Był wstrząśnięty. Stracił dobroczyńcę i trudno mu było z tym się pogodzić.

- Nie denerwuj się, Philippo - prosił. - Wiem, że miałaś z nim nieprzyjemne zajście wieczorem.

Milczałam.

Poklepał mnie po ręce.

- Nie przejmuj się - rzekł. - Ja cię rozumiem.

Doktor miał poważną minę. Chciał zamienić parę słów z kuzynem. Wydawał się zażenowany. Jego zdaniem dziadek nie umarł od zaczadzenia. Miał z tyłu rozciętą głowę.

- Prawdopodobnie musiał się przewrócić - powiedział kuzyn Artur.

- Być może - potakiwał doktor z powątpiewaniem.

- To była okropna noc dla mojej kuzynki - tłumaczył kuzyn Artur. - Czy mógłby pan dać jej jakiś środek uspokajający?

Przyglądał mi się z takim współczuciem, że zaczęłam się zastanawiać, czy właściwie go oceniałam. Ponadto zachowywał się, jakby już był panem Kamiennego Dworu. Przywoławszy jedną z pokojówek polecił jej zabrać mnie do mojej sypialni. Pozwoliłam odprowadzić się do pokoju i padłam na łóżko. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało.

\* \* \*

Następnego ranka nocny koszmar trwał dalej. W domu panowało wielkie poruszenie, pełno w nim było obcych ludzi.

Kuzyn Artur poprosił mnie do gabinetu i wyjaśnił, że ciało dziadka zabrano, ponieważ nie ustalono dotąd przyczyny śmierci i musi być w tej sprawie przeprowadzone dochodzenie. Dodał też coś o uderzeniu w tył głowy.

- Sądzi kuzyn, że dziadek upadł i rozciął sobie głowę?

- Możliwe. Kiedy zorientował się, że wybuchł pożar, postanowił uciekać i upadł. Jedna ze świec stojących przy trumnie widocznie się przewróciła, zajął się od niej leżący na podłodze chodnik... Trumna stała blisko pokoju dziadka. Jak wiesz, oba pokoje połączone są drzwiami, ogień przedarł się zapewne przez szpary. Oczywiście, to są tylko moje przypuszczenia...

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem.

- Wiem, jak się czujesz, Philippo - ciągnął - po wieczornej kłótni.

- Musiałam mu powiedzieć, co czuję.

- Wiem. I wiem, o czym rozmawialiście. Pamiętaj, że jestem twoim przyjacielem. Dziadek pragnął, żebyśmy się

pobrali, ale skoro nie chcesz... Przykro mi, nie myśl jednak, że mam ci to za złe.

Najdziwniejsza w tym wszystkim była zmiana, jaka zaszła w kuchni Arturze. Uniżoność, wdzięczność i przymilność zniknęły bez śladu. Zachowywał się jak głowa domu.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Nie da się kierować uczuciami - stwierdził. - Dziadek chciał dobrze cię wyposażyć, a ty za to miałaś mu pomóc przedłużyć ród Ewellów. Ale dziadek nie żyje, a ja nie zamierzam nakłaniać cię do małżeństwa, którego nie pragniesz. Uważaj jednak ten dom za swój... jak długo zechcesz.

- Ach, kuzynie, to bardzo miło. Rozumiem, że wszystko należy teraz do kuchni.

- Wuj przyrzekał, że uczyni mnie dziedzicem, ale może za wcześnie o tym mówić. W każdym razie ten dom będzie twoim domem tak długo, jak długo będziesz tego potrzebowała.

- Nie mogę tu zostać, wiedząc, że on chciał mnie stąd wyrzucić. Muszę coś postanowić, ale z ulgą przyjmuję twoją uprzejmą propozycję, kuzynie, póki nie znajdę dla siebie innego miejsca.

Uśmiechnął się życzliwie.

- A więc postanowione. Niespokojne dni przed nami. Nie chciałbym cię niepokoić, ale mogą wyłonić się pewne nieprzyjemne sprawy. Ta rana na głowie... Oczywiście on się przewrócił. Nie powinnaś robić sobie wyrzutów, Philipppo.

- Ależ nie robię sobie żadnych wyrzutów. Musiałam postawić sprawę jasno. Nie mogłam dopuścić, by mnie zmuszał...

- Naturalnie, że nie. I jeszcze jedna sprawa. Płomienie nie dosięgły trumny babki, myślę więc, że najlepiej zrobimy, jeśli

pogrzeb odbędzie się jutro, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Przyznasz chyba, że to dobre rozwiązanie?

Przytaknęłam.

Pogrzeb babki odbył się następnego dnia. Przyszła ciotka Grace z Charlesem Daventry. Ciotka bolała nad śmiercią babki i nad tym, że nie pozwolono jej zobaczyć się z nią przed śmiercią. Przeżywała także śmierć dziadka, ale gwoli szczerości, fakt ten wszyscy przyjęliśmy z ulgą.

Po pogrzebie zebraliśmy się w gabinecie dziadka, by przy ciasteczkach i portwajnie wysłuchać ostatniej woli babki.

Wprawiała nas w zaskoczenie, okazało się bowiem, że babka posiadała znaczny majątek, o którym dziadek nie wiedział. Przypuszczam, że gdyby wiedział, chciałby go kontrolować w jej imieniu, co znaczy, że przestałby być w rzeczywistości jej własnością.

Dyspozycje dotyczące pieniędzy zadziwiły mnie jeszcze bardziej. Agnes Warden była prawdopodobnie we wszystko wtajemniczona, bo przyznała później, że to ona sprowadziła prawnika do babki. Agnes otrzymała spadek gwarantujący jej dożywocie, było jeszcze parę innych zapisów, ale większość zasobów została rozdzielona pomiędzy córkę Grace i wnuczkę Philippe, by „mogły stać się niezależne”.

Dzięki wspaniałomyślności babki moje problemy przestały istnieć. Stałam się nawet stosunkowo bogata. Nie musiałam już szukać posady. Mogłam opuścić Kamienny Dwór jako zamożna i niezależna kobieta.

Spojrzałam na Grace. Niezależna! Grace płakała.

\* \* \*

Następnego dnia przeprowadzono dochodzenie w sprawie śmierci dziadka. Dzień ten pozostał w mej pamięci jako najdziwniejszy dzień w moim życiu. Siedzieliśmy we czworo i słuchaliśmy orzeczenia lekarskiego. Dziadek nie umarł z powodu uduszenia dymem, ani w wyniku poparzenia. Mógł

upaść i uderzyć się o kratę kominka albo o kant mebla, ale rana mogła też zostać zadana przez nieznanego sprawcę. Nie dało się ustalić, w jakiej pozycji znajdowało się ciało, gdy umierał, ponieważ wywleczono je z płonącego pokoju. Długo dyskutowano na temat domniemanego przebiegu wydarzeń, aż wreszcie postanowiono odroczyć śledztwo.

- Co to może oznaczać? - spytała Charlesa ciotka Grace. Zdaniem Charlesa śledztwo nie przyniosło zadowalającego rezultatu.

Następny tydzień nie należał do najprzyjemniejszych. Snułam się po domu, pragnąc wyjechać jak najszybciej.

- Nie możesz niczego planować, póki nie zakończy się ta okropna sprawa - mówił kuzyn Artur.

Zauważyłam, że służący dziwnie na mnie popatrują. W ich spojrzeniach kryły się podejrzenia. Słyszeli, jak dziadek na mnie krzyczał, wiedzieli, że chciał mnie wygnać ze dworu. A teraz mówi się, że ktoś uderzył go w głowę... Zrozumiałam, co podejrzewali. Ktoś go zabił, a potem podłożył ogień, by zamaskować swój czyn.

Nie do wiary. Czyżby oni naprawdę przypuszczali, że ja to zrobiłam?

Ogarnął mnie lęk.

Szczególną podejrzliwość wykazywała pani Greaves. Cóż za idiotyzm! Ja miałabym zabić własnego dziadka!

Agnes Warden była dla mnie nadal miła. Podobnie zresztą jak ciotka Grace i Charles.

- Nie rozumiem, po co całe to zamieszanie - dziwił się Charles. - To oczywiste, że sir Matthew upadł i zabił się.

- W przypadku nagłej śmierci zawsze bada się okoliczności - tłumaczył kuzyn Artur.

W końcu odczytano testament dziadka. Kuzyn Artur odziedziczył posiadłość i dom. Był tam również zapis dla mnie. Zapis ten jednak nabrałby mocy, gdybym została żoną

kuzyna Artura. Dostałabym też niewielką pensję, która wzrastałaby po narodzinach każdego kolejnego dziecka.

Artur przejął zarządzanie domem, a ja wciąż dziwiłam się zainteresowaniu, jakie mi okazywał.

- Przypuszczam - zastanawiała się ciotka Grace - że on wciąż ma nadzieję, iż zmienisz zdanie, i wszystko ułoży się wedle woli dziadka.

- To niemożliwe - oświadczyłam. - Jestem wdzięczna kuzynowi za troskę, ale nigdy za niego nie wyjdę.

Chłód okazywany mi przez panią Greaves stał się tak ostentacyjny, że pewnego dnia spytałam ją, co ma mi do zarzucenia.

Spojrzała na mnie ostro.

- Wydaje mi się, że to pytanie powinna panienka postawić samej sobie - odparła lodowato.

- Jak mam to rozumieć, pani Greaves?

- Sama panienka dobrze wie.

- Nie - zaprzeczyłam. - Nic nie wiem.

- Różnie mówią o śmierci starszego pana... uważa się, że ktoś z naszego domu miałby w tej sprawie wiele do powiedzenia.

- I pani sądzi, że tym kimś jestem ja?

- Niech panienka sama sobie odpowie na to pytanie. Słyszałam kłótnię, która miała miejsce ostatniego dnia życia mojego pana. Niechcący... ale byłam w pobliżu, więc trudno było nie słyszeć.

- Musiała czuć się pani bardzo niezręcznie, pani Greaves.

- Niech panienka sobie ze mnie nie kpi. Słyszałam, bo byłam obok, a potem widziałam, jak panienka weszła do pokoju, w którym leżała babka.

- I uważa pani, że podłożyłam ogień i pilnowałam, by się palił powoli całymi godzinami, zanim pozwoliłam mu dotrzeć do pokoju dziadka?

- Nie, ogień został rozpalony później.  
- Rozpalony?! Nikt go nie rozpalał.  
- Zdaje się, że ci, co to wszystko badają, są innego zdania.  
- Co pani chce przez to powiedzieć? Proszę wyrażać się jaśniej.

- To taka zagadka. Ale zagadki zwykle się rozwiązuje, i tyle tylko powiem, że niektórzy nie są tacy, na jakich wyglądają...

Rozmowa ta wstrząsnęła mną. Ogarnęła mnie złość i poczułam się urażona. Miałam do siebie żal, że nie wyjechałam z Konradem. Dlaczego pozwoliłam, by moje głupie, purytańskie sumienie stanęło mi na przeszkodzie?

Pani Greaves dostrzegła, jak bardzo słowa jej dotknęły mnie. Zachichotała z satysfakcją, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Dla mnie tymczasem stawało się coraz bardziej jasne, że grozi mi niebezpieczeństwo. Myślę jednak, że zbyt byłam oszołomiona wydarzeniami, by uświadomić sobie rozmiary tego niebezpieczeństwa.

Sąd - z tymi wszystkimi dostojnikami - przerósł moje wyobrażenia. Nikogo nie obwiniano. Chciano tylko uzyskać odpowiedź, czy dziadek zginął na skutek wypadku, czy zamierzonego działania.

Lekarze, którzy oglądali ciało dziadka, zeznali, że nie zmarł od uduszenia, lecz od rany w głowie, która powstała na godzinę przed wybuchem pożaru. Tłumaczono to w następujący sposób: dziadek poczuł zapach tłącego się chodnika, zerwał się z łóżka, upadł i się zabił. Ogień rozprzestrzenił się najwyraźniej powoli, ponieważ pokój, gdzie leżała babka, nie ucierpiał tak, jak pokój dziadka. Eksperci zgadzali się, że chodnik mógł tlić się przez dłuższy czas, zanim wybuchły płomienie.

Następnie zeznawali domownicy. Pierwszy kuzyn Artur. Oświadczył, że zbudziły go krzyki „Ogień!” i natychmiast pobiegł na miejsce, skąd dochodziły. Skierował się od razu do pokoju dziadka, skąd jeden ze służących wyciągał właśnie ciało. Kuzyn był przekonany, że dziadek żyje i posłał po doktora. Spytano go, czy wie coś o kłótni, jaka odbyła się poprzedniego wieczora pomiędzy dziadkiem a kimś z domowników.

Kuzyn Artur ociągając się odparł, że wynikło pewne nieporozumienie pomiędzy sir Matthew a jego wnuczką, Philippą.

Czy wiedział, o co poszło?

Kuzyn Artur przypuszczał, że wuj wyraził życzenie, by Philippa wstąpiła w związek małżeński z kuzynem, ale ona odmówiła.

- Czy sir Matthew próbował ją czymś zastraszyć?

- Nie byłem przy tym - odparł kuzyn wymijająco. - Ale sir Matthew, znany ze swej porywczosci, sprowokowany, łatwo wybuchał.

Kuzynowi wydawało się, że sir Matthew trochę krzyczał.

- Jakiej treści były te krzyki? Że ją wydziedziczy? Że będzie musiała opuścić dom?

- Niewykluczone.

- Czy Philippa Ewell została wyprowadzona z równowagi?

- Nie widziałem jej wówczas.

- Gdzie ją pan potem zobaczył?

- Przed drzwiami pokoju, w którym się paliło.

- Czy jej pokój mieści się w tym samym korytarzu?

- Tak, znajduje się tam kilka pokoi.

- Pański także?

- Tak.

- A pokoje służby?



- Pokoje służby mieszczą się piętro wyżej.
- Kuzyn Artur odszedł, poproszono panią Greaves. Powiedziała, że słyszała kłótnię między dziadkiem a mną.
- Czy straszył ją wydziedziczeniem i tym, że ją wyrzuci z domu?
- Tak - przytaknęła pani Greaves skwapliwie.
- Czy ma pani dobry słuch, pani Greaves?
- Doskonały.
- Zapewne bardzo się to przydaje na pani stanowisku. Czy widziała pani później pannę Ewell?
- Tak. Weszła do pokoju, gdzie leżała jej babka.
- A jeszcze później?
- Nie widziałam jej później, co nie znaczy, że spędziła całą noc w swoim pokoju.
- Nie pytamy o pani zdanie, a jedynie o fakty.
- Muszę jednak dodać, że panna Ewell ma dziwny zwyczaj krążyć w nocy po domu.
- Czy tej nocy też krążyła?
- Nie widziałam jej tej nocy. Ale widziałam ją któregoś ranka. Usłyszałam hałas...
- Rzeczywiście musi mieć pani znakomity słuch, pani Greaves.
- Uważałam za swój obowiązek sprawdzić, kto się płacze. Muszę opiekować się pokojówkami i dbać o ich reputację.
- Kolejny przymiot. Ale w tym wypadku...
- Widziałam, jak panna Philippa wchodziła do domu około piątej nad ranem. Była kompletnie ubrana, ale miała rozpuszczone włosy.
- I czego to, zdaniem pani, dowodziło?
- Że spędziła noc poza domem.
- Czy ona to pani powiedziała?
- Powiedziała, że spacerowała po ogrodzie.

- Nie widzę powodu, dla którego panna Ewell nie mogłaby przechadzać się po ogrodzie o poranku, jeśli miała takie życzenie, nie sądzę, by przed takim spacerem należało upiąć fryzurę.

Nie ulegało wątpliwości, że pani Greaves nie wywarła na sędziach zamierzonego efektu, ale mimo to zastanawiałam się, co mam odpowiedzieć, jeśli mnie o to zapytają.

Czy mam się przyznać, że spędziłam noc z kochankiem? Jeśli to zrobię, zostanę potępiona.

Wreszcie nadeszła moja kolej.

- Panno Ewell, dziadek życzył sobie pani małżeństwa z kuzynem, a pani odmówiła.

- Tak.

- Odmowa zdenerwowała go? - Tak.

- Straszyl panią wydziedziczeniem i twierdził, że wyrzuci panią z domu?

- Tak.

- I co pani na to?

- Odpowiedziałam: „Nie mogę wyjść za kogoś, kogo nie kocham, i opuszczę dom jak najszybciej”.

- I zrobiłaby to pani następnego dnia? Dokąd by się pani udała?

- Zamierzałam pójść do mojej ciotki Grace albo zatrzymać się u kogoś we wsi, zanim nie znalazłabym odpowiedniego lokum.

- Co pani robiła po tej burzliwej rozmowie?

- Poszłam do pokoju, gdzie leżała babka, by pobyć z nią jeszcze. Bardzo się lubiłyśmy.

Odniosłam wrażenie, że pytający czuje do mnie sympatię i wierzy w moje słowa; czułam też, że nie lubi pani Greaves i podejrzewa ją o złe zamiary. Zrobiło mi się różniej na duszy.

- Co pani robiła w pokoju, gdzie leżała babka?

- Patrzyłam na nią i żałowałam, że nie może mi pomóc.

- Czy świece paliły się, gdy weszła pani do pokoju?

- Tak. Płonęły bez przerwy od dnia, gdy umarła.

- Czy zauważyła pani coś niebezpiecznego?

- Nie.

- Rozumiem, że babka zostawiła pani pieniądze, by zapewnić pani niezależność. Czy uważała, że wymagania dziadka w stosunku do pani są zbyt surowe?

- Tak.

- Dziękuję, panno Ewell.

Poszło łatwiej niż przypuszczałam. Byłam szczęśliwa, że nie pytano mnie o moje poranne spotkanie z panią Greaves.

Trwało to wszystko jeszcze dosyć długo. Toczono zawiłą dyskusję, a ja siedziałam i czekałam bez sił, bez życia.

W końcu zapadł werdykt, który brzmiał: „Śmierć na skutek wypadku”. W opinii biegłego nie zebrano wystarczających dowodów, by stwierdzić, w jaki sposób powstała rana; jego zdaniem sir Matthew upadł i uderzył się o ostry rant kraty osłaniającej kominek.

Byliśmy wolni. Przerazające zagrożenie minęło.

Gdy wyszliśmy z sądu z kuzynem Arturem, ciotką Grace i jej mężem, dostrzegłam znajomą sylwetkę. W pierwszej chwili nie skojarzyłam, kto to był, dopiero później w nagłym olśnieniu stwierdziłam, że to mężczyzna, którego spotkałyśmy z panną Elton, gdy pojechałyśmy do Dover, a którego uważałam za turystę zwiedzającego okolicę.

\* \* \*

Nie chciałam dłużej pozostawać w Kamiennym Dworze. Panowała tam nieprzyjemna atmosfera podejrzeń wobec mnie, podsycana ciągle przez panią Greaves.

Kuzyn Artur w dalszym ciągu okazywał mi wielką życzliwość.

- Zostań tu tak długo, jak zechcesz - powtarzał. - Możesz uważać Kamienny Dwór za swój dom.

- To miło ze strony kuzyna, ale chciałabym wyjechać jak najszybciej.

Z pomocą przyszła mi ciotka Grace.

- Zamieszkaj z nami, moja droga - zaproponowała. - Mamy teraz pieniądze na kupno własnego domu. Wybraliśmy go już nawet, stoi niedaleko plebanii. Nazywa się „Pod Glicynią”. Wiesz który? Ma duży ogród. Charles będzie mógł tam rzeźbić i wystawiać swoje prace. Przenieś się do nas od razu, pomożesz nam w przeprowadzce.

Opuściłam więc Kamienny Dwór. Plebania była duża i pastor ofiarował mi do dyspozycji pokój, w którym zamieszkałam, póki dom „Pod Glicynią” nie był gotowy.

Często zastanawialiśmy się: ciotka, Charles i ja, co powinnam zrobić.

Zadecydował jednak los.

Porządkowałam książki Charlesa w jego szopie, gdy nagle usłyszałam kroki. Podeszłam do drzwi i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i zadowoleniu zobaczyłam Daisy.

Zmieniła się od czasu, gdy widziałam ją po raz ostatni. Stała się bardziej pulchna, ale policzki miała rumiane tak jak dawniej, a w oczach te same figlarne ogniki. Chcąc okazać radość i uczcić nasze spotkanie, uhonorowała mnie perskim okiem, które tak dobrze pamiętałam z przeszłości.

- Panna Pip!

- Daisy! - padłyśmy sobie w objęcia. - Przyjechałaś wreszcie.

- Ale tylko z wizytą. Służba zjechała do Folwarku... żeby przygotować dom... jak zwykle. Hans nie przyjechał, ale zgodził się, żebym ja przyjechała. Powiedział, że powinnam zobaczyć swoich bliskich. Hans musiał zostać. Ma teraz ważną posadę. Pobraliśmy się. Jestem frau Schmidt. Co panienka na to? Hans uczynił ze mnie stateczną matronę, kiedy urodził się mały Hans. Jestem matką. Niech no tylko

panienka pomyśli. Drugiego takiego jak mój Hans, to na całym świecie nie ma. Huncwot, że ho ho, powiem panience.

- Daisy, zabraknie ci tchu! Czy państwo przyjadą do Folwarku?

- Tak, ktoś ma przyjechać. Nie wiadomo kiedy, ale wszystko ma być przygotowane.

- A ty...

- Och, ja nie jestem już służącą, proszę panienki. Ja jestem frau Schmidt. Zostanę, póki ktoś ze służby nie będzie wracał. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, co u panienki? Pan starszy umarł, tak? Oj, coś mi się zdaje, że aniołkowie nie przyjmą go tak, jak oczekiwał.

- Słyszałaś więc o tym.

- Tylko to, że nie żyje.

- Daisy, podejrzewają mnie?

- Moja mama nie. Ani tata. Mówią, że stary drań wyskoczył w pośpiechu z łóżka i dostał, na co zasłużył. Nie wolno, podobno, mówić źle o zmarłych, ale w tym przypadku można sobie na to pozwolić. Nigdy nie zapomnę, jak stałam w kaplicy, i to za odrobinę przyjemności na cmentarzu. Ale już po wszystkim. A co u panienki, panno Pip? Ile to lat się nie widziałyśmy?

- Bardzo długo. Chyba z pięć. Miałam dwanaście lat, kiedy ty i Francine wyjechałyście. A teraz mam siedemnaście.

- Nie poznałabym panienki, tak panienka wydorosłała.

- Daisy, co wiesz o Francine?

- Och - twarz Daisy spochmurniała - to był wielki skandal. Kiedy się dowiedziałam, płakałam, aż zasnęłam ze zmęczenia. Zawsze uważałam, że to najpiękniejsza kobieta, jaką znałam. I pomyśleć, że ją zamordowali.

- Chciałabym wiedzieć, jak to się stało, Daisy?

- W domku myśliwskim, proszę panienki. Tam wtedy mieszkali. A kto i co, to nie wiadomo. W każdym razie nie o

pannę Francine chodziło. Ona tam po prostu była. Przyszli, żeby jego zabić, a że ją zastali, zabili i ją.

- Kto mógł to zrobić?

- Też panienka pyta. Skoro oni nie wiedzą, to skąd ja mam wiedzieć?

- Jacy oni?

- No, armia... władcy, policja... wszyscy.

- To bardzo tajemnicze, chcę, żebyś mi opowiedziała wszystko, co wiesz. Wejź do szopy. Nikogo tu nie ma. Ciotka i jej mąż przygotowują domek „Pod Glicynią” do przeprowadzki.

- Ach tak, słyszałam. Co za zmiany! Panna Grace wyszła za mąż! Powinna to zrobić wiele lat temu.

- Daisy, opowiedz mi o mojej siostrze.

- No więc wyjechała, nie?

- Tak, tak - rzuciłam niecierpliwie.

- Graf i jego żona, i wszyscy wyjechali, i ja jako służąca też. To piękny kraj, jeśli panienka chce wiedzieć. Lasy, góry... piękny! Czasami trochę tęskniłam za domem, ale Hans był ze mną... dobrze nam było razem.

- Wyszłaś więc szczęśliwie za mąż. Bardzo się cieszę. Masz wspaniałego małego Hansa. Ale co wiesz o mojej siostrze?

- Tylko to, że wyjechała z baronem. Wtedy nie wiedziałam, kim on jest. Wiedziałam, że jest ważny, ale nie, że aż taki ważny. Hans dopiero mi powiedział. Powiedział, że ten baron jest jedynym synem Wielkiego Księcia... a Wielki Książę to u nich jak król. Nie jak nasza królowa oczywiście... ale jest władcą księstwa, czy jak to się tam nazywa. A w ogóle wszystko tam jest inaczej. Pełno małych kraików, każdy ma swojego króla - nam się wydają całkiem malutcy, ale tam uważa się ich za wielkich.

- Rozumiem, Daisy.

- To dobrze, panno Pip, bo ja nie. No więc jak baron wrócił z panienki siostrą, to się zrobiło okropne zamieszanie. Bo on jako spadkobierca miał się ożenić z którąś z wielkich dam jednego z kraików, a jakby nie chciał, toby mogła być wojna, której oni się bardzo boją. Czekano więc, by baron poślubił tę damę, ale wtedy musiałby usunąć pannę Francine.

- Jak miał poślubić tę wielką damę, skoro wcześniej poślubił Francine?

- To znaczy... nie tak zupełnie ją poślubił.

- Poślubił. W kościele koło Dover, zanim opuścili Anglię.

- Oni tam nazywali ją jego kochanką. Oni nie widzą w tym nic złego. Miał już takie kochanki wcześniej... jak wszyscy wielcy książęta... Ale ze ślubem to już gorzej... rozumie panienska.

- Posłuchaj, Daisy. Moja siostra wzięła ślub z baronem w kościele w Birley. Widziałam...

Zamilkłam. Czy naprawdę widziałam? W obliczu wydarzeń, które potem nastąpiły, zaczynałam w to wątpić.

- Myślę, że to był ślub na niby - stwierdziła Daisy. No i potem zamieszkali w tej części kraju, gdzie baron był szczególnie lubiany.

- Nigdy jej nie widziałas, Daisy?

- Nie. Ja byłam w szlosie hrabiny.

- Gdzie?

- W szlosie. Pełno ich tam mają. Są bardzo ładne. Szlos to jak nasz zamek.

- Ach, rozumiem, zamek po niemiecku schloss.

- Oni do naszego szlosu nie przyjeżdżali. Graf, bardzo oddany Wielkiemu Księciu, uważał, podobnie jak jego żona, że Rudolph powinien się ustatkować. Twierdzili, że powinien zrobić wszystko, żeby zapobiec wojnie, która mogła wybuchnąć, gdyby Rudolph nie poślubił osoby, jaką dla niego wybrano.

- A więc przez cały ten czas jej nie widziałaś. A co z dzieckiem?

- Z dzieckiem? Jakim dzieckiem, panno Pip?

- Moja siostra miała synka. Była z niego bardzo dumna.

- Nic o tym nie wiem.

- Och, Daisy, jaka szkoda, że nie mogę się niczego od ciebie dowiedzieć!

- Dowiedziała się panienka, że zabito ją w domku myśliwskim.

- Gdzie jest ten domek?

- Całkiem blisko szlosu. W samym środku sosnowego lasu. Kiedy to się stało, wszyscy byli wstrząśnięci. Całe miasto opłakiwało ich śmierć przez miesiąc. Mówiono, że Wielkiemu Księżciu omal serce nie pękło... jedyny syn, rozumie panienka. Szukali morderców, gdzie się tylko dało, ale nie znaleźli. Podobno to był mord polityczny. Jest w rodzinie inny młody człowiek, który będzie dziedziczył, jak stary książę umrze.

- Myślą, że to on zabił?

- Nie ośmieliliby się tego powiedzieć. Ale po śmierci Rudolpha baron Sigmund, syn brata starego księcia, jest pierwszy w kolejce. Jeśli komukolwiek Rudolph przeszkadzał, to właśnie jemu. Ale Hans mówi, że zabił ktoś, kto po prostu chciał się pozbyć Rudolpha, uważając, że nie nadaje się na wielkiego księcia.

- Czyli ktoś, kto chciał się pozbyć Rudolpha, zamordował go w domku myśliwskim, a ponieważ Francine akurat tam przebywała, zabił również ją.

- Ano właśnie. Tak uważają. Ale oczywiście nie ma pewności.

- A co z dzieckiem? Gdzie ono wtedy było?

- Nikt nigdy nie mówił o żadnym dziecku, panno Pip.



- To jest właśnie ta wielka zagadka. Jestem pewna, że Francine wzięła z baronem ślub, i że mieli dziecko. Muszę się tego dowiedzieć, Daisy. To jedyna rzecz, która naprawdę mnie interesuje.

- Niech się panienka lepiej nie miesza w takie sprawy, panno Pip. Znajdzie sobie tu panienka jakiegoś miłego, młodego człowieka. Nie musi się panienka troszczyć o pieniądze, prawda? Niech panienka wyjdzie za mąż i ma dzieci. Powiem panience, to najwspanialsza rzecz trzymać w ramionach własnego dzieciaczka.

- Och, Daisy, jak to miło widzieć cię szczęśliwą matką.

- Musi panienka zobaczyć mojego małego Hansa.

- Bardzo bym chciała, Daisy. Zajrzałam jej prosto w oczy. Właśnie, dlaczego nie miałabym go zobaczyć?

Pomysł ten ekscytował mnie jak nic innego. W cichości ducha łudziłam się nadzieją, że zobaczę Konrada.

Zastanawiałam się, czy po tamtej nocy nie jestem w ciąży. Moje życie bardzo by się skomplikowało, ale radość zrównoważyłaby kłopoty.

Kiedy się jednak okazało, że nie, odczułam ulgę i rozczarowanie zarazem.

- Daisy - powiedziałam - a gdybym z tobą wyjechała?

- Panienka? Ze mną?

- Mam teraz pieniądze. Jestem wolna... Dzięki babce. Chcę odnaleźć dziecko Francine. Czasami mam wrażenie, że ono mnie wzywa. Chcę się upewnić, czy znajduje się pod należytą opieką.

- Hm, nigdy nie słyszałam o dziecku...

- Jestem przekonana, że Francine miała dziecko i że wzięła ślub. Zamierzam to sprawdzić.

- W porządku! Kiedy panienka chce jechać?

- Możesz wyjechać ze mną, zamiast z resztą służby? Oczywiście Daisy błyszczały.

- Jak dojedziemy, może panienka zatrzymać się u nas. Zobaczy panienka, jaki mamy domek. Mały śliczny domek w dolinie, niedaleko szlusu. Dostaliśmy go, gdy byłam w ciąży. Hans nie chciał, żebym dalej pracowała. Hrabina jest bardzo dobra dla służby. Ona i panna Tatiana dały mi różne rzeczy do naszego domku. Może więc panienka u nas zostać, póki nie znajdzie dla siebie domu.

- Och, Daisy, to wspaniale. W ten sposób bardzo mi pomożesz.

Powiedziałam o moich zamiarach Grace i jej mężowi. Ciotka Grace uznała pomysł za nedorzeczny. Charles twierdził, że mała podróż mi nie zaszkodzi.

Odwiedził nas kuzyn Artur. Wysłuchał opowieści o moich planach i odniósł się do nich z zadziwiającym zrozumieniem. Starał się nawet być pomocny. Towarzyszył mi do Londynu, by dopełnić formalności paszportowo - wyjazdowych.

- Co słyhać w Kamiennym Dworze, kuzynie? - dopytywałam się.

- Och, prowadzimy bardzo spokojny tryb życia. Nikogo nie przyjmuję. Z wyjątkiem Glencornów, którzy odwiedzili mnie raz czy dwa, ale to starzy przyjaciele.

Pomagałam ciotce Grace w przeprowadzce, przygotowując się równocześnie do wyjazdu. Chciałam odwiedzić kraj Konrada. Czy go zobaczę? A może nie zechce odnowić znajomości? Podejrzywałam, że należał do mężczyzn, którzy mają mnóstwo miłosnych przygód.

- A więc chce się panienka zabawić w detektywa - paplała Daisy wesoło. - Ale coś mi przyszło do głowy... Panienka nazywa się tak samo jak siostrzyczka, a w gazetach dużo o niej pisali, jako o pannie Ewell, rozumie panienka. Niektórzy na pewno zapamiętali to nazwisko. Nie zechcą mówić, jak się zorientują, że panienka wsadza nos w tę sprawę. Najlepiej zmienić nazwisko - radziła Daisy.

- Masz słuszość - przytaknęłam.

- Jak tu byli, to panienkę widzieli, prawda? Ale teraz wygląda panienka zupełnie inaczej... jak usłyszą inne nazwisko, to się nie domyślą.

- Wiem, co zrobię. Zacznę używać panińskiego nazwiska mojej matki - Ayres. Philippa Ayres.

- Philippa...?

- No to Anne, Anne Ayres. Na drugie mam Anne.

- Brzmi nieźle. Nikt się nie połapie, że Anne Ayres to Philippa Ewell, słowo daję.

Kiedy przygotowywałam ubrania do wyjazdu, natknęłam się na okulary, które dała mi panna Elton, bym wyglądała poważniej. Włożyłam je. Odgarnęłam włosy z czoła i skrzyłam je w kok na czubku głowy. Efekt okazał się znakomity. Daisy prawie mnie nie poznała.

- Ojej, panno Pip - wykrzyknęła. - Ale panienka śmiesznie wygląda, zupełnie nie ta sama.

- To będzie moje przebranie, Daisy.

- I tak panienka pojedzie?

- Nie, ale wezmę ze sobą okulary, żeby je mieć w razie potrzeby.

Wreszcie byłyśmy gotowe do wyjazdu. Wyruszyłam do kraju Konrada, mając Daisy za przewodniczkę.

## Dworek myśliwski

Podróż była długa, ale wcale nie nużąca. Fascynowała mnie od samego początku. Cóż za wspaniałe zbieg okoliczności, że Daisy akurat teraz przyjechała do Anglii! Zaradna i pomocna, uważała się za doświadczoną podróżniczkę.

Kiedy znalazłyśmy się w pociągu do Harwich i usadowiłam się wygodnie w wagonie pierwszej klasy, zrozumiałam, że ta podróż to najlepsza rzecz, jaką mogłam uczynić. Rozpoczynałam nowe życie.

Miałam pewność, że będzie ono pełne niezwykłych przygód. Stało przede mną ważne zadanie do wykonania, a zarazem czułam, że wyruszam na poszukiwanie własnego szczęścia.

Przeprawa przez morze z Harwich do Hook w Holandii minęła bez wstrząsów. Po nocy spędzonej w gospodzie wsiadłyśmy do pociągu i jechałyśmy długie godziny przez najbardziej równinną krainę, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Niech się panienka nie martwi - zapewniała Daisy. - W Bruxensteinie są i góry, i lasy. Jeszcze panienka zatęskni do czegoś płaskiego.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będziemy na miejscu - niecierpliwiłam się.

- Daleka droga przed nami, panno Pip.

Miała rację. Z wdzięcznością myślałam o kuzynie Arturze, który przygotował naszą podróż za pośrednictwem odpowiedniego biura w Londynie, dzięki czemu wiedziałyśmy dokładnie, jak się mamy poruszać. Przed wyjazdem do Bawarii czekała nas noc w Utrechcie. Podróż fascynowała mnie coraz bardziej i gdybym nie spieszyła się tak bardzo do miejsca przeznaczenia, rozkoszowałabym się każdą jej chwilą.

Wagony pierwszej klasy miały cztery siedzenia z przodu i cztery z tyłu. Drzwi wewnętrzne dzieliły każdy wagon na

dwie części. Wyglądały dokładnie tak samo jak wagony pierwszej klasy w Anglii. Panował tu jednak nastrój pełen powagi i dyscypliny, a personel w trój graniastych kapeluszach, ze szpadami u boku sprawiał, że czuło się wokół wojskowego ducha.

- Niczym w Bruxensteinie - wyjaśniała Daisy. - Nic tylko strzelają obcasami i kłaniają się w pas. Aż mnie to czasem śmieszy.

W Arnhem wsiedli do naszego wagonu dwaj mężczyźni i kobieta. Wyglądali sympatycznie i uśmiechali się do nas. Powiedziałam, że jesteśmy z Anglii, a oni zaraz zaczęli zwracać się do nas w naszym języku, choć znali go nie najlepiej. Chcieli wiedzieć, czy jedziemy do Utrechtu czy dalej, powiedziałam więc, że do Bruxensteinu.

- Doprawdy? To bardzo interesujące miejsce ten Bruxenstein... szczególnie teraz - powiedział jeden z mężczyzn.

- Dlaczego szczególnie teraz? - spytałam. - Są po temu jakieś powody?

- Wszystko tam... jak wy to nazywacie... wrze... od śmierci barona Rudolpha. Serce zabiło mi mocniej.

- Czyż nie wiązała się z tym jakaś sensacja... - wtrąciłam.

- W istocie. Barona zastrzelono w jego dworku myśliwskim. Zabito też kobietę, która z nim przebywała.

- Słyszałam o tym.

- A więc takie wiadomości docierają aż do Anglii!

- Pewnie dlatego, że kobieta była Angielką - stwierdziła nieznajoma.

- Ciągle coś się dzieje w tych małych państewkach - włączył się do rozmowy drugi mężczyzna. - Czas, by je wszystkie przyłączyć do Cesarstwa Niemieckiego.

- Jako Prusak możesz tak mówić, Otto - powiedział pierwszy z uśmiechem.

- Czy znają państwo bliższe szczegóły tej tragedii? - Tak naprawdę to nic nie wiadomo, ale ludzie snują rozmaite domysły. Jest mnóstwo różnych teorii. Być może kobieta miała zazdrosnego kochanka. Ale ja nie sądzę, by tak było. Ktoś nie chciał dopuścić, by Rudolph zarządzał prowincją, i postanowił, a może postanowili, wpakować mu kulę w łeb. Pewnie ktoś z przeciwnej frakcji.

- Sądzi pan, że miał rywala?

- Zawsze czeka następny w kolejce do tronu. Choćby bratanek obecnego władcy. Jak on ma na imię, Otto?

- Baron Sigmund.

- Właśnie. Syn młodszego brata Wielkiego Księcia.

- Tak. Niektórzy uważają, że on bardziej nadaje się na panującego. Dobrze się stało, powiadają, że tamtego sprzątnięto.

- Morderstwo to dość okrutny sposób kształtowania historii - zauważyłam.

- Lepiej jednak, gdy ginie jeden człowiek, niż kiedy tysiące skazane są na tyranię.

- Czyżby ów Rudolph był tyranem?

- Wręcz przeciwnie. Słyszałem, że nazbyt lubował się w zbytku i przyjemnościach. Tacy ludzie otaczają się zwykle nie najlepszymi doradcami, którzy wyręczają ich w sprawowaniu władzy. Obecny Wielki Książę to dobry władca. Szkoda, że jest już stary. Zresztą nie był młody, gdy urodził się Rudolph - z drugiej żony; z pierwszą księżką nie miał potomstwa. Jego brat, z kolei, zginął na wojnie czy w jakiejś rebelii, pozostawiając Sigmunda, następnego po Rudolphie w kolejce do korony.

- Wiele pan wie o tej rodzinie.

- Wszyscy to wiedzą. Bruxenstein jest niewielkim księstwem, a rodzina władców nie żyje w takiej izolacji od ludu jak w pani kraju, panno... ee

Zawahałam się.

- Ayres. Anne Ayres.

- Tu jest inaczej, panno Ayres. Choć zdaje mi się, że i w Anglii codzienne sprawy rodziny królewskiej nie są tak całkowicie nie znane poddanym.

- Życie królowej jest przykładne... - odrzekłam. - Ale gdyby w rodzinie zaistniały różnice poglądów czy jakieś tarcia, sądzę, że starano by się utrzymać to w tajemnicy.

- Ma pani rację! Śmiem twierdzić, że mieszkańcy Bruxensteinu też nie wszystko wiedzą. Zamierza się pani zatrzymać na jakiś czas w Utrechcie?

- Tylko godzinę... może cały ranek... w oczekiwaniu na pociąg.

- Utrecht z pewnością się pani spodoba. Zawsze uważałem, że to jedno z najbardziej interesujących holenderskich miast, o wspaniałej historii.

Nie słuchałam. Moje myśli krążyły wokół dworku myśliwskiego, w którym zabito Francine.

Podróż zajęła nam kilka dni. Zgodnie ze wskazówkami, których udzielono nam w Anglii, starałyśmy się przebyć ją wygodnie i bez pośpiechu. W końcu dotarłyśmy do miasta Bruzburg, stolicy Bruxensteinu. Wynajęłyśmy powozik, który miał nas zawieźć do domu Daisy i Hansa. Miasto robiło wrażenie dużego, ale z okien powozu mogłam zobaczyć niewiele poza głównym placem i ratuszem oraz kilkoma okazałymi budynkami. Od razu natomiast zauważyłam stojący na zboczu i górujący nad miastem zamek, bardzo podobny do tych, jakie mijałyśmy po drodze. Był piękny. Wieże i mury zbudowano z szarego kamienia.

- Nasz domek stoi dokładnie u stóp zamku - powiedziała Daisy.

- Daisy, a co ty powiesz o mnie Hansowi?

- O panience?

- Przecież on mnie pozna.  
- Nie sędzę.  
- Nie sędzisz, że słuźący... ci, którzy przyjeźdźali do Folwarku...

- Z pewnością panienki nie rozpoznają. Kto by tam pamiętał dwunastoletnie dziecko! Zmieniła się panienka, ot co. Ale Hansowi wszystko opowiemy i wyjaśnimy, że z powodu skandalu dotyczącego siostry postanowiła panienka używać nazwiska Ayres. Powiemy, że panienka przyjechała ze mną jako znajoma z Anglii, która się akurat w te strony wybierała. A jak już panienka tu jest, to dlaczego nie miałabym panience wynająć pokoju, niby to za pieniądze.

Uciszyła więc moje niepokoje.

Zajechałyśmy z bagażami - głównie moimi - pod sam dom. Hans wyszedł nam na spotkanie. Rzucili się sobie w objęcia. Hans zwróciwszy się ku mnie, stuknął obcasami i skłonił się nisko - doskonale go pamiętałam. Daisy jednym tchem wyrzuciła z siebie wszystkie wyjaśnienia, i opowieści po czym spytała, jak się miewa jej najdroższy mały Hans.

Mały Hans miał się dobrze. Na czas nieobecności Daisy opiekowała się nim pani Wurtzer.

Weszłam do nieskazitelnie czystego domku. Znajdowały się w nim dwie sypialnie i pokoik na górze oraz dwa pokoje i kuchnia na dole. W powietrzu unosił się zapach sosen z pobliskiego lasu.

Hans powitał mnie ciepło, ale trudno było rozpoznać, czy tylko z grzeczności i czy nie jest zły, że mam zamieszkać w ich ciasnym domku.

Z kuchni wynurzyła się kobieta o okrągłej twarzy z chochlą w dłoni. Miała na sobie wielki czysty fartuch we wzorki i zawinięte rękawy.

Daisy rzuciła się ku niej.

- Gisela! - wykrzyknęła.



- Daisy...

- To moja przyjaciółka, Gisela Wurtzer, która zajmowała się Hansem, gdy mnie nie było - wyjaśniła Daisy.

Kobieta uśmiechnęła się i spojrzała porozumiewawczo na Hansa.

- Jest tutaj! - wykrzyknęła Daisy. - Jest moje maleństwo!

Pobiegła na górę i po chwili pojawiła się na schodach, dźwigając sporego chłopczyka, który przecierał piąstką oczy, nadąsany, że wyrwano go ze słodkiego snu.

- Proszę tylko spojrzeć, panno P...

Chciała powiedzieć „panno Pip”, ale w porę się powstrzymała.

- Czy widziała panienka kiedy ładniejsze dziecko?

- Nigdy!

Ucałowała go serdecznie, a chłopiec, całkiem już rozbudzony, spoglądał na mnie niebieskimi oczami. Pocałowałam małą tłuściutką rączkę.

- Podoba mu się panienka - orzekła Gisela.

- To prawda - przytaknęła Daisy. - Mój mały mądrasek! Jak się sprawował, Giselo? Tęsknił do mamusi?

Wysłuchałam długiej listy zalet malucha po angielsku od Daisy, po niemiecku od Giseli i Hansa.

- Gisela zna się na dzieciach - zachwalał Hans.

- Mam ich sześcioro! I łatwiej mi jak z jednym, bo duże opiekują się małymi.

Mały Hans chciał wracać do łóżka, Daisy zaniósła go więc na górę, a Gisela nakryła do stołu. Zasiedliśmy do posiłku. Jedzenie było smaczne, a Gisela podała obiad i jadła razem z nami, słuchając opowieści o podróży. Potem oznajmiła, że musi już wracać, bo Arnulf nie lubi zbyt długo opiekować się dziećmi.

Hans odprowadził ją do domu.

- Widzi panienka - powiedziała Daisy, gdy zostałyśmy same - jak mi się zgrabnie ułożyło.

- Och, Daisy, jesteś na pewno bardzo szczęśliwa. Hans jest taki dobry, a chłopczyk przesłodki.

- Pewno, panno Pip... to znaczy panno Ayres; żeby mi się tylko tak przy obcych nie wymknęło. Myślę, że sobie nie najgorzej gniazdko wymościłam.

Pokazała mi mój pokój. Bardzo mały, z perkalowymi zasłonkami, łóżkiem, krzesłem i szafką, ale byłam zań bardzo wdzięczna.

- Nie używamy tego pokoju. Będzie dla Hansa, jak dorośnie - usprawiedliwiała się. - Teraz łóżeczko stoi w pokoiku obok naszego i przez kilka miesięcy nie zamierzamy nic zmieniać.

- A do tego czasu ja się wyprowadzę.

- Proszę nie mówić o wyjeździe, jeszcze panienka nawet się tu nie rozejrzała - Daisy patrzyła na mnie błyszczącymi oczami. - To bardzo podniecające, będzie z nas para detektywów, że ho ho... panienka i ja - zamilkła. - Wie panienka, ta Gisela opiekowała się dworkiem myśliwskim... I nadal tam wszystkiego dogląda.

- Daisy! Wobec tego ona musi wiedzieć...

- Myśli panienka, że jej nie pytałam? Wie nie więcej niż inni. Niczego z niej nie wyciągnęłam...

- Nikt - choćby najbardziej zaprzyjaźniony - nie może wiedzieć, po co przyjechałam.

- Może mi panienka zaufać. Będę milczeć jak grób. Wrócił Hans i Daisy uznała, że czas iść spać.

- Pogadamy jutro rano - powiedziała. Przytaknęliśmy zgodnie.

Następnego dnia postanowiłam zwiedzić miasto. Poranek był piękny. Promienie słońca muskały zielone i czerwone dachy domów oraz szare mury zamku. Tu i ówdzie

pobłyskiwały niczym diamenty ostre krawędzie zatopionych w murach krzemieni.

Ogarnął mnie radosny nastrój. Tyle już osiągnęłam i czułam, że wkrótce wydarzy się coś niezwykłego. Zastanawiałam się, jak powinnam się zachować, jeśli natknę się na Konrada. Tak niewiele o nim wiedziałam. Nie znałam nawet jego nazwiska. Był dla mnie po prostu Konradem. Jakże musiał mnie oczarować, że nie pytałam go o nic więcej i dałam się zbyć byle wykrętem. Zarządca jakiegoś dostojnika! Grafa, który przyjeżdżał do Folwarku? Widziałam jednak, że do Folwarku zjeżdżały różne rodziny. Jeśli zatrudniał go graf, bardzo prawdopodobne, że Konrad przebywa teraz za murami z szarego kamienia.

Jak wspaniale byłoby go znowu zobaczyć! Czy byłby zaskoczony? Zadowolony? Czy może wyrzucił mnie już z pamięci?

Patrzyłam na niebieskawoszare wody rzeczki płynącej wzdłuż stoków porośniętych jodłowo - sosnowym lasem, i winną latoroślą. Domyślałam się, że większość mieszkańców pracuje w winnicach. Patrzyłam na duże domy z pięknymi wykuszowymi oknami. Zauważyłam też kuźnię i młyn. Miasto wyglądało na bogate i dobrze się rozwijające. Miało też katedrę ze strzelistą wieżą.

Spacerowałam po targu, gdzie sprzedawano nabiał i jarzyny. Ludzie przyglądali mi się z ciekawością. Rozpoznawali we mnie cudzoziemkę, a rzadko widywano tu pewnie obcych przybyszów.

Wreszcie dotarłam do gospody, nad drzwiami której obracał się na wietrze blaszany szyld. Miejsce nazywało się Gospodą Wielkiego Księcia. Zobaczyłam stajnię, a w niej parę koni, z tyłu zaś ogród, gdzie rozstawiono stoły i krzesła. Usiadłam i zaraz podeszła do mnie tęga uśmiechnięta niewiasta pytając, co chcę zjeść lub wypić.

Domyśliłam się, że jestem w jednej z biergartens - czyli w piwiarni - poprosiłam więc o kufel piwa, zastanawiając się ponieważ, czy aby nie zrobiłam czegoś niestosownego. Gospodyni przyniosła piwo i odniosłam wrażenie, że chętnie by ze mną pogadała.

- Panienska w podróży?

- Jestem tu z wizytą.

- To miło. Nasze miasto jest bardzo ładne, prawda? Przyznałam jej rację. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

- Widzę, że macie tutaj konie. Czy można je wynająć?

- Nikt tu nie wynajmuje koni, ale myślę, że mąż by się zgodził.

- Chciałabym zwiedzić okolicę. W moim kraju, w Anglii, dużo jeździ się konno. A więc gdybym miała konia...

- A gdzie panienska się zatrzymała, jeśli wolno spytać?

- W domu pana Schmidta. Jestem znajomą jego żony.

- Aaa! - uśmiechnęła się szeroko - U Hansa! To bardzo dobry człowiek. Ma żonę Angielkę i małego synka.

- Tak... małego Hansa.

- Jego żona... to bardzo miła osoba.

- Bardzo miła.

- Przyjechała panienska do niej w odwiedziny?

- Tak, odwiedzić ją, zobaczyć dziecko i wasz piękny kraj.

- Ach, jeżdżąc konno można wiele zwiedzić. A panienska dobrze jeździ?

- O tak. Bardzo często jeżdżę w Anglii.

- Skoro tak, załatwimy dla panienski konia. Oczywiście za opłatą.

- Ależ oczywiście.

- Jak panienska skończy piwo, pójdziemy do męża.

- Zgoda.

Ociągała się z odejściem, pewnie interesowałam ją jako cudzoziemka.

- Tyle tu mamy ciekawych miejsc do obejrzenia - mówiła.  
- Można pojechać do ruin zamku, w którym kiedyś mieszkali wielcy książęta. Do dworku myśliwskiego... albo tam lepiej nie.

- Do dworku myśliwskiego?

- Tak, należy do Wielkiego Księcia, ale zamku Wielkiego Księcia stąd nie widać. Ten tam na górze to szlos grafa von Bindorf. Szlos Wielkiego Księcia widać z drugiej strony miasta.

- A dworek myśliwski? Wzruszyła ramionami.

- Rozegrała się tam niedawno okropna tragedia.

- Ma pani na myśli śmierć barona?

Przytaknęła.

- Parę lat już minęło.

- Czy to gdzieś niedaleko? - spytałam pośpiesznie.

- Z półtorej mili od domu pana Schmidta. Ale lepiej tam nie jechać. Przygnębiające miejsce. W dawniejszych czasach... Ale nie, teraz lepiej tam nie jeździć.

Nie odpowiedziałam. Miałam zamiar wynająć konia i jak najszybciej pojechać do dworku myśliwskiego.

Zanim wyszłam, porozmawiałam z właścicielem gospody. Zamówiłam konia na następny dzień i wróciłam do domu. A więc niedługo zobaczę miejsce zbrodni.

\* \* \*

Nie powiedziałam nikomu, nawet Daisy, że chcę pojechać do dworku. Wspomniałam tylko, że trafiłam do Gospody Wielkiego Księcia, gdzie zobaczyłam konie, i postanowiłam wynająć wierzchowca, by pozwiedzać okolicę. Ucieszyły ją moje plany. Następnego dnia poszłam do miasta i wkrótce już, na końskim grzbiecie, przemknęłam obok domostwa Daisy w stronę lasu.

Ranek był piękny. Tu i ówdzie rosły dęby i buki, ale przeważały drzewa iglaste, a w powietrzu unosił się silny zapach żywicy.

Po pewnym czasie spostrzegłam chatę i pomyślałam, że to dom Giseli. Już miałam się zatrzymać, ale doszłam do wniosku, że nikt, nawet przyjaciółka Daisy, nie powinna zorientować się, jak bardzo interesuje mnie dworek.

Drzwi chaty były zamknięte, ale w niewielkim ogródku spostrzegłam dziecięcą taczkę. Zostawiłam dom za sobą i pomknęłam dalej. Ujechałam z pół mili, gdy go ujrzałam. Był większy niż przypuszczałam. Sądziłam, że zobaczę niewielki budynek, miejsce, gdzie ludzie zatrzymują się na jedną lub dwie noce w czasie polowania. Serce biło mi mocno. Wyobraziłam sobie Francine przybywającą do dworku z kochankiem. Tu miał być jej dom. Musiała mieszkać na odludziu, bo jej ukochany był tak ważną osobistością, że nie powinien być brać ślubu z kimś nieodpowiednim. Dworek zbudowany z szarego kamienia wyglądał jak miniatura zamku. Miał wieże po obu stronach i łukowo sklepiony portyk. Z pewnością dotarłam tu, gdzie planowałam. Zsiadłam z konia i przywiązałam go do palika. Było coś niesamowitego w otoczeniu tego miejsca. Czy dlatego, że wiedziałam o popełnionej tu zbrodni, czy też może dlatego, że rosnące blisko siebie drzewa przysłaniały niebo, a ich szum przypominał tłumione szepty?

Serce biło mi jak szalone, gdy stapałam po wysokiej trawie, usianej sosnowymi szyszkami.

Stałam u wejścia, drżąc z emocji. Nasłuchiwałam. Pociągnęłam za dzwonek wiszący na długim łańcuchu. Ogłuszający dźwięk przeszył ciszę.

Wstrzymałam oddech. W drzwiach znajdowała się otwierana od wewnątrz klapka, która pozwalała zobaczyć, kto stoi na zewnątrz. Wpatrywałam się w tę klapkę, ale nawet nie

drgnęła. Ze środka doszedł mnie jednak ledwo słyszalny odgłos - jakby ktoś skradał się w stronę drzwi.

Stałam nieruchomo, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Zastanawiałam się, co powiem temu komuś, kto spyta, czego szukam. Jestem tu obca. Zgubiłam się w lesie. Chcę dowiedzieć się, jak wrócić do domu Schmidtów, gdzie się zatrzymałam.

W końcu doszłam do wniosku, że to, co usłyszałam, było jedynie biciem mojego serca. Ale nie, z pewnością nie. Teraz jakby ktoś włókł coś po podłodze. Czekałam drżąc na całym ciele. I znowu nic. Co do jednego miałam pewność: ktoś był w środku.

Stałam jeszcze kilka minut. Panowała kompletna cisza, ale czułam, że ktoś stoi po drugiej stronie drzwi.

Znowu pociągnęłam za dzwonek. Nasłuchiwałam, nie spuszczać oczu z klapki. Nic.

Odeszłam spod drzwi, coś zgrzytnęło, klapka poruszyła się. A więc jednak był tam ktoś. Ktoś, kto nie chciał otworzyć. Dlaczego?

Wszystko to wyglądało dość niesamowicie.

Podeszłam do jednego z okien i zajrzałam do środka. płócienne pokrowce osłaniały meble przed kurzem.

Och, Francine, szeptałam, co to wszystko znaczy? Kto jest w środku? Żywa istota czy duch?

Znalazłam się z tyłu dworku. W głębi lasu słyhać było śpiew ptaka. Delikatny wietrzyk poruszał gałęziami sosen, a zapach żywicy stał się jakby bardziej intensywny. Zobaczyłam drzwi, zapukałam energicznie; nagle coś poruszyło się za moimi plecami. Odwróciłam się gwałtownie i wzrok mój padł na kępę krzaków.

- Jest tam kto? - zawołałam. - Proszę wyjść i pomóc mi. Zgubiłam drogę.

Usłyszałam śmiech, a właściwie chichot. Podeszłam bliżej gałęzi.

Stali przede mną z szeroko otwartymi niebieskimi oczami i zmierzwionymi czuprynymi. Mieli na sobie niebieskie ubranka. Jedno nieco wyższe od drugiego, ale bez wątpienia, byli w tym samym wieku - cztery, może pięć lat.

- Kim jesteście? - spytałam po niemiecku.

- Jesteśmy bliźniaki - odpowiedzieli równocześnie.

- A co tu robicie?

- Bawimy się.

- Podglądaliście mnie?

Zaczęli chichotać i potrząsać głowami.

- Skąd się tu wzięliście?

Jedno z nich wskazało ręką w nieokreślonym kierunku.

- Gdzie jest wasz dom? Daleko?

To samo, co poprzednio, przytaknęło.

- Jak macie na imię?

Jedno wskazało na niebieską kurteczkę i powiedziało: Karl. Drugie, uczyniwszy to samo, powiedziało: Gretchen.

- A więc ty jesteś chłopczykiem, a ty dziewczynką? Skinęli głowami, chichocząc.

- Czy tam ktoś jest? - spytałam wskazując na dworek.

Zachichotali i skinęli głowami.

- Kto?

Spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Nie powiecie mi?

- Nie - powiedział Karl. - To twój koń?

- Tak. Chcecie go obejrzeć?

Przytaknęli pełni entuzjazmu. Gdy znaleźliśmy się przed dworkiem, zerknęłam w stronę drzwi, oni także. Nie ulegało wątpliwości, że wiedzą, kto jest w środku, i postanowiłam to z nich wydobyć.

Dzieci zachwyciły się koniem.



- Tylko nie podchodźcie za blisko - ostrzegałam, stali więc posłusznie w pewnym oddaleniu.

Odwróciłam gwałtownie głowę. Klapka była otwarta. Obserwowano nas.

- Możecie mi pokazać, jak się wchodzi do dworku? - spytałam.

Patrzyli po sobie w milczeniu.

- Chodźcie, obejrzymy go sobie w środku. Pokażcie mi, którądy się wchodzi.

Dalej milczeli. Nagle zobaczyłam starszego chłopca. Musiał wyjść tylnymi drzwiami.

- Karl! Gretchen! Co wy tu robicie? Wyglądał na spłoszonego, ale czupurnego.

- Dzień dobry! - powitałam go. - Skąd się tu wzięłeś? Milczał.

- Zgubiłam się w lesie - próbowałam mu tłumaczyć. - Zobaczyłam dom i pomyślałam, że wskażesz mi drogę.

Odetchnął z ulgą.

- Czy to ty byłeś w środku?

- Dokąd pani chce jechać? Miasto jest tam - wskazał kierunek, skąd przybyłam.

- Dziękuję. To jakieś bardzo ciekawe miejsce - zauważyłam.

- Kiedyś tu kogoś zamordowano - powiedział.

- Naprawdę?

- Tak. Następcę tronu.

- Jak się tam dostałeś?

- Mam klucz - obwieścił z dumą, bliźniaki przyglądały mu się z należnym szacunkiem.

- Skąd masz klucz? Zacisnął usta i milczał.

- Nie powiem nikomu - obiecałam. - Jestem tu obca... po prostu zgubiłam się w lesie. Chciałabym zajrzeć do środka. Nigdy nie widziałam miejsca, gdzie kogoś zabito.

Patrzył na mnie z politowaniem. Mógł mieć z jedenaście lat.

- Jak masz na imię? - spytałam.

- A pani?

- Anna Ayres.

- Cudzoziemka.

- Tak. Zwiedzam okolice. Bardzo tu pięknie, ale najbardziej chciałabym zobaczyć miejsce, gdzie popełniono tę zbrodnię.

- To się stało w dużej sypialni - rzekł. - Wszystko tam poprzykrywane. Nikt teraz nie przyjeżdża. Kto by chciał spać w domu, w którym kogoś zabito.

- Pewnie. A są tu duchy?

- Nie wiem - odparł.

- Często tu przychodzisz?

- Mamy klucz - powtórzył z powagą.

- A po co wam ten klucz?

- Bo moja mama przychodzi tutaj sprzątać. Teraz już wiedziałam, czyje to dzieci.

- Aha. Wpuścisz mnie do środka? Zawahał się, więc dodałam:

- Wpuść mnie do środka, to pozwolę ci przejechać się na koniu.

Zobaczyłam błysk w jego oczach, a bliźniaki przeniosły na mnie zaleknione spojrzenia.

- Dobra - zgodził się.

- No to chodźmy!

Z wielką dumą otwierał skrzypiące drzwi. Znaleźliśmy się w holu o drewnianej podłodze i dębowych ścianach. Pośrodku stał duży stół, na ścianach wisiały kopie i lance. Zamknęliśmy drzwi, bliźniaki, trzymając się za ręce, maszerowały tuż za nami.

- A ty jak masz na imię? - spytałam. - Wiem, że bliźniaki to Karl i Gretchen.

- Arnulf - odrzekł.

- Dziękuję ci, Arnulfie, że pokazujesz mi to miejsce. Nabrał zdaje się do mnie zaufania, bo dodał:

- Nie powinienem tutaj przychodzić.

- Rozumiem. Dlatego nie otworzyłeś drzwi. Przytaknął.

- Miała przyjść ze mną Gisela.

- Kto to jest Gisela?

- Moja siostra. Ale nie przyszła, boi się duchów. Powiedziała, że sam nie ośmielę się wejść do środka.

- A ty chciałeś jej udowodnić, że się nie boisz. Spojrzał z lekceważeniem na bliźniaki.

- Ci wszędzie za mną łążą. Straszne z nich jeszcze dzieciuchy.

Bliźniaki popatrywały po sobie i uśmiechały się cwaniacko.

Ruszył w górę po schodach.

- Pokażę pani sypialnię, gdzie stało się to...

- Morderstwo - wyszeptałam.

Pchnął drzwi gestem prestidigitatora, który wyczarowuje króliki z kapelusza.

A więc tutaj zamordowano Francine.

Łóżko częściowo okryte odsłaniało jednak kolumny i draperie. Tragiczna scena stała mi jak żywa przed oczami! Moja piękna siostra w tym łóżku z przystojnym, romantycznym i jakże niebezpiecznym kochankiem. Miałam ochotę rzucić się na okrywające łóżko prześcieradła, dotknąć miękkiego atlasu draperii i dać ujście rozpaczy i łzom, które z takim trudem powstrzymywałam.

- Dobrze się pani czuje? - dopytywał się Arnulf.

- Tak... Jakie to wielkie łoże.

- Musiało być wielkie. Spali na nim we dwoje.

- Dlaczego ich zabili? - spytałam drżącym głosem.

- Bo nie chcieli, żeby został Wielkim Księciem, a ona akurat tam była... i widziała...

Zaniechał tematu, jakby uznał go za mało ważny, i powiedział z dumą:

- Mój tata jest tu stróżem, a mama przychodzi sprzątać.

- Ach, teraz rozumiem. Często tutaj przychodzicie? Wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

- Musimy już iść - rzekł po chwili.

Pragnęłam pozostać w tym miejscu jeszcze przez chwilę, ale wiedziałam, że nie utrzymam na wodzy swych emocji.

- Czy mogę rzucić okiem na pozostałe pomieszczenia? - spytałam pośpiesznie.

- Ale szybko.

Oprowadzanie mnie po dworku sprawiało chłopcu przyjemność. Najbardziej podobała mu się kuchnia, gdzie, jak powiedział, przyrządzano dziczyznę na wielkich rożnach i w kotłach z ubiegłego wieku, które wciąż dobrze służyły. W dworku było kilka sypialni dla służby i myśliwych oraz pokój pełen rozmaitych rodzajów broni.

Zobaczyłam przez okno puste stajnie.

- Chodźmy już - popędzał mnie Arnulf. - Robi się późno.

- Może następnym razem pokażesz mi więcej - powiedziałam. - Weź to. - Podałam mu monetę, której przyglądał się ze zdziwieniem. - Zawsze płaci się przewodnikom - stwierdziłam.

- A więc jestem przewodnikiem?

- Byłeś nim w każdym razie dzisiejszego ranka. Patrzył na monetę z niedowierzaniem. Bliźnięta także podeszły bliżej, by się jej przyjrzeć.

- Arnulf jest przewodnikiem - wyjaśnił Karl Gretchen. Dziewczynka kiwnęła głową i zaczęli powtarzać: „przewodnikiem, przewodnikiem”.

- Gdybym chciała zobaczyć to miejsce jeszcze raz...?  
Arnulf uśmiechnął się do mnie.

- Powiedz mi, gdzie mieszkasz? - spytałam. - Daleko stąd?

Potrząsnął przecząco głową.

- Wiecie co? Zawiozę was do domu. Wsiądziecie wszyscy na konia, a ja będę szła obok. Co wy na to?

Przystali na propozycję uszczęśliwieni. Wyszliśmy, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Cała trójka usadowiła się na końskim grzbiecie i ruszyliśmy. Nie okazałam zdziwienia, widząc przy drzwiach chaty Gisele, ona natomiast bardzo się zdziwiła.

- Panna Ayres! - wykrzyknęła.

Arnulf przeraził się widząc, że znam ich matkę, powiedziałam więc szybko:

- A więc to pani jest matką tej gromadki! Spotkaliśmy się w lesie. Porozmawialiśmy sobie, a potem zaproponowałam im przejażdżkę na koniu.

Pyzata twarz kobiety rozpływała się w uśmiechach.

- Udał ci się ranek, jak widzę - zwróciła się do Arnulfa. - I bliźniakom też.

Zdjęłam bliźniaki z konia. Arnulf zademonstrował swe starszeństwo, zsiadając bez mojej pomocy.

- Chyba powinniśmy spytać pannę Ayres - powiedziała Gisela - czy zechciałaby coś z nami przekąsić.

- O tak, proszę, mamusiu! - zawołał Arnulf, a bliźniaki zawtórowały ochoczo.

Ucieszyłam się, że mnie polubili.

Przywiązałam konia i weszliśmy do chaty - małej, ale wyjątkowo czystej. Siedliśmy za stołem. Gisela naląła zupy. Smakowała podobnie jak ta, której kosztowałam po przyjeździe do Daisy.

- Bardzo to miło z pani strony, bo właśnie zastanawiałam się, czy wracać do miasta i wstąpić do gospody na posiłek.

- Widziała panienka dworek myśliwski? Tędy prowadzi droga.

Na chwilę zapadła cisza, trzy pary oczu patrzyły na mnie z niepokojem.

- Czy to ten pałacyk pół mili stąd?

- Tak. W gruncie rzeczy to jest niewielki domek myśliwski. Część książęcych posiadłości. Arnulf i ja opiekujemy się dworkiem. To obowiązek mieszkańców chaty, którą zajmujemy.

- Nie ja. Tylko mój tata - wyjaśnił chłopiec. - Mam na imię tak jak tata.

- Aha.

Gisela uśmiechnęła się do Arnulfa i do mnie. Uosabiała doskonałą pełnię matczynych uczuć, co bardzo mi się w niej podobało.

- Bliźnięta były z tobą - zwróciła się do Arnulfa. - A gdzie reszta?

- Gisela nie chciała iść z nami.

- Pozostali poszli więc z Gisela. - Uśmiechnęła się do mnie. - Uwielbiają bawić się w lesie, ale Gisela nie pozwala im odchodzić za daleko. Idź, Arnulfie, zawołaj wszystkie, niech wracają do domu.

Arnulf wyszedł. Bliźnięta, ociągając się, ruszyły za nim. Chciały iść za chłopcem, ale pragnęły też zostać i przyglądać się nieznajomej.

- Dużo mam z nimi roboty, ale kiedy starsze opiekują się młodszymi, to już jest łatwiej.

- Musi być pani bardzo zajęta... własny dom... dzieci... dworek.

- Chodzę tam teraz tylko dwa - trzy razy w tygodniu. Dawniej było inaczej. I przyjęcia się robiło. Baron bardzo lubił to miejsce.

- Ten, którego zamordowano? - Tak.

- Mieszkał tam...

- Ze swoją przyjaciółką, piękną młodą kobietą.

- Znała ją pani?

- Tak... zajmowałam się przecież dworkiem, a jak nastąpiły tamte kłopoty, to ona tam zamieszkała, a on przyjeżdżał, kiedy tylko mógł. Bardzo się kochali. Taki wstyd!

- Długo tam mieszkała?

- Dość długo. Nie mogła przebywać w mieście. Wielki Książę by na to nie pozwolił.

- Gdyby się pobrali...

- O, o tym nie mogło być mowy. Rudolph miał przedtem tyle kobiet... chociaż z tą...

- Z tą...

- ... z tą to jakoś inaczej. Taka dobra pani... miła dla służby... zawsze uśmiechnięta. Wszyscy bardzo ją lubiliśmy i doznaliśmy wielkiego szoku, kiedy to się stało. Ale szlacheckie domy silnie ze sobą rywalizują, rozumie panienka.

- Słyszałam też o dziecku - zaczęłam ostrożnie. Spojrzała na mnie przerażona.

- Gdzie u licha mogła panienka słyszeć takie plotki?

- Ja... nie pamiętam, kto mi to powiedział...

- Tutaj?

- Nnnie... Czytałam... w angielskiej gazecie.

- Wspominali o dziecku?

- To było tak dawno.

- Parę lat. Ale dziecko!?! Bardzo mnie to dziwi.

- Oczywiście, pani z pewnością by wiedziała.

- Szczerze mówiąc, wolałabym, żebyśmy nie musieli się zajmować tym domem teraz. Niezbyt tam przyjemnie. Zawsze

było ponuro, tak w środku lasu, ale teraz... jest taki opuszczony.

- Myśli pani, że jeszcze kiedyś ożyje?

- Po jakimś czasie ludzie zapomną. Myślę, że jak Wielki Książę umrze i zacznie rządzić Sigmund, wszystko się zmieni.

- Sądzi pani, że na lepsze?

- Będziemy żałować, jak stary książę odejdzie... Przyzwoicie sprawował rządy. A Sigmund...? Niewiadomo. Ma tam różne swoje nawyki... Jak i Rudolph. Obaj przystojni i uwodzicielscy, cała rodzina jest taka. Ale jak Sigmund ożeni się z hrabianką, to się pewnie ustakuje.

Nie interesowała mnie przyszłość. Zajmowała mnie wyłącznie przeszłość. Pożegnałam się i wyszłam wśród podziękowań i zaprosin do kolejnych odwiedzin.

\* \* \*

Opowiedziałam Daisy o spotkaniu w lesie, o tym, jak znalazłam dworek i chatę Giseli.

- Musiałaś widywać moją siostrę, kiedy odwiedzałaś Gisele, Daisy - powiedziałam.

- Nie. Nie odwiedzałam Giseli, gdy siostra panienki tutaj mieszkała. Dopiero kiedy zaszłam w ciążę, dostaliśmy ten domek i stałyśmy się sąsiadkami z Giselą. Przedtem mieszkałam w szlosie, a to stąd kawał drogi.

- Ze dwie albo i trzy mile - stwierdziłam.

- Miała panienka szczęście, że spotkała tam dzieci. Ale i sama Gisela pokazałaby panience dworek. Tylko po co to się denerwować? Co panience z tego przyjdzie, jak nawet panienka odkryje, kto zamordował?

- Muszę się dowiedzieć dwóch rzeczy. Czy rzeczywiście wzięli ślub i co się dzieje z dzieckiem?

Daisy potrząsnęła niechętnie głową.

- Ale zrozum, Daisy, Francine napisała mi, że się pobrali i gdzie odbył się ślub. Pojechałam do kościoła i znalazłam ten



zapis w rejestrze... a gdy pojechałam powtórnie, zapis zniknął. Pisała też, że ma synka, Rudolpha.

Daisy zamyśliła się.

- Może i tak napisała - rzekła wreszcie - może to był dla niej wstrząs, bo myślała, że on się z nią ożeni, a jak do niej dotarło, że to niemożliwe, zaczęła żyć marzeniami i wyobrażała sobie, że tak jest naprawdę... Wie panienka, jaka była panna France. Wszystko brała za dobrą monetę, a jak coś się nie udawało, nie przyjmowała tego do wiadomości...

- Przecież powiedziałam ci, że widziałam zapis.

- Za drugim razem panienka nie widziała.

Minał tydzień. Poszukiwania nie posunęły się ani o krok naprzód. Jeździłam konno do lasu, ale przypatrywanie się dworcowi nic nowego nie wносиło. Penetrowałam miasto. Wysiadywałam w piwiarni. Ludzie czasami do mnie zagadywali i udzielali wskazówek jako cudzoziemce, co i gdzie warto obejrzeć. Tematu, który najbardziej mnie interesował, nie chciałam poruszać zbyt często, zresztą wszyscy powtarzali to samo.

Zaczęłam się niepokoić, co Daisy od razu zauważyła.

- Myślę, że rozwiązania zagadki trzeba by szukać w innych rejonach, proszę panienki. Na pewno nie w lesie. Nieco wyżej, tam, w szlosie. Ale siostry zamordowanej, to oni z całą pewnością zapraszać nie będą.

Miała rację. Ale kiedy już całkiem straciłam nadzieję, znów mi się poszczęściło. Siedziałyśmy z Daisy w ogródku. Mały Hans biegał w kółko po niewielkim trawniczku, czerpiąc wodę z wiadra i podlewając rosnące na obrzeżach kwiaty. Niespodziewanie pojawił się duży Hans.

- Pomyślałem, że zaraz powinienem wam to powiedzieć - rzekł, patrząc wprost na mnie. - Chodzi o hrabiankę Freję...

- Kto to jest hrabianka Freja? - spytałam.

- Narzeczona Sigmunda, następcy tronu. Mieszka w zamku Wielkiego Księcia, wychowuje się tam od czasu, kiedy została zaręczona Sigmundowi. Takie tu panują zwyczaje - narzeczone wychowywane są na dworach swoich przyszłych mężów.

- Wiemy, że ona tam jest, Hans - powiedziała Daisy zniecierpliwiona.

- Panna Philippa nie wie.

- Panna Ayres, dopóki mieszka tutaj. Zapamiętaj to, Hans.

- Przepraszam. A więc słyszałem, że hrabianka Freja musi poprawić swój angielski. Jej dotychczasowa nauczycielka uczyła ją tego języka, ale podobno nie najlepiej u hrabianki z wymową. Szuka się w związku z tym nauczycielki Angielki.

Patrzyłam szeroko otwartymi oczyma na Hansa. Pokiwał głową z uśmiechem.

- Pomyślałem sobie - rzekł - że gdyby panienka dostała się do zamku, mogłaby się tam panienka czegoś dowiedzieć... jeśli oczywiście jest się czego dowiedzieć.

- Ucząc hrabiankę angielskiego - ucieszyłam się.

- A to ci dopiero! - wykrzyknęła Daisy, gdy jej wyjaśniłam w czym rzecz. - A to byłby numer, jakby się panienka dostała do zamku.

- Jeśli się panienka zgadza - rzekł Hans - to pójdę do zarządcy dworu. To mój przyjaciel i moja rekomendacja wiele pomoże. Ale jak się dowiedzą, że panienka jest siostrą...

- Skąd mają się dowiedzieć? - zawołała Daisy. - Dobrze panienka zrobiła, że się tu nazywa panna Ayres.

- Jak się wyda, to ja o niczym nie wiedziałem - dorzucił Hans pośpiesznie. - Powiem, że panienka jest dawną znajomą mojej żony i wynajęła u nas pokój za niewielką odpłatnością.

- Otóż to - przytaknęła Daisy. - To się trzyma kupy.

- Ale ty, Daisy, nie będziesz mogła skłamać, że nie wiedziałas, kim jestem.

- Miejmy nadzieję, że nic się nie wyda. A nawet jak mi ktoś zada niewygodne pytanie, zawsze mogę wykręcić się, że nie rozumiem, o co chodzi.

- To dla mnie wielka szansa - ucieszyłam się. - Manna z nieba! Już myślałam, że niczego nie wskóram... a tu taka gratka!

- A więc decyduje się panienka? - spytała Daisy.

- Naturalnie. Porozmawiasz w mojej sprawie, Hans? Hans był człowiekiem ostrożnym i musiał upewnić się, że nie wplącze się w coś, co mogłoby mu przysporzyć niepotrzebnych kłopotów.

- Skąd miałbyś wiedzieć, kim jestem? - przekonywałam. - Z Anglii pamiętać mnie nie możesz. A tu przyjechałam jako Anna Ayres. Na pewno nikt się nie zorientuje, kim jestem.

- Pewnie że nie - poparła mnie Daisy.

Ustaliliśmy w końcu, że powinnam wykorzystać szansę. Hans obiecał porozmawiać z zarządcą dworu i już w parę dni później przygotowywałam się do wizyty w zamku Wielkiego Księcia. Miałam odbyć rozmowy z zarządcą i pierwszą damą dworu na temat wielce odpowiedzialnego zadania, jakim było nauczyć jaśniepanienkę angielskiego.

Przysłano po mnie powóz. Gdy się zatrzymał przed domkiem, przyglądałyśmy się mu z pewnym lękiem. Z boku widniał książęcy herb Bruxensteinu - korona, a pod nią skrzyżowane miecze oraz napis: „Ku zwycięstwu”.

Długo zastanawiałyśmy się z Daisy, jak powinnam się ubrać, i doszłyśmy do wniosku, że włożę najskromniejszy strój, a włosy - dość niesforne, ale stanowiące główny walor mojej urody, gęste i wspaniałe - zaczeszę do tyłu i zwiążę w kok tuż nad karkiem, tak by ciemnoniebieski słomkowy kapelusz trzymał się dobrze na czubku głowy.

Włożyłam ciemnoniebieski kostium i białą bluzkę. Uznałam, że jestem ubrana bardzo stosownie.

Daisy aż klasnęła w ręce, gdy mnie zobaczyła. Poczułam, że nie jestem już Philippą Ewell, stałam się Anną Ayres.

Lokaj w liberii pomógł mi wsiąść, a sam wskoczył na tył powozu, woźnica podciął batem dwa wspaniałe gniadosze i ruszyliśmy. Wiedziałam, że Daisy wygląda za nami z najwyższego okna i jest równie podekscytowana jak ja.

Gdy mknęliśmy przez miasto, ludzie przystawali i z ciekawością przyglądali się książęcemu powozowi.

Przejechaliśmy obok strażników przy zamkowej bramie. Wyglądali wspaniale w jasnoniebieskich uniformach, w hełmach z bladoczerwonymi piórami, ze szpadami u boku, pobrzękującymi, gdy salutowali przejeżdżającym.

Wjechaliśmy na dziedziniec, wysiadłam i zaprowadzono mnie do holu o wiele większego niż ten, który widziałam w dworku myśliwskim.

Pojawił się ubrany w liberię służący i poprowadził mnie do małego pokoju przy holu.

- Zechce panienka chwilę poczekać - poprosił.

Usiadłam.

Minęło około pięciu minut, nim usłyszałam kroki i drzwi się otworzyły. Weszli kobieta i mężczyzna.

Podniosłam się i skłoniłam głowę. Odpowiedzieli podobnym ukłonem.

- Panna Ayres? - spytał mężczyzna. - Nazywam się Frutschen, a to pani Strelitz.

Pozdrowiłam ich, życząc miłego dnia, a oni odwzajemnili się z wielką kurtuazją.

Wiedziałam, że pan Frutschen jest zarządcą książęcego zamku i przyjacielem Hansa. Domyślałam się, iż pani Strelitz jest pierwszą damą dworu, i że to na niej przede wszystkim powinnam zrobić dobre wrażenie, jeśli chcę uzyskać tę posadę.

- Pani jest Angielką? - spytała kobieta. Przytaknęłam.

- Szuka pani tutaj posady?

- Nie, nie szukam posady. Dowiedziałam się o tym miejscu od pana Schmidta i pomyślałam, że takie zajęcie sprawiałoby mi przyjemność.

- Nie jest pani guwernantką?

- Nie. Nigdy nie pracowałam.

- Pani jest bardzo młoda.

Serce we mnie zamarło. Czyżby moja poważna fryzura zawiodła?

- Mam prawie osiemnaście lat.

- Przyjechała pani zwiedzić nasz kraj?

- Moja babka zostawiła mi w spadku dość pieniędzy, bym mogła realizować marzenia o podróżowaniu po świecie.

- Zamierza więc pani podróżować dalej, a pobyt tutaj traktuje jako tymczasowy?

- Nie mam określonych planów. Sądzę, że tak jest ciekawiej.

Zarządca zerknął na kobietę. Ledwie dostrzegalnym ruchem skinęła głową.

- Zadaniem pani byłoby sprawić, by młoda dama nabrała biegłości w mowie. Dama ta uczyła się już angielskiego, lecz ma kłopoty z akcentem.

- Rozumiem.

- Miałoby to trwać około roku... nie dłużej. Dopóki hrabianka nie wyjdzie za mąż.

- Rozumiem.

- Ma teraz piętnaście lat. Zaślubiny odbędą się prawdopodobnie po szesnastych urodzinach.

Skinęłam głową.

- Otrzymała pani, jak rozumiem, staranne wykształcenie.

- Miałam guwernantkę, której matka była Niemką. Zawdzięczam jej moją znajomość niemieckiego.

- To bardzo dobrze - wtrącił zarządca, któremu najwyraźniej przez wzgląd na przyjaźń z Hansem zależało, bym dostała tę posadę.

- To niezwykle odpowiedzialna posada - zwróciła się do mnie kobieta. - Trzeba pani wiedzieć, panno Ayres, że pani uczennica stanie się pewnego dnia pierwszą damą w państwie, ma bowiem poślubić następcę Wielkiego Księcia. Dlatego musimy starannie dobierać nauczycielki.

- Oczywiście - przytaknęłam. - Doskonale to rozumiem.

- Czy ma pani referencje od poprzedniego pracodawcy?

- Nigdy przedtem nie pracowałam.

- Czy ktoś mógłby za panią poręczyć?

Zawahałam się. Pomyślałam o Charlesie Daventry i pastorce. Ale oni nigdy nie słyszeli o Annie Ayres. Może kuzyn Artur...

- W Anglii tak, mam przyjaciół... choćby pastor... jeśli państwo sobie życzą...

- Pozwoli pani, że ją na chwilę pozostawimy samą - powiedziała pani Strelitz.

- Naturalnie.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi. Czekałam niecierpliwie.

Szczęście mi sprzyjało. Po dziesięciu minutach wrócili, zarządca robił wrażenie zadowolonego, kobieta zaś powiedziała:

- Zdecydowaliśmy, że przyjmujemy panią na okres próbny, panno Ayres. Mam nadzieję, że nie weźmie nam pani tego za niegrzeczność. Decyzja jest trudna, ponieważ dotyczy hrabianki. To ona przede wszystkim musi być zadowolona z naszego wyboru. Spróbujemy przez tydzień, a następnie przez kolejne trzy tygodnie. Jeśli po upływie tego czasu uznamy panią za właściwą osobę, wówczas...

- Naturalnie - wykrzyknęłam. - Rozumiem.

- Postanowiliśmy nie pisać do Anglii o referencji - dodał zarządca. - Mój przyjaciel, pan Schmidt, twierdzi, że pochodzi pani z bardzo dobrej rodziny. Nie szukamy też osoby, której zależałoby na stałej posadzie. Bylibyśmy radzi, gdyby zechciała pani rozpocząć pracę z początkiem przyszłego tygodnia. Czy możemy teraz porozmawiać o wynagrodzeniu?

Nie miałam wątpliwości, że bez trudu dojdziemy do porozumienia. Zależało mi wyłącznie na tym, by dostać się na książęcy dwór.

Odwieziono mnie z powrotem tym samym powozem. Wpadłam do kuchni Daisy.

- Udało się! - krzyczałam. - Będę uczyła angielskiego pierwszą damę w państwie! Skakałyśmy z radości, przydreptał mały Hans i widząc naszą radość przyłączył się do tych płasów.

- A więc zaczyna się, Daisy! - powiedziałam.

## Angielska guwernantka

W poniedziałek przyjechał powóz, by zabrać mnie i moje bagaże. Drżałam z niepokoju, gdy znalazłam się w zamku i zaprowadzono mnie do tego samego małego pokoiku przy holu. Wkrótce nadeszła pani Strelitz.

- Panno Ayres - powiedziała - hrabianka pragnie niezwłocznie panią poznać. Jej apartamenty znajdują się na trzecim piętrze. Tam też mieści się pokój lekcyjny i tam, w apartamentach hrabianki, będzie pani sypialnia. Hrabianka ma guwernantkę, ale najważniejsze teraz są lekcje angielskiego. Pan baron, przyszły mąż hrabianki, a nasz władca, mówi po angielsku znakomicie i równie dobrze musi mówić jego przyszła żona. Odwiedzając ją, będzie oczekiwał postępów.

- Zapewniam panią, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by postępy były widoczne.

- Jestem o tym przekonana. Może natrafić pani na pewne trudności... Hrabianka Freja jest pełną wigoru dziewczyną, i jest przy tym nieco... hmm... niezależna. Spoczywa więc na pani wielka odpowiedzialność, panno Ayres, a niewiele jest pani starsza od swej uczennicy.

Spoglądała na mnie z obawą. Wszystko przez te moje nieznośne włosy... Czułam, jak zaczynają wymykać się spod tasiemki.

- Zasoby wiedzy nie zawsze idą w parze z wiekiem. - Ma pani rację. Życzę więc powodzenia. I jeszcze... chciałam powiedzieć, że jeśli hrabianka pani nie polubi, będzie pani musiała zrezygnować z tej posady.

- To problem każdej guwernantki.

- Zresztą utrzymanie pani nie jest uzależnione od tej posady.

- Zamierzam oddać się temu zajęciu bardziej z upodobania niż z potrzeby.



Zrobiłam chyba dobre wrażenie, bo zaczęła odnosić się do mnie nieco cieplej.

- Doskonale. Proszę wobec tego ze mną. Pokażę pani jej pokój i przedstawię uczennicy.

Szliśmy wzdłuż korytarzy i galeryjek aż do apartamentów hrabianki.

- Hrabianka mieszka tu od czasu przybycia z Kollenitz, kiedy to po śmierci barona Rudolpha zaręczyła się z baronem Sigmundem.

Skinęłam głową.

- Od tej chwili stała się ważną personą - kontynuowała pani Strelitz - ponieważ zarówno margrabia z Kollenitz, jak i Wielki Książę pragną, poprzez ten związek, połączyć oba kraje.

Pani Strelitz zamilkła i zapukała do pokoju. Usłyszałyśmy: „Proszę!”, i weszłyśmy. Kobieta w średnim wieku podniosła się i skierowała w naszą stronę.

- Panno Kratz, to jest panna Ayres.

Panna Kratz miała bladą, pełną twarz i pełne niepokoju spojrzenie. Zrobiło mi się jej żal, mój młody wiek był chyba dla niej zaskoczeniem.

Młoda dziewczyna wstała od stołu i zbliżyła się do mnie cokolwiek zbyt dostojnym krokiem.

- Wasza Wysokość - skłoniła się pani Strelitz - pozwoli pani... panna Ayres, nauczycielka angielskiego.

Ukłoniłam się i powiedziałam po angielsku:

- Czuję się zaszczycona.

- A więc ma mnie pani nauczyć rozmawiać po angielsku tak jak mówią Anglicy - odpowiedziała po niemiecku.

- Czyli, jak najlepiej porozumiewać się w tym języku - ciągnęłam po angielsku.

Miała bardzo jasną karnację - rzęsy i brwi ledwie zarysowane - i błękitne oczy, nie na tyle duże, by można je

uznać za piękne, tym bardziej że brakowało im ciemnej oprawy, która by je podkreślała. Na jej twarzy malował się wyraz ciągłego zdziwienia, co wydało mi się nawet sympatyczne. Zauważyłam jeszcze długi, orli nos i mięsiste usta oraz grube włosy splecione w warkocze. Wyglądała jak nieznośna uczennica. Interesowało mnie, co ona sobie o mnie myśli.

- Mam nadzieję, że hrabianka okaże się pojętną uczennicą - powiedziałam.

Roześmiała się.

- Chyba nie okażę się. Jestem często... prawda, Kratzusiu?

- Hrabianka jest naprawdę bardzo bystra - podchwyciła pani Kratz.

- Wszystko Kratzuś zepsuł tym „naprawdę”, czyż nie tak, panno Ayres? - parsknęła śmiechem.

- A więc, panno Ayres - wtrąciła pani Strelitz - musi pani uzgodnić z panną Kratz godziny zajęć. Czy mogę teraz zaprowadzić panią do jej pokoju, a stosownych ustaleń dokonają panie między sobą później?

- Ja zaprowadzę pannę Ayres do jej pokoju - oświadczyła hrabianka.

- Wasza Wysokość...

- Moja Wysokość - przedrzeźniała - tak sobie życzy. Chodźmy, musimy się trochę poznać, skoro mamy rozmawiać w tym pani obrzydliwym języku.

- Chciała hrabianka z pewnością powiedzieć w moim pięknym języku.

Roześmiała się.

- Zaprowadzę ją. Koniec lekcji. Kratzuś i pani Strelitz są wolne.

Władcze maniery mojej uczennicy zatrwożyły mnie nieco, ale nie upadałam na duchu - wiedziałam już, że czeka nas sporo interesujących potyczek.

- Bagaze przyślijcie od razu - rozkazywała. - Chcę zobaczyć, co ze sobą przywiozła. - Roześmiała się do mnie. - Pochodzę z Kollenitz, gdzie maniery nie są tak wyszukane jak tu, w Bruxensteinie. Zauważyła to pani, panno Ayres?

- Właśnie zaczynam zauważać. Znowu się roześmiała.

- Chodźmy. Musimy porozmawiać.

- Po angielsku. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałybyśmy zacząć lekcji od razu.

- Ale ja widzę. Pani jest tylko guwernantką, a ja przyszlą Wielką Księżną. Proszę więc mieć się na baczności.

- Wręcz przeciwnie. To raczej hrabianka powinna mieć się na baczności.

- Co pani przez to rozumie?

- Jestem zupełnie niezależna. Nie muszę tu zostać. Jestem tu, bo tak mi się podoba. Nie potrzebuję zarabiać na życie. Chcę postawić sprawę jasno od samego początku.

Popatrzyła na mnie. Potem się roześmiała. Obie kobiety tkwiły wciąż przy drzwiach.

- Powiedziałam przecież, żeby panie nas zostawiły. Sama zajmę się nauczycielką.

Uśmiechnęłam się przepaszająco do pani Strelitz.

- Świetnie się składa. Będzie to okazja do konwersacji - zwróciłam się do hrabianki. - Ale rozmowę prowadzić będziemy tylko po angielsku. Postanowiłam, że to będzie nienaruszalna zasada.

Dziewczyna zbyt zaskoczona, by się ze mną spierać, nie zaoponowała. Czulaam, że wygrałam tę rundę. Zdobyłam podziw nieszczęsnego, zaleknionego Kratzusia i aprobatę pani Strelitz. Niestety nie z nimi, a z hrabianką miałam prowadzić lekcje.

- Oto pokój - powiedziała, otwierając zamasyście drzwi.

- Ja mieszkam na drugim końcu korytarza. Mamy oczywiście

ładniejsze pokoje, ale ten też jest całkiem znośny, jak dla guwernantki.

- Ośmielę się nazwać go zaledwie wystarczającym.

- Bez wątpienia jest o wiele lepszy od tych, do których pani przywykła.

- Wręcz przeciwnie. Wychowałam się w wielkim arystokratycznym dworze, który komfortem w żadnym calu nie ustępuje tutejszemu zamkowi.

- Pani to naprawdę robi... dla zabawy?

- Można to i tak nazwać.

- Nie jest pani stara, prawda?

- Ale mam duże doświadczenie życiowe. - Naprawdę? Szkoda, że ja go nie mam. Jestem nawet mniej doświadczone niż powinnam.

- Doświadczenia nabywa się z wiekiem.

- A ile pani ma lat?

- W kwietniu skończę osiemnaście.

- Ja mam piętnaście. Niewielka różnica.

- Owszem, wielka. Te trzy lata to najważniejsze lata w życiu.

- Dlaczego?

- Bo to czas wyrastania z dzieciństwa i stawania się kobietą.

- Za rok wyjdę za mąż.

- Tak, słyszałam.

- Ludzie dużo o nas mówią, prawda?

- Znają niektóre fakty.

- Wolałabym, żeby pani nie mówiła tak ciągle po angielsku.

- Jestem tu po to, żeby mówić po angielsku.

- Ale to utrudnia rozmowę. Chciałabym dowiedzieć się o pani tylu rzeczy, a nie wszystko rozumiem.

- Mamy więc bodziec do doskonalenia umiejętności.

- Mówi pani jak nauczycielka. Miałam ich parę, ale żadna długo nie wytrzymała. Jestem dosyć trudna. Nie sądzę, by długo tu pani wytrzymała.

- Nie dłużej niż będę potrzebna.

- Ośmielam się twierdzić, że nie aż tak długo. Niełatwo ze mną... pojmuję pani.

- Pojmuję.

- Biedny Kratzuś jest okropnie przerażony. Pani Strelitz też troszkę.

- Nie uważam, by to był powód do dumy.

- Dlaczego?

- Stawianiem kogoś w niezręcznej sytuacji nie należy się chlubić. Łatwo pokonać kogoś, kto nie może się bronić.

- Dlaczego nie mogą się bronić?

- Bo są tu zatrudnione.

- A panią mogę pokonać?

- Absolutnie nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie jestem tu po to, by hrabiankę zabawiać. Jeśli nie wzbudzę sympatii, proszę mi powiedzieć, a odejdę, odejdę również, jeśli i we mnie nie zrodzi się sympatia do mojej uczennicy.

Przyglądała mi się ze zdziwieniem i powoli zaczęła się uśmiechać.

- Jak się pani nazywa?

- Panna Ayres.

- Ale imię?

- Anne.

- Będę do ciebie mówić Anne.

- A jak hrabianka ma na imię?

- Nie wiesz? Wszyscy to wiedzą. Jestem Freja z Kollenitz.

- Freja. Bogini...

- Bogini piękności - dokończyła z dumą. - Wiesz, że kiedy Thor zgubił swój młot, gigant Thrym chciał mu go oddać pod warunkiem, że Freja zostanie jego żoną?

- A wtedy Thor przebrał się za Freję, udał się do krainy gigantów i odzyskał młot. Opowiadała mi o tym moja guwernantka. Często jeździła do Niemiec na wakacje. Do swojej matki.

- To ty też miałaś guwernantkę? Czy była sympatyczna? Lubiała ją?

- Lubiałam. To bardzo miła osoba.

- Wyobrażam sobie, że byłaś grzeczną dziewczynką.

- Nie zawsze. Ale nigdy nie zapominałyśmy o dobrych manierach.

- Jakie my?

- Moja siostra i ja.

Poczułam, że się rumienię, i Freja natychmiast to zauważyła.

- Gdzie jest teraz twoja siostra?

- Nie żyje.

- Smutno ci z tego powodu.

- Bardzo.

- Opowiedz mi o swojej guwernantce. Opowiedziałam jej wszystko, co tylko pamiętałam o pannie Elton i jej rodzinie.

Słuchała z zainteresowaniem, spostrzegłam jednak, że jej myśli przeskakują z tematu na temat. Spojrzała na moje bagaże i spytała:

- Będziesz się teraz rozpakowywać?

- Tak.

- Popatrzę sobie.

Wyjmowałam ubrania i wieszałam na wieszakach. Mówiła, co o nich myśli: „To brzydkie”. „No, można wytrzymać”.

- Teraz, już wiem, jakie są maniery w Kollenitz! - zauważyłam, a ona śmiała się do rozpuku.

Zobaczyła leżącą na mojej torbie książkę. Chwyliła ją i przeczytała z topornym niemieckim akcentem: „ Wiersze Roberta Browninga”.

- Słyszę, że mamy dużo pracować nad wymową. Książka otworzyła się tam, gdzie ją najczęściej otwierałam.

- „Piosenka Pippy” - czytała powoli.

Rok wita już wiosną Dzień wstaje z obsłonek

- Och, nie mogę tego czytać. Poezja jest taka trudna.

Wyjęłam książkę z jej rąk i przeczytałam cały wiersz. Głos mi zadrżał przy ostatnich wersach:

Ślą łaskę niebiosy,

Jest dobrze na Ziemi!

Zamknęłam książkę. Freja przyglądała mi się uważnie. Uśmiechnęłam się, a ona odwzajemniła uśmiech.

Wszystko ułoży się dobrze, pomyślałam. Polubię moją małą hrabiankę.

\* \* \*

Następne dni obfitowały w nowe wrażenia. Ku zdziwieniu służby stosunki między hrabianką a mną układały się nadzwyczaj poprawnie. Sądzę, że wpływała na to moja powściągliwa postawa, wynikająca z braku jakiejkolwiek zależności materialnej. Freja lubiła przebywać w moim towarzystwie i usiłowała nawet zaniedbywać pozostałe zajęcia w imię, jak to obłudnie określała, „doskonalenia angielszczyzny”. Lekcje z nią nie były trudne, nie musiałam się do nich przygotowywać. Miała solidne podstawy językowe i potrzebna jej była jedynie konwersacja, mogliśmy więc rozmawiać na różne tematy, a ja jedynie zwracałam uwagę na błędy.

- Czy nie pora na zajęcia z panną Kratz? - pytałam czasami.

Krzywiła się.

- Wolę popracować nad angielskim.

Podczas wizyty u Daisy dowiedziałam się, że zarządca zwierzył się Hansowi, jak jestem podziwiana za sukcesy w postępowaniu z hrabianką.

Spędzałyśmy ze sobą dużo czasu i zaprzyjaźniłyśmy się na swój sposób. Życie na książęcym dworze różniło się od moich wyobrażeń. Każdy zajmował się swoimi sprawami. Choć byłam w zamku już ponad dwa tygodnie, nie miałam okazji spotkać Wielkiego Księcia, nawet przelotnie. Wieża, w której znajdowały się nasze apartamenty, była całkowicie oddzielona od części książęcej.

Freja i ja spacerowałyśmy po okolicach zamku. Jeździłyśmy razem konno. Była niezłą amazonką, ale nie ustępowałam jej w tym.

Pewnego dnia przyznała z wielkim podziwem: „Ty wszystko potrafisz”.

Gdy wyjeżdżałyśmy konno, zawsze towarzyszyło nam dwóch stajennych, co ją drażniło. Zwróciłam jej uwagę, że są bardzo dyskretni i trzymają się w należytej odległości. „Niechby spróbowali inaczej!”, odparła, a jej oczy miały błyskawice.

Jeździłyśmy po lasach. Hrabianka opowiadała mi o wydarzeniach sprzed stuleci. Pokazała mi ruiny zamku, w którym pewna baronowa kazała zamurować kochankę swego męża. „Zleciła dobudowanie jeszcze jednego pokoju, a kiedy robotę prawie skończono, wprowadziła piękną młodą dziewczynę do środka i kazała murarzom zamurować drzwi. Podobno do tej pory słychać po nocach krzyki tej nieszczęśnicy”.

Pokazała mi skałę Nad Urwiskiem. Przyprowadzano tu ludzi i radzono im rzucić się w przepaść... jeśli chcieli uniknąć gorszego losu.



- Cóż za miłe obyczaje panują w Bruxensteinie.

- Wszędzie panują podobne obyczaje - odparła Freja - tyle że się o nich nie mówi. Zamek „Nad Urwiskiem” należał kiedyś do rabusia, który napadał na podróżników i pory -

wał ich dla okupu. Obcinał im po jednym palcu i wysyłał te palce - podnosząc za każdym razem wysokość okupu - do krewnych ofiary. Jeśli okup nie został zapłacony, baron - rabuś pozbywał się swych ofiar, strącając je ze skały do jaru.

- Przeróżające.

- Sympatyczniejsi są bogowie - stwierdziła Freja, a oczy jej lśniły, gdy opowiadała o Thorze. Najsilniejszy spośród bogów, a zarazem najwrażliwszy bóg burzy - Thor - był ulubionym bogiem Frei. Miał rude włosy i rudą brodę. Gdy wpadał w gniew, z jego oczu sypały się iskry.

- Mam nadzieję, że nie złościł się zbyt często. Niemądrze jest się złościć. To nic nie daje.

- Pani nigdy się nie złości, panno Ayres?

- Och... czasami się złoszczę. Ale na szczęście nie jestem Thorem, więc nie musi się hrabianka obawiać iskier.

Roześmiała się. Wciąż się śmiała, kiedy przebywała ze mną. Zauważyłam, jak popatrywali na nas służący, słysząc śmiechy hrabianki. Nie miałam wątpliwości, że zdobywałam sobie opinię osoby umiejącej postępować z tą dziewczyną.

Rozumiałam, że wzrastała w nienaturalnych warunkach, a pozycja, którą wypadło jej zająć, jeszcze bardziej ją izolowała. Znała zaledwie kilkoro dzieci i nigdy nie miała żadnego towarzysza zabaw. Demonstracyjnie okazywała swą książęcą przewagę nad innymi. Nadużywała jej, nie znając innych zachowań.

Współczułam mojej małej aroganckiej hrabiance. Zachęcałam ją, by dużo rozmawiała. Codzienności zdawała się nie dostrzegać. Żyła w świecie mitycznych bogów i

herosów. Opowiadała wciąż o Frei, co można by uznać za naturalne, skoro nosiła jej imię.

- Miała jasne włosy i niebieskie oczy - powiedziała mi kiedyś, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. - Uważano ją za ucieleśnienie Ziemi - tak była piękna. Poślubiła Odura, boga letniego słońca, i mieli dwie córki, prawie tak piękne jak ona. Bardzo je kochała, ale jeszcze bardziej kochała męża. Odur zaś to wieczny wędrowiec, dom nie dawał mu szczęścia. Ciekawe, czy Sigmund też taki będzie. Pewnie tak. Właśnie jest w podróży. Może nie chce przebywać tam, gdzie ja jestem.

- Nie myśl, że twoje życie będzie podobne do życia bogini. To inne czasy.

Popatrzyła na mnie i stwierdziła bardzo dojrzałe:

- Ale ludzie nie zmieniają się aż tak bardzo, prawda? Bez względu na to w jakich czasach żyją, postępują podobnie. Pobierają się... zdradzają i uciekają.

- Twoim zadaniem jest sprawić, żeby Sigmund nie uciekał.

- Mówisz jak Kratzuś. Proszę, nie bądź taka jak ona. Bądź sobą. Nie zniosłabym, gdybyś się zmieniła.

- Mam nadzieję pozostać zawsze sobą. Sądzę, że piękna Freja powinna była godzić się na wędrówki męża i wcale się tym nie przejmować.

- Była taka nieszczęśliwa! Płakała, a jej łzy wpadając do morza zamieniały się w bursztyny.

- Nigdy dotąd nie słyszałam tak naukowego wyjaśnienia pochodzenia bursztynów.

Zaśmiała się. Rozmowa ta skrywała niepokój Frei przed zbliżającym się małżeństwem z Sigmundem. Rozumiałam te obawy i starałam się dodać jej otuchy.

- Hrabianka za bardzo przejmuje się tymi starymi baśniami - irytowałam się. - Nie należy brać ich zbyt

poważnie. Jeśli macie być ze sobą szczęśliwi, lepiej nie przeprowadzać ciągłych porównań.

- Jakie to proste! Czy dla pani wszystko jest zawsze takie proste, panno Ayres?

- Nie - przyznałam. - Nie zawsze.

- Coś pani powiem.

- Tak?

- Cieszę się, że pani tu jest.

Jaki postęp! I to już po dwóch tygodniach! Opowiadała mi o życiu w Kollenitz.

- Tam nie było tak okropnie sztywno - opowiadała. - Mój ojciec rządzi wprawdzie niewielkim obszarem, ale za to bardzo ważnym. Chodzi o usytuowanie Kollenitz... nie o naszą siłę czy bogactwa. Bruxenstein chce przyjacielskich stosunków z Kollenitz, chce, żeby Kollenitz stało się, jak to nazywają, państwem buforowym. Rozumie pani?

- Tak.

- Chciałaby pani zostać takim buforem? Oczekiwała odpowiedzi.

- Myślę, że to by zależało od Sigmunda - odrzekłam impulsywnie.

Znów ją rozśmieszyłam.

- Sigmund jest wysoki i przystojny. Prawdopodobnie Sigmund - heros wyglądał podobnie, ale mój Sigmund bardziej przypomina mi Sigurda, mojego faworyta wśród herosów.

- Skończmy z mitami, proszę dalej opowiadać o Kollenitz.

- Jestem jedynaczką. To cios dla rodziny, gdy nie rodzą się synowie. Ma się wrażenie, jakby człowieka obwiniano za to, że nie jest chłopcem.

- Z pewnością nikt nikogo nie wini.

- Winią, winią. I przestań mówić jak panna Kratz.

- W porządku. Powiedzmy, że czują coś w rodzaju pretensji do dziecka płci żeńskiej.

- To już lepiej - stwierdziła.

- Ale ponieważ nie ma w tym niczyjej winy, nie może hrabianka dopuścić, by ją to gniewało.

- To mnie nie gniewa... choć może trochę... Co utrudniało życie niańkom... guwernantkom... Chciałam im udowodnić, że chociaż dziewczynka, też jestem ważna... jako dziedziczka. Zaręczyłam się z Sigmundem, gdy zamordowano Rudolpha.

- Co hrabianka wie o tym morderstwie? - spytałam pośpiesznie.

- O Rudolphi? Był ze swoją kochanką w dworku myśliwskim, ktoś przyszedł i zabił ich, strzelając z broni przechowywanej w dworku. Gdyby żył Rudolph, wyszłabym za Rudolpha.

- Tak?

- Tak, bo Kollenitz ma być tym buforem. Kollenitz musi pozostawać w przyjaźni z Bruxensteinem.

- I co było później?

- To działo się tak dawno, byłam wtedy mała. Widziałam, jak szeptali między sobą, i natychmiast przestawali, gdy mnie zauważyli. Później doszły mnie słuchy, że mam wyjść za Sigmunda. Z początku nie mogłam tego zrozumieć, bo zawsze mówiono mi, że moim mężem zostanie Rudolph.

- Kiedy się hrabianka dowiedziała, że go zamordowano?

- Podczas zaręczyn. Musieli mi wyjaśnić, że to nie Rudolph, i podać przyczynę. Istniała umowa dotycząca Rudolpha i mnie, ale nie odbyła się żadna oficjalna uroczystość. Z Sigmundem złożyliśmy śluby tu, w zamkowej kaplicy. Nie zawarliśmy wprawdzie legalnego małżeństwa, ale jesteśmy sobie przyrzeczeni. Żadne z nas nie może związać się z kimkolwiek innym bez dyspensy, do czego ani mój ojciec, ani Wielki Książę nigdy nie dopuszczają.

- Teraz widzę, jak ważną jest hrabianka osobą.
- Jestem buforem. Położyłam ręce na jej ramionach.
- Hrabianko - zapewniłam ją - wiem, że będziesz bardzo szczęśliwa.
- Gdzie to widzisz?
- W gwiazdach.
- Opowiedz dokładnie.
- Na pewno tak będzie.
- Zastanawiam się, dlaczego Sigmund wyjeżdża na tak długo. Sądzisz, że mnie nie lubi?
- Z pewnością nie o to chodzi. Omawia różne ważne sprawy z innymi władcami, przygotowuje traktaty...

Roześmiała się. A potem dodała poważnie.

- Może i tak. On stał się taki ważny dopiero od chwili, gdy zamordowano Rudolpha. Przedtem był tylko synem młodszego brata Wielkiego Księcia.

- Jego życie musiało się bardzo zmienić.

- Oczywiście. Zostanie przecież Wielkim Księciem. Och, mam nadzieję, że nie będzie się włóczył po świecie jak mąż Frei.

- Oczywiście że nie. A ty, hrabianko, nie będziesz po nim płakać, nawet jeśli obfitością swoich łez miałybyś wzbogacić zasoby bursztynu i złota.

- Och, panno Ayres, jak ja panią lubię. Pani mówi takie zabawne rzeczy. Ucałowała mnie. Naprawdę stawałyśmy się przyjaciółkami.

\* \* \*

Przebywałam na zamku prawie miesiąc, gdy Freja zażyczyła sobie pójść do wielkiego rodzinnego grobowca, gdzie pochowano jej prababkę. Przypadała akurat rocznica jej śmierci. Chciałam wiedzieć, jak to się stało, że prochy prababki Frei spoczywają w Bruxensteinie. Hrabianka wyjaśniła, że prababka wyszła po raz drugi za mąż w

Bruxensteinie i tu spędziła ostatnie lata swego życia. Natomiast jej dzieci z pierwszego małżeństwa pozostały w Kollenitz.

Pragnęłam zobaczyć wszystko, co wiązało się z tą rodziną. Klucz do grobowca miał zarządca dworu. Powitał mnie uśmiechnięty. Wiedział, jak wszyscy, o moich sukcesach z hrabianką i uważał, że to jemu należy przypisać tak szczęśliwy wybór guwernantki. Pochwalił się, że sam Wielki Książę złożył mu gratulacje.

Utwierdziłam go w przekonaniu, że bardzo mi się podoba moja praca, a hrabianka robi duże postępy.

- Podobno tak ją interesują lekcje angielskiego, że zaniedbuje inne - dodał wielce rad.

- Staramy się z panną Kratz zachować właściwe proporcje.

Zarządca rozpromienił się, wręczył mi klucz i poprosił, byśmy go oddały zaraz, jak tylko opuścimy grobowiec.

Udałyśmy się z Freją do kościoła, który przylegał do zamku. Przepięknie usytuowany, stał w miejscu, z którego roztaczał się wspaniały widok na miasto. Wielki grobowiec wyglądał imponująco. Freja poinformowała mnie, że zbudowano go przed wielu laty według projektu jednego z najsłynniejszych architektów.

Otworzyła drzwi i zeszła parę schodków w dół. Podłogę wykonano z marmuru, podobnie jak w kaplicy. Po bokach na galeriach umieszczono sarkofagi.

- Jak tu cicho - szepnęłam.

- Jak w grobie - dodała Freja. - Boisz się trochę?

- Czego miałabym się bać?

- Duchów.

- Umarli nie krzywdzą żywych.

- A zamordowani? Podobno ludzie, którzy giną od nagłej śmierci, nie odpoczywają w pokoju.

- Kto to powiedział?

- Oni.

- Nie wierzę im. Nie mają swojego zdania i nie mówią, kim są.

- To trumna mojej prababki. Gdy tu przychodzę, zawsze sobie myślę: Przyjechała z Kollenitz do Bruxensteinu... jak ja. Ale była ode mnie starsza i miała już jednego męża... więc wiedziała coś o małżeństwie. Odmawiam modlitwę w nadziei, że jest szczęśliwa w niebie. Widziałam kiedyś jej portret. Mówią, że jestem do niej podobna.

- Znowu oni? Zdaje się, że oni są wszędzie. Roześmiała się głośno, ale zaraz położyła palec na ustach.

- Tu chyba nie należy się śmiać?

- Dlaczego?

- Może oni tego nie lubią.

- Oni! Spoważniała.

- Myślałam o ich duchach - wyszeptwała.

- Nie mamy się czego bać - odezwałam się głośno. - Ani my ich, ani oni nas.

- Chodź, zobacz... Czytaj... Pochyliłam się, by odczytać litery:

- Rudolph Wilhelm Otto, baron von Gruton Fuchs. Lat dwadzieścia trzy...

- To ten zamordowany - przerwała mi. - Ciekawe, czy odpoczywa w pokoju.

Patrzyłam milcząc, wstrząśnięta i oszołomiona, choć powinnam była przewidzieć, że Rudolph jest tutaj pochowany. Wróciłam myślami do czasów, kiedy ujrzałam go w Folwarku.

- Wiem o jeszcze jednym grobie - przerwała moje milczenie Freja. Pokażę ci go.

- O jakim grobie?

- To szczególny grób. To tajemnica. Zaprowadzę cię tam jutro. Chcesz?

- Dobrze, ale teraz wyjdźmy już stąd. Wyprowadziłam ją z grobowca i zamknęłam drzwi na klucz.

Następnego dnia Freja zaproponowała przejażdżkę do lasu. Wyruszyliśmy w towarzystwie dwóch stajennych, którzy podążali w wyznaczonej odległości za nami. Stwierdziłam ze zdziwieniem, że kierujemy się w stronę dworku myśliwskiego. Minęliśmy chatę Giseli, ale nie bawiło się przy niej żadne z dzieci.

- W tej chacie mieszkają moi przyjaciele - powiedziałam.

- Ci od doglądania dworku?

- Tak. Poznałam ich kiedyś. Mają bardzo miłe dzieci.

- Zajmowali się dworkiem, kiedy to się stało.

- Wiem.

- Za chwilę będziemy na miejscu.

I rzeczywiście, dworek wyglądał imponująco. Freja ściągnęła wodze i ku mojemu zdziwieniu zsiadła z konia.

- Wejdziemy do środka? - spytałam z nadzieją, że nie wyczuwa drżenia w moim głosie.

Pokręciła głową.

- Nie ma po co - powiedziała. - Nikt tam teraz nie wchodzi. A chciałabyś? Chcesz zobaczyć, gdzie ich zabili?

Przeszedł mnie dreszcz.

- Wyglądasz na przestraszoną. - Freja przyglądała mi się uważnie. - No... może nie na przestraszoną, ale tak jakoś dziwnie...

- Zapewniam cię, że nie jestem przestraszona.

- No, to chodź.

- Dokąd?

- Obiecałam przecież, że ci coś pokażę.

Ogarnęło mnie zdenerwowanie. Czułam, że jestem bliska jakiegoś ważnego odkrycia, a fakt, że stanie się to za sprawą hrabianki, wydawał mi się dziwnie tajemniczy.

Zawołała do stajennych:



- Będziemy spacerować wokół dworku. Proszę zostać tu z końmi. - Chodź - zwróciła się do mnie. - Tędy.

Poszłam za nią, zastanawiając się, czy Arnulf, bliźniaki albo któreś z pozostałych dzieci są gdzieś w pobliżu. Ale nie było widać żywego ducha.

Poprowadziła mnie na tyły domu i nie zatrzymując się, szła dalej, w stronę zielonego ogrodzenia.

- Zgadujesz, co tam jest? - dopytywała się Freja.

- Nie.

- Grób.

Freja otworzyła furtkę. Pośrodku ogrodzonej przestrzeni usypano kopiec, z którego wyrastał krzak róży. Wokoło zieleniła się równiutko przycięta trawa.

Uklękałam i przeczytałam napis na tabliczce, prawie całkowicie ukrytej w krzaku róży:

Francine Ewell.

Obok widniała data śmierci.

Nogi się przede mną ugięły. Z trudem usiłowałam ukryć zaskoczenie. Chciałam rzucić się na ziemię i płakać, płakać po mojej najdroższej, pięknej siostrze. A więc tu leży... Wiem, przynajmniej, gdzie jest pochowana.

- To... ta kobieta... - wyszeptała Freja.

Milczałam zaskoczona. Nie mogłam wykrztusić z siebie ani słowa.

- Musieli pochować ją tutaj. W pobliżu miejsca, gdzie umarła - dodała Freja.

Podniosłam się z klęczek, a ona ciągnęła dalej:

- To właśnie miejsce chciałam ci pokazać... Myślałam, że cię to zainteresuje... interesuje cię, prawda? Lubisz słuchać o tym morderstwie. - Przyglądała mi się z troską. - Dobrze się czujesz, Anne?

- Tak. Bardzo dobrze.

- Wyglądasz trochę dziwnie.

- To... przez te drzewa, przez mrok. Ty też wydajesz się blada.

Staralam się zachowywać normalnie, ale wyobraźnia podsuwała mi obrazy, jak wynoszą ciało Francine z dworku i składają do grobu.

Kiedy wracałyśmy do domu, przyszła mi do głowy myśl, że skoro grób jest pielęgnowany, ktoś musi się nim zajmować. Ciekawe, kto to taki?

\* \* \*

Pragnęłam tam wrócić... sama. Wydawało się to jednak niemożliwe, bo nie mogłam oddalać się z zamku na tak długo. Poprosiłam więc panią Strelitz o pół dnia wolnego, wyjaśniając, że chcę odwiedzić przyjaciół.

- Ależ naturalnie, panno Ayres - zgodziła się pani Strelitz.  
- Nie może pani przecież czuć się tutaj jak w więzieniu.

Z Freją nie poszło tak łatwo. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie może pojechać ze mną.

- Moi przyjaciele mogliby poczuć się skrepowani - tłumaczyłam. - Nie przywykli do przyjmowania takich osobistości w swoim skromnym domku.

- Mnie by to nie przeszkadzało.

- Ale im tak.

Niechętnie, lecz w końcu ustąpiła. Miałam więc swoje wolne popołudnie. Pojechałam do Daisy. Ucieszyła się z mojej wizyty i powiedziała, że wie od Hansa o moich sukcesach na dworze.

Zwierzyłam się jej, że widziałam grób Francine.

Wyglądała na zaskoczoną.

- A najdziwniejsze - dodałam - że ktoś się nim opiekuje.

- Ciekawe, kto?

- Chyba ktoś, kto ją znał.

- Niekoniecznie. Ludzie tutaj opiekują się grobami. Okazują w ten sposób szacunek umarłym.

- Chcę pójść tam jeszcze raz.

- Teraz?

- Tak. Teraz mam okazję, która może się już nie powtórzyć.

- Niech panienka wstąpi jeszcze wracając - poprosiła. Czuli się rozczarowani, że nie zostają z nią dłużej, ale rozumiała, że bardzo pragnę zobaczyć ponownie grób.

Ruszyłam zwawo i wkrótce znalazłam się przy chacie Giseli. Bliźniaki bawiły się w ogrodzie, dostrzegły mnie i zaczęły przywoływać. Odwróciłam się i pomachałam im.

Podjechałam do dworku, zsiadłam z konia, i poszłam na tyły domostwa. Znalazłam grób, przeszłam przez furtkę zielonego ogrodzenia, uklękłam i rozmyślałam o Francine.

Żałowałam, że nie wzięłam kwiatów. Ale może nie byłoby to rozsądne? Ktoś mógłby mnie zauważyć i zdziwiłby się, dlaczego młoda Angielka odwiedza grób. Chyba w ogóle nie powinnam tu przyjeżdżać.

Wstałam. Czuliłam się, jakby ktoś mnie obserwował spoza drzew. Wydawało mi się, że słyszę szepty, ale to tylko sosny szumiały.

Pospiesznie wróciłam do konia i ruszyłam z powrotem. Kiedy przejeżdżałam obok chaty, Gisela stała w drzwiach. Trzymała na ręku małe dziecko.

Przywitała mnie.

- Co słyszać? Pani Schmidt mówiła, że dostała pani posadę w zamku.

- Tak. Jestem bardzo zadowolona. Hrabianka jest urocza.

- A uczennica z niej dobra?

- Bardzo dobra... jeśli chodzi o język angielski.

- Była pani przy dworku?

- Przejeżdżałam tamtędy... Zawahałam się, ale spytałam:

- Aaaa... co to jest, to zielone ogrodzenie za dworkiem?

Przez chwilę sprawiała wrażenie zdziwionej i zaskoczonej.

- Chyba ma panienka na myśli grób.
- Grób? Dziwne to miejsce na grób. Sprawia wrażenie, że ktoś go dogląda. Pewnie ktoś z przyjaciół...
- Weszła panienka tam zobaczyć?
- Zsiadłam z konia i przeszłam przez furtkę. Miejsce wygląda na zadbane; zastanawiałam się, kto się nim zajmuje.
- Ja czasami trochę sprzątam. Jest tak blisko dworku...
- Kto tam leży? Wie pani?
- Ta młoda kobieta, którą zamordowano - wyjaśniła z wahaniem.
- Dziwne, że ją tu pochowali. Dlaczego nie na cmentarzu?
- Podobno się spieszyli. Nie chcieli żadnych uroczystości. Ale nie wiem, tak się tylko domyślam.
- To było tak dawno.
- Tak, bardzo dawno.

Odjechałam zamyślona. Byłam rozczarowana. Miałam nadzieję, że odnajdę kogoś, kto opiekuje się jej grobem z potrzeby serca, kogoś, kto ją znał.

Wracając wstąpiłam, tak jak obiecałam, do Daisy. Rozmawiałyśmy głównie o moim życiu w zamku, które bardzo ją interesowało.

- Niczego się jeszcze panienka nie dowiedziała? Potrząsnęłam głową i opowiedziałam o moim spotkaniu z Gisłą, i że to ona sprząta grób mojej siostry.

- O tak. To na pewno ona utrzymuje grób w porządku. Ona wszystko sprząta. Jak każdy w tym kraju uwielbia porządek.

- Ale ten grób jest nie tylko posprząpany. On wygląda tak, jakby ktoś się o niego serdecznie troszczył.

Pożegnałam się z Daisy i wróciłam do zamku. Zbliżając się do bramy, spostrzegłam, że coś się wydarzyło. Jakiś jeździec minął mnie w wielkim pędzie.

Ledwie weszłam, pośpiesznie zbliżył się do mnie służący.

- Pani Strelitz prosi panią niezwłocznie do swojego pokoju.

Poszłam do niej, drżąc z lęku. Czekwała na mnie.

- Och, jak dobrze, że panią widzę, panno Ayres. Wielki Książę miał straszny atak.

- Czy...

- Nie, nie, ale stan jest bardzo poważny. Miewał już takie ataki. Ale gdyby umarł, baron Sigmund musi natychmiast przejąć obowiązki Wielkiego Księcia. Może być z tym kłopot. Przez tę okropną śmierć barona Rudolpha, prawowitego syna Wielkiego Księcia, któremu bez wątpienia należał się tron, sprawy bardzo się skomplikowały. Niektórzy uważają, że istnieje jeszcze jeden pretendent do tronu. Nazywa się Otto Bękart i twierdzi, że jest synem Wielkiego Księcia z nieprawego łoża. Naszym największym pragnieniem jest, by Wielki Książę wyzdrowiał... miejmy nadzieję, że nie umrze przed przyjazdem Sigmunda...

- A gdzież podziwia się ów nieuchwytny Sigmund? Tyle już o nim słyszałam.

- Jest za granicą. Podróżuje. Do jego obowiązków należy utrzymywanie kontaktów z głowami różnych państw. Rozesłaliśmy gońców. Musi natychmiast wrócić. Bo jeśli Wielki Książę umrze... Rozumie pani. Nie chcemy wojny.

- Stąd więc ten popłoch. Zauważyłam, że coś się stało, ledwo przekroczyłam bramę.

- Być może, będzie pani musiała wyjechać z hrabianką na pewien czas z zamku. Nie jesteśmy pewni, jak potoczą się wypadki. Chcę jednak, żeby pani była na to przygotowana. I módlmy się o zdrowie dla księcia.

Poszłam do Frei. Czekwała na mnie.

- Widzisz, co się dzieje, jak tylko opuścisz zamek? Wielki Książę od razu zachorował.

- Nie ma to nic wspólnego z moim wyjazdem. Zmrużyła oczy i wpatrywała się we mnie.

- A ja myślę, że tak, nie ustępowała.

- Skończ z tymi głupstwami - przerwałam. - Wiesz przecież, jak poważna jest sytuacja.

- Wiem, Anne, Wielki Książę pewnie umrze. A ja myślę tylko o tym, że wtedy Sigmund wróci do domu.

\* \* \*

Pani Strelitz przysłała po mnie następnego dnia. Powiedziała mi na wstępie, że książę czuje się lepiej, jest więc nadzieja, że wróci do zdrowia.

Ministrowie obradowali przez całą noc, dodała. Niecierpliwie oczekują przyjazdu następcy tronu i uważają, że dopóki nie nadjedzie, hrabianka Freja powinna przebywać poza zamkiem. Postanowiliśmy więc, że powinna wyjechać - z panią i panną Kratz oraz kilkorgiem służących.

- Rozumiem. Kiedy wyruszamy?

- Jutro. Ministrowie Wielkiego Księcia uważają, że im szybciej tym lepiej... Hrabianka nie powinna jednak zanadto się oddalić. Margrabia z Kollenitz mógłby powziąć jakieś podejrzenia, gdybyśmy wysłali ją poza granicę stolicy. Postanowiliśmy, że przeniesie się do zamku po drugiej stronie rzeki. Graf von Bindorf zaofiarował jej gościnę aż do chwili, gdy sytuacja się wyjaśni.

Pokój zatańczył mi przed oczyma. Miałam zamieszkać na zamku grafa von Bindorf. Niektórzy członkowie jego rodziny widzieli mnie przecież w Anglii, nie wyłączając hrabiny i jej córki, Tatiany. Czy mnie rozpoznają?

\* \* \*

Pakowałam rzeczy, gdy weszła Freja. Usiadła na łóżku. Trzymałam w ręce okulary, które dostałam od panny Elton i zastanawiałam się, czy powinnam je nosić w zamku barona von Bindorf.

- Co tam masz? - spytała Freja. - O, okulary! Nie używasz ich, prawda?

- Czasami...

- Masz słaby wzrok? Och, biedna Anne. Wszystko przez to czytanie! Męczą ci się oczy? Boli cię głowa?

- Powinnam chyba częściej nosić okulary.

- Włóż, zobaczę, jak wyglądasz. Roześmiała się.

- Jesteś w nich zupełnie inna. Wyglądasz niezmiernie surowo. Jak prawdziwa guwernantka. Aż się boję.

- Wobec tego będę nosiła je częściej!

- Ładniej ci bez okularów.

- Są rzeczy ważniejsze od urody.

- A ja myślę, że chcesz je nosić z jakiegoś innego powodu. Zaniepokoiłam się. Ona czasami umiała czytać w moich myślach. Spoglądała na mnie z szelmowskim wyrazem twarzy.

- Jakiego na przykład? - spytałam ostro.

- A jaki mógłby być powód? Po prostu chcesz, żebym się ciebie bała.

Roześmiałam się z ulgą.

Kiedy przygotowywałyśmy się do przenosin, przypominały mi się różne sceny sprzed lat. Czy hrabina mogła mnie zapamiętać? Bardzo się od tamtego czasu zmieniłam. A hrabina widziała mnie przecież tylko raz i niewątpliwie bardziej interesowała ją wówczas Francine niż ja.

Następnego dnia pojechałyśmy powozem do zamku po drugiej stronie rzeki. Na ulicach stały grupki ludzi. Pod zamkiem zebrał się spory tłum. Zgromadzeni czytali wywieszony na bramie komunikat o stanie zdrowia Wielkiego Księcia. Obserwowałam twarze, gdy jechałyśmy przez miasto. Ludzie wznosili okrzyki na cześć hrabianki, a ona

przyjmowała te hołdy z wdziękiem i powściągliwością. „Będzie dobrą władczynią”, stwierdziłam w duchu.

Przejechałyśmy przez mostek na drugą stronę rzeki. Znajdę się bliżej Daisy i pod jednym dachem z Hansem, rozmyślałam.

Wjechałyśmy przez bramę na dziedziniec, gdzie graf i jego żona czekali, by powitać hrabiankę. Obok stali młody mężczyzna i młoda kobieta. Kobieta wydawała mi się znajoma, tak, to Tatiana. Znów poczułam strach. Musiałam się starać, by mnie nie rozpoznały, nie tylko hrabina, ale także jej córka. Uświadomiłam sobie, że to Tatiana najbardziej się mną interesowała, jako swoją rówieśnicą. Należało jednak włożyć okulary.

Freja podtrzymywana przez lokaja wysiadła z powozu, podeszła do grafa i jego żony, którzy skłonili się jej, a potem ją uściskali.

Panna Kratz wysiadła i stanęła z boku. Ja za nią z pochyloną głową. Zerkałam, jak Tatiana wita się z Freją. Młody mężczyzna strzelił obcasami i głęboko się skłonił. Freja uśmiechała się z wdziękiem, hrabina podała jej rękę i poprowadziła do zamku.

Zmieszałam się z tłumkiem ludzi, których uznałam za niezbyt ważne osobistości. W pewnej chwili spostrzegłam Hansa. Podeszedł do mnie, sądziłam, że mnie szukał.

- Zaprowadzę panienkę do apartamentów przeznaczonych dla panny Kratz i dla panienki - rzekł. - Znajdują się obok apartamentów hrabianki.

Uśmiechnęłam się z zadowoleniem i wraz z panną Kratz podążyłyśmy za Hansem. Najpierw wąskim korytarzem, potem kamiennymi spiralnymi schodami do góry.

- Można tu wchodzić także głównymi schodami - powiedział Hans. Pokazał nam apartament. Pokój panny Kratz i mój sąsiadowały ze sobą. Przylegała do nich sala, mająca



służyć za pokój lekcyjny, za nią znajdowały się pomieszczenia przeznaczone dla hrabianki.

Panna Kratz, zdenerwowana, stwierdziła, że chce się od razu rozpakować, i poszła do siebie, zostawiając nas samych. Spojrzałam na Hansa pytająco.

- Nie rozpoznają panienki - uspokoił mnie. - Wygląda panienka zupełnie inaczej niż kiedyś. Poza tym oni nie zwracają uwagi na nikogo, kto nie jest margrabią lub księciem. Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję, Hans, że jeśli się to wyda, nie będziesz miał z tego powodu kłopotów.

- Ja o niczym nie wiem. A Daisy już coś wymyśli. Spokojna głowa!

Próbował mnie pocieszać, puszczając do mnie oko jak Daisy. Wyglądało to tak zabawnie, że się uśmiechnęłam.

- Nie zostaniecie tu długo - dodał. - Jak tylko Wielki Książę wyzdrowieje, wróćcie. A wyzdrowieje z pewnością.

Już w swoim pokoju usłyszałam, że przyprowadzono Freję do jej apartamentów. Dobiegł mnie wysoki głos hrabianki.

- Hrabino, musi pani poznać moją przyjaciółkę, pannę Ayres - mówiła. - Jest Angielką i uczy mnie angielskiego... robi to dla przyjemności.

Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Włożyłam okulary i udawałam, że wyglądam przez okno, gdy weszły. Ustawiłam się tyłem do światła. Towarzyszyli im: Tatiana i młody mężczyzna.

- Panno Ayres - zaczęła Freja - chcę panią przedstawić hrabinie von Bindorf, hrabiemu Guntherowi i hrabiance Tatianie.

Skłoniłam się nisko.

Przez chwilę hrabina mierzyła mnie wzrokiem, Tatiana zaś - wyrosła, jak się zdaje na wyniosłą osobkę - nie zamierzała obdarzyć jakiejś angielskiej nauczycielki niczym

więcej poza przelotnym spojrzeniem. Inaczej zachował się Gunther.

- Witamy - rzekł. - Mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuła.

- Och, z pewnością - wpadła mu w słowa Freja. - Panna Ayres i ja jesteśmy zawsze zadowolone. Uwielbiamy tę naszą angielską paplaninę, prawda?

Starając się sprawiać wrażenie prawdziwej guwernantki, powiedziałam:

- Hrabianka robi wielkie postępy.

Hrabina odwróciła się, położyła rękę na ramieniu Frei i rzekła:

- Chodźmy, mamy tyle rzeczy do omówienia.

Gdy wychodzili, Tatiana raz jeszcze obrzuciła mnie spojrzeniem.

Spuściłam wzrok.

Nie rozpoznała mnie. Byłam tego pewna.

Przez parę następnych dni rzadziej widywałam Freję. Ubolewała nad tym. Twierdziła, że jest rozrywana. Hrabina starała się ją podejmować z wszelkimi honorami.

Wciąż mi się przy pochlebia - mówiła Freja. Nie lubi mnie ani trochę, a udaje, że mnie uwielbia. Tylko Gunther jest miły. Inny niż cała reszta i chyba naprawdę zadowolony, że tu jestem. Szkoda, że nie możemy już wracać.

Komunikaty dotyczące Wielkiego Księcia stawały się coraz pomyślniejsze, wszystko wskazywało na to, że rychło wróci do zdrowia.

Trzeciego dnia Freja wpadła do mojego pokoju.

- Dzień dobry, Anne - zawołała. - Tak rzadko się widzimy. Nie podoba mi się to. Chciałabym już stąd wyjechać. Wiesz przecież, prawda? Posłuchaj, co ci powiem!

- Słucham.

- Jutro wraca Sigmund.

- W samą porę.
- Został powiadomiony, że musi wracać. Najpierw zobaczy się z Wielkim Księciem, a potem przyjedzie tutaj. - Hrabina chciałaby go powitać z wielką pompą, ale nie bardzo wypada z powodu choroby Wielkiego Księcia.
- Będzie zatem przyjęcie w najbliższym gronie.
- Nie, na pewno coś więcej. Hrabina planuje bal, taki mały.
- Mały? A co to znaczy mały?
- To znaczy nie jakiś wielki, z mnóstwem ludzi, przepychem, zamieszaniem. Ale chociaż mały, jednak bal. Ty też idziesz na bal, Anne.
- Ja?!
- Zmusiłam ich. Nie twierdzę, że mi to łatwo przyszło. Hrabina oponowała: „Guwernantka!?” - skrzywiła się. Wyjaśniłam, że nie jesteś zwykłą guwernantką. Wychowałaś się w arystokratycznym domu, jak my, a to zajęcie traktujesz jako urozmaicenie swojej podróży po świecie. Dodałam, że możesz opuścić nas w każdej chwili, i że nie wybaczyłabym nikomu, kto by potraktował cię jak służącą. Tatiana również nie była zachwycona. Jeden Gunther uważał, że powinnaś przyjść. „A co to przeszkadza, mamó? Zaprośmy tę angielską damę. I tak wchłonie ją tłum zaproszonych gości”, powiedział. Jak ci się podoba perspektywa wchłonięcia przez tłum gości?
- Zaraz, zaraz. Czy naprawdę sądzisz, że jestem zaproszona?
- Tak, Kopciuszk. Ja będę twoją chrzestną - wróżką. Machnę czarodziejską różdżką i...
- Niemożliwe. Nie mam stosownej sukni.
- Czyż nie to samo powiedział Kopciuszek? Załatwimy to z madame Chabris. Ona jest nadworną krawcową, pochodzi z Paryża i najpiękniejsze suknie wychodzą z jej pracowni. Szyje również dla mnie.

- Nie mamy dość czasu.
  - Dziś rano jedziemy do madame Chabris i idę o zakład...
  - Nie, nie. Jeśli hrabina w sposób jawny nie aprobuje mojej obecności na balu, raczej nie powinnam pójść...
  - Owszem, pójdziesz na ten bal. Żeby sprawić mi przyjemność. Chcę, żebyś poszła. Jestem przyszłą Wielką Księżną i jeśli nie chcesz mnie obrazić, to przyjdiesz.
  - Zapominasz, że nie jestem twoją poddaną. Mogę mieszkać tu albo jeśli zechcę wrócić do domu.
  - Och, Anne, najdroższa, nie zawiedziesz mnie. Tyle się namęczyłam, żeby wyrazili zgodę, a poza tym... naprawdę się boję. Mam spotkać Sigmunda... muszę czuć, że jesteś w pobliżu.
  - Głupstwa - przerwałam - przecież znasz Sigmunda.
  - Tak, ale potrzebuję twego wsparcia. Musisz przyjść. Obiecuj, że przyjdiesz, obiecuj...
- Wahałam się, ale czułam rosnące podniecenie. Bardzo powoli posuwałam się ostatnio ze swoimi odkryciami. Kto wie, czego mogłabym się dowiedzieć w tłumie ludzi, którzy z całą pewnością znali Rudolpha.
- Bierz płaszcz - popędzała. - Powóz czeka. Jedziemy do pracowni madame Chabris.

\* \* \*

Zobaczyć siebie ubraną przez madame Chabris to prawdziwa rozkosz! Salon był przepiękny. Zostałyśmy przyjęte bardzo ciepło. Witaa nas sama madame, nadzwyczaj elegancka.

Miała oczywiście gotową suknię, dokładnie taką, jakiej Freja potrzebowała. Przyznała, że czasami projektuje stroje dla osób, które ją zachwycają, nic więc dziwnego, że akurat ma coś stosownego dla hrabianki Frei. Co do mnie, stwierdziła, że mam dobrą figurę i naturalnie znalazła i dla mnie znakomicie pasującą sukienkę.

Freja włożyła suknię i kręciła piruety, oglądając swe odbicie w otaczających ją ze wszystkich stron lustrach.

- Przepiękna - wołała. - Och, pani jest cudowna, madame Chabris.

Potem przyszła moja kolej. Suknia była ciemnoniebieska ze złotą żyłką.

- Nazywam ją lapis - lazuli - powiedziała madame Chabris. - Jest piękna... lecz dość droga.

- Panna Ayres jest zamożną osobą - pośpieszyła z wyjaśnieniem Freja.

- Wobec tego uzna z pewnością sprawę ceny za drugorzędną, biorąc pod uwagę, jak kolor sukni współgra z jej karnacją.

Przymierzyłam suknię. Madame Chabris miała rację. Była to wymarzona suknia dla mnie.

- Poprawki będą naprawdę niewielkie - powiedziała madame Chabris. Moje dziewczęta uporają się z nimi w ciągu dwóch godzin.

- Weźmiemy tę suknię dla panny Ayres - zdecydowała Freja. Madame Chabris, proszę przysłać suknię jutro wczesnym rankiem, żeby panna Ayres mogła upewnić się, że leży bez zarzutu.

- Oczywiście.

Freja śmiała się przez całą drogę powrotną do zamku.

- Ach, Anne, naprawdę lubię przebywać z tobą. Możemy się śmiać i śmiać, prawda?

\* \* \*

Miałam więc iść na bal. Wielce tym przejęta, instynktownie wyczuwałam, że narażam się na niebezpieczeństwo, ale nie bałam się. Wiedziałam, że muszę to zrobić, jeśli zależy mi na tym, by się czegoś dowiedzieć.

Przysłano suknię. Panna Kratz, widząc, jak ją mierzę, zastygła w niemym zdziwieniu.

- Hrabianka nalegała - wyjaśniłam.  
- I hrabina się zgodziła? Przytaknęłam.  
- Hrabianka jest niesforna.  
- Jest urocza. Ma silny charakter i będzie bardzo dobrą księżną.

- Lepiej, żeby... postępowała z powszechnie przyjętymi zasadami.

- Och, nie. Ona jest indywidualistką. To o wiele ciekawsze niż naśladowanie tłumu.

- Z jej pozycją często lepiej jest naśladować tłum - odparła panna Kratz. - A pani, panno Ayres, nie jest pani przerażona?

- Przerażona? Dlaczego miałabym być przerażona?

- Ja byłabym przerażona. Ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić, to uczestniczyć w którymś z ich bali.

- A ja się cieszę - odparłam zdecydowanie.

Panna Kratz odwróciła się, wzruszając ramionami.

Przez resztę dnia byłam bardzo przejęta. Nigdy przedtem nie zaproszono mnie na bal. W Kamiennym Dworze dziadek wydawał jedynie przyjęcia.

Freja poinformowała mnie, jaki będzie przebieg uroczystego wieczoru. Kiedy Sigmund przyjedzie, powitają go Freja, graf i jego żona, Tatiana i Gunther, po czym wszyscy razem przejdą do holu, do oczekujących tam gości. Goście utworzą szpaler.

- Obawiam się, że ty znajdziesz się na samym końcu, Anne.

- Ależ to zrozumiałe - powiedziałam.

- Sigmund poda mi ramię i przejdziemy między rzędami. Sigmund zamieni parę słów ze znaczniejszymi gośćmi. Z tobą oczywiście nie, Anne.

- Naturalnie.

- Ukłonisz się, kiedy będziemy przechodzili.

- Myślę, że jakoś sobie poradzę.

- To wszystko. Potem będziemy tańczyć, ale raczej spokojnie i z rezerwą, po tańcach zjemy wystawną kolację i wszystko zakończy się o północy z uwagi na stan zdrowia Wielkiego Księcia.

Ubrałam się więc w najpiękniejszą i najbardziej twarzową suknię, jaką kiedykolwiek miałam. Usiłowałam poradzić sobie z włosami, gdy weszła Freja z niską, ciemną kobietą, która niosła grzebienie i spinki do włosów.

- Oto fryzjerka hrabiny - obwieściła hrabianka. - Właśnie mnie uczesała. Czyż nie po mistrzowsku? Teraz uczesze ciebie.

- Och, ale ja...

- Trzeba, trzeba uczesać te twoje włosy. I chcę, żeby to zrobiła fryzjerka hrabiny.

- Bardzo hrabianka dla mnie łaskawa - podziękowałam. Freja skrzywiła się lekko, wzruszały mnie te oznaki bezinteresowności. Była naprawdę wspaniałą dziewczyną.

W pięknej fryzurze poszłam na bal. Drżąc z przejęcia, stanęłam w grupie gości w końcu holu.

Freja nie pojawiła się jeszcze. Razem z grafem, hrabiną, Tatianą i Guntherem oczekiwała na Sigmunda. Z odgłosów dochodzących z zewnątrz zorientowaliśmy się, że właśnie przybył. Ludzie utworzyli szpaler i przy dźwiękach trąb wkroczyła grupa mężczyzn w niebieskich mundurach, w hełmach z pióropuszcami, ze szpadami u boku. Między nimi kroczył mężczyzna nieco wyższy od pozostałych. Nie widziałam go dobrze, ponieważ zasłaniał mi widok stojący rzędem ludzie.

Cała grupa posuwała się powoli w naszym kierunku. Nagle zastygłam w bezruchu. Chyba śnię, pomyślałam. To nie może dziać się naprawdę.

Stał przede mną Konrad... mój kochanek. Konrad, którego nie mogłam wyrzucić z pamięci, choć próbowałam się oszukiwać, wmawiając sobie, że go już zapomniałam.

- To panna Ayres, która tak wspaniale uczy mnie angielskiego - usłyszałam głos Frei.

Freja promieniała... dumna ze mnie, dumna z niego. Skłoniłam się głęboko, tak jak to czynili inni.

- Panna Ayres... - wymamrotał. Jego osłupienie było nawet większe niż moje.

- Pani jest Angielką, prawda? - Ujął moją dłoń. Drżałam. Nie odrywał ode mnie wzroku. - I znakomitą nauczycielką.

Poszedł dalej. Zrobiło mi się słabo. Ledwie słyszałam, co mówił do następnej osoby w rzędzie.

Chciałam uciec.

Dostojna grupa doszła do końca szpaleru, po czym Sigmund wziął Freję pod ramię i poprowadził ją na środek sali, by rozpocząć tańce. Ktoś stanął obok mnie. To Gunther.

- Pan hrabia... - wybąkałam.

- Freja prosiła, żebym strzegł pani.

- To kochana dziewczyna... Ale może nie powinnam mówić w ten sposób o przyszłej Wielkiej Księżnej.

- Nie, nie. Ma pani rację. Freja też wyraża się o pani w superlatywach. Czy zechciałaby pani ze mną zatańczyć?

- Nie znam tutejszych tańców, ale... z przyjemnością.

- To łatwy taniec. Parę kroków i obrót.

- Czy hrabianka poleciła panu, by ze mną zatańczył?

Przytaknął.

- Skoro tak, trzeba wypełnić zobowiązanie.

- To nie zobowiązanie - zaprzeczył z czarującym uśmiechem - to wyłącznie przyjemność.

- Po tańcu udam się do siebie. Bardzo miło ze strony hrabianki... nalegała, bym przyszła, lecz naprawdę czuję, że nie powinnam dłużej zostać.



Poszliśmy na środek sali i zaczęliśmy tańczyć.

- Wspaniale pani tańczy - zaczął hrabia. - Proszę spojrzeć na Freję. Będzie czarującą księżną, nie sądzi pani?

- Oczywiście. Kiedy uroczystość zaślubin?

- Nie wcześniej niż za rok... jeśli księżę wyzdrowieje... Taką mamy przynajmniej nadzieję.

Zauważyłam, że bardzo mu się podoba moja mała Wielka Księżna.

Zastanawiałam się, co czuje do niej Konrad.

Dlaczego przedstawił się nieprawdziwym imieniem? Postanowił nie zdradzać, kim jest. Czuję się nieswojo i było mi bardzo przykro.

Chciałam jak najprędzej opuścić salę balową. Nie mogłam znieść jego widoku, nie mogłam mu nawet spojrzeć w twarz.

W końcu nadarzyła się okazja, wymknęłam się. Widziałam, że rozmawiając i śmiejąc się rozgląda się za mną.

Ogarnęła mnie rozpacz. Jakaż byłam niemądra, by zakochać się w pierwszym mężczyźnie, który stanął na mojej drodze! Należało wykazać więcej rozsądku. Jak łatwo dałam się złapać w sidła, które na mnie zastawił. Ale co łatwo przychodzi, niewiele jest warte.

Ale cóż to za wspaniały mężczyzna! Niby mityczny heros! Porównywałam go, pamiętam, z Sigurdem. Człowiekiem Północy. Przywódcą Wikingów. Teraz w mundurze jeszcze bardziej przypominał tę mityczną postać. Wyróżniał się spośród wszystkich ludzi.

Nie powinnam była tutaj przyjeżdżać. Zrobiłam głupstwo. Co mam teraz począć? Muszę wyjechać, to oczywiste. Muszę wrócić do Anglii. Mogę zamieszkać z ciotką Grace i żyć tam spokojnie i bez wstrząsów. To jedyny sposób, by nie dać się zranić jeszcze bardziej.

Usiadłam przy otwartym oknie. Widziałam światła i most na rzece. Pokochałam już to miejsce, pokochałam Freję. Nigdy jej nie zapomnę.

A on? Czy jego potrafię zapomnieć? Nie wolno mi o nim myśleć. Muszę zapomnieć. Ale wiedziałam, że to ponad moje siły. Konrad kłamca, Sigmund - następca tronu niespokojnego księstwa, narzeczony mojej małej Frei.

Pobiorą się, gdy nadejdzie czas. To nieodwołalne. Już są ze sobą związani. To właśnie miał na myśli, mówiąc, że nie może się ożenić.

Usłyszałam kroki na korytarzu. Ktoś zatrzymał się przy drzwiach, gałka klamki obróciła się powoli. Stał, patrząc na mnie.

- Pippa! - rzekł. - Pippa!

Wbiłam wzrok w ziemię.

- Jestem Anne Ayres - powiedziałam.

- Co to ma znaczyć?

- Co pan robi w moim pokoju... jak mam pana nazywać, baronie?

- Konrad.

- A co z wielkim baronem Sigmundem?

- To oficjalna forma. Jestem Sigmund Konrad Wilhelm Otto. Dużo, prawda? Imiona nie są ważne, Pippo. Mów, co tutaj robisz?

Podszedł i wziął mnie za rękę. Przyciągnął do siebie, przytulił. Czułam, jak mój opór słabnie. Potrafiłam tylko powtarzać:

- Idź... Idź stąd... To nie miejsce dla ciebie. Trzymał w dłoniach moją twarz i zaglądał mi w oczy.

- Szukałem cię - rzekł. - Byłem w Anglii. Wróciłem po ciebie. Żeby cię zabrać. Nawet siłą, gdybyś stawiała opór. Nie znalazłem cię... Zrozpaczony, przyjechałem tutaj... i jesteś,

jesteś... Przyjechałaś mnie odnaleźć, tak? Ja szukałem ciebie, a ty mnie?

- Nie... nie przyjechałam tu, by cię szukać.

- Kłamiesz. Przyjechałaś dla mnie, jesteśmy razem i nigdy już się nie rozstaniemy.

- Mylisz się. Nigdy więcej się nie zobaczymy. Wracam do Anglii. Wiem teraz, kim jesteś, wiem, że jesteś zaręczony z hrabianką Freją i że zaręczyny te są równoznaczne ze ślubem. Nie możesz tego zmienić. Rozumiem teraz wasze problemy. Kollenitz - bufor. Potrzebujecie pomocy Kollenitz i musisz ożenić się z Freją, wiem, że nie masz prawa zrezygnować z tego małżeństwa... zrozumiesz więc chyba, że muszę wracać do domu.

- Tu będzie teraz twój dom. Posłuchaj, Pippo. Jesteś tutaj. Jesteśmy razem i nigdy się nie rozstaniemy. Znajdę takie miejsce, które stanie się naszym domem.

- Jest wolny dworek w pobliskim lesie - rzekłam z goryczą.

- Nie mówmy o tym. Kocham cię, Pippo. I nic nie może tego zmienić. Kiedy wyjechałem, zrozumiałem, jak bardzo cię kocham. Nie powinienem był odjeżdżać, gdy nie przyszłaś na stację. Powinienem był wrócić i namówić cię do wyjazdu. Ale przyjechałaś do mnie. Dobrze, że pod innym nazwiskiem... lepiej, żeby nikt nie wiedział, że jesteś siostrą Francine. Przyjechałaś. Moja kochana, mądra Pippa. Teraz już nic nas nie rozdzieli... bez względu na wszystko.

- Zaskakujesz mnie.

- Ty mnie też, najdroższa.

Całował mnie namiętnie. Myślami byłam w Folwarku, w pokoju oświetlonym blaskiem ognia płonącego na kominku. Żałowałam, że nie jesteśmy tam teraz. Żałowałam, że nie mogę zapomnieć o Frei. Tak bardzo go pragnęłam.

- Co za cudowna niespodzianka - powtarzał. - Jesteś... moja, Pippo. Już nigdy, nigdy mnie nie opuścisz.

Wiedziałałam, jak silna jest jego namiętność i że jestem gotowa ją przyjąć. Kochałam go. Czułam, że ulegnę jak poprzednim razem. Ogarnął mnie lęk, bo teraz, tutaj... Próbowałam myśleć o Frei. Jeśli wejdzie i go zobaczy... jeśli zobaczy mnie w ramionach swego przyszłego męża?

Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Odsunęłam się i powiedziałam, jak mogłam najchłodniej:

- Będą się niepokoić w sali balowej.

- Nie dbam o to.

- Doprawdy? Przyszły władca... Naturalnie, że dbasz. Twoim obowiązkiem jest dbać o to. Musisz wracać i nie spotykajmy się więcej.

- Proponujesz rzecz niemożliwą.

- Jaki będzie pożytek z naszych spotkań?

- Mam pewne plany.

- Domyślam się, czego dotyczą.

- Pippa, jeśli teraz wyjdę, obiecasz mi coś?

- Co takiego?

- Spotkajmy się jutro. W lesie na przykład? Proszę, Pippo. Musze z tobą porozmawiać. Gdzie? Powiedz, gdzie?

- Znam tylko jedno miejsce w lesie.

- To spotkajmy się właśnie tam.

- Dworek myśliwski - rzuciłam.

- Dobrze.

- Niewiele mamy sobie do powiedzenia. Zostałam oszukana. Może to moja wina. Zbyt mało pytałam. Miałam cię za zarządcę... służącego grafa... a ty nie spieszyłeś z wyjaśnieniami. Wiedziałeś, że nie mam pojęcia, kim jesteś.

- To chyba bez znaczenia. Roześmiałam się gorzko.

- Po prostu zabawiałeś się moim kosztem podczas krótkiego pobytu w Anglii. Świetnie to rozumiem.

- Nie rozumiesz, niczego nie rozumiesz.

- Muzyka ucichła - przerwałam mu. - Zauważają nieobecność najważniejszego gościa. Idź już.

Chwycił moje ręce i całował je namiętnie.

- Jutro... przy dworku. O dziesiątej.

- Nie mogę obiecać. Niełatwo mi opuszczać zamek. Pamiętaj, że jestem tu zatrudniona.

- Hrabianka powiedziała, że robisz to dla przyjemności i że musi ci dogadzać, żebyś nie odeszła.

- Hrabianka przesadza. Może nie uda mi się przyjść.

- Przyjdiesz... A ja będę czekał.

Znowu się odsunęłam, ale chwycił mnie i całował moje usta i szyję. Tak jak wtedy.

Poszedł. Odwróciłam się do okna i patrzyłam na miasto.

Trwałam tak, nie zwracając uwagi na mijający czas. Raz jeszcze przeżywałam tamte godziny w Folwarku. Nagle usłyszałam głos zegara bijącego północ. Koniec balu. Goście tłumnie opuszczali zamek.

Muszę zmienić plany, myślałam. Ale czułam że gdzieś blisko mieszka chłopczyk, który jest synem mojej siostry. Nie zaznam spokoju, póki nie dowiem się, co się z nim dzieje.

Wciąż siedziałam przy oknie w swojej niebieskiej sukni, kiedy wpadła Freja. Policzki jej pałały, oczy błyszczały, wyglądała przepięknie.

- Anne! Uciekłaś! Szukałam cię. Posłałam na poszukiwania Gunthera. Nie mogliśmy cię znaleźć.

Zadrżałam.

- Po prostu... wyszłam.

- Czy coś się stało? Wyglądasz... - zmierzyła mnie wzrokiem.

- Jak wyglądam? O co ci chodzi? - rzuciłam szybko, zbyt szybko.

- Dziwnie... jakaś taka podniecona... spotkałaś królewicza z bajki?

- Doprawdy, Frejo... - skarciłam ją surowo.

Patrzyła na moje stopy - mimo wszystko nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Zapewniam cię, że wróciłam mając oba pantofelki na nogach.

- Co sądzisz o Sigmundzie? Mam nadzieję, że ci się podoba. Podoba ci się? Powiedz.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie.

- Ja się trochę boję - wyznała Freja. - On jest taki atrakcyjny, taki... światowy. Czy tak się mówi?

- Można i tak to określić.

- Myślę, że miał mnóstwo kochanek. Jak wszyscy w tej rodzinie...

- Frejo - spytałam poważnie - czy chcesz wyjść za tego człowieka?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym stwierdziła:

- Chcę być Wielką Księżną. Uznałam, że pora iść spać.

- Dobranoc, Anne, moja kochana. Nawet gdy wyjdę za mąż, nie pozwolę ci odejść. Zostaniesz, by mnie pocieszać, kiedy Sigmund zacznie mnie zdradzać z kochankami.

- Jeśli jesteś pewna, że nie będzie ci wierny, nie powinnaś za niego wychodzić.

Skoczyła na równe nogi i zasalutowała kpiarskim gestem.

- Bruxenstein! Ku chwale Kollenitz! Dobranoc, Anne. Podniecające to wszystko, prawda?

Przyznałam jej rację.

Wstałam wcześniej rano. Zajrzałam do Frei, spała w najlepsze. Ucieszyłam się. Pomyślałam, że uda mi się wymknąć. Wypiłam kawę, po czym poszłam do stajni i osiodłałam konia.

Po półgodzinie znalazłam się przy dworku. Czekał już na mnie, zniecierpliwiony. Przywiązał konia i pomógł mi zsiąść. Zsunęłam się w jego wyciągnięte ramiona, chwycił mnie i całował.

- To nie ma sensu - wzbraniałam się.

- Nieprawda. Chodźmy. Mam ci tyle do powiedzenia. Ogarnął mnie ramieniem i poszliśmy w las.

- Myślałem o nas przez całą noc - zaczął. - Jesteś tu i powinnaś zostać. Ja muszę wypełnić obowiązek wobec kraju i rodziny, ale zarazem jestem zdecydowany bronić własnego, osobistego życia. Z pewnością podołam jednemu i drugiemu.

- Tak jak Rudolph?

- Mógł żyć bardzo szczęśliwie z twoją siostrą. Ale był nieostrożny. Zabito go, bo niektórzy uważali, że nie powinien rządzić. To morderstwo czysto politycznej natury.

- Podobny los może spotkać ciebie - zauważyłam drżącym głosem.

- Nikt z nas nie wie, co go czeka. Ale Rudolph nie bardzo podobał się jako sukcesor. Był za słaby, zanadto oddawał się przyjemnościom. Niektóre grupy polityczne wyraźnie go odrzucały.

- A ty?

- Mnie to nie obchodziło. Ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem, to być tym, kim się stałem.

- Mogłeś przecież odmówić.

- Nie ma nikogo innego na to miejsce. W kraju zapanowałby chaos, wkroczyliby wrogowie. Krajem musi ktoś rządzić. Mój stryj jest silnym władcą. Póki żyje, czujemy się bezpieczni. Muszę zapewnić to samo mojemu krajowi.

- A potrafisz?

- Wiem, że potrafię... jeśli nasi sprzymierzeńcy udzielą nam poparcia.

- Tacy jak Kollenitz? Przytaknął.

- Zostałem zaręczony dziecku, Frei. Gdy skończy szesnaście lat, odbędzie się uroczystość zaślubin. Następnie powinniśmy spłodzić dziedzica. To obowiązek, którego muszę dopełnić. To są sprawy publiczne. Ale istnieją też sprawy prywatne...

- Które wiązesz z moją osobą.

- Życie prywatne pragnę dzielić z tobą. Człowiek nie może pozostawać marionetką przez całe życie. Nie. Żałuję, że nie mogę rzucić tego wszystkiego i osiąść z tobą gdzieś w zaciszu. Ale co by się stało, gdybym tak postąpił? Chaos. Wojna. Czym by się to skończyło?

- Musisz wypełnić swoje obowiązki. - Ty i ja...

- Ja wracam do Anglii. Nie potrafię żyć życiem, które mi proponujesz.

- Dlaczego?

- Bo to się nie uda. Takie życie stałoby się zbyt uciążliwe.

- Uciążliwe w najcudowniejszy ze wszystkich sposób.

- A jednak uciążliwe. Czasami przychodzi mi na myśl, że związek z moją siostrą mógł stać się przyczyną śmierci Rudolpha. Ja również mogłabym stać się przyczyną twojej śmierci.

- Jestem gotów podjąć to ryzyko.

- A dzieci? Co z dziećmi?

- Dostaną wszystko, czego będą potrzebowały.

- Moja siostra miała dziecko. Ciekawa jestem, gdzie ono jest teraz. Pomyśl tylko. Mały chłopczyk. Dokąd poszedł, gdy zamordowano mu mamę i tatę? Mamy być ze sobą i mieć dzieci. W tajemnicy, jak sądzę. A Freja? Jaki miałyby udział w tym wszystkim?

- Freja zrozumie. Zdaje sobie sprawę, że to małżeństwo dla dobra obu państw. Zrozumie.



- Znam ją bardzo dobrze. Wątpię, czy zrozumie... i na dodatek ja miałabym być tą... to nie do zniesienia. Muszę wyjechać jak najszybciej.

- Nie - zawołał. - Nie. Obiecuj mi: nie uciekniesz i nie ukryjesz się. Cokolwiek postanowisz, powiesz mi o tym.

Zatrzymał się i położył mi ręce na ramionach.

- Oczywiście, powiem ci, kiedy postanowię wyjechać.

- Co czułaś, kiedy mnie zobaczyłaś?

- Myślałam, że śnię.

- Wiedziałem, że cię w końcu odnajdę. Poszedłem do kamieniarza. Pamiętałem, że się przyjaźniliście. Ale już go tam nie zastałem. Pastora także. Ktoś inny sprawował obowiązki pod jego nieobecność. Poinformował mnie, że twoja ciotka i jej mąż wyprowadzili się, ale nie wiedział, dokąd. W Kamiennym Dworze nie zastałem nikogo poza służbą.

- Kuzyn Artur był tam na pewno.

- Podobno wyjechał w podróż poślubną.

- W podróż poślubną! Niemożliwe!

- Tak mi powiedziano. Słyszałem też o śmierci twojego dziadka.

- Co słyszałeś?

- Że umarł podczas pożaru.

- Słyszałeś coś na temat... mojego związku z tą sprawą? Zmarszczył brwi.

- Jakieś insynuacje, ale nie rozumiałem, o co chodziło. Niejasne aluzje. Słyszałem w gospodzie. Moja biedna Pippa! - Tulił mnie. - Teraz ja będę się tobą opiekował. Wahałem się wtedy na stacji... Chciałem wracać po ciebie, ale pomyślałem: „Co mam zrobić, skoro ona nie chce?”

- Chciałam przyjść. Bardzo chciałam.

- Gdybyś wtedy przyszła...

- Dokąd byś mnie zabrał? Do dworku myśliwskiego?

Czasem wydaje mi się, że powielam życie Francine. Byłyśmy zawsze razem, niczym jedna osoba... póki nie zakochała się tak nierozważnie. A teraz ja, zdaje się, robię to samo...

- To najrozsądniejsza rzecz, jaką możesz zrobić - kochać mnie.

Potrząsnęłam głową.

- Żałuję, że nie jesteś zwyczajnym człowiekiem, chociażby zarządcą, za jakiego się podałeś.

- Pokonamy wszelkie przeszkody. Pokażę ci miejsce dla nas. Nasz dom. Chcę ci dać wszystko, co mam.

- Ale nie możesz. Nie możesz dać mi nawet nazwiska.

- Mogę ci dać miłość.

- Powinieneś myśleć o małżeństwie. Lubię Freję... To jeszcze takie dziecko... ale czarujące. Sprawí, że ją pokochasz.

- Nic mnie nie skłoni, by zaniedbać Pippę.

- Muszę wracać. Będą mnie szukali. Ciebie pewnie też. - Spotkajmy się... jutro. Znajdę jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy być ze sobą. Nie ma sensu z tym walczyć. Od razu, gdy cię ujrzałem, stało się to dla mnie jasne... powiedziałem sobie: „To jest ta jedyna na całym świecie, nie chcę żadnej innej”.

Potrząsnęłam głową. Miotalam się między uniesieniem i rozpaczą. Czułam, że mięknę. Zauważył to, zdradzałam swoje uczucia.

- Jutro, Pippa. Jutro. Obiecuj. Tutaj.

Obiecałam i ruszyliśmy w stronę koni. Kiedy pomagał mi wsiąść, wziął mnie za rękę i patrzył błagalnie. Czułam, że zrobię wszystko, o co poprosi.

- Nie możemy jechać razem. Mógłby nas ktoś zobaczyć. Jedź przodem.

- Pojedziemy razem.

- Nie. Wolę osobno. Pocałował mnie w rękę i odjechał.

Stałam parę chwil i patrzyłam na dworek. Nie miałam ochoty wracać od razu do zamku. Wymyślałam usprawiedliwienie swojej nieobecności. Postanowiłam powiedzieć Frei, że musiałam zażyć trochę ruchu po nieprzespanej nocy i pojechałam do lasu.

Zaprzagnęłam odwiedzić grób Francine. Przywiązałam konia i udałam się na tyły dworku. Kiedy zbliżałam się do grobu, towarzyszyło mi mgliste uczucie, że nie jestem sama. Najpierw pomyślałam, że śledzi mnie ktoś, kto mnie widział z Konradem. Obląłam się zimnym potem. Podeszłam do ogrodzenia. Ktoś był przy grobie.

Cofnęłam się, bo nie chciałam, by Gisela mnie zobaczyła, sądziłam bowiem, że to ona. Wstrzymałam oddech, znieruchomiałam. Postać wyprostowała się, trzymała w ręce rydel, sadziła coś na grobie.

To nie była Gisela, lecz młoda kobieta, wyższa i z jaśniejszymi włosami niż Gisela. Stała chwilę bez ruchu przyglądając się efektom swojej pracy, po czym zawołała: „Rudi!”

Ujrzałam chłopca. Miał ze cztery, może pięć lat i bardzo jasne, kręcone włosy.

- Chodź, Rudi. Zobacz, jakie ładne kwiatki. - Dziecko zbliżyło się i stanęło obok kobiety. - Musimy wracać - powiedziała. - Ale najpierw...

Ku memu zaskoczeniu ukłękli oboje. Chłopiec zamknął oczy, złożył rączki, poruszał bezgłośnie wargami.

Podnieśli się. Wyszli przez furtkę i weszli w las.

Serce biło mi mocno, umysł pracował gorączkowo.

Kim była? A dziecko? Postanowiłam pójść za nią, wyśledzić, dokąd idzie. Trzymałam się w stosownej odległości. Doszliśmy do domku - niewielkiego, ale miłego. Dziecko pobiegło przodem, ścieżką prowadzącą do wejścia. Tańczyło i podskakiwało na ganku, czekając na kobietę.

Nie mogłam ukryć zdziwienia. Dlaczego opiekowała się grobem Francine? Kim była? Kim było dziecko?

Zastanawiałam się: zapukać, powiedzieć, że zgubiłam się w lesie i wziąć ją na spytki?

Ale zrobiło się późno. Jak wytłumaczę swoją nieobecność? „Przyjadę następnego dnia”, pomyślałam.

Kiedy wróciłam do zamku, zastałam Freję wyczekującą mnie niecierpliwie.

- Gdzie byłaś? Nikt nie wiedział, co się z tobą stało.

- Czułam potrzebę ruchu na świeżym powietrzu.

- Mogłaś pospacerować po ogrodzie.

- Chciałam odbyć konną przejażdżkę.

- Byłaś w lesie, prawda?

- Skąd wiesz?

- Mam swoich szpiegów. - Zmrużyła oczy i przez chwilę poczułam lęk, że wie o moim spotkaniu z Konradem. - Poza tym zdradza cię to... - Wyjęła sosnową igłę z mojego zakietu. - Wyglądasz na przerażoną. Nie jesteś osobą, za którą się podajesz. Planujesz zamach stanu. To dlatego jesteś niezależna finansowo. Kto słyszał o guwernantce, która nie lęka się utracić posady i zostać wyrzucona na bruk!

- Ty słyszałaś - odparłam, odzyskując pewność siebie.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że udajesz się na spacer?

- Bo spałaś smacznie po sukcesach królowej balu i uznałam, że taki odpoczynek ci się należy.

- Bałam się, że mnie opuściłaś.

- Mój głuptasku! Rzuciła mi się na szyję.

- Nie opuszczaj mnie, Anne.

- Czego się boisz? - spytałam. Spojrzała na mnie żałośnie.

- Wszystkiego. Małżeństwa, zmian, dorastania. Nie chcę być dorosła, Anne. Chcę, żeby wszystko zostało tak, jak jest.

Pocałowałam ją czule.

- Gdy nadejdzie pora, poradzisz sobie z tym wszystkim.

- Naprawdę? Jestem bardzo porywcza. Nie będę tolerować kochanek.

- Może obędzie się bez kochanek.

- Tak właśnie powinno być.

- Jest takie powiedzenie, „Każdy musi przejść swoją drogę”.

- Bardzo dobre powiedzenie. Przejdę ją tak, jak ja chcę.

- Znając ciebie stoczysz każdą batalię, by mieć to, czego pragniesz.

- Kłopot w tym, że Sigmund też chce przejść swoją drogę tak, jak mu się podoba. Czyż nie wygląda na takiego?

- Tak - przyznałam z ociąganiem.

- A więc powstaje pytanie: które z nas okaże się silniejsze?

- Może w ogóle nie dojdzie do sporów. Całkiem możliwe, że oboje zapragniecie tego samego.

- Moja mądra Anne. Zostaniesz ze mną. Zmuszę cię. Uczynię cię moim Wielkim Wizjerem.

- Wizjer to coś, przez co się wygląda. Miałaś, zdaje się, na myśli wezyra. Jestem najmniej odpowiednią kandydatką na to stanowisko.

- Ach, jak już uczynię cię wezyrem, z pewnością przejdiesz tę drogę, odnosząc same sukcesy - oświadczyła Freja zadowolona z siebie.

Śmiałam się, ale nie wiedziałam, jak powinnam postąpić. Wyjechać... przecież on się na to nigdy nie zgodzi. Zostanę, musimy przeżyć życie razem... może w cieniu, ale razem, jak Francine i Rudolph.

Najpierw jednak dowiem się, kim jest kobieta, która sadziła kwiaty na grobie Francine. A przede wszystkim, czyje jest dziecko.

U Króla Lasów

Szczęście mi sprzyjało.

Wczesnym popołudniem pojawiła się Freja z kwaśną miną. Graf i jego żona życzyli sobie, by księżniczka, Tatiana i Gunther pojechali odwiedzić Wielkiego Księcia.

- Czy to taka przykrość? - spytałam.
- Wolałabym pojechać z tobą na przejażdżkę.
- Pojedziesz ze mną innym razem.
- Pewnie spotkamy tam również Sigmunda.
- Chciałabyś go spotkać, jak sądzę. Skrzywiła się.

Ledwie odjechali, poszłam do stajni. Postanowiłam skorzystać z wolnego popołudnia i wkrótce już galopowałam w stronę dworku.

Kobietę zastałam w ogrodzie. Pozdrowiłam ją i spytałam, w którą stronę mam jechać do miasta.

Podeszła do ogrodzenia i wskazała mi kierunek.

- To piękny las - próbowałam nawiązać rozmowę. Przyznała mi rację.

- Dobrze jest mieszkać tak samotnie? - dopytywałam się.  
- Nawet tego nie zauważam. Mam tyle pracy. Prowadzę dom bratu.

- Tylko dla dwojga?... - dawałam upust ciekawości, zastanawiając się, czy już uważa mnie za wścibską i natrętną.

- Jest nas dwoje oraz pokojówka i mój mały synek.

Nie wspomniała o mężu, co natychmiast zauważyłam.

- Przejeżdżałam obok dworku - ciągnęłam. - Wygląda na opuszczony.

- Tak, nikt tam teraz nie mieszka.

Miała jasną szczerą twarz, wyglądała przyjacielsko. Miała ochotę pogawędzić, bo nie widywała tu zbyt wielu ludzi.

- Pani z wizytą?

- Nie całkiem. Jestem zatrudniona w zamku.

- Ach, tak - wykazała pewne zainteresowanie. - Mój brat pracuje w zamku u grafa.

- Ja jestem nauczycielką angielskiego hrabianki Frei.

- Słyszałam o jakiejś Angielce. Zgubiła się pani w lesie?

- Tak łatwo pomylić drogę.

- O, tak. Ale do zamku stąd niedaleko. Proszę jechać z powrotem do dworku, a potem prosto drogą.

- Dziękuję, na pewno trafię... Dworek wygląda interesująco, ale jakoś ponuro.

- Tak, nikt tam teraz nie mieszka.

- Szkoda, bo musi być piękny... i stary.

- Tak, dawniej często wykorzystywano go podczas polowań. Niech pani uważa w lesie. Są tu wprawdzie głównie jelenie, ale zdarzają się i dziki.

- Zauważyłam chyba grób... w pobliżu dworku.

- Tak, to grób.

- Dziwne miejsce jak na grób. Dlaczego pochowano kogoś tam, a nie na cmentarzu?

- Widocznie był jakiś powód.

Zamilkłam na chwilę, ale ponieważ i ona umilkła, powiedziałam:

- Jest dobrze utrzymany.

- To ja go doglądam. Nie lubię, jak jest zarośnięty. Uważam, że groby powinny być zadbane. Inaczej wydaje się, że umarły nikogo nie obchodził.

- A więc to... ktoś bliski?

- Tak. Proszę wybaczyć. Słyszę mojego synka. Obudził się z drzemki. Z pewnością bez trudu odnajdzie pani drogę.

Zdaje się, że zaprzepąściłam szansę. Muszę tu ponownie przyjechać.

Znalazłszy się w mieście musiałam przejechać koło gospody, w której kiedyś wynajmowałam konia. Postanowiłam sięść na chwilę w ogródku przy piwie, co też

uczyniłam. Miałam ochotę z kimś pogawędzić, a gospodyni wyglądała bardzo przyjacielsko.

Pamiętała mnie doskonale i podawszy mi kufel piwa - najlepszego w Bruxensteinie - zatrzymała się przy moim stoliku.

Poinformowałam ją, że pracuję w zamku.

- Słyszałam, że jakaś angielska dama pomaga hrabiance w doskonaleniu angielskiego - powiedziała.

- To właśnie ja.

- I zadowolona panienka?

- Bardzo. Hrabianka jest urocza.

- Ludzie ją lubią i barona też. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby przyśpieszyli ślub. Ale wszystko zależy od Wielkiego Księcia. Jeśli wyzdrowieje, wszystko potoczy się jak dawniej.

Przyznałam jej rację i zmieniłam temat, mówiąc, że tutejsze lasy sprawiają wrażenie zaczarowanych.

- Nasze lasy słyną z wielu baśni i pieśni. Podobno wszystko może wydarzyć się w takim lesie. Trole, chochliki, olbrzymy, starzy bogowie... niektórzy uważają, że oni wciąż w nich mieszkają, a są i tacy, którzy ich wszystkich widują.

- To niesamowite mieszkać w samym sercu lasu. Przejeżdżałam właśnie koło takiego domku wczoraj.

- Koło dworku?

- Nie, myślę o małym domu w lesie... niedaleko dworku. Ciekawe, kim są jego właściciele.

- Wiem, co ma panienka na uwadze. To dom Schwartzów.

- Rozmawiałam z kobietą zamieszkującą ten domek.

Pytałam ją o drogę.

- Z Katią.

- Ma małego chłopca?

- Tak. Rudolpha.

- Czy jej mąż pracuje w zamku?

- Ona nie ma męża.



- Och... rozumiem.  
- Biedna Katia. Miała trochę kłopotów.  
- To przykre. Wygląda na miłą osobę. Bardzo mi się spodobała.  
- Życie okrutnie się z nią obeszło. Ale ma synka, którego bezgranicznie kocha. Bardzo ładny chłopiec.  
- Widziałam go. Cztero - może pięcioletni, prawda?  
- Tak, to zagadkowa sprawa.  
- Naprawdę? Sądzi pani, że...  
- Ciii... Lepiej o tym nie wspominać. Tyle lat minęło. O, słyszy pani?... - Podniosła głowę, nasłuchując. - Zdaje się, że jada...

- Kto?  
- Graf, jego żona, Sigmund i hrabianka. Byli z wizytą u Wielkiego Księcia. Sigmund odprowadza ich do zamku. Polecę zobaczyć.  
- Mogę iść z panią?  
- Naturalnie.

Stałam z nią w drzwiach gospody i serce łomotało mi z dumy i strachu, gdy na niego patrzyłam. Wyglądał dostojnie na białym koniu pozdrawiany przez poddanych. Obok niego jechała Freja - prezentowała się świetnie. Wyczuwało się, że ludzie ją lubią.

- Podfruwajka - usłyszałam czyjś głos. - Wdzięku jej nie brakuje.

Za nimi jechali graf i hrabina, Tatiana i Gunther oraz straż w niebieskobrazowych uniformach i srebrnych hełmach z błękitnymi pióropuszcami.

Kiedy tak stałam i patrzyłam, raz jeszcze bardzo wyraźnie poczułam, jak beznadziejna jest moja sytuacja. Mogę zostać jedynie kochanką, ukrywaną przed światem, wyczekującą jego każdej wolnej od zajęć chwili. A dzieci... co z dziećmi?

Jak mogłabym na coś takiego przystać? Muszę stąd wyjechać.

Och, Francine, czy twoja sytuacja była podobna?

\* \* \*

Kiedy wróciłam do domu, pod moimi drzwiami zastałam jednego z lokai.

- Mam dla pani wiadomość. Polecono mi ją dostarczyć do rąk własnych - powiedział.

Skłonił się i odszedł.

Wiedziałam, kto przysłał tę wiadomość. Napisano ją na niebieskim papierze ze znajomym herbem przedstawiającym lwy i skrzyżowane szpady. Pisał po angielsku.

Najdroższa,

Muszę się z Tobą zobaczyć. Chcę z Tobą porozmawiać. To nie do zniesienia, że jesteś tak blisko, a zarazem tak daleko. Nie mogę czekać do jutra. Chcę się z tobą zobaczyć wieczorem. Tuż pod zamkiem stoi gospoda U Króla Lasów. Przyjdź. Proszę. Będzie czekał o dziewiątej. Po kolacji wymkniesz się z łatwością.

K.

U Króla Lasów. Widziałam tę gospodę. Znajdowała się niedaleko bram zamku. Mam pójść? Mogę powiedzieć, że mnie boli głowa, wcześniej iść do siebie, a potem wymknąć się z zamku. Nie, to byłoby nierozsądne. Powtórzyłaby się historia z Folwarku. Nie wolno mi pójść. Będzie czekał. Będzie niepokieszony. Ludzie tacy jak Konrad czy Freja są przyzwyczajeni, że wszyscy spełniają ich zachcianki. Ale powinni się nauczyć, że czasem bywa inaczej. Jednak... jednak chciałam pójść.

Nie powinnam, upominałam samą siebie. Ale jak miałam go powiadomić, że nie przyjdę? Nie mogłam przecież nikogo poprosić o przekazanie wiadomości baronowi Sigmundowi!

Zdecydowałam więc, że pójdę i przekonam go, że nie mogę się z nim spotykać. Muszę mu po prostu wytłumaczyć, że przestanę się z nim widywać.

Freja była tego wieczoru bardzo przejęta. Cieszyła się z przejażdżki ulicami miasta u boku Sigmunda, pozdrowienia tłumy napawały ją dumą. Kiedy powiedziałam, że boli mnie głowa i chciałabym wcześniej się położyć, rzekła tylko:

- Życzę ci dobrej nocy, Anne. Ja chyba też wcześniej się położę.

Wymknęłam się bez kłopotu. Czekał na mnie przed gospodą. Miał na sobie czarny płaszcz i czarny kapelusz jak podróżujący w interesach mężczyźni. Ujął mnie mocno pod ramię i powiedział:

- Wynająłem pokój. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć, iż muszę wyjechać.

Weszliśmy do gospody i tylnymi schodami wspięliśmy się na piętro. Tak będzie zawsze, pomyślałam. Zawsze tylnymi schodami. I nagle uświadomiłam sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Kochałam go i wiedziałam, że z dala od niego nigdy nie będę szczęśliwa. Powtarzałam w myślach stare hiszpańskie przysłowie. „Bierz, co chcesz, mówi Bóg. Bierz i płąć”.

Pokój był mały, ale światło świec sprawiało, że nastrój był niezwykle romantyczny. A może mi się tylko tak wydawało, bo nareszcie byłam z nim sam na sam.

Zsunął mi kaptur z głowy i wyciągnął z włosów szpilki.

- Pippa - szeptał - nareszcie. Myślałem o tobie, marzyłem o tobie i... wreszcie jesteś.

- Nie mogę zostać - zaczęłam. - Przyszłam tylko, żeby ci powiedzieć...

Uśmiechnął się i zdjął mi płaszcz.

- Nie - wzbraniałam się, usiłując okazać stanowczość.

- Ależ tak - nie słuchał. - Nie uciekniesz. Pippa, wróciłaś... nigdy się nie rozstaniemy.

- Muszę iść - wykręcałam się. - Nigdy bym nie przyszła. Sądziłam, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Chcę wszystkiego - odparł.

- Posłuchaj - wmawiałam mu - powinniśmy być rozsądni. Sytuacja się zmieniła. Poprzednim razem nie wiedziałam, kim jesteś. Dałam się ponieść chwili. Byłam taka naiwna... niedoświadczona. Nie miałam przedtem kochanka. Sądziłam, że pobierzemy się i... będziemy żyć jak inni. Ale teraz jest inaczej. Jest jeszcze Freja. Polubiłam ją. Co by powiedziała, gdyby nas teraz zobaczyła? To, co robimy... jest złe... dlatego muszę odejść.

- Nie pozwolę ci.

- To ja zadecyduję, jak mam postąpić.

- Nie będziesz tak okrutna.

- Rozumiem, wciąż uważasz mnie za naiwną, dla ciebie natomiast taka sytuacja to nic nowego.

- Nigdy dotychczas nie kochałem. Czy to nie wystarczy?

- Naprawdę?

- Przysięgam. Ty i tylko ty... na zawsze.

- Skąd możesz wiedzieć, co będziesz czuł w przyszłości?

- Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem. A ty nie?

Zawahałam się.

- Ja może wiedziałam... ale ty to co innego. Gdy wyjadę, zapomnisz.

- Nigdy.

- Tyle rzeczy w twoim życiu wynagrodzi ci żal po kobiecie, która cię odrzuciła.

- Nie rozumiesz. Gdyby chodziło tylko o mnie, zostawiłbym wszystko.

- Okrzyki wznoszone na twoją cześć, pozdrowienia tłumu wiele dla ciebie znaczą. Obserwowałam cię. Stałam w

drzwiach gospody, gdy przejeżdżałaś z Freją. Widziałam, jak się uśmiechałaś. Widziałam, jak podobaliście się ludziom, oboje, i jak was cieszył wiwatujący tłum. Podoba ci się rola władcy i dlatego się do niej nadajesz.

- Do niej mnie wychowywano - przyznał. - Ale nie sądziłem, że te nauki kiedyś się przydadzą. Istniał przecież Rudolph. Ale moja najdroższa, co to ma z nami wspólnego? Cieszymy się naszym życiem.

- Nie, muszę już iść. Wracam do Anglii. Tak będzie najlepiej...

Odrzucił mój płaszcz na bok i objął mnie.

- Pippa, kocham cię... mamy niewiele czasu... dziś. Ale będziemy z sobą długie lata.

- A twoje sprawy... ? A Freja?

- Coś wymyślę. Proszę, moja najdroższa... korzystajmy ze szczęścia... teraz.

Moje usta mówiły „nie”, lecz ciało wołało: „Tak! Tak!”. Nie potrafiłam oprzeć się Konradowi i on o tym wiedział.

Próżno szukać usprawiedliwienia. Daliśmy się ponieść namiętności. Nie istniało nic poza miłością i pożądaniem. Nie broniłam się dłużej i nieskończenie szczęśliwa, odpoczywając przy nim, odpychałam od siebie niepokój i poczucie winy.

A potem leżałam bez ruchu w jego ramionach, on zaś wodził opuszkami palców po mojej twarzy niczym ślepiec.

- Chcę znać każdy zakątek twego ciała tak dobrze, jak znam własne ciało - szeptał. Znalazłem dla nas dom. W pobliżu miasta... W lesie... Śliczny mały dom, który uczynimy naszym domem.

Poczułam, że wracam na ziemię z olimpijskich wyżyn. Przypomniałam sobie dworek myśliwski - mroczny, ponury, nawiedzany przez duchy.

- Nigdy się na to nie zgodzę - oświadczyłam. - Nie mogę. To mnie zawstydzia. Czy nie rozumiesz, że tyle czasu przebywałam z tym dzieckiem... Pokochałam ją...

- Mnie pokochałaś. I nikt nie może stanąć nam na drodze.

- Nie... nie mogę dłużej pozostać z Freją po tym wszystkim.

- Jedź wobec tego do naszego domu w lesie.

- Muszę się zastanowić. Nie umiem sobie wyobrazić, jak właściwie będzie w przyszłości. Ona będzie twoją żoną. Ja kochanką. Nie, nie. Niedawno w przyływie radości pocałowała mnie, a ja ją. Ogarnęło mnie przerażenie. Ma mnie za przyjaciółkę, a ja ją zdradzam. Pomyślałam sobie, że to pocałunek Judasza. Nie, nie. Wracam do Anglii. Do ciotki Grace...

- Nigdzie nie wyjedziesz. Nie pozwolę.

- Jestem wolna. Nie zapominaj o tym.

- Nikt nie jest wolny, gdy kocha. Należymy do siebie na zawsze... przyjmij to wreszcie do wiadomości, to jedyne wyjście.

- Jedynym wyjściem jest stąd wyjechać.

- To nie do przyjęcia ani dla mnie, ani dla ciebie. Gdybym mógł cię poślubić, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, ale wiesz, że nie mogę...

- Nie ma więc wyjścia.

- Póki nie znajdziemy innego dziedzica. Gdyby Rudolph się ożenił...

- Ożenił się.

- Och, znowu ten zapis. Nie znaleźliśmy go, prawda? Szukaliśmy przecież. Gdyby istniał dowód ślubu, gdyby istniał dziedzic! Gdybyśmy mogli przyprowadzić dziedzica i powiedzieć: Oto nowy władca Bruxensteinu, prawowity następca tronu.

- Byłby zaledwie dzieckiem.

- Dzieci rosną.
- A więc? Regencja?
- Coś w tym rodzaju.
- I ty byłbyś regentem?
- Tak sędzę. Ale równocześnie byłbym wolny. Kollenitz nie zgodzi się na małżeństwo, ich księżniczki z regentem. Woleliby chyba wydać Freję za dziedzica tronu.
- Różnica wieku mogłaby stanowić problem.
- Nie zwracaliby uwagi na takie drobiazgi. Ze względu na rację stanu zdarzały się nawet mniej dobrane małżeństwa. Powiedzmy, że byłaby z dziesięć lat starsza, to jeszcze nic takiego. W końcu ja też jestem o osiem lat starszy od Frei. Ale tracimy czas na bezsensowne dywagacje. Musimy pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy. Muszę poślubić Freję i spłodzić dziedzica. Kiedy to się stanie... mój obowiązek zostanie wypełniony. Nie pozwolę ci odejść, Pippa... nigdy, nigdy. Jeśli uciekniesz, zacznę cię ścigać po całej Anglii, po całym świecie...
- Wbrew mojej woli?
- Najdroższa, to nie jest wbrew twojej woli. Cała twoja stanowczość ginie, kiedy jesteśmy razem. Czyż nie przekonaliśmy się o tym już dwukrotnie?
- Jestem słaba... naiwna... rozpustna... Wiem.
- Jesteś delikatna, kochająca, cudowna.
- Nie powinieneś mnie kusić. Nie masz prawa.
- Mam prawo do prawdziwej miłości.
- Jaka jestem niemądra! Prawie ci uwierzyłam!
- Jesteś niemądra, że nie wierzysz mi bez reszty.
- Muszę już iść. Jest późno.
- Pod warunkiem, że spotkamy się znowu. Chcę ci pokazać nasz dom... jutro wieczorem. Zgoda?
- Nie, nie mogę. Nie mogę znikać tak ciągle. Freja to zauważy, zacznie wypytywać.

- Czekam jutro. O tej samej porze i proszę, przyjdź. Ubrałam się i wyszliśmy. Odprowadził mnie prawie do bram zamku.

\* \* \*

Nie wyobrażałam sobie, jak stanę twarzą w twarz przed Freją. Musiałam uważać, żeby się nie zdradzić, gdy będziemy rozmawiać o Sigmundzie. Była bardzo bystra i dobrze mnie знаła. Z pewnością od razu by się zorientowała, że coś jest nie tak.

Od czasu gdy przybyliśmy do zamku grafa von Bindorf, Freja bardzo się zmieniła. Wydoroślała, stała się bardziej zamknięta w sobie i bardziej sobą zajęta.

Nawet panna Kratz zauważyła tę zmianę.

- Nie uważa na lekcjach - skarżyła się. - Baron i przyszłe życie u jego boku zawróciły jej w głowie.

- Każdemu coś takiego zawróciłoby w głowie.

- Nie potrafi skupić uwagi przez dłuższy czas i wciąż odwołuje lekcje. Trudno ją do czegokolwiek zmusić. Co pani o tym sądzi, panno Ayres?

- Moja sytuacja jest nieco inna. Nasze zajęcia nie mają charakteru typowych lekcji. Po prostu rozmawiamy. Nie musimy ślęczeć nad książkami, choć byłabym zadowolona, gdyby dobrze czytała po angielsku.

- Chyba po prostu trzeba się z tym pogodzić.

- I ja tak sądzę, panno Kratz. Ma pani przynajmniej trochę czasu dla siebie.

To samo zresztą odnosiło się do mnie, czego doświadczyłam jeszcze tego samego popołudnia.

Widziałam Freję podczas południowego posiłku. Ubrana do konnej jazdy w granatowy strój, który podkreślał jej jasną karnację, wyglądała bardzo atrakcyjnie.



- Po południu udaję się na przejażdżkę, Anne - zakomunikowała mi. - Ty też pewnie chciałabyś pojechać do miasta.

- Jak sobie życzysz.

- Nie o to mi chodziło. Nie jadę z tobą. Jadę z Guntherem. Serce zabiło mi z radości - mogłam więc robić, na co miałam ochotę.

- Mam nadzieję, że miło spędzicie czas - cieszyłam się.

- Przykro mi, że nie możesz pojechać z nami.

- Ależ rozumiem. Baw się dobrze. Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Miłego popołudnia, najdroższa Anne.

Poszłam do swojego pokoju, ubrałam się w strój do konnej jazdy i wyruszyłam w stronę lasu.

Rankiem przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Postanowiłam spotkać się z kobietą, która zajmowała się grobem Francine. Byłam pewna, że ona coś wie. Ciekawiło mnie także dziecko. Może to szaleństwo snuć takie przypuszczenia, ale chłopiec miał na imię Rudolph. Dlaczego czteroletnie dziecko odmawia pacierz u grobu nieznanym kobiecie? A jeśli mały Rudolph jest synkiem Francine? Jeśli udowodnię, że Francine była poślubioną żoną, to jej dziecko odziedziczy koronę.

Może miałam zbyt bujną wyobraźnię, ale mogłam spróbować.

Uwiązałam konia przed dworkiem i przechodząc obok grobu Francine, skierowałam się w stronę domu Kati. Byłam już w lesie, kiedy usłyszałam odgłos końskich kopyt. Zeszłam z wąskiej ścieżki, żeby przepuścić jeźdźca.

Nadjeżdżający mężczyzna wydał mi się dziwnie znajomy.

Spojrzał na mnie. Pozdrowił mnie, a ja odwzajemniłam ukłon. Poszłam dalej, zastanawiając się, gdzie mogłam go

widzieć. Przez zamek przewijało się tyle ludzi. Może to ktoś z tamtejszej służby?

Zbliżyłam się do domku Kati. Powoli otworzyłam furtkę. Weszłam na ganek, na którym stały doniczki z roślinami. Na drzwiach wisiała kołatka. Zapukałam.

Po chwili usłyszałam kroki i drzwi się otworzyły. Stała w nich Katia. Patrzyła ze zdziwieniem, nie rozpoznając we mnie kobiety, która niedawno pytała ją o drogę.

- Czy mogę z panią porozmawiać? - zaczęłam. - Chcę o coś spytać, o coś bardzo ważnego. Mogę wejść? - Wyglądała na zaskoczoną, mówiłam więc dalej: - Proszę, to dla mnie bardzo ważne...

Cofnęła się do tyłu i szerzej otworzyła drzwi.

- Spotkałyśmy się już, prawda?

- Tak. Pytałam o drogę do miasta. Uśmiechnęła się.

- Tak, teraz sobie przypominam. Proszę wejść. Weszłam do holu i od razu zauważyłam, jak wszystko

lśniło czystością. Zaprosiła mnie do miłego pokoju umeblowanego skromnie, lecz wygodnie.

- Proszę usiąść.

- Rozumiem, że to się może wydać pani dziwne, ale interesuje mnie grób kobiety, którą zamordowano z baronem.

- Och - wyglądała na nieco spłoszoną - dlaczego mnie pani pyta?

- Bo pani ją znała i lubiła. Dba pani o jej grób. Proszę opowiedzieć mi o tej znajomości.

- Dlaczego pani się tym interesuje?

Teraz ja się zawahałam. I nagle podjęłam decyzję - to był jedyny sposób, by się czegokolwiek dowiedzieć.

- Bo jestem jej siostrą.

Kobieta nie ukrywała zdziwienia. Patrzyła szeroko otwartymi oczyma.

- Tak, wiem, że miała siostrę... Pippę... mówiła o niej z taką miłością.

Te proste słowa głęboko mnie wzruszyły. Usta mi drżały, słowa popłynęły same:

- Rozumie więc pani, dlaczego zdecydowałam się... Widziałam, jak pani sprzątała grób. Widziałam, jak klęczeliście z chłopcem. Dlatego postanowiłam z panią porozmawiać.

- Nie uwierzyłam, że pani zgubiła drogę, domyślałam się, że o coś innego tu chodzi...

- Jestem przekonana, że moja siostra naprawdę wyszła za barona Rudolpha.

Spuściła oczy.

- Mówi się, że nie. Że była tylko jego kochanką.

- Niemniej są dowody... Milczała.

- Proszę mi o niej opowiedzieć. Mieszkała w dworku. Pani była bliską sąsiadką.

- To był jej dom. Nie bywała w zamku. Baron miał swoje zobowiązania. Przyjeżdżał, gdy tylko mógł. Przyjeżdżał często. Bardzo się kochali, a ona była taka szczęśliwa. Zawsze uśmiechnięta. Nigdy nie widziałam jej smutnej.

- Jak pani ją poznała?

- Żył jeszcze mój ojciec. On i mój brat pracowali u grafa von Bindorf, jak większość tutejszych... Herzog, mój brat, dotąd tam pracuje. Często wyjeżdża w sprawach grafa, rzadko przebywa w domu.

- No i... - niecierpliwiłam się.

- A potem stało się coś strasznego. Do lasu przyszedł mężczyzna. Myślę, że obserwował mnie od jakiegoś czasu... bo czasami miałam uczucie, że ktoś mnie śledzi. I któregoś dnia... o zmierzchu... - Zamilkła i patrzyła przed siebie. - To był jeden ze strażników z zamku Wielkiego Księcia. Złapał mnie, zaciągnął między drzewa i...

- Zgwałcił.

Przytaknęła.

- Wiedziałam, że to jeden ze strażników księcia... ale miałam pewność, że mi nie uwierzą... więc nic nie powiedziałam. A potem... okazało się, że jestem w ciąży.

- Bardzo pani współczuję.

- Teraz to już nieważne. Wspomnienia zacierają się w pamięci. Rzadko już o tym myślę. Ojciec był bardzo religijnym człowiekiem. Kiedy się dowiedział, wpadł w gniew... nie uwierzyli mi... nazwali ladacznicą i wyrzucili z domu.

- I co pani ze sobą zrobiła?

- Nie wiedziałam, dokąd pójść, więc poszłam do niej. Przyjęła mnie. Ale nie tylko... ona mi uwierzyła. Uwierzyła i powiedziała, że nawet gdybym zrobiła to świadomie, to też nie taki wielki grzech... Ale najważniejsze, że mi wierzyła. Moje dziecko urodziło się w dworku.

Serce biło mi jak szalone.

- Czy ona także miała dziecko... w tym samym mniej więcej czasie?

- Nic nie wiem o dziecku - odparła.

- Byłoby niebezpieczne, gdyby miała dziecko, prawda? Jej dziecko to dziedzic korony.

Kiwnęła głową.

- Musiałaby być jego żoną.

- Jestem przekonana, że była jego żoną.

- Wszyscy mówią, że nie.

- Czy moja siostra wspominała kiedykolwiek o małżeństwie?

- Nie.

- A o tym, że jest w ciąży? - Nie.

- A pani dziecko urodziło się w dworku?

- Tak. Bardzo się mną zajmowano. Pani siostra sama nad wszystkim czuwała. Kiedy dziecko się urodziło, przestałam mieć koszmarne sny. Najważniejszy był dla mnie synek.

- Kochała pani moją siostrę, prawda?

- Jak mogłabym nie kochać osoby, która tyle dla mnie zrobiła... dzięki której uniknęłam strasznego losu. Byłam na pół oszalała ze strachu i bólu. Uważałam się za przeklętą - tak mówił ojciec. A ona śmiała się z tego wszystkiego. Pomogła mi urodzić dziecko. Uratowała nas. Nigdy tego nie zapomnę.

- I dlatego... opiekuje się pani jej grobem? Przytaknęła.

- Będę to robić, póki żyję. Nigdy nie zapomnę, Rudolph także nie. Wyjaśnię mu wszystko, jak dorośnie.

- Dziękuję, że mi pani to wszystko opowiedziała.

- A czego pani tutaj szuka?

- Chcę znaleźć dziecko, bo jestem przekonana, że miała dziecko.

Potrząsnęła głową.

- Jest jeszcze coś, do czego muszę się pani przyznać. Ani hrabianka, ani ci, dla których pracuję, nie wiedzą, kim jestem. Nazywam się tutaj Anne Ayres. Proszę mnie nie zdradzić.

- Nigdy, przenigdy - zapewniła żarliwie.

Powiedziałam jej, że dostałam w spadku po babce trochę pieniędzy, dzięki którym mogłam tu przyjechać. Dodałam, że jestem przekonana, iż Francine i baron Rudolph wzięli ślub i mieli dziecko.

- Sama ma pani dziecko - mówiłam. - Rozumie więc pani, co czuła moja siostra. Muszę odnaleźć jej syna. Muszę się nim zaopiekować.

- Rozumiem. Gdyby miała syna... ale...

- Mam listy, w których mi o nim pisze.

- Bardzo pragnęła dziecka. Pamiętam, jak bawiła się z Rudim. Czasem, jak się czegoś bardzo pragnie...

- Jestem pani wdzięczna... i dziękuję, że zajmuje się pani grobem mojej siostry. Gdyby jednak chciała pani ze mną porozmawiać... coś mi powiedzieć... proszę pamiętać, jestem panna Ayres.

Opuściłam dom Kati dowiedziawszy się zaledwie, dlaczego dba o grób Francine.

Wróciłam do zamku. Szłam właśnie do swojego pokoju, gdy natknęłam się na Tatianę. Spojrzała na mnie wyniośle, jak to ona, i pozdrowiła:

- Dzień dobry, panno Ayres.

Odpowiedziałam na pozdrowienie, zamierzając udać się do siebie, ale ona mówiła dalej:

- Hrabianka robi duże postępy.

- Istotnie. Jest pojętną uczennicą.

Tatiana przyglądała mi się bacznie. Czułam się nieswojo bez okularów, a na dodatek moje niesforne włosy wymykały się spod kapelusza.

- Wydaje mi się, że obawia się, by jej pani nie opuściła. Powiada, że jest pani niezależna finansowo.

- To prawda, nie muszę zarabiać na utrzymanie. Ale bardzo mi się podobają lekcje z hrabianką.

- Jej niepokoje są zatem bezpodstawne, zostanie pani do czasu, aż pani uczennica wyjdzie za mąż.

- Och, to daleka przyszłość.

- Rok... może niecały. Zna pani przecież uwarunkowania. Odnoszę wrażenie, że jest pani powiernicą hrabianki.

- Jesteśmy zaprzyjaźnione na tyle, na ile pozwala na to pozycja każdej z nas.

Skinęła głową, dając mi do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak wielka jest różnica w hierarchii społecznej między hrabianką i mną.

- Dziwne - dorzuciła nagle - ale wydaje mi się, że już się kiedyś spotkałyśmy.

- To niemożliwe, hrabianko.

- Właśnie się zastanawiam. Przebywałam w Anglii. Mieszkałam w hrabstwie Kent.

- Znam Kent. To południowo - wschodni zakątek Anglii.

Byłam tam swego czasu, ale wydaje mi się niemożliwe, by spotkanie z kimś takim jak pani nie pozostało mi w pamięci.

Zaczęłam się bać, że stanie się bardziej dociekliwa, ale odwróciła się, dając mi do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Poszłam do siebie. Serce tłukło mi się w piersi. Nie wiedziałam, czy mnie nie rozpoznała, ale doszłam do wniosku, że gdyby tak było, wypytywałaby bardziej szczegółowo.

W godzinę później przyjechała Freja. Zdziwiłam się, bo wydawało mi się, że miała odbyć przejażdżkę z Guntherem.

Rozpromieniona śmiała się nieustannie.

- Byliśmy okropnie daleko - paplała. - Gunther i ja z dwoma stajennymi zgubiliśmy resztę towarzystwa.

- Zgubiliście się w lesie?

- Niezupełnie. Ale zrobiliśmy kawałek drogi.

- Hrabianka Tatiana wróciła dawno temu. Freja uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie przepadam za Tatianą. Ciągłe mnie krytykuje. Jest wyniosła i mówi, że jestem rozpuszczona.

- A nie jesteś?

- Ja? Jak możesz! Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Lubisz rozpuszczone dziewczęta, prawda?

- Lubię cię, Frejo. Bardzo cię lubię.

Objęła mnie, a ja przypomniawszy sobie Konrada zawstydziałam się.

Obudziłam się nagle w nocy. Usiadłam na łóżku. Dokonałam wstrząsającego odkrycia, i to we śnie. Mężczyzna, którego spotkałam w lesie, w drodze do domku Kati, był tym

tajemniczym nieznanym, którego wielokrotnie spotykałam w okolicy Kamiennego Dworu. Fakt, że spotkałam go w Bruxensteinie, wydał mi się niezwykleym zbiegiem okoliczności.

Następnego dnia otrzymałam wiadomość od Konrada. Zdążyłam się już przekonać, że gdy czegoś pragnął, nic nie mogło mu przeszkodzić w dążeniu do celu.

Najdroższa,

Będiesz miała możliwość wyjść przed południem. Wysyłam z zamku posła z wiadomościami do grafa i poleceniem, by cała rodzina grafa oraz Freja godnie go podjęli. Jesteś wolna do popołudnia.

Czekam przy naszej gospodzie. Udamy się do lasu, gdzie mam ci coś do pokazania.

Twój na zawsze K.

Szczęśliwa i przerażona zarazem czułam, jak wciąga mnie intryga, z której będzie mi trudno się wykręcić.

O umówionej porze dotarłam do gospody. Mimo przebrania poznałam Sigmunda natychmiast.

Zjedliśmy obiad w jednym z pokoi. Byłam szczęśliwa siedząc blisko niego, czując dotyk jego dłoni. Otaczał mnie szczególną czułością tego dnia. Był opiekuńczy. Zastanawiał się nad naszą przyszłością.

Pragnął pokazać mi dom, który miał stać się naszym domem, ale ja protestowałam, nie chciałam oszukiwać Frei.

- Jedź i obejrzyj go sama - rzekł. - Jest prześliczny.

- Jego uroda nie wpłynie na zmianę moich postanowień, nie zamierzam uczestniczyć w tym przedsięwzięciu.

Uśmiechał się do mnie błagalnie.

- Udawajmy więc... choć na krótko.

Jechaliśmy przez miasto. Słońce stało wysoko i grzało mocno; pomyślałam: dobrze, będę udawać. Zatrzymam ten dzień w pamięci na długie przyszłe lata.



Przejeżdżaliśmy przez placyk, gdzie odbywały się jakieś uroczystości. Kobiety i dziewczęta w strojach ludowych, w fałdzistych czerwonych spódnicach i białych bluzkach, z czerwonymi kwiatami we włosach, mężczyźni w białych bryczesach, żółtych skarpetach i białych koszulach tańczyli przy dźwiękach skrzypiec. Przystanęliśmy, by popatrzeć. W pewnej chwili zbliżyła się do nas dziewczyna. Podała mi pęk kwiatów. Wzięłam je i podziękowałam, a tłum zaczął gromadzić się wokół nas śpiewając hymn i wołając:

- Sigmund! Sigmund i Freja!

Konrad wcale nie wydawał się zbity z tropu. Uśmiechał się i rozmawiał z ludźmi, życząc, by się dobrze bawili, i mówiąc, że miło mu przebywać między nimi tak nieoficjalnie. Zdjął kapelusz i powiewał nim. Ja chciałam zawrócić i odjechać tak szybko, jak tylko się dało, ale Konrad świetnie się bawił. Zdawałam sobie sprawę, jak doskonale pasuje do roli uwielbianego przez tłum władcy i... jak niezręczna jest moja sytuacja.

Tłoczono się wokół nas. Z jednego domu ktoś wyniósł kilka prześcieradeł, które związane i trzymano tak, że zagroziły nam drogę. Tłum śmiał się i wznosił okrzyki.

- Jedziemy - powiedział wreszcie Konrad.

Chwycił uzdę mojego konia i poprowadził go. Podjechaliśmy do prześcieradeł, z przeciągłym „uuuu” pozwolili im opaść na ziemię. Ruszyliśmy w stronę lasu.

- Spodobałaś się im - rzekł.

- Myśleli, że to Freja. Dziwne, że się tak pomylili. "Widują ją przecież.

- Sądzę, że początkowo wzięli cię za Freję... później zorientowali się, że to nie ona, ale udawali. Nie oczekują chyba ode mnie, że zapomnę o reszcie damskiego rodu.

- Ach, tak - powiedziałam z goryczą. - Będą się uśmiechać i wzruszać ramionami... Jak w przypadku Rudolpha.

- Daj spokój. To tylko zabawna przygoda.

- Ale ważna na swój sposób. Zobaczyłam wyraźnie, jak dobrze pasujesz do swojej roli.

- Muszę się z nią pogodzić. To moje życie. Chcę widzieć mój kraj spokojnym. Nie mam wyboru, ale my musimy być razem. Musimy brać, co bogowie nam dają, Pippo... i cieszyć się tym. Będzie cudownie. Przysięgam.

Kiedy tak do mnie mówił, czułam, że mięknę. Moje niezłomne zasady okazywały się chwiejne. Kochałam go. Z każdym spotkaniem bardziej. Próbowałam sobie wyobrazić moje dni bez niego, ale perspektywa przyszłości tak ponurej spychała mnie na dno rozpacz. Natomiast rozmyślanie o życiu, które dla nas planował, dawało mi szaloną radość.

Zdawałam sobie sprawę, że ulegam pokusie. Gdyby nie Freja... myślałam, i znów przytłaczała mnie niegodziwość moich postępów, i znów myślałam: muszę wyjechać.

Jaki piękny był las! Gdy drzewa nieco się przeredzały, widziałam w oddali zarysy gór porośniętych świerkami. W dolinach stały chaty, nad którymi unosił się dym. Wdychałam głęboko czyste górskie powietrze.

- Podoba ci się tu, prawda?

- To piękne okolice.

- Tutaj będzie nasz dom. Pippo, jestem taki szczęśliwy, że mam cię przy sobie. Nie wyobrażasz sobie, jak cierpiałem, kiedy wydawało mi się, że straciłem cię na zawsze. Wymyślałem sobie od głupców, że pozwoliłem ci zostać. Nigdy, Pippo, nigdy więcej.

Potrząsnęłam głową, ale on śmiał się ze mnie. Był pewny swego, pewny, że życie potoczy się tak, jak on zechce. Wjechaliśmy na szczyt wzgórza.

- Słyszysz dzwonki krów? - spytał. - Będziesz je słyszała we mgle. Polubisz mgłę. Jest w niej coś romantycznie tajemniczego. Kiedy byłem chłopcem, wydawała mi się niebieska. Idziesz lasem w górę, przez niebieską mgłę i nagle zostawiasz ją w dole, a nad tobą świeci słońce. Często tu przyjeżdżałem. Tu był jeden z naszych domów. Czasami, kiedy w mieście dokuczał upał, spędzaliśmy tu całe dni. To miejsce pełne miłych wspomnień, ale one są niczym w porównaniu z tym, co przed nami.

- Konradzie... - zaczęłam. - Nigdy nie będę nazywać cię Sigmundem.

- To dobrze. Sigmund to obowiązki. Konradem jestem dla tych, których kocham i którzy mnie kochają.

- Konradzie, czy zawsze dostawałeś to, czego chciałeś? Roześmiał się.

- Powiedzmy, że zawsze dokładałam starań... a kiedy naprawdę się czegoś chce, otrzyma się to. Najdroższa, odrzuć obawę. Bądź szczęśliwa. Jesteśmy razem. Jedziemy do naszego domu. To szczęśliwy dom.

Dom urzekł mnie. Wyglądał jak miniaturowy zamek z czterema wieżami.

- Chodź - powiedział Konrad. - Nie ma nikogo. Będziemy tylko we dwoje.

- A kto miałby tu jeszcze być?

- Rodzina, która się tym miejscem opiekuje. Mają niedaleko swoją chatę.

- Jest piękny - zachwyciłam się.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. To moje ulubione miejsce. Nazywają go Marmurowy Dom. Ma wspaniałe marmurowe posadzki.

Do domu prowadziła brama obrośnięta niskim żywopłotem.

- Przycinamy go, żeby nie zasłaniał światła. Nie lubię, jak jest ciemno, a ty? Zresztą, kto lubi? W ciemności jest coś groźnego, a ten dom ma być radosny - wycięliśmy więc drzewa i posadziliśmy niskie, kwitnące krzewy, które nie przysłaniają światła.

- Widzę jakiś napis na bramie - powiedziałam.

- Tak, kazał go wyryć jeden z moich przodków, który mieszkał tu przez pewien czas. Był wyrzutkiem... złym duchem rodziny, zesłano go więc do lasu. Polował z pasją na niedźwiedzie. Zasmakował w samotności i później, mimo usiłowań rodziny, nie chciał wracać. Kazał to wypisać na bramie... Przeczytasz?

- „Nie wtrącajcie się w moje sprawy, a ja nie będę wtrącał się w wasze”.

- Wspaniałe, nieprawdaż? W nasze sprawy też nikt nie będzie się wtrącał, obiecuję. Oto nasz dom, Pippo.

Otworzył drzwi i wziął mnie na ręce.

- Czy w Anglii też przenosi się pannę młodą uroczyście przez próg?

- Tak - odparłam.

- A więc jesteśmy, najdroższa. My dwoje... w naszym nowym domu.

Musiałam przyznać, że dom jest piękny. Podłogę w holu pokrywały marmurowe płyty w odcieniu najdelikatniejszego błękitu. Nie mogłam powstrzymać okrzyków zachwytu.

Na ścianach wisiały obrazy. Pośrodku stał wielki stół, a na nim waza pełna kwiatów.

- Podoba ci się? - pytał.

- Wspaniały.

- Będziemy tu szczęśliwi.

Kiedy to mówił tuląc mnie - wierzyłam.

Obejrzeliliśmy dom. Panował w nim idealny porządek. Opiekunowie domu pewnie domyślali się, że przyjedzie z

kobietą... z kochanką... zapewne uśmiechali się i wzruszali ramionami.

Nasze życie upływałoby wśród ludzi uśmiechających się i wzruszających ramionami. A nasze dzieci? Co stanie się z nimi? Niewykluczone, że już jestem w ciąży, myślałam.

Czułam, jak staczam się szybko w dół po śliskim zboczu i wiedziałam, że trudno mi już będzie wspiąć się do góry na prostą drogę honoru.

Doskonałość domu wzbudzała mój najwyższy zachwyt: i jadalnia z wysokimi wąskimi oknami i pięknie haftowanymi obiciami krzeseł, i pokój, do którego zawsze zaglądało słońce, jak w angielskich solariach, i sypialnie, niewielkie w porównaniu z zamkowymi, ale umeblowane ze smakiem. Z okien rozciągał się wspaniały widok na las i góry.

- Podoba ci się? - dopytywał się gorączkowo. Przyznałam, że całkiem ładny.

- Będiesz tutaj szczęśliwa?

Milczałam. Nie mogłam być szczęśliwa ani z nim, ani z dala od niego i nie zamierzałam kłamać.

- Zobaczysz, pomogę ci pozbyć się skrupułów. Pokażę ci, że to dla nas jedyne rozwiązanie.

- Wypróbowane przez baronów i grafów...

- To jedyne rozwiązanie. Musisz zrozumieć, Pippo. Kochasz mnie, czyż nie tak?

- Całym sercem.

- A więc nic innego się nie liczy.

- Wiele jeszcze się liczy.

- Nic, z czym nie można by się uporać.

- Nigdy nie uporam się z nielojalnością wobec Frei.

- Ależ ona jest jeszcze dzieckiem. Gdy dorośnie, zrozumie.

Potrząsnęłam głową.

- Sądzę, że ponieważ tu o mnie chodzi, może nie zrozumieć.

- Zapomnij o niej.

- A ty możesz zapomnieć?

- Ja myślę tylko o tobie.

- Jesteś wytrawnym kochankiem. Mówisz to, co chcę słyszeć.

- Dogadzanie ci stanie się celem mojego życia.

- Proszę, przestań...

Przyciągnął mnie do siebie. Był w niezwykłym nastroju.

- Czy jest możliwe - spytałam - byś mógł pozbyć się odpowiedzialności, ożenić się ze mną, wychować dzieci i żyć jak wszyscy?

- Gdyby Rudolph żył... ale odszedł przedwcześnie, nie zostawiając dziedzica.

Opowiedziałam mu o wizycie w domu Kati Schwartz, o tym, że przyznałam się jej, kim jestem. Nie zaniepokoiło go to w najmniejszym stopniu.

- Jeśli tylko mieli dziecko, i rzeczywiście się pobrali, moglibyśmy zacząć zastanawiać się nad innymi rozwiązaniami.

- Ożeniłbyś się wtedy ze mną?

- Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Jestem przekonana, że moja siostra miała dziecko.

- Nawet jeśli odnaleźlibyśmy dziecko, nie miałyby ono żadnych praw do dziedziczenia.

- Gdyby mieli ślub - miałyby.

- Ale nie mieli.

Chciałam go przekonać, że widziałam ten zapis... ale on przecież widział na własne oczy, że zapisu nie było.

- A gdyby mieli ślub i gdybyśmy odnaleźli dziecko? Choć niemile widziany, ślub jest zawsze ślubem.

Wstąpiła we mnie jakaś szalona nadzieja. Czy sprawiły to magia lasu, niebieska mgła, porośnięte świerkami góry i uczucie, że znalazłam się w zaczarowanej krainie, gdzie wszystko może się wydarzyć?

Oddałam się więc rozkoszy kochania z Konradem w naszym nowym domu. Miałam przeczucie, że odnajdę to, czego szukam.

\* \* \*

Kiedy wróciłam do zamku, poseł wciąż jeszcze w nim gościł. Odetchnęłam z ulgą. Przemknęłam niezauważona do pokoju. Zawsze bezpośrednio po widzeniu się z Konradem obawiałam się spotkania z Freją. Wydawało mi się, że rozpozna, co przeżywałam.

Zdjęłam strój jeździecki i siadłam na łóżku, rozmyślając o minionych chwilach. W pewnej chwili wzrok mój spoczął na toalecie i od razu uderzyło mnie to, że pudełko, w którym trzymałam szpilki do włosów, nie stało na swoim miejscu. Zastanawiałam się, kiedy mogłam je przesunąć. Taki drobiazg, a zdziwił mnie, bo nie ruszałam dziś tego pudełka.

Powinnam była się przebrać. Poseł z pewnością niebawem odjedzie i Freja przybiegnie, by opowiedzieć mi o minionym dniu. Wydoroślała, interesowała się polityką i sprawami państwa, którymi jako Wielka Księżna będzie zajmować się w przyszłości.

Czasami wydawało mi się, że takie życie ją fascynuje. A może zaczynała już kochać Konrada?

Powiesiłam płaszcz i wyjęłam z szafy suknię. Zdjęłam szal i otworzyłam szufladę, by go schować. Miałam kilka szali, które trzymałam w szufladzie razem z rękawiczkami i chustkami. Dziwne, rękawiczki, które kładłam zwykle pod chustkami, leżały teraz na nich.

Nie miałam wątpliwości, że ktoś grzebał w mojej szufladzie. Ale po co?

Ogarnęło mnie przerażenie. W jednej z szuflad, zamkniętej na klucz, trzymałam papiery, które kuzyn Artur pomógł mi załatwić przed wyjazdem z Anglii. Papiery te zdradzały, kim naprawdę jestem.

Rzuciłam się na poszukiwanie kluczy od szuflady. Nie leżały na swoim miejscu. Otworzyłam szufladę i zaczęłam pośpiesznie szukać papierów. Znalazłam je, lecz nie tam, gdzie położyłam.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś wszedł do mojego pokoju, szukał dokumentów, znalazł je, a następnie odłożył klucze z powrotem, ale zrobił to niedokładnie. Kto to był?

W pierwszej chwili pomyślałam: Freja. Nieraz wydawało mi się, że mnie podejrzewa. Wielokrotnie mówiła: „Nie jesteś tą, za którą się podajesz”.

Ale czy to możliwe, by grzebała w moich szufladach w czasie mojej nieobecności? Wkrótce się dowiem.

Jeśli poznała prawdę, opowiem jej całą historię i mam nadzieję, że mnie zrozumie.

Ale naturalnie mógł to zrobić ktoś zupełnie inny.



## Odkrycie

W katedrze, w centrum miasta, miało odbyć się nabożeństwo dziękczynne za powrót do zdrowia Wielkiego Księcia.

Konrad, rzecz jasna, uczestniczył w przygotowaniach, a graf i jego żona oraz Tatiana i Gunther przenieśli się do książęcego zamku na dwie doby, by mu pomagać.

Freja i ja spędzałyśmy dzięki temu ze sobą więcej czasu niż ostatnio. Cały czas nękała mnie myśl, czy widziała dokumenty w mojej szufladzie. Nic jednak o tym nie wspomniała, co wydawało mi się dziwne, niepodobne do Frei. Spodziewałam się raczej natychmiastowego wybuchu pretensji.

Freja sprawiała wrażenie zamyślanej i nieobecnej. Sądziłam, że powodem tego nastroju jest zbliżająca się uroczystość zaślubin.

Wybrałyśmy się na przejażdżkę do lasu. Staralam się omijać drogi prowadzące do dworku myśliwskiego i Marmurowego Domu, Freja zaś, obojętna na wszystko, pozwalała mi wybierać trasę. Ujechawszy kawałek drogi, przywiązałyśmy konie, wyciągnęłyśmy się na trawie i zaczęłyśmy rozmawiać.

- Piękny jest ten las - powiedziałam. - Słyszysz dzwonki w oddali?

- Nie - odrzekła. - Bardzo się cieszę, że Wielki Książę wyzdrowiał.

- Wszyscy się cieszymy. To powód do radości dla całego narodu.

- Gdyby umarł, pewnie już bym była po ślubie.

- Czyżby cię to przerażało? - podpytywałam ostrożnie.

- Wolę jeszcze poczekać - rzuciła od niechcenia.

- Jesteś zakochana w... Sigmundzie? - pytałam dalej.

Milczała, a po chwili stwierdziła:

- Myślę, że jestem zakochana.
- Jesteś więc szczęśliwa.
- Tak, jestem szczęśliwa. Uważasz, że jestem za młoda do małżeństwa?
- Masz jeszcze przecież trochę czasu, prawda? Za rok będziesz wystarczająco dorosła.
- Nie myślę o przyszłości. Zastanawiam się, skąd wiemy, że jesteśmy zakochani?

Milczałam.

- Myślę, że to się po prostu wie i już - stwierdziłam po chwili.
- Ja też tak myślę.
- A więc... jesteś zakochana...? - spytałam i miałam uczucie, że cały las czeka wraz ze mną na jej odpowiedź.
- Tak. Jestem zakochana.

Zarzuciła mi ręce na szyję, przytuliła się mocno i pocałowała mnie. Ja też pocałowałam ją w czoło i zaraz pomyślałam: pocałunek Judasza.

\* \* \*

Czułam się okropnie.

Nabożeństwo dziękczynne zaplanowano na następną sobotę. Dekorowano ulice miasta, organizowano pochody. Nie ulegało wątpliwości, że ludzie bardzo szanowali swego władcę.

Jako następca tronu Konrad został zaproszony do powozu księcia, za nim podążać miały powozy członków rodziny książęcej, notabli oraz cała armia. Uroczystość zapowiadała się imponująco.

- Ja jadę z grafem i hrabiną - oznajmiła Freja. - Tatiana jest wściekła, bo znajdzie się o parę powozów za nami.

Guntherowi jest wszystko jedno. On nie przywiązuje wielkiej wagi do takich spraw. Odnoszę wrażenie, że Tatiana naprawdę mnie nie lubi.

- Dlaczego miałyby cię nie lubić?
- Och, ma swoje powody.
- Wiesz jakie?
- Główny to ten, że nie jest mną. Chciałyby wyjść za Sigmunda i zostać Wielką Księżną.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Wiem to po prostu. Mam oczy otwarte, moja droga Anne. Popatrzyła na mnie zagadkowo i przez chwilę znów przeraziłam się, że widziała dokumenty.
- Tatiana jest bardzo ambitna - ciągnęła dalej. - Nie może znieść myśli, że jest jedynie córką grafa. Na pewno znajdą dla niej świetną partię, ale chciałyby więcej. Sigmunda, naturalnie... Bo za Wielkiego Księcia wyjść nie może.
- Raczej tak.
- Pragnie więc Sigmunda, ale on jest zaręczony ze mną, ona nie ma zatem szans. Biedna Tatiana.
- Myślisz, że kocha się... w Sigmundzie?
- Tatiana kocha się w sobie.
- Frejo, opowiadasz głupstwa.
- Wiem. Ale lubisz mnie taką, jaka jestem. Ciekawe, czy i mój mąż będzie mnie taką lubił?
- Nie mam co do tego wątpliwości.

Gdy wróciłyśmy, czekał na mnie kolejny list od Konrada. Najdroższa,

Kiedy skończą się dziękczynne uroczystości, chciałbym, żebyś opuściła zamek i przeniosła się do naszego domu. Wymyśl jakąś wymówkę dla Frei. Jak już tam będziesz, zaczniemy planować naszą przyszłość.

Twój na zawsze K.

Jak każdy poprzedni, także i ten list wzbudził we mnie mieszane uczucia zadowolenia i niepokoju, a na dodatek przyglądając się pieczęci, odniosłam wrażenie, że została złamana i ponownie sklejona, nim list do mnie dotarł.

Zastanawiałam się, czy to możliwe. Konrad był lekkomyślny. Tak przywykł do posłuszeństwa podwładnych, że nie wyobrażał sobie nielojalności służby.

Ktoś, kto przeczytał ten list, musiał natychmiast zorientować się, co nas łączy. Czy tą osobą była Freja?

Nie. Ona nie trzymałaby czegoś takiego w tajemnicy. Ale nasza ostatnia rozmowa dawała mi wiele do myślenia. Dlaczego poruszyła temat miłości i małżeństwa? Powiedziała, że jest zakochana. Gdyby знаła treść listu, powinna była okazać zazdrość, a nic takiego nie miało miejsca.

Świadomość, że list został przechwycony, nie wpływała najlepiej na moje samopoczucie. Próbowałam uspokajać się, że to tylko moja wyobraźnia i nieczyste sumienie; nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś przeszukiwał mój pokój.

Jedna ze służących zapukała do mnie. Gdy weszła, wyjęła z kieszeni list i oświadczyła:

- Mam to dać panience. Nikomu innemu. Do rąk własnych.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to od Konrada, ale on z pewnością nie prosiłby służącej o doreczenie listu. Charakter pisma, jakim zaadresowano kopertę, nie był mi znany.

- Dała mi ten list pewna młoda kobieta. Powiedziała, że panienska będzie wiedziała, o co chodzi.

Podziękowałam.

Nie mogłam się doczekać, kiedy pokojówka wyjdzie, by otworzyć kopertę.

Proszę przyjechać. Pokażę pani coś, co na pewno pragnęłaby pani zobaczyć.

Katia Schwartz

Rozpierała mnie ciekawość, chciałam natychmiast jechać do Kati.

Nie było to jednak proste. Freja zaczęła mnie pytać, dokąd się wybieram, a może nawet zechce pojechać ze mną. Muszę

poczekać aż do dnia nabożeństwa dziękczynnego. Wypada mi być na uroczystości, ale może uda się znaleźć jakąś wymówkę.

Freja oznajmiła mi, że będę jechała w powozie z panną Kratz i być może z dwiema innymi osobami.

- Droga Anne, przykro mi, że musisz jechać z guwernantką - usprawiedliwiała się.

- Dlaczego ci przykro? Jestem tu zatrudniona jako nauczycielka angielskiego, więc nic w tym dziwnego, że traktuje się mnie jak guwernantkę. Doskonale będę się czuła w powozie dla nauczycielek. A w ogóle to miło ze strony hrabiny, że daje nam powóz.

- No, to już przesadna skromność. Wygląda mi to podejrzenie.

- Podejrzenie? Zmrużyła oczy.

- W co ubierzesz się na uroczystość? - zmieniłam temat.

- W coś jasnego i pięknego. To taka radosna okazja.

- Tak, to rzeczywiście radosna okazja - przytaknęłam. W końcu nadeszła sobota. Cóż to był za wspaniały dzień. Wielki Książę wyglądał świetnie, nie widać było na nim przebytej niedawno choroby. Pozdrawiał wiwatujący tłum z dobrotliwą wyrozumiałością. Konrad jechał wraz z nim - prezentował się niezwykle dostojnie w błękitnym generalskim mundurze i srebrnym hełmie z błękitnym pióropuszem. Freja jechała zaraz za nimi z grafem, hrabiną i ambasadorami Kollenitz. Wyglądała bardzo młodo i pociągająco. Ludzie wiwatowali na jej cześć, co wyraźnie sprawiało jej przyjemność, a dzieci w strojach ludowych wręczały jej kwiaty i śpiewały patriotyczne pieśni. Wśród tłumów powiewały chorągwie.

Dojechaliśmy do katedry. Nabożeństwo dziękczynne rozpoczęło się.

Siedziałam na samym końcu z panną Kratz, która z zapalem i ze łzami w oczach oddawała się śpiewom. Ja

natomiast pragnęłam uciec. Coraz bardziej stawało się dla mnie jasne, że moja obecność okaże się w przyszłości przeszkodą dla Konrada. Muszę wracać do Anglii. Rozpocznę tam nowe życie.

Chciałam wyjść z katedry, chciałam zostać sama, utwierdzić się w powziętym postanowieniu. Jeśli miałam wykonać to, co zamierzałam, nie wolno mi więcej spotkać się z Konradem, on odbiera mi odwagę, okrada mnie z siły woli.

Nabożeństwo skończyło się. Freja i rodzina książęca udali się do Zamku Książęcego na dalsze uroczystości, a panna Kratz i ja mogliśmy wrócić do domu.

Przypuszczałam, że teraz, kiedy Wielki Książę dobrze się czuje, Freja, a ja wraz z nią powrócimy na książęcy zamek, by tam oczekiwać na jej ślub. Próbowałam wyobrazić sobie sytuację, kiedy zamieszkać z Konradem pod jednym dachem, zdawałam sobie sprawę, że zbliża się przełomowy moment w naszych stosunkach.

Do zamku wróciłyśmy o czwartej. Przebrałam się i niezwłocznie ruszyłam do lasu.

\* \* \*

Katia czekała na mnie.

- Wiedziałam, że przyjdzie panienka zaraz, jak tylko to będzie możliwe. Brat jest w zamku. Zajmuje wysoką pozycję pośród książęcej służby.

- Jestem niezmiernie ciekawa...

- Proszę wejść.

Wprowadziła mnie do tego samego pokoju co poprzednio. Wyszła na chwilę, po czym wróciła, trzymając w dłoni coś, co przypominało arkusz papieru.

Stała i patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakby niełatwo było jej pokazać mi to, co zamierzała.

Wreszcie odezwała się niepewnie:

- Jest pani jej siostrą. Była pani ze mną szczerą, choć mogło okazać się to dla niej niebezpieczne. Dlatego uważam, że nie powinnam tego ukrywać.

- Co to jest? - spytałam.

Wręczyła mi papier. Spojrzałam i krew uderzyła mi do głowy. Ręce mi się trzęsły. Widziałam czarno na białym... wyraźnie jak wtedy... podpisy, świadectwo zawarcia związku małżeńskiego.

- O, Boże!... - wyrwało mi się.

- Ta kartka została wyjęta z rejestru, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Mój brat tego dokonał, to on przywiózł ten dokument tutaj.

- Wiem. Ja przecież widziałam ten zapis. Nie mogę teraz jasno myśleć, ale... to bardzo zmienia postać rzeczy... to oznacza...

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- To oznacza, że ślub się odbył. Nie wierzyłam, póki nie zobaczyłam tego papieru. Ona zawsze nazywała go mężem... ale sądziłam, że po prostu czuje się jego żoną. Pokazuję to pani, jestem to jej winna.

- To wyjaśnia tak wiele. Widziałam ten dokument... nim zniknął. Później wydawało mi się nieraz, że postradałam zmysły. Co pani wie jeszcze o tej sprawie?

- Wiem, że mój brat przywiózł to z Anglii.

- Pani brat... oczywiście! To tajemniczy mężczyzna, którego widywałam. Śledził mnie... kiedy szukałam zapisu w rejestrze, po czym usunął go. Nie wiem... nie wiem, jak pani dziękować. Nie umiem wyrazić, jak wiele pani dla mnie zrobiła. Ale dlaczego kazano mu usunąć ten zapis?

- Bo ktoś pragnie unieważnić to małżeństwo.

- Myśli pani, że... graf?

- Niekoniecznie. Mój brat jest szpiegiem. Pracuje dla kilku osób.

Milczałam. Kto chce unieważnić to małżeństwo? Oboje nie żyją, jakie to ma znaczenie? Może być tylko jeden powód. Dziecko.

- Ten dokument stanowi niezbity dowód, że wzięli ślub - stwierdziłam.

W duchu zaś powtarzałam: pójdę do Konrada i powiem mu: „Stało się, czego pragnęliśmy. Jesteś wolny. Jeśli znajdziemy dziecko... jeśli ono żyje, nie jesteś dziedzicem tronu. Możesz zerwać zaręczyny z Freją”. Wydawało mi się, że śnię.

Wpatrywałam się w kartkę papieru - to mój talizman, to klucz do przyszłości.

Dziecko. Muszę odnaleźć dziecko.

Katia przyglądała mi się uważnie. Potrząsnęła głową i powiedziała:

- Pomyślałam tylko, że powinna pani zobaczyć dowód ich ślubu. Nie należy wyciągać dalszych wniosków.

Jej spojrzenie wyrażało niepokój. Miałam wrażenie, że jest przeciwna, żebym szukała dziecka.

- Wiele ryzykowałam pokazując pani ten dokument - powiedziała. - Mój brat... i inni... zabiliby mnie, gdyby wiedzieli.

- Zorientuje się, że go nie ma.

- Nie. On sądzi, że mu go ukradziono.

- Jak to?

- Wracając z Anglii, przyjechał prosto do domu. Dokument trzymał w teczce, którą zawsze zabierał ze sobą w drogę. Wyczerpany po męczącej podróży zasnął. Wtedy zaczęłam szperać w jego rzeczach z ciekawości. Chciałam dowiedzieć się, po co tym razem wyjechał, bo czułam, że to nie była zwyczajna misja, jakie często zlecał mu graf. Zajrzałam do teczki i ujrzałam tę kartkę.

- I zabrała ją pani?



- Nie... nie wtedy. Miał jechać do miasta, do zamku, następnego dnia, ale przedtem musiał podkuć konia. Gdy wyszedł, zainscenizowałam włamanie. Wzięłam dokument i parę innych rzeczy, żeby nie pomyślał, że ktoś włamał się tylko po ten papier. Rozbiłam zamek u drzwi i zrobiłam bałagan w domu. Później zakopałam teczkę pod tabliczką na grobie panienki siostry. Czekałam, żeby pierwszy wrócił do domu i pierwszy zobaczył, co się stało. Wpadł w szal. Powtarzał, że jest skończony. Wściekał się na mnie, że zostawiłam dom bez opieki. Ale skąd mogłam wiedzieć, jak ważne były dokumenty? Nie wyjawiał mi, o co chodziło. Nie odzywał się do mnie bardzo długo... ale czas mija, a ja dalej prowadzę mu dom. Reszta rzeczy nadal jest zakopana przy grobie. Wyjęłam ten dokument po naszym spotkaniu, kiedy powiedziała mi pani, kim jest, pomyślałam, że go pani dam.

- Dobrze pani zrobiła. To jedna z dwóch rzeczy, które przyjechałam udowodnić.

- Nie było żadnego dziecka - stwierdziła stanowczo. - Ale jest świadectwo małżeństwa.

- Jestem pani za wszystko bardzo wdzięczna, ale nie zaniecham dalszych poszukiwań. O! Czy to nie mały woła?

Przytaknęła z uśmiechem.

- Obudził się.

- Proszę go przyprowadzić. Bardzo lubię dzieci, a on wygląda na takiego słodkiego chłopczyka.

Wyszła i wkrótce wróciła z zaspanym jeszcze dzieckiem. Jedną rączką przecierał oczy, drugą przytrzymał zabawkę.

- Dzień dobry, Rudi! - powitałam go. Przyszłam z wizytą do twojej mamy... i do ciebie.

Przyglądał mi się uważnie.

- Co to za zabawka? - spytałam, dotykając miękkiej maskotki.

- To mój trol - wyjaśnił.

- Twój trol?

Zauważyłam, że jedno ucho trola jest wilgotne. Dotknęłam go, Katia roześmiała się.

- Och, takie jeszcze z niego dziecko! Nie położy się spać bez trola. Ssie mu ucho. Pocieszał się w ten sposób, kiedy był maleńki i to mu zostało...

Pokój zawirował mi przed oczyma. Czyż nie to samo pisała Francine?

Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam chłopca.

- Syn mojej siostry też miał na imię Rudolph... Pisała o nim z wielką miłością. On też miał trola, którego brał ze sobą do łóżeczka i ssał mu ucho na dobranoc.

Katia cofnęła się do tyłu.

- Tu prawie wszystkie dzieci mają trole - wyjaśniła pospiesznie. - Dzieci lubią coś ssać... zabawkę... albo róg kołderki... to naturalne.

Trzymała chłopca zerkając na mnie podejrzliwie. Pomyślałam: „To chłopiec, którego szukam. Ten sam wiek. To samo imię i trol”. W tym momencie nie mogłam jednak nic zdziałać.

- Muszę już wracać - powiedziałam, delikatnie dotykając jej ramienia, co od razu poprawiło nastrój.

- Nie wyobraża sobie pani nawet, jak bardzo jestem jej wdzięczna.

Złożyłam papier i wsunęłam go za dekolt. Zostanie tam, postanowiłam, póki nie pokażę go Konradowi.

Pożegnałam się, dziękując raz jeszcze, i pomknęłam w las. Katia patrzyła za mną, trzymając zaspanego chłopca na ręku.

Spędziłam noc w gorączce niecierpliwości. Wpatrywałam się bez końca w zapis z rejestru, przypominając sobie, jak to było, kiedy po raz pierwszy oglądałam go z panną Elton w zakrystii kościoła. Zaczęłam układać poszczególne fakty w całość i okazało się, że tworzą klarowny obraz. Mężczyzna,

który mnie śledził, a którego widziałam na cmentarzu, to brat Kati. Miał on za zadanie zniszczyć dowód ślubu. Myślałam o kościelnym. Dlaczego zaprzeczył, że mnie widział? Oczywiście został przekupiony. Brat Kati zaproponował mi pewnie ogromną sumę, której ten biedak nie był w stanie odrzucić...

Ale teraz miałam dowód w ręku.

Zastanawiałam się, jak natychmiast zobaczyć się z Konradem. Pomyślałam nawet, że pojedę do zamku, ale szybko tego zaniechałam z obawy, że mogłoby to wywołać zdziwienie wielu osób. Musiałam cierpliwie czekać na dogodną chwilę.

Minął kolejny dzień. Przypuszczałam, że Konrad jest zajęty gośćmi z obcych krajów, którzy przybyli na uroczystości dziękczynne. Po południu dostałam jednak list. Chciał się ze mną spotkać, w gospodzie.

Wymknęłam się, nie zastanawiając się nawet, czy będą mnie szukać. Krótko widziałam się z Freją w ciągu dnia. Sądziłam, że przebywa w towarzystwie Tatiany i Gunthera, ale gdy wyruszyłam do gospody, zobaczyłam Tatianę przy stajniach.

\* \* \*

Konrad czekał już na mnie.

- Musiałem się z tobą spotkać - rzekł. - Chodźmy do pokoju.

- Mam ci coś do pokazania - oznajmiłam.

Poszliśmy na górę tylnymi schodami, a gdy zostaliśmy sami, zaczął mnie całować w ów, znany mi, pełen pożądania sposób.

- Dokonałam wielkiego odkrycia - wypaliłam - odkrycia które może wszystko zmienić.

Wyciągnęłam papier z za stanika. Zaczął go oglądać, a potem zdumiony podniósł na mnie wzrok.

- Widzisz! - zawołałam triumfalnie. - To brakująca kartka z rejestru kościelnego. A więc nie kłamałam, mówiąc, że widziałam ten zapis. Zanim jednak zdołałam pokazać go tobie, ktoś go usunął.

- A kościelny?... - pytał zdziwiony.

- Kłamał. Został przekupiony.

- Przez kogo?

- Przez brata Kati.

- Kati?

- Kati Schwartz. Opowiadałam ci o niej. Mieszka w domu, w lesie, niedaleko dworku myśliwskiego. Znała moją siostrę. Widziałam, jak opiekuje się grobem Francine. Zaufałam jej i zwierzyłam się, kim jestem. A ona dała mi to.

- Niewiarygodne!

- Absolutnie wiarygodne. Herzog Schwartz szpiegował dla kogoś, komu zależało na usunięciu tego kawałka papieru.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Dla kogo? - spytał.

- Nie wiem.

- Pippa, nie sądzisz chyba, że to na mój rozkaz?

- Twój ?

- Jeśli zaczniemy szukać powodów, komu bardziej mogło na tym zależeć?

- Konradzie, ale ty nie...

- Oczywiście że nie ja.

- A więc kto?

- Musimy się dowiedzieć.

- Jest tylko jeden powód, dla którego musiano to zrobić.

- Dziecko... - wymówił to wreszcie.

- Tak, dziecko - wykrzyknęłam. - A oni mieli dziecko, inaczej Francine by mi o nim nie pisała.

Milczał. Wyglądał na oszołomionego.

- Gdybyśmy znaleźli dziecko... - naciskałam.

- Ono byłoby następcą tronu - wyszeptał.
- A ty wolnym człowiekiem, Konradzie.
- Jeśli to dziecko istnieje...
- Istnieje. Z pewnością... Jest... gdzieś blisko...
- Znajdziemy je. - I?

Ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie:

- Wtedy ty i ja zdobędziemy wolność, której pragniemy.
- A Freja?
- Będzie musiała czekać, aż chłopiec urośnie. Ile może mieć lat?
- Około czterech.
- Musi więc długo czekać.
- Ty będziesz wolny, Konradzie, a Freja... zraniona.
- Nie ma w tym dla niej nic uwłaczającego, jeśli znajdziemy chłopca.
- Myślę, że już go znalazłam. - Co?!
- Jego opiekunka nie chce się z nim rozstać i pewnie będzie kłamać. Ale ja jestem prawie pewna.
- Kto to jest?
- To Katia Schwartz. Nieszczęsna kobieta. Dała mi dokument z wdzięczności dla Francine. To byłoby dla niej nieszczęście, jeśliby z tego powodu miała stracić dziecko...
- Widziałaś chłopca?
- Tak. Ten sam wiek, jasne włosy, niebieskie oczy, ma na imię Rudolph, tak jak dziecko Francine. Pisała, że miał zabawkę, trola, ssał jego ucho przed zaśnięciem. Kiedy byłam u Kati, dziecko trzymało trola i ssało jego ucho, co podobno robi od urodzenia.
- Sprawdzę wszystko, co wiąże się z tą kobietą. I każdy szczegół dotyczący dziecka.
- Jeśli okaże się, że to prawda... - wyszeptałam.

- Ty chyba jesteś czarownicą - uśmiechnął się. - Przyjechałaś w przebraniu. Odkrywasz tajemnice stanu, oczarowałaś mnie... Kim ty jesteś, Pippo?

- Tą, którą kochasz. Tylko tą chcę być.

Później rozmawialiśmy o tym, jak dalej postępować, jak się zachować, jeśli udowodnimy, że dziecko Kati jest dziedzicem tronu.

- Musiałbym tu zostać, póki mały nie osiągnie dojrzałego wieku - rozważał Konrad. - Moim obowiązkiem byłoby dopilnować, by objął rządy, a także przygotować go, nauczyć zarządzania państwem. Musielibyśmy spędzać dużo czasu w zamku książęcym, ale naszym domem byłby Marmurowy Dom. Och, Pippa... możesz to sobie wyobrazić?

Mogłam i chętnie to sobie wyobrażałam.

- Jutro zaczniemy poszukiwania - ciągnął dalej - i wkrótce odkryjemy prawdę. Katia Schwartz będzie musiała udowodnić, że dziecko, które z nią mieszka, jest jej własnym dzieckiem. Jeśli wszystko okaże się zgodne z naszymi przypuszczeniami, ogłosimy, że Rudolph był żonaty w świetle prawa i miał syna.

W dwie godziny później opuściłam gospodę. Mieliśmy już wychodzić, gdy Konrad powiedział:

- Nie chciałem niepokoić cię wcześniej. Sądziłem, że to może popsuć nasze spotkanie. Za dwa, trzy dni wyjeżdżam omawiać sprawy pewnego traktatu. Ale tylko na tydzień, kiedy wrócę, chcę, żebyś przeniosła się do Marmurowego Domu. Nie traćmy czasu. Chyba że znajdziemy naszego dziedzica, a wówczas trzeba będzie urządzać wesele i zamiast w grzechu żyć w uświęconym związku.

Widziałam, że traktuje całą sprawę znacznie lżej niż ja i poczułam się lekko dotknięta. Czy pozycja, jaką zajmuje, nie znaczy dla niego więcej niż związek ze mną? Czy nie będzie żałował, gdy utraci najwyższą władzę?

Narastało we mnie uczucie niepokoju. Czyż postronny obserwator zapytany, czyim interesom sprzyja ukrywanie małżeństwa Francine z Rudolphem i istnienia ich syna, nie odpowiedziałby, że interesom Konrada? Odepchnęłam od siebie te myśli. Zatrzymałam kartkę z zapisem mówiąc, że umieści ją w sejfie, bo niebezpiecznie, żebym nosiła ją przy sobie.

Przyznałam mu rację. Ale wątpliwości pozostały.

Dzień przed wyjazdem zobaczyłam się z nim jeszcze raz. Przyjechał nieoczekiwanie do zamku grafa pod nieobecność gospodarzy. Freja jeździła konno z Guntherem, Tatiana, jak sądziłam, była z nimi.

Kiedy zobaczyłam, że się zbliża, serce zabiło mi z radości. Powstało wielkie zamieszanie, bo nie miał go kto powitać. Słyszałam głosy w holu, uspokajał służbę, przemawiając w bezpośredni sposób, czym zjednywał sobie sympatię.

- Zostawcie mnie samego - mówił. - Znajdę sobie jakieś zajęcie, póki graf nie wróci.

Zauważył mnie schodzącą ze schodów i wykrzyknął:

- Och, nauczycielka angielskiego! Może pani zajmie się mną przez pół godzinki z pożytkiem dla moich umiejętności językowych.

Podeszłam bliżej i ukloniłam się. Ujął moją dłoń i pocałował ją z kurtuazją.

- Przejdźmy gdzieś, gdzie moglibyśmy pokonwersować, panno...

- Ayres, panie baronie - podpowiedziałam.

- Ach, tak, panno Ayres.

Zaprowadziłam go do małego pokoiku przy holu. Zamknął drzwi i roześmiał się.

- W życiu nie zapamiętam tego nazwiska. Najdroższa Pippa, tak... ale panna Ayres to jakaś całkiem obca osoba.

Wziął mnie w ramiona.

- To niebezpieczne... tutaj - wzbraniałam się.
  - Jeszcze trochę i pozbedziemy się tych wszystkich skrupułów.
  - Dowiedziałeś się czegoś o dziecku? Pokręcił z żalem głową.
  - Nie ma najmniejszych wątpliwości, że chłopiec, którego widziałeś, jest synem Kati Schwartz. Co najmniej kilka osób może to poświadczyć.
  - Ale fakt, że znała moją siostrę... że chłopiec ma trola...
  - Znała twoją siostrę, tak. Nikt temu nie przeczy. Trol jest popularną zabawką. Wszystkie dzieci w tym kraju mają trole i wszystkie ssą ich uszy czy paluchy. Nie, chłopiec z całą pewnością jest synem Kati Schwartz.
  - Musiał więc zostać ukryty gdzieś indziej.
  - Jeśli żyje, znajdziemy go.
  - Jak?
  - Będziemy dyskretnie prowadzić poszukiwania. Jeśli rzeczywiście mieli syna, znajdziemy go. Bo bez chłopca dokument z zapisem niewiele dla nas znaczy.
  - Dla mnie znaczy wiele, dowodzi bowiem, że moja siostra pisała prawdę. A skoro pisała prawdę o ślubie, pisała prawdę także o synu.
  - Odnajdziemy go.
- Drzwi otworzyły się. Stała w nich Tatiana ubrana w strój do konnej jazdy. Udawaliśmy zajętych konwersacją.
- Dowiedziałam się, że pan tu jest, baronie - zwróciła się do Konrada. Proszę nam wybaczyć. To wielkie zaniedbanie, że nie zastał pan nikogo z nas.
- Konrad zrobił krok do przodu, ujął rękę Tatiany i pocałował ją, jak przed chwilą całował moją.
- Droga hrabianko - zaczął. - Proszę uczynić mi tę łaskę i wybaczyć, że przyjechałem o tak niestosownej porze.



- Wrota naszego zamku zawsze stoją otworem przed panem baronem. - Zarumieniła się i wyglądała bardzo ładnie. - Jaka szkoda, że nie mogłam powitać pana barona.

- Panna Ayres czyniła honory gospodyni.

Obrócił się ku mnie i uśmiechnął się. Ciekawe, czy Tatiana zauważyła figlarne ogniki w jego oczach?

- To ładnie z pani strony, panno Ayres - odezwała się chłodno Tatiana. - Ale ma pani, jak sędzę, wiele innych obowiązków.

Dała mi tym samym do zrozumienia, iż powinnam odejść. Skłoniłam się i skierowałam w stronę drzwi.

- Nadarzyła mi się okazja podciągnięcia się w angielskim - zażartował Konrad.

Wychodząc dostrzegłam, jak uśmiecha się do Tatiany. Ogarnęła mnie zazdrość, wściekła zazdrość. Zapomniałam, że jestem tylko nauczycielką angielskiego.

Poszłam do pokoju. Czułam, jak ulatuje ze mnie entuzjazm ostatnich dni. Nic nie wynikło z poszukiwań, a Tatiana dała mi jasno do zrozumienia, jak niska jest tu moja pozycja.

W godzinę później zobaczyłam przez okno, że Konrad odjeżdża. Tatiana odprowadzała go do stajni, wydawali się prowadzić niezwykle ożywioną rozmowę.

\* \* \*

Nie zobaczyłam go więcej przed zapowiadaną podróżą. Dostałam natomiast list, który doręczono mi w dniu jego wyjazdu. Był to jak zwykle czuły liścik, zapewniający o jego tęsknocie i o tym, że gdy wróci, musimy już zamieszkać razem. Marmurowy Dom czekał. Pamiętał o „naszej małej sprawie”, jak ją nazywał, i obiecywał, że gdy tylko się czegoś dowie, natychmiast da mi znać.

Minął jeden dzień i następny. Freja sprawiała wrażenie roztargnionej. To ożywiała się, to znów pogrążała w smutku.

Zastanawiałam się, jak powiedzieć jej o sobie i Konradzie. Im dłużej to trwało, tym bardziej godna pogardy wydawała mi się moja sytuacja. Jak mam to sformułować: „Kocham twojego przyszłego męża. Jesteśmy kochankami i zamierzamy nimi pozostać nawet po waszym ślubie”?

Nigdy nie sądziłam, że wplączę się w taką historię. Żałowałam, że nie mam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć. Odwiedzałam od czasu do czasu Daisy, która zawsze miło mnie przyjmowała, ja zaś lubiłam bawić się z małym Hansem.

Znajdowałam odprężenie w rozmowie z Daisy. Zdradziłam jej to i owo z moich przeżyć. Nie powiedziałam jej oczywiście o odnalezieniu zapisu z rejestru. Czułam, że to zbyt ryzykowne, wspomniałam natomiast o Kati, która opiekowała się grobem Francine.

- Biedna dziewczyna... litowała się Daisy... zgwałcona w lesie... i jeszcze w dodatku potępiona przez starego ojca. Naprawdę, niektórym mężczyznom przydałyby się porządne cięgi.

- Znasz ją, Daisy?

- Widziałam ją raz czy dwa u Giseli. Ale ludzie tyle o niej plotkowali.

- Należałoby przypuszczać, że nie będzie chciała tego dziecka.

- Przeciwnie. Dziecko, jak mówią, ocaliło ją. Gdy się urodziło, bardzo się zmieniła. Stała się oddaną matką.

Hans pokazał mi swoje zabawki, wśród nich zauważyłam trola całkiem podobnego do trola Rudiego.

- Mam nadzieję, że panienka nie zamierza wyjechać - mówiła Daisy. - Przywykliśmy już, że panienka jest w pobliżu. Panna Freja pewnie pozostanie u grafa aż do ślubu. Nie powinna mieszkać pod jednym dachem ze swoim przyszłym mężem... nawet pod tak wielkim dachem. Ciekawe,

czy ten ślub się odbędzie. Gadają, że Sigmund ogląda się za inną.

Czułam, jak się rumienię, sięgnęłam po jedną z zabawek Hansa.

- Tak? - stwierdziłam obojętnie.

- Freja to przecież jeszcze dziecko, więc czego tu się spodziewać.

- I co... mówi się o tym?

- Ludzie często widują go z tamtą.

- I co jeszcze mówią?

- Mówią, że to hrabianka Tatiana. To z nią go widują. Są w wielkiej przyjaźni. I gdyby nie ta umowa z Freją... Rozumie panienska, co mam na myśli.

- Tak. Rozumiem.

- Jak jest naprawdę, to inna sprawa. Myślę jednak, że ślub się odbędzie, jak zaplanowali. Musi się odbyć. Ot, polityka. Sigmund najlepiej to wie. Cokolwiek czuje do Tatiany, poślubi Freję. Widzę, że bardzo panienskę interesuje króliczek Hansa.

- Jest śliczny - udałam zachwyty.

- Raczej okropny, ale każdy ma swój gust, jak mówią. Hansowi się podoba.

Wkrótce pożegnałam się i wróciłam do zamku. Czułam się oszołomiona i nieszczęśliwa.

\* \* \*

Frei nie było. Uświadomiłam sobie, że podczas ostatnich dni tak bardzo zajmowałam się własnymi sprawami, że niewiele o niej myślałam. Panna Kratz twierdziła, że również rzadko ją widuje. Tłumaczyłam jej, że Freja wyrasta z lat szkolnych i trudno się dziwić, że zaczyna unikać lekcji.

- Wszystko to od powrotu barona, od przenosin do zamku grafu.

- To naturalne - obstawałam przy swoim.

Sumienie nie dawało mi jednak spokoju. Może powinnam porozmawiać z Freją. Zastanawiałam się czasami, czy dotarły już do niej plotki o Tatianie.

Spotkałyśmy się wczesnym rankiem, przywitała się ze mną, ale sprawiała wrażenie, że myślami jest gdzie indziej.

- Frejo, czy coś cię trapi?

- Trapi? Mnie? - zaoponowała ostro. - Cóż mogłoby mnie trapić?

- Zapytałam tylko. Wyglądasz trochę...

- Jak wyglądam? - przerwała znowu tym samym tonem.

- Na osobę bardzo czymś zaabsorbowaną.

- Kochana Anne, nie niepokój się o mnie. Wszystko jest w porządku. A mówiąc między nami, co sądzisz o Tatianie?

Pytanie było tak nieoczekiwane, a ja ostatnio tyle myślałam o hrabiance, że aż się wzdrygnęłam. Widocznie Freja to zauważyła, bo roześmiała się.

- Och, wiem, nie twoją jest rzeczą sądzić cokolwiek o Tatianie, ale założę się, że masz o niej swoje zdanie.

- Niewiele ją znam.

- Widujesz ją, to wystarczy. Co do mnie uważam, że Sigmund ją lubi, a nawet bardzo ją lubi.

- Jak mam to rozumieć? - spytałam z drzeniem w głosie.

- Dokładnie tak, jak powiedziałam. Jestem pewna, że wolałby być zaręczony z Tatianą niż ze mną.

- Głupstwa mówisz.

Żadne głupstwa. Ona jest dojrzała... piękna... Uważam, że jest piękna. Czy ty też myślisz, że jest piękna?

- Można ją uznać za piękną.

- A więc czy nie dość ma powodów, by przedkładać ją nade mnie?

- Byłby to niewybaczalny błąd z jego strony - powiedziałam nieco sztucznie, ale zaraz zawstydziałam się i

poczułam podłą oszustką. - Poza tym - ciągnęłam pokorniej - jestem pewna... że on jest... jest...

- Jaki jest?

- Jest... Że honor by mu nie pozwolił myśleć w ten sposób.

- Anne Ayres, czasami wydaje mi się, że jesteś naiwna jak niemowlę. Co ty wiesz o mężczyznach?

- Chyba niewiele.

- Zupełnie nic - stwierdziła. - Po prostu nic. Sigmund jest mężczyzną... a mężczyźni tacy już są... wszyscy... z wyjątkiem księży i starców.

- Myślę, Frejo, że zbyt łatwo puszczasz wodze fantazji.

- Mam jedynie oczy i uszy otwarte. Nie ulega kwestii, że nie tylko mnie pragnąłby poślubić.

- I upierasz się przy Tatianie?

- Mam swoje powody - wyznała ponuro.

Nie mogłam pozbyć się uczucia, że niezbyt ją drażnił fakt istnienia konkurentki, natomiast wyczuwałam w niej jakąś obcość.

## Skala nad urwiskiem

Nawet teraz kiedy przypominam sobie wydarzenia tamtej nocy, nie potrafię uporządkować myśli. Od pierwszej chwili miałam wrażenie, że powtarza się w moim życiu jakiś koszmarny schemat.

Obudziłam się z uczuciem przerażenia. Krzyki, odgłosy pośpiesznych kroków... dziwne dźwięki i nagłe olśnienie, że już to kiedyś przeżyłam... Ależ tak. Gryzący zapach spalenizny, dym w powietrzu.

Wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz.

Palilo się.

Ogarnęła mnie rozpacz. Freja... nie żyje! Zginęła taką straszną śmiercią. Pożar wybuchł w jej pokoju i nie można było jej uratować, nawet gdyby udało się zdusić złowrogie płomienie.

Noc ciągnęła się bez końca. Mimo, iż brygada strażaków z miasta odjechała, koszmarnie nie ustępował. Stłoczeni w holu rozprawialiśmy gorączkowym szeptem.

Nikt nie domyślał się przyczyny nieszczęścia, wiedziano jedynie, że pożar wybuchł w pokoju Freji, i że musiała udusić się dymem prawie natychmiast. Chciano ją ratować, ale nie zdołano wejść do płonącego pomieszczenia.

Siedziałam i trzęsłam się z przerażenia, myślałam o mojej zdolnej uczennicy, którą tak bardzo lubiłam.

Z nastaniem ranka okazało się, że doszczętnie spaliły się trzy czy cztery pokoje między, innymi ten, w którym spała Freja. Mocne kamienne mury sprawiły, że pożar nie rozprzestrzenił się na pozostałe części zamku.

Panna Kratz siedząca obok mnie powtarzała w kółko: „Kto by pomyślał... Taka młoda...”

Nie byłam w stanie rozmawiać o niej. Nigdy jej nie zapomnę, nigdy sobie nie wybaczę, że ją oszukiwałam. Kochana Freja, niewinna i dobra.

Czułam się załamana. Podświadomie myślałam, że to już drugi raz w moim życiu spotyka mnie podobny wypadek. Żywo stanął mi przed oczami obraz pożaru w Kamiennym Dworze i oskarżenia kierowane pod moim adresem.

Przeczuwałam, że czeka mnie coś niedobrego.

Następny dzień włókł się jak senna mara. Jacyś ludzie kręcili się po zamku, wszyscy rozmawiali szeptem. Zamknęłam się w pokoju. Nie mogłam pogodzić się ze śmiercią Frei. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi była bliska.

Niespodziewanie przyszła Tatiana. Otworzyła drzwi mojej sypialni i weszła, nie pytając o pozwolenie. Przez chwilę nic nie mówiła, stała tylko, przyglądając mi się. Wreszcie zaczęła:

- To... twoja robota. Spojrzałam osłupiała.

- Wiem o tobie wszystko - wycedziła. - Byłaś zbyt pewna siebie. Myślałaś, że taka jesteś sprytna. Od razu zorientowałam się, że udajesz kogoś innego. Jesteś Philippa Ewell, siostra Francine Ewell, kochanki barona Rudolpha. Podejrzewałam to, ledwie cię ujrzałam. Widziałam cię przecież w Anglii. Wtedy kiedy wdarłyście się do Folwarku, pamiętasz?

- Przyszliśmy obejrzeć dom. Nie wdzieraliśmy się przemocą.

- Nie pora teraz rozważać szczegóły znaczeniowe niektórych wyrazów. Lubisz przygody... jak twoja siostra. Widziałam twoje dokumenty.

- A więc to ty...

- Powinnam była wyjawić hrabiance, co z ciebie za osoba - głos jej zadrżał. - Biedne, niewinne dziecko... zamordowane.

- Zamordowane! - bełkotałam.

- Proszę mnie nie posądzać o kompletny brak inteligencji, panno Ewell. Wiem, kim jesteś. Wiem o tobie więcej, niż ci się zdaje. Próbowalaś już tego samego z dziadkiem.

Pomyślałaś, że skoro udało się z dziadkiem, uda się także tutaj.

- Ja nie...

- Chcesz powiedzieć, że nie rozumiesz. Rozumiesz doskonale. Nieszczęsny starzec zginął, prawda? Dlaczego nie miałyby zginąć młoda dziewczyna? Oboje stali ci na drodze. Miałaś powód teraz - tak jak miałaś powód wtedy - ale niełatwo będzie wywinąć się spod prawa podwójnej morderczynie... nawet jeśli uważa się za kogoś tak sprytnego, za kogo ty się uważasz.

- Powtarzasz jakieś brednie... kompletne brednie.

- Nie sądzę. I inni także nie dadzą się na to nabrać. Wszystko się zgadza. Zabiegasz o pozycję i bogactwo jak twoja siostra. Ona skończyła zastrzelona w dworku myśliwskim. A jak myślisz, jaki będzie twój koniec?

- Nie masz prawa zwracać się do mnie w ten sposób - przerwałam te absurdalne oskarżenia. - Nie ty mnie zatrudniłaś. Moje usługi nie są już potrzebne. Mogę natychmiast odejść.

- Zbrodnia wymaga kary - powiedziała.

- O co mnie oskarżasz?

- O to, że rozmyślnie zamordowałaś Freję w sposób, który wypróbowałaś na własnym dziadku. Nie zaprzeczysz, chyba, że zacny staruszek udusił się w płonącym pokoju.

- Nie zaprzeczam, ale nie ma to ze mną nic wspólnego.

- Pozwolisz, że będę miała inne zdanie. Dziadek zamierzał cię wyrzucić... więc postanowiłaś z nim skończyć. I trzeba przyznać, wywinęłaś się z tego całkiem zgrabnie.

- To ohydne, co mówisz. Dostałam pieniądze po babce, a nie po dziadku. Nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

- Mamy tam przyjaciół. Dobrze wiem, jak było. Groził, że cię przepędzi i tej samej nocy umarł w tajemniczych okolicznościach. Wiem, że niczego ci nie udowodniono, choć



podejrzenia nie były bezpodstawne, prawda? Za drugim razem postanowiłaś operację przeprowadzić dokładniej, wszelkie dowody w przypadku naszej biednej hrabianki zostały całkowicie zniszczone.

- Jak możesz... Kochałam Freję. Byłyśmy przyjaciółkami.

- Myślisz, że nie wiem, jak bardzo chciałaś się jej pozbyć? Ambitna z panienki osóbką. Myślałaś, że gdy Frei nie stanie, baron Sigmund, wolny od zobowiązań, uczyni cię Wielką Księżną Bruxensteinu.

Patrzyłam na nią osłupiała. Zaśmiała się triumfująco.

- Wiem o spotkaniach... wiem o czułym romansie... Dopiero teraz zaczęłam się naprawdę bać. Zdałam sobie sprawę, że to wszystko idealnie pasuje. Przypomniały mi się te koszmarne tygodnie w Kamiennym Dworze, kiedy żyłam w atmosferze podejrzeń.

Patrzyłam w złą twarz Tatiany i czułam, jak niebezpieczeństwo osacza mnie ze wszystkich stron.

To prawda, że śmierć Frei stwarzała szansę na małżeństwo z Konradem. Ale jak Tatiana mogła mi sugerować coś równie ohydneho!

Konrad z pewnością mi uwierzy. Na pewno natychmiast powróci, gdy tylko dowie się, co spotkało Freję.

Nie potrafiłam trzeźwo myśleć. Próbowалаm jedynie walczyć z ogarniającym mnie bez reszty poczuciem nieuchronnej zguby.

- Byłaś sprytna - ciągnęła Tatiana - ale nie dość sprytna. Za bardzo ufałaś pewnym sferom. Przyjechałaś tu, ponieważ twoja siostra tu przebywała. Sądziłaś, że uda ci się pójść w jej ślady, lecz z większym powodzeniem. Próbowалаś dowieść, że wzięła ślub z baronem Rudolphem.

- Wzięła ślub z Rudolphem - oświadczyłam. Pstryknęła mi palcami przed nosem.

- Ty idiotko! - szydziła. - Kto chciał się pozbyć Rudolpha, jeśli nie Sigmund i jego przyjaciele? Sigmund przechytrzył cię. Opowiedział mi o twoich apetytach. „Tak łatwo dać pannie nadzieję, a zarazem dowiedzieć się tego i owego. Jest przebiegła, ale ma też swoje słabości i ja je poznałem”.

- Nie wierzę ci.

- To właśnie twoja słaba strona. Jesteś zbyt łatwowierna. Ale nie będziemy teraz rozprawiać o twoich przygodach miłosnych z Sigmundem. Nie mają one żadnego znaczenia. Sądziłaś, że ożeni się z tobą, gdy pozbędziesz się Frei. Na twoje nieszczęście Sigmund nie jest taki, za jakiego go masz... w każdym razie za dużo o tobie wiemy. Ta sama sztuczka nie udaje się zwykle dwa razy pod rząd.

- To jakiś koszmarny sen!

- Wyobraź sobie, jak koszmarny okazał się dla Frei.

Ukryłam twarz w dłoniach. Utrata mojej małej przyjaciółki, świadomość, że odkryto, kim jestem, przytyki do Konrada, którym nie dawałam wiary, niebezpieczeństwo, z którego zaczynałam sobie zdawać sprawę - wszystko to wpędzało mnie w rozpacz.

- Zostaniesz zatrzymana - powiedziała Tatiana. - Pod zarzutem morderstwa hrabianki Frei.

- Chcę się widzieć...

- Tak? - drwiła Tatiana. - Z kim to chciałaby się panienka widzieć? Barona Sigmunda nie ma. A nawet gdyby był, z pewnością nie chciałby cię oglądać. Czy jest ktoś jeszcze, z kim chciałabyś się widzieć, gdyby ci pozwolono?

Pomyślałam o Hansie, ale nie miałam prawa go w to mieszać. Pracował u grafa. Pomyślałam też o Daisy. Ale ona była zbyt bliska Hansowi. Kto jeszcze?

Uśmiechała się pogardliwie.

- Nie namyślaj się - rzuciła. - I tak nie pozwolą ci się z kimkolwiek zobaczyć. Spakuj rzeczy. Zabiorę cię stąd dla

twojego bezpieczeństwa. Kiedy się dowiedzą, kto i dla jakich celów zamordował Freję, nie zechcą czekać na sądy i wymierzą sprawiedliwość sami. Nie jest wykluczone, że Kollenitz zażąda wydania ciebie. A wtedy nie chciałabym się znaleźć w twojej skórze, Philippo Ewell.

- Jestem niewinna - wykrzyknęłam. - Kochałam ją, nie zrobiłabym jej żadnej krzywdy.

- Spakuj rzeczy. Moi rodzice uważają, że powinniśmy cię umieścić w bezpiecznym miejscu, do czasu kiedy staniesz przed sądem. Śpiesz się. Nie ma czasu.

Podeszła do drzwi, odwróciła się i rozkazała.

- Bądź gotowa za dziesięć minut.

Drzwi zamknęły się za nią, opadłam na fotel. Czułam się jak w koszmarnym śnie. Nie dość że Freja nie żyje, to mnie posądzono o morderstwo.

\* \* \*

Po półgodzinie jechałam za miasto konno pod strażą. Ludzie stali w grupkach przy zamku i szeptali do siebie. Na ulicach panowała cisza. Wciąż czuło się w powietrzu zapach dymu. Obejrzałam się za siebie, spojrzałam na zamek. Szerniałe mury ostro rysowały się w słońcu.

Miasto zostało z tyłu, wjechaliśmy do lasu. Przejechaliśmy w pobliżu Marmurowego Domu i posuwaliśmy się dalej: przez rzekę, w górę. Niebawem znaleźliśmy się przy Skale nad Urwiskiem. Pamiętałam to miejsce z czasów wypraw z Freją. Opowiedziała mi kiedyś historię skały i niewielkiego zamku stojącego na szczycie góry.

W dawnych czasach trzymano tu więźniów. Skazanym na śmierć dawano zwykle możliwość wyboru: zamiast egzekucji pozwalano im rzucić się ze skały w głęboką przepaść.

Myślę, że byłam w szoku, bo nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje. Jeszcze wczoraj swobodnie poruszałam się

po lasach, a teraz prowadzono mnie pod strażą oskarżoną o zamordowanie osoby, którą kochałam.

Wspinaliśmy się dróżką po zboczu góry, aż dotarliśmy do bramy. Otworzył ją opryskliwy mężczyzna. Obrzucił mnie ciekawym spojrzeniem spod krzaczastych brwi.

- A więc to jest więzień - rzekł. I zwrócił się do mnie: - Proszę zsiąść z konia.

Zsiadłam, a mężczyzna wziął konia i oglądał go pożądlivym okiem. Stała za nim kobieta.

- Tu jest, Marto - wskazał na mnie mężczyzna. Kobieta chwyciła mnie za ramię i zajrzała mi w twarz.

Przeraził mnie jej twardy, okrutny wzrok.

- Zigeuner! - zawołała. Przybiegł wystraszony chłopak w podartym ubraniu. - Weź ją na górę. Pokaż jej, gdzie będzie spała.

Szłam za chłopcem przez hol. Wskazał na spiralne schody, strome, z szorstką liną zamiast poręczy.

- Tędy - powiedział.

- Dziękuję - odrzekłam ku jego zdziwieniu.

Szliśmy w górę bardzo długo, aż wreszcie dotarliśmy na szczyt wieży.

Otworzył drzwi, zobaczyłam małe pomieszczenie, w którym znajdowały się nędzna prycza, stół oraz dzbanek i miska stojąca na rozchwianym stole.

Chłopak patrzył na mnie bezradnie.

- Czy tu... mam zostać?

Kiwnął głową. Wyjął klucz z zamka i powiedział z przepraszającym uśmiechem:

- Żałuję, ale muszę tu panią zamknąć.

- To nie twoja wina. Pracujesz tutaj? Znowu kiwnął głową.

- Jak masz na imię?

- Nazywają mnie Zig, bo jestem Cygan. Przyszedłem tutaj z rok temu i tak już zostałem...

- Niezbyt tu przyjemnie, co?

- Ale mam przynajmniej co jeść.

- Będą mnie tu trzymać?

- Będą się starali panienkę nakłonić.

- Do czego?

Wskazał głową w stronę okna.

- Nie wolno mi tu siedzieć, mogę nie dostać kolacji.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Słyszałam, jak przekręca klucz w zamku.

Co miał na myśli, mówiąc, że będą próbowali mnie do czegoś nakłonić? Podeszłam do okna, zobaczyłam wiszącą nad przepaścią skałę.

Usiadłam na łóżku. Wciąż byłam w szoku, oszołomiona, nie potrafiłam pozbierać myśli. Oskarżono mnie i skazano, nie dając szansy obrony. Czułam się zagubiona i rozpaczliwie samotna.

W głębi duszy wierzyłam jednak, że Konrad mnie odnajdzie. Dowie się, co się stało, i przyjedzie po mnie.

\* \* \*

Po chwili chłopiec przyniósł mi trochę wodnistego gulaszu. Nie mogłam jeść. Patrzył na mnie z politowaniem, gdy odwróciłam się z obrzydzeniem.

- Lepiej zjeść - rzekł.

- Nie chcę tego - odepchnęłam talerz. - Dużo tu takich zamkniętych jak ja?

Potrząsnął głową przecząco.

- Co panienka zrobiła?

- Nic, co by usprawiedliwiało to zamknięcie.

Zostawił talerz na stole. Widok ściętego tłuszczu przyprawiał mnie o mdłości. Wyjrzałam przez okno. Góry... sosny... wielka urwista skała... i przepaść.

To jakiś obłąd, myślałam. Zły sen. Ale takie rzeczy zdarzają się ludziom, którzy zбочą z prostej ścieżki życia. Zбочyłam z tej ścieżki. Gdybym poślubiła kuzyna Artura, nigdy nie znalazłabym się w podobnej sytuacji. Ale również nigdy nie zaznałabym uniesień, jakich zaznałam z Konradem. Wybrałam życie pełne niebezpieczeństw i teraz przyszło za to zapłacić.

Francine postępowała tak samo. Przyplącała to życiem. Czy i ze mną tak się stanie?

Dzień dłużył się niemiłosiernie. Wreszcie zaczęło się ściemniać. Chłopiec przyniósł w żelaznym lichtarzu świecę, której migoczący płomień kładł na ścianach przerażające cienie, co sprawiało, że pomieszczenie coraz bardziej przypominało więzienną celę. Rzucił na łóżko koc.

- W nocy będzie zimno - stwierdził. - Proszę nie mówić, że ja to przyniosłem.

Zabrał talerz z nietkniętym jedzeniem i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

\* \* \*

Noc w Zamku nad Urwiskiem dłużyła się jak wieczność. Leżąc na twardym łóżku, próbowałam uporządkować myśli.

Czy mogłam stąd uciec? To, czego pragnęłam najbardziej, to wytłumaczyć się przed Konradem. Czy on także uważa mnie za winną? Tego bym nie zniosła. To byłoby najgorsze ze wszystkiego.

Ale czy mógłby uwierzyć, że ja ją zabiłam?

Wyobrażałam sobie, jak Tatiana wyjaśnia mi, co mną kierowało. Jak wszystko się w jej opowieści zgadza. „Już raz to zrobiła, dowodziła. Zamordowała własnego dziadka. Ale wykręciła się jakoś i sądziła, że tym razem też jej się to uda. Dzięki Bogu rozszyfrowałam ją i zamknęłam na skale nad urwiskiem. Uznałam, że oszczędzi nam to wielu kłopotów, jeśli skoczy. I skoczyła”.

Ale ja nie skoczę. Znajdę sposób, by się uratować. A jeśli plotki o nim i Tatianie były prawdą? Jeśli bawił się moim kosztem?

Nie powinnam marnować czasu na domysły, tylko zastanowić się nad planem ucieczki. Gdybym mogła uciec na koniu, na którym tu przyjechałam. Ale dokąd? Do Daisy? Poprosić, by mnie ukryła? Do Giseli? Do Kati? Nie śmiałybym narażać żadnej z nich. Znajdowałam się w ręku wrogów, posądzona o okropne morderstwo.

Dowody przeciwko mnie zdawały się być nie do podważenia. Przyjechałam pod zmienionym nazwiskiem. Byłam w zamku, gdy wybuchł pożar. Miałam romans z przyszłym mężem Frei.

Och, Frejo, moja droga, jak ktoś może, choćby przez chwilę sądzić, że potrafiłabym cię skrzywdzić. Myśli kłębiły się w mojej głowie podczas długiej, przerażającej nocy. Wstający świt zastał mnie przy oknie przyglądającą się skale nad urwiskiem.

\* \* \*

Minuty ciągnęły się jak godziny, nim nastąpiło popołudnie. Osłabłam z głodu, ponieważ nic nie jadłam od dnia pożaru. Wyczerpana, zapadłam w drzemkę.

Poza chłopcem nikt do mnie nie wchodził. Jego obecność pozwalała mi lżej znosić odosobnienie, bo najwyraźniej darzył mnie współczuciem. Dla dodania mi otuchy powiedział, że spada się ze skały bardzo szybko i śmierć następuje, zanim jeszcze dosięgnie się dna przepaści.

Wspominałam przeszłość. Czułam zapach morza i kwiatów na Wyspie. Słyszałam głos ojca: „To piosenka Pippy: Ślą łaskę niebiosy, Jest dobrze na Ziemi!”

Zig przyniósł następny talerz gulaszu. Odwróciłam się ze wstrętem.

W górach panowała taka cisza, że głos niósł się bardzo daleko. Usłyszałam więc jeźdźców, zanim ich zobaczyłam.

Podeszłam do okna. Zbliżali się do zamku. Było ich sześciu. Konrad, pomyślałam. Ale nie! Nie dostrzegłam go pośród nich. Niemożliwe, bym go nie rozpoznała. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyłam, że na czele jedzie Tatiana, a pozostali to strażnicy.

Wiedziałam, że Tatiana jest zdecydowana mnie zniszczyć.

Patrzyłam, jak zsiadli z koni i weszli do zamku. Czekałam w napięciu, wiedząc, że Tatiana wkrótce do mnie przyjdzie. Nie myliłam się. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku i stanęła przede mną.

- Mam nadzieję, że uznałaś swoją kwaterę za wygodną - odezwała się, krzywiąc usta w ironicznym uśmiechu.

- Nie muszę chyba odpowiadać.

Zachowywałam się zuchwale. Wiedziałam, że mam umrzeć, ale nie zamierzałam okazać się tchórzem.

- Zebrano wszystkie dowody i uznano cię za winną - stwierdziła.

- Jak mogliście beze mnie uznać mnie za winną?

- Twoja obecność nie była potrzebna. Fakty mówią za siebie. Spotykałaś się z baronem w gospodzie. On to przyznaje. Wyraźnie twierdziłaś, że wyszłabyś za barona, gdyby nie jego zaręczyny z Freją. Trudno o silniejsze motywy. Próbowalaś tego samego z dziadkiem. Pozbywasz się ludzi, którzy stoją ci na drodze. Karą za morderstwo jest śmierć.

- Każdy ma prawo do uczciwego sądu. Takie jest prawo.

- Czyje prawo? Może prawo twojego kraju. Ale nie jesteś w swoim kraju. Trzeba się podporządkować prawu, jakie panuje tu, gdzie się mieszka. Zostałaś uznana za winną i karą jest śmierć. Byłoby dla ciebie niebezpieczne, gdybyś wróciła na sąd. Mogłoby to nawet wywołać wojnę między krajem Frei i moim. Freja była kimś bardzo ważnym i Kollenitz może



zażądać wydania morderczynie. Dlatego daliśmy ci możliwość wyboru.

- Proponujesz mi skok ze skały? - zapytałam.

Przytaknęła.

- Oszczędziłoby to wielu kłopotów... Rzucisz się ze skały, a my wyślemy twoje szczątki do Kollenitz jako dowód, że morderczynie hrabianki nie żyje. Wyrok musi być wykonany przy świadkach. Wyruszamy za dziesięć minut i zrobisz, co należy.

- Nie zrobię tego - powiedziałam.

Uśmiechnęła się.

- Wytłumaczymy ci, że powinnaś zmienić zdanie.

- Rozumiem, co to oznacza. Czy to... twój rozkaz?

- Mój i innych.

- Kim są ci inni?

- Wielki Książę, baron Sigmund, moi rodzice. Wszyscy się zgadzamy, że to najlepsze i najbardziej ludzkie rozwiązanie...

- Nie wierzę. Myślę, że to wyłącznie twój rozkaz. Uniosła brwi zniecierpliwiona.

- Przygotuj się. To już niedługo.

Wyszła.

Stałam przy oknie. Śmierć, myślałam. Skok i... ciemność. A Konrad? Gdybym mogła go chociaż zobaczyć... usłyszeć, że naprawdę mnie kochał... że nie bierze udziału w tej egzekucji... Ale już nigdy go nie zobaczę. Nigdy się nie dowiem.

Stanęli w drzwiach. Mężczyzna i kobieta. Mieli szare twarze bez wyrazu, zimne, obojętne twarze, jakby śmierć była czymś zwyczajnym w ich życiu. Ciekawe, jak wielu ludzi zrzucili ze skały.

Nałożyłam płaszcz. Mężczyzna poszedł pierwszy, ja za nim, za mną kobieta. W holu dołączyła do nas reszta. To był

mój pogrzeb. Towarzyszyli nam tylko moi wrogowie. Z wyjątkiem chłopca - stał na uboczu z półotwartymi ustami i w jego oczach malował się prawdziwy żal.

Wyszliśmy na zimne górskie powietrze. Oddychałam pełną piersią po dniu przebywania w zamknięciu. Dostrzegłam małą białą szarotkę i srebrzysty strumyczek wijący się po zboczu. Wszystko wydawało mi się takie wyraziste. Czy dlatego, że miałam to opuścić na zawsze?

Oczy Tatiany błyszcząły. Nienawidziła mnie. Czekwała na tę chwilę, kiedy znajdę się na krawędzi skały i zniknę z jej życia na zawsze.

Jechaliśmy kawałek drogi konno. Potem zostawiliśmy konie i ruszyliśmy piechotą na szczyt porośnięty gdzieniegdzie trawą. Brunatna ziemia chrzęściła pod stopami.

Nagle na tle nieba, na samym szczycie skały, w miejscu, skąd miałam skoczyć, ukazała się naszym oczom nieruchoma sylwetka.

Mam halucynacje, pomyślałam. To się zdarza, gdy kogoś prowadzą na śmierć. Nagle usłyszałam swój własny krzyk: "Freja!"

Sylwetka dalej tkwiła w miejscu nieruchomo. Była niematerialna. Wyrosła z mojej rozgorączkowanej wyobraźni.

Odwróciłam się do Tatiany. Patrzyła przed siebie, blada jak płótno, trzęsąc się ze strachu. Nagle zjawa ruszyła w naszą stronę. Tatiana zaczęła krzyczeć:

- Nie... nie... ty nie żyjesz.

Chciała uciekać i zobaczyłam, że próbuje się wyrwać z rąk towarzyszącego nam mężczyzny. Freja zaś mówiła:

- Anne... Anne... ona chciała zrzucić cię ze skały. Anne, co z tobą? Czyżbyś myślała, że jestem duchem?

Podbiegła i przytuliła mnie mocno. Łkałam, nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Ona tutaj... Uratowała mi życie.

- Anne, uspokój się. Nie jestem duchem.

Freja krzyknęła i paru jeźdźców wynurzyło się z za skały. Wśród nich znajdował się Gunther, który zwrócił się do mężczyzny:

- Odprowadź moją siostrę do zamku. Pojedziemy za wami. W zamku Freja zaprowadziła mnie do małego pokoju przy holu, posadziła na krześle, a sama wzięła stołeczek i przysiadła u moich stóp. Nie życzyła sobie, by ktokolwiek prócz nas obu uczestniczył w tej rozmowie.

- Muszę ci wiele rzeczy wyjaśnić... na osobności... Gunther przyjdzie, kiedy go zawołam.

- Och, Frejo, nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o tym, że jesteś... żywa... a my uważaliśmy...

- Nie wolno ci się tak rozczulać. Gdzie podziała się moja opanowana nauczycielka angielskiego? Posłuchaj, nie zamierzałam dać się zmusić do małżeństwa...

- Z Sigmundem?

- Nie chciałam go, tak jak i on mnie. Dlaczego mielibyśmy brać ślub wbrew naszej woli? To idiotyczne. Uważałam, że musimy się temu sprzeciwić. Gunther też tak uważał. On i ja postanowiliśmy się pobrać. Nigdy nie wyrażono by na to zgody, więc jedynym sposobem było wziąć ślub i oświadczyć: „Pobraliśmy się!” Pobraliśmy się i skonsumowaliśmy małżeństwo. Nie mogę więc poślubić nikogo innego.

- Frejo... Och, Frejo... czy to nie nazbyt pochopna decyzja?

- Postanowiliśmy uciec. Opatrzność sprzyjała nam tej nocy. Zrolowałam parę ubrań i wsadziłam je pod kołdrę, zanim wyszłam. Wyglądało to tak, jakbym spała w łóżku. Zrobiłam to na wypadek, gdyby ktoś wszedł i wszczął alarm, zanim zdążylibyśmy odjechać dostatecznie daleko... Tatiana planowała wejść, uderzyć mnie, bym straciła przytomność, a potem podpalić. Uświadomiłam to sobie potem, gdy

wróciliśmy, i powiedziano nam o pożarze... Bo widzisz, ona zjawiała się w moim pokoju, jeszcze zanim uciekłam... Siedziałam za zasłoną przy oknie w szlafroku narzuconym na ubranie, gotowa wymknąć się, jak tylko Gunther da mi znak. Nagle drzwi uchyliły się ostrożnie. Z mojego ukrycia zobaczyłam, jak Tatiana skrada się w stronę mojego łóżka. W rękę trzymała pogrzebacz.

Nie zapaliłam światła, by nie zdradzić mojego przebrania, zapytałam więc tylko... „Czego sobie życzysz, Tatiano?” Straszliwie się przeraziła. Wykrztusiła, że wydawało jej się, że ją wołam. Upewniłam ją, że nikogo nie wołałam, i spytałam, co trzyma w rękę. Bełkotała: „Nie zdążyłam odłożyć... właśnie poprawiałam drwa na kominku... kiedy usłyszałam, że wołasz...” Zabrzmiało to dziwacznie, ale co innego miałam wówczas na głowie i zapomniałam o Tatianie. Zresztą wkrótce potem Gunther i ja byliśmy już w drodze. Pojechaliśmy do pastora, który udzielił nam ślubu. To cudowne, brać ślub z tym, z tym „jedynym”...

- Och, Frejo... najdroższa...

- Skończ już, proszę, z tymi łzami. Ja żyję i tobie nic nie grozi. Obie miałyśmy szczęście. Gunther jest wspaniałym mężem... stokroć lepszym niż byłby Sigmund. Kto by tam chciał być Wielką Księżną. Wolę być żoną Gunthera i myśleć o naszych przyszłych dzieciach... podobnych do niego... a może do mnie... Nie jestem przecież taka brzydka, prawda? Gunther uważa, że jestem piękna.

- Oj, Frejo, przestań. Bądź poważna. Czy Sigmund wrócił?

- Próbowali go odnaleźć, żeby powiedzieć mu, co się stało. Gdy się pojawiłam z Guntherem, powstało okropne zamieszanie. Uznano bowiem wcześniej, że ty jesteś winna morderstwa i, jak mi powiedziano, wywieziono cię w bezpieczne miejsce. Możesz sobie wyobrazić osłupienie

wszystkich, gdy się pojawiłam. Graf i jego żona poczuli się zagrożeni. Wiesz dlaczego, prawda? Myśleli, że jak mnie się usunie, Sigmund dostanie się Tatianie. A tu ja wracam... Nie ma ofiary ani morderstwa... a oskarżoną uwięziono na ich rozkaz! Bałam się, że wróciłam za późno, by cię uratować. Choć wiedziałam, że zrobiła to Tatiana. Weszła ponownie po ciemku do mego pokoju, uderzyła zrolowane ubrania, myśląc, że to ja, po czym podpaliła łóżko. A potem zrzuciła winę na ciebie. Jak usłyszałam, że wywieziono cię na skałę nad urwiskiem, zrozumiałam, co ci grozi. Postanowiłam więc udać ducha. Wiedziałam, że jest przesadna, i oszaleje ze strachu. Zobaczyć ducha kogoś, kogo się zamordowało! Byłam niezła, co? Pewno już przyznała się do winy...

Nie minęła godzina, gdy zjawił się Konrad. Kiedy znalazłam się w jego ramionach, myślałam, że umrę ze szczęścia. Przejście ze skrajnej rozpacz do największej radości nastąpiło zbyt gwałtownie. Gdy stałam przed nim, a on trzymając mnie w uścisku oglądał każdy szczegół mojej twarzy, jakby chciał się upewnić, czy to naprawdę ja, dziwiłam się, jak mogłam w niego zwątpić.

Freja patrzyła na nas z satysfakcją.

- Cóż za wspaniałe zakończenie - powiedziała. Rozumiem teraz, co znaczy: „I żyli długo i szczęśliwie”. I pomyśleć, że to wszystko dzięki mnie. Choć trzeba przyznać, że i Gunther maczał w tym palce. Gunther! Gunther! - zawołała męża.

We czwórkę śmialiśmy się i ściskali.

Wiedziałam, że czeka nas jeszcze wiele trudności, teraz jednak cieszyliśmy się, że jesteśmy razem.

Konrad opowiedział mi o swoim przerażeniu, kiedy wróciwszy do zamku Wielkiego Księcia usłyszał, że Freja nie żyje, a mnie oskarżono o morderstwo i wywieziono na skałę nad urwiskiem. Później dowiedział się, że Freja poślubiła Gunthera, popędził więc nad urwisko w rozpacz, że

przyjedzie za późno. I rzeczywiście przyjechałby za późno, gdyby nie Freja.

- Och, Frejo - rzekł - nigdy nie potrafię ci się odwdzięczyć!

Freja patrzyła na nas niczym dobrotliwa bogini, którą zawsze pragnęła zostać.

- Nie wiem, czy powinnam okazywać ci tyle wyrozumiałości, skoro wybrałeś inną - skarciła go surowo.

- Ty natomiast - odparował - po prostu rzuciłaś mnie dla innego i z nim uciekłaś.

- Nic to wobec twojego postępu! Zakochać się w mojej nauczycielce! Ale nie szkodzi. Wybaczam ci, bo tak się składa, że i mnie samej bardzo się ona podoba. A co gorsza, teraz będę musiała zwracać się do niej: Philipppo! Nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

- Uczynimy tak jak Freja - zdecydował później Konrad. - Weźmiemy zaraz ślub.

- Wciąż jesteś następcą Wielkiego Księcia - przypomniałam mu.

- Ale nie jestem już zaręczony z Freją. To ona zerwała zaręczynowy kontrakt, więc i ja mogę się ożenić wedle własnej woli.

- Może się to nie spodobać twoim poddanym.

- Muszą się zgodzić albo skazać mnie na banicję.

- Dużo więc ryzykujesz.

Pojechaliśmy z Freją i Guntherem do Marmurowego Domu i tam pastor udzielił nam ślubu.

- Stało się - uśmiechnął się Konrad. - Nie ma odwrotu.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz żałował.

We czworo wróciliśmy do miasta i niepostrzeżenie dotarliśmy do zamku. Zostałam przedstawiona księciu i Konrad poinformował, że wzięliśmy ślub. Wraz z Freją i Guntherem staliśmy przed starcem.

Pobłogosławił nas, choć uważał sytuację za dość kłopotliwą. Postąpiliśmy wbrew ogólnie przyjętym tu zasadom.

W końcu jednak spojrzął na Konrada życzliwie i zażartował:

- Widzę, że będę musiał jeszcze trochę pożyć, by umożliwić ludziom przyzwyczajenie się do nowej sytuacji.

Potem zwrócił się do mnie i już poważnie dodał:

- Wiem, że zostałeś niesłusznie posądzona, wiem też, że twoja przyjaźń z baronem trwa od dawna. Weszłaś na niełatwą drogę. Ale mam nadzieję, że uczucie do męża pozwoli ci przezwyciężyć trudności.

Pocałowałam go w rękę i podziękowałam za życzliwość. Wydał mi się dostojny i bardzo miły.

Konrad opowiedział mi później, że wytłumaczył stryjowi złożoność sytuacji. Tatiana pragnęła zostać Wielką Księżną i cel ten starała się osiągnąć przez małżeństwo. Dwie osoby stały jej na drodze: Freja i ja. Postanowiła więc pozbyć się nas obu jednocześnie. Świetnie wiedziała o wydarzeniach w Anglii, ponieważ rodzina jej należała do frakcji, której zależało na wyeliminowaniu Rudolpha i osadzeniu na jego miejscu Sigmunda.

- Tego rodzaju intrygi w małych księstwach nie ustają - tłumaczył mi Konrad. - Zawsze uważałem, że powinniśmy połączyć się w jedno silne państwo. Na razie ciągle walczymy między sobą. Tajne stowarzyszenia nieustannie podżegają przeciw sobie. Trudno będzie oskarżyć kogoś konkretnego o zamordowanie Rudolpha. Z całą pewnością wynajęto do tego celu płatnego mordercę.

- Może to brat Kati?

- Bardzo prawdopodobne. Są powody, by przypuszczać, że działał na rozkaz, tak jak żołnierze. Nie można go więc oskarżyć o morderstwo. To samo może przydarzyć się nam.

Wzięłaś to pod uwagę, Pippo, wychodząc za mnie? Tutaj żyje się niebezpiecznie.

- Wiem, na co się zdecydowałam - powiedziałam z przekonaniem.

- Może być też tak, że ludzie nie przyjmą z entuzjazmem naszego małżeństwa. Kollenitz nie może protestować, bo to Freja zerwała kontrakt. Ale tutejsi...

- Woleliby, żebyś ożenił się z Tatiana?

- Już nie... Tatiana prawdopodobnie będzie musiała wstąpić do klasztoru. Tak się robi w podobnych przypadkach. Zawsze była niezrównoważona. Jeśli o nas chodzi, Pippo... musimy czekać. Odbędzie się jeszcze jedna ceremonia zaślubin, uroczysta, z festą na ulicach. Przykro mi, ale skoro już wyszłaś za mnie, musisz się z tym pogodzić. Stanę przed nimi twarzą w twarz... Myślę, że cię polubią... z czasem. Nie mają zresztą wyboru... Może dojdą do wniosku, że to romantyczne... Tutejsi ludzie są romantyczni. Frei wybaczone. Witano ją kwiatami i wiwatowano, gdy jechała przez miasto. Zawsze ją lubiono.

- To zrozumiałe - stwierdziłam. - Freja jest czarująca, młoda, bezpośrednia...

- Gunthera także polubią. Ludzie przepadają za miłosnymi historiami, więc fakt, że uciekła z ukochanym, podziałał na ich wyobraźnię... miejmy nadzieję, że podobnie i nas potraktują.

- Konradzie - spytałam otwarcie - nie chciałbyś opuścić tego kraju, prawda? Tak wiele dla ciebie znaczy... Jego oczy wyraźnie mówiły „nie”.

Wychował się tutaj. Tu było jego miejsce. Musiałam się z tym pogodzić.



„Ślą łaskę, niebiosy...

Dwa miesiące później odbyła się uroczysta ceremonia naszych zaślubin. Już wtedy wiedziałam, że będę miała dziecko. Ta myśl dodawała mi otuchy. Czułam się związana z krajem Konrada, dziecko, które nosiłam, odziedziczy tron.

Konrad wyglądał wspaniale. Ja miałam na sobie białą suknię zdobioną perłami. Freja zapewniała mnie, że prezentuję się niezwykle dostojnie, jak prawdziwa Wielka Księżna. Obecność Wielkiego Księcia podczas uroczystości odebrano jako oficjalną akceptacją naszego związku.

Później jechałam ulicami w powozie, na którym widniały książęce herby. Stałam na balkonie zamku, mając po jednej stronie Konrada, a po drugiej Wielkiego Księcia - ludzie wiwatowali na naszą cześć.

Konrad nie posiadał się z radości. Tamtej nocy powiedziałam mu o dziecku.

\* \* \*

Miało się urodzić za sześć miesięcy. Wiodłam spokojny żywot w Marmurowym Domu. Wyjeżdżałam czasami małym powozem, który oddano do mojego użytku. Ze względu na swoje rozmiary nie rzucał się w oczy, toteż podróżowałam nie zwracając niczyjej uwagi.

Sprowadziłam do Marmurowego Domu Ziga, chłopca, z Zamku nad Urwiskiem. Nie zapomniałam współczucia, które mi okazał, gdy bardzo tego potrzebowałam. Umiał okazywać wdzięczność; wiedziałam, że znajdę w nim oddanego sługę.

Często odwiedzałam Daisy. Ilekroć do niej wstępowałam peszyło ją to, lecz już po pięciu minutach zapominała o mojej pozycji i znów byłam dla niej panną Pip.

Aż tu naraz... Stało się to, kiedy straciłam już nadzieję.

Przyjechałam kiedyś niespodziewanie i zastałam u Daisy Gisele. Wprowadzono mnie do małego saloniku, gdzie bliźniaki Giseli bawiły się z Hansem.

- Ach, gdzieby tu panią baronową posadzić... - Daisy kręciła się w miejscu z wypiekami na twarzy, Gisela też nie wiedziała, jak ma się zachować.

- Na litość boską, Daisy, przestań - zirytowałam się. - Przecież ja się nie zmieniałam.

Daisy puściła oko do Giseli.

- Słuchaj no tylko, co mówi przyszła Wielka Księżna. Jak się łaskawa pani dzisiaj czuje? Jak maleństwo?

- Wyjątkowo ruchliwe.

- To dobry znak.

- Dobry, ale uciążliwy. A jak mały Hans?

- Hans to dobry chłopiec...

- A bliźniaki?

Bliźniaki przyglądały mi się uważnie, próbując naśladować pełne respektu zachowanie starszych.

- My się przecież znamy - zwróciłam się do Karla. Przytaknął.

- Pokażcie mi więc swoje nowe zabawki.

Gretchen podniosła z podłogi kudłate jagniątko i podała mi je.

- Bardzo ładny zwierzaczek - powiedziałam. - Jak ma na imię?

- Franz - odparła Gretchen.

- Śliczny.

Dzieci kiwnęły głowami.

- Ładnie się bawią - bliźniaki i Hans - stwierdziła Daisy. - Lubimy się nawzajem odwiedzać.

Przyznałam, że to miłe.

- Zobaczysz panienka, jak będzie miała swoje - ciągnęła Daisy.

- Wszystkie dzwony się odezwą - dodała Gisela.

- Ja mam dzwon - wtrąciła Gretchen.

- A ja mam lisa... małego lisa - dodał Karl.

- Jak ma na imię? Karl zbliżył się do mnie.

- Kubuś - wyszeptał.

Zamarłam w bezruchu. Przypomniałam sobie listy Francine, słowo po słowie, pamiętałam je doskonale, czytałam je przecież tyle razy. - Jak go nazywasz?

- Kubuś! - zawołał. - Kubuś! Kubuś!

- Dlaczego?

- Bo tak mówiła na mnie mamusia - wyszeptał. - Dawno, dawno temu... kiedy miałem inną mamusię.

W pokoju zapadła cisza. Gisela zrobiła się biała jak płótno. Karl schwycił liska i powtarzał: „Kubuś! Mój kochany Kubuś!”

- A więc to jest dziecko Francine. To Karl jest jej dzieckiem - usłyszałam swój głos.

Nie przeczyła. Stała i wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami.

\* \* \*

Gisela zdała sobie sprawę, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko powiedzieć całą prawdę. Zapewniła mnie, że nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, przysięgła bowiem Francine, że tego nie zrobi, póki nie będzie absolutnie pewna, że dziecku nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Francine wiodła samotne życie w dworku myśliwskim, czekając na wizyty Rudolpha. Zaprzyjaźniła się z Gisela i Katią i za pośrednictwem Kati dochodziły do niej wieści o intrygach. Musiała podejrzewać, że życie Rudolpha jest zagrożone, toteż kiedy stwierdziła, że jest w ciąży, zaczęła lękać się w dwójnasób. Żyjąc w ukryciu mogła z łatwością utrzymać w tajemnicy ciążę. Miała oddanych przyjaciół w obu kobietach, w pastorce i akuszerce - wszyscy oni mieszkali niedaleko dworku. Francine i Rudolph postanowili zataić fakt narodzenia się następcy tronu, póki nie nastaną czasy na tyle

bezpieczne, by to ujawnić. Dzięki przyjaciołom plan ten udało się przeprowadzić.

Wielki Książę nie wiedział o ślubie syna. Rudolph bał się wyznać to ojcu w związku z trudną sytuacją polityczną i koniecznością korzystania z pomocy Kollenitz. Gdyby okazało się, że Rudolph odtrącił rękę Frei, mogłoby to - doprowadzić do konfliktu zbrojnego.

Tak więc wzniesiono gruby mur tajemnicy. Rudolph - jak z tego wszystkiego wynikało - człowiek czarujący, lecz słaby, w każdej sytuacji starał się unikać zagrożeń.

Kiedy dziecko przyszło na świat, nadano mu imię Rudolph. W tym samym czasie Gisela urodziła Gretchen, wydawało się więc genialnym posunięciem przypisać jej bliźnięta. Francine mogła mieć w ten sposób dziecko obok siebie. Miała blisko ich oboje, Gretchen i chłopca, którego dla bezpieczeństwa nazywano Karl.

Francine żyła w nadziei, że Rudolph zwierzy się ojcu z ich wspólnej tajemnicy, ale on wciąż odkładał tę chwilę, aż przyszła noc, dziecko miało wtedy około roku, kiedy Rudolph i Francine zostali zamordowani.

Gisela żyła w ciągłym strachu. Kochała przybrane dziecko i wiedziała, że jeśli się wyda, kim naprawdę chłopiec jest, jego życiu zagrozi niebezpieczeństwo. Ponadto przysięgła Francine, że nie zdradzi tożsamości dziecka, dopóki nie uzyska absolutnej pewności, że zostanie ono uznane za dziedzica tronu.

\* \* \*

Wielki Książę z powagą wysłuchał całej historii. Następnie na tajnym posiedzeniu przekazał ją swoim ministrom.

Decyzję podjęto jednomyślnie. Prawo dziedziczenia musi zostać zachowane. Dziecko jest następcą tronu księstwa, a

zatem powinno być kształcone i wychowywane tak, by w przyszłości mogło przejąć swe obowiązki.

Zdecydowano, że decyzja ta zostanie podana do publicznej wiadomości. Małżeństwo Rudolpha i Francine zostało dowiedzione. Byliśmy przecież w posiadaniu zapisu z rejestru kościelnego, bez trudu odnaleźliśmy więc pastora, który udzielił im ślubu.

Akuszerka oraz pozostałe osoby, które miały choćby najmniejszy udział w tamtych wydarzeniach, złożyły oświadczenia w celu ustalenia prawdy.

Tamte dni utkwily w mej pamięci jako najbardziej niezwykle dni mojego życia. Pamiętam, jak jechaliśmy ulicami z Konradem, Wielkim Księciem i Karlem - teraz już Rudolphem.

Karl przyjmował to w sposób tak naturalny, jak gdyby jazda w książęcym powozie dla dziecka wychowywanego w leśnej głuszy była czymś najzwyczajszym w świecie.

Z jednym tylko nie chciał się pogodzić, z tym mianowicie, że rozdzielono go z Gretchen. Postanowiono więc, że Gretchen zamieszka w zamku, by dalej mogli przebywać razem.

Giselę rozpierała dumna. Odczuwała też ulgę, pozbyła się bowiem wielkiego ciężaru. Zawsze bała się o Karla. A teraz oto jej mała Gretchen mieszka w zamku i wychowuje się razem z następcą tronu, czegoś takiego nie podejrzewała w najśmielszych marzeniach.

O tak, był to szczęśliwy dzień, gdy piękna dama z Anglii obdarzyła ją swoją przyjaźnią.

Zadziwiające, jak szybko zapomina się o sensacjach. Po sześciu miesiącach tamte wydarzenia przeszły już do historii, a w rok później, gdy zmarł Wielki Książę, Bruxenstein miało regenta - Konrada, którego żona, choć była niegdyś jedynie nauczycielką angielskiego hrabianki Frei, otrzymała tytuł

baronowej. Miałam już wtedy syna, któremu dałam imię Konrad, po ojcu, a Freja, która sama miała wkrótce stać się matką, została jego chrzestną.

Traktowałam wielkie uroczystości jako jeden ze sposobów spędzania czasu i póki byłam z moimi bliskimi, czułam się szczęśliwa. Ku mojemu zdziwieniu, w ostatnich miesiącach życia Wielkiego Księcia zawiązała się między nami pewnego rodzaju przyjaźń. Gdy szok minął, książę okazywał nawet zadowolenie z obrotu wypadków, tym bardziej że kraj rozwijał się i panował w nim pokój.

Freja i Gunther byli szczęśliwi. Graf i hrabina, których nigdy ani dobrze nie znałam, ani nie rozumiałam, musieli zaakceptować istniejący stan rzeczy. To, że należeli do frakcji odpowiedzialnej za zamordowanie Rudolpha, wydawało się bardzo prawdopodobne. Czy snuli wówczas plany związku Tatiany z Sigmundem, czy uważali, jak wiele innych osób, że rządy Rudolpha okażą się zgubne dla Bruxensteinu - nie wiem. Wiedziałam jedynie, że Sigmund nie przyłożył ręki do unicestwienia Rudolpha.

- To przeszłość - powtarzał mi nieraz - niczego nie osiągniemy, nawet jeśli uda nam się rozwikłać tę zagadkę... nawet jeśli dowiemy się całej prawdy.

Naturalnie miał rację.

Tatiana pozostawała w klasztorze. Wprawdzie próbowała zabić i Freję, i mnie, lecz póki przebywała w zamknięciu, byliśmy gotowe o tym zapomnieć.

Tak mijały miesiące.

\* \* \*

Kiedy mój syn skończył dwa lata, wybraliśmy się z Konradem w podróż do Anglii. Przygotowano Folwark na nasz przyjazd. Niezwykłym przeżyciem było zobaczyć znów rząd chat, matkę Daisy wysiadującą wieczorami przed domem, lub rozwieszającą wypraną bieliznę na sznurku.

Daisy przyjechała wraz z nami. Nie zamierzałyśmy zostać w Anglii zbyt długo, żeby nie opuszczać naszych dzieci.

Stałam i patrzyłam na szare mury Kamiennego Dworu. Wyglądał zupełnie inaczej. Na trawniku bawiły się dzieci. Było ich czworo - dwie dziewczynki i dwóch chłopców.

Musiały to być dzieci kuzyna Artura.

Sophia przyjęła mnie serdecznie. Wyglądała na szczęśliwą i zastanawiałam się, jak to możliwe, że kuzyn Artur, którego ani Francine, ani ja nie chciałyśmy za męża, całkowicie zadowolony był z Sophią.

Moje zdziwienie stało się jeszcze większe, gdy ujrzałam kuzyna Artura. Utył i sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Najwyraźniej cieszył się życiem rodzinnym i nadziwić się nie mogłam, że jego dzieci wcale się go nie bały. Zastanawiałam się, jaki jest, gdy uczy je religii.

Kiedy zostaliśmy sami, zauważyłam, że jest zmieszany. Najwyraźniej chciał mi coś wyznać, ale nie wiedział, jak to zrobić.

- Małżeństwo bardzo kuzyna odmieniło - zaczęłam. Przyznał mi rację.

- Musiałem wydawać się wam nie do zniesienia, tobie i Francine - wymamrotał.

- W istocie. Ale teraz wygląda kuzyn na zupełnie inną osobę.

- Byłem hipokrytą, Philipppo - przyznał. - Gardzę sobą, kiedy patrzę w przeszłość. Ale to nie wszystko. Czuję się zbrodniarzem.

Roześmiałam się.

- Eee. Co też kuzyn nazywa zbrodnią? Zapomnieć o modlitwie jednego wieczoru w ciągu długich lat?

Pochylił się ku mnie i ujął mnie za rękę.

- Bałem się nędzy - wyznał. - Nie uśmiechał mi się los biednego wikarego, ledwie wiążącego koniec z końcem. A

taki los niechybnie by mnie czekał, gdyby nie twój dziadek. Pragnąłem Kamiennego Dworu... za wszelką cenę. Dostałem go... ale nań nie zasłużyłem.

- Och, co też kuzyn opowiada. To teraz takie miłe miejsce. Dzieciaki są cudowne.

- To prawda - rzekł. - Ale nie zasłużyłem na mój los. Cieszę się, że mogę ci to wszystko opowiedzieć. Skrzywdziłem cię, Philippo. Byłem gotów... Ale niech ci wyjaśnię.

Bardzo chciałem mieć ten dom i postępowałem dokładnie tak, jak sobie tego życzył wasz dziadek, a on postanowił, że mam ożenić się z Francine albo z tobą. Wiemy, co było dalej. Nie chciałem ożenić się z żadną z was. Zawsze myślałem tylko o Sophii.

- Och, kuzynie! Gdybyśmy wiedziały!

- Bałem się powiedzieć o tym komukolwiek. Sophia i ja kochaliśmy się od dłuższego czasu. Sophia zaszła w ciążę. Musiałem coś zrobić. Wtedy przyszła ta noc. Wszyscy słyszeli waszą kłótnię. Był bardzo rozgniewany. Pomyślałem sobie, iż stracił wszelką nadzieję, że spełnisz jego życzenia, a wobec tego może nie zechce utracić i mnie. Wykorzystując tę okoliczność i jego nastrój postanowiłem powiedzieć mu o wszystkim. Poszedłem do niego, do sypialni. Dałem mu do zrozumienia, że Sophia i ja musimy się pobrać. Nigdy nie zapomnę widoku jego twarzy. Miał na głowie nocny czepek, uchwycił prześcieradło trzęsącymi się rękami. Patrzył na mnie z niedowierzaniem, a potem wyskoczył z łóżka. Myślałem, że chce mnie uderzyć. Zbliżał się do mnie, wyciągnąłem więc ręce, by się osłonić. Nie wiem, czy go popchnąłem, czy nie. To wszystko działo się tak szybko. Upadł na wznak i uderzył się w głowę. Ogarnęła mnie panika, bo zdałem sobie sprawę, że nie żyje. Ja go nie zabiłem. Po prostu upadł. Wiedziałem, że wyniknie z tego wiele kłopotów. Wszystko mogło się



wydać... A ja musiałem chronić Sophię... Musiałem działać szybko...

- Podpalił więc kuzyn... Przytaknął.

- Nie pozwoliłbym, żebyś przeze mnie cierpiała, Filippo  
- dodał szybko. - Gdyby sprawy posunęły się dalej...  
powiedziałbym prawdę. Ale Sophia i dziecko... Rozumiesz.  
Myślałem, że jakoś się to wszystko w końcu rozejdzie...

- Nawet jeśli podejrzenie padnie na mnie?

- Nikt cię nie oskarżał. To był wypadek. To był wypadek,  
Filippo. Byłaś młoda... wyjechałaś. Nie czułem się winny...  
tylko jeśli o ciebie chodziło...

Wróciłam myślami do tamtych okropnych dni.  
Przypomniałam sobie, jaki stał się miły, jak nieoczekiwanie  
sympatyczny. Dobiegały mnie krzyki dzieci bawiących się  
przed domem, uścisnęłam mu rękę.

Poczułam się nagle bardzo szczęśliwa. Podniosłam oczy i  
ujrzałam lecącego wysoko, wysoko skowronka. Zaczęłam  
recytować:

Zanucił radosne

Piosenki skowronek

Ślą łaskę niebiosy

Jest dobrze na Ziemi!